

K A I M E Y E R



PRZEBUDZENIE

ARKADII

Kai Meyer

Przebudzenie Arkadii

Arkadien Erwacht

Tłumaczyła Emilia Kledzik



Dla Steffi

Z jego gardła wydobył się głęboki pomruk, opuścił głowę, opadł na przednie łapy, prychnął, obnażył swoje różowe gardło i żółte zęby.

I każdym pociągnięciem języka zdzierał ze mnie jedną warstwę skóry za drugą, wszystkie skóry życia na świecie, aż pozostała tylko patyna z połyskujących włosów. Moje kolczyki na powrót zamieniły się w wodę i pociekły po ramionach, strząsnęłam krople z mojego przepięknego futra.

Angela Carter, *Narzeczona tygrysa*

OSTATNI ROZDZIAŁ

Pewnego dnia – powiedziała – będę łapać sny niczym motyle.

– A potem? – zapytał.

– Włożę je między kartki grubych książek i wycisnę z nich słowa.

– A jeśli ktoś będzie śnił tylko o tobie?

– Być może wtedy we dwoje zmienimy się w słowa w książce. Dwie nazwy pomiędzy innymi.

ROSA

Nad Atlantykiem obudziła ją cisza. Przykucnęła na siedzeniu z podciągniętymi pod brodę kolanami, zgięta i wykrzywiona od pięciu godzin ciasnoty. Okna samolotu były zasłonięte, większość pasażerów spała przykryta szarymi kocami.

Żadnych głosów, żadnych dźwięków. Potrzebowała chwili, by uświadomić sobie, dlaczego.

Jej słuchawki milczały.

Rzut oka na wyświetlacz iPod'a – wszystko zniknęło, kilka tygodni muzyki przepadło w jednej chwili. Pozostał tylko jeden rodzaj, jeden wykonawca, jedna jedyna piosenka. Jedyna, której nigdy nie słyszała i z pewnością nie odtwarzała. Przejrzała jeszcze raz listę.

Inne

Scott Walker

My Death

Poza tym – nic. Wszystko zniknęło.

Pustka dobrze pasowała do nowego otwarcia w jej życiu.

Odchyliła się na fotelu, zamknęła oczy i słuchała *My Death* jak niekończącej się płyty, przez trzy kolejne godziny, aż do lądowania w Rzymie.

* * *

Na lotnisku Fiumicino Rosa dowiedziała się, że jej samolot do Palermo wypadł z rozkładu z powodu strajku pilotów. Następny lot miała za pięć i pół godziny. Była skonana, a *My Death* dźwięczała jej w uszach nawet bez słuchawek.

By złapać nowy samolot, musiała zmienić terminal. Stała z

bagażem podręcznym w dłoni, niemal przysypiając na ruchomej taśmie, która przesuwała się bez końca. Na zewnątrz było jeszcze ciemno, szósta rano, a jasno oświetlone wnętrze korytarza odbijało się w wielkich szybach okiennych. Rosa widziała siebie stojącą na taśmie – splątane długie blond włosy, rozczochrane jak zwykle, ubrana całkowicie na czarno, a cienie pod jej lodowato niebieskimi oczami były tak ciemne, jak gdyby użyła za dużo czarnego kajalu. A przecież nie umalowała się. Od czasu pewnej nocy przed rokiem powstrzymywała się od robienia makijażu.

Top bez ramion podkreślał jej figurę lalki. Była za mała i za wiotka na swoje siedemnaście lat. A jednak, kiedy spojrzała na rodzinę stojącą za nią na taśmie, ucieszyła się, że przyszła na świat taka szczupła, bez apetytu i właśnie taka inna, taka trudna.

Przed nią stała kobieta w ciąży. Rosa usiłowała zachować odstęp, a jednocześnie nie zbliżyć się do grupki za nią. W samolocie, mimo ciasnoty, czekał na nią fotel, wokół którego zbudowała w myślach klatkę. Jej mały świat tuż przy oknie. Tutaj, na ziemi, wszystko było w ruchu, za dużo ludzi, za duży zgiełk, by móc zamknąć się za szczelną barykadą.

Znów wcisnęła do uszu słuchawki. Zagadkowa piosenka, która pobrzmiwała czarno-białą Europą, starymi filmami z napisami, gangsterami w czarnych garniturach, rozpalonymi promenadami na plażach i przepięknymi Francuzkami w kapeluszach przeciwsłonecznych, które ginęły zaduszone przez zazdrosnych kochanków.

Piosenka nie musiała nazywać się *My Death*, by przywoływać takie skojarzenia. Było coś we wzburzonej dramaturgii muzyki, w dźwiękach głębokiego, ciemnego, męskiego głosu. Tęsknota za śmiercią z posmakiem lodowato zimnego martini.

*My death waits like
A bible truth
At the funeral of my youth
Weep loud for that
And the passing time **

W duszy widziała rozmazane krople krwi na pokładzie białego śródziemnomorskiego jachtu, wsłuchiwała się w melancholijną ciszę, jaka zapadła między kochankami pod słońcem Południa.

Ruchoma taśma wypłuła ją wprost do przepełnionej hali odlotów.

* * *

Inni dla bezpieczeństwa nosili ze sobą paralizatory albo gaz pieprzowy, a Rosa kupiła zszywacz w sklepie z artykułami żelaznymi na Baltic Street, róg Clinton. Powód był prosty. Uderzenie prądem jest nieprzyjemne, ale nie pozostawia śladów. Ona natomiast mogła wbić w ciało napastnika dwie, trzy zszywki. Wtedy ten musiał się zastanowić, czy najpierw stawić jej czoło, czy wyciągnąć ze skóry zszywki. To dość czasu, by dać mu nauczkę. Ostatnim razem złamała sobie paznokieć. Nieprzyjemne.

Zszywacz musiała oddać do luku razem z głównym bagażem. Swoją czarną kurtkę niosła w lewej dłoni. Zdezelowana torba na ramię zdradzała, gdzie zwykle przechowywany był ciężki przedmiot. Ten widok niepokoił ją, czegoś jej brakowało. Neurotyczne, powiedziałyby jej siostra Zoe. Rosa postanowiła wypchać czymś torbę. Jej spojrzenie padło na stoisko ze słodyczami w hali odlotów. Sprzedawca opierał się o ścianę i drzemał z na wpół otwartymi oczami. Poza

rodziną z ruchomej taśmy, w ciągu ostatniej półgodziny nikt niczego u niego nie kupił.

Rosa wstała z miejsca i przespacerowała się w jego stronę. Jej jasnoblond włosy były jeszcze dłuższe niż zwykle, zwisały na twarz i zakrywały zewnętrzny kącik oka. Sukienka mini należała kiedyś do Zoe i była dla Rosy za duża, rąbek sięgał jej kolan. Spojrzenie sprzedawcy prześlizgnęło się na jej cienkie nogi w czarnych rajstopach. Kończyły się w butach z metalowymi czubkami, ciasno zasznurowanymi wokół kostki. Nie chciała, by spadły, gdyby musiała kopać. Jakież by to było nieprzyjemne.

– *Signorina*, witamy we Włoszech! – powiedział po angielsku z wyraźnym włoskim akcentem. Na głowie miał czapkę, która wyglądem przypominała papierowy statek, i białoczerwone ubranie. Nie rozumiała, jakim sposobem te żałosne czapeczki miałyby skłonić kogokolwiek do kupna większej ilości czekolady. Ktoś jednak musiał to wcześniej przemyśleć.

– *Ciao*. Poproszę ten. – Wyszukała batonik, ostatnią sztukę z tego rodzaju i zauważyła, że z paznokcia jej kciuka odpryskuje czarny lakier. Szybko wyciągnęła palec wskazujący, ale i ten nie wyglądał dużo lepiej. Najwyraźniej znów drapała coś przez sen.

Sprzedawca miał miłą twarz, a w jego przyjaznym nastawieniu nie było nachalności. Zgiął się za ladą, by wyłowić spod niej nowy batonik. Wykorzystała ten moment i niepostrzeżenie wcisnęła do kieszeni kurtki cztery inne. Następnie zapłaciła za ten, który podał jej sprzedawca, uśmiechnęła się i pospieszyła na swoje miejsce między przepełnionymi rzędami krzesełek.

Siedziało na nim jedno z grubych dzieci pary turystów i wyzywająco szczyrzyło do niej zębami. Zateęskniła za swoim

zszywaczem, nie powiedziała jednak ani słowa i znalazła sobie kawałek wolnej podłogi pod oknem. Położyła się na kurtce z podkurczonymi kolanami, poprawiła sukienkę, pod głowę podłożyła czarną torbę podróżną i zamknęła oczy.

Kiedy się obudziła, było już jasno, a czekolada pod nią stopiła się. Wyrzuciła wszystkie batoniki – ten, za który zapłaciła, i cztery skradzione. Chłopiec na jej krzeselku patrzył, nie pojmując, jak to możliwe, że słodycze znikają w koszu na śmieci. Sprzedawca mrugnął do niej, kiedy mijała jego stoisko.

– Fajna czapka – powiedziała.

W czasie kontroli przy bramce zwróciła się do niej stewardesa. Sądząc po akcencie – z północy Włoch.

– Rosa Alcantara? – Kobieta miała mocny makijaż i była w typie tych stewardes, które w sytuacji awaryjnego lądowania pierwsze udają się w bezpieczne miejsce, by spryskać się dezodorantem.

Rosa skinęła głową.

– Właśnie to jest tam napisane, prawda?

Stewardesa spojrzała na bilet, postukała w klawiaturę komputera i popatrzyła na Rosę, marszcząc czoło.

– To nie ja – powiedziała Rosa.

Zmarszczki na czole kobiety pogłębiły się.

– Granaty w mojej walizce. Ktoś musiał mi je podrzucić.

– To nie jest śmieszne.

Rosa obojętnie wzruszyła ramionami.

– Wywoływaliśmy panią przez głośniki.

– Spałam.

Stewardesa sprawiała wrażenie, jakby się zastanawiała, czy Rosa nie jest pod wpływem narkotyków. Za nią w kolejce ryczało dziecko. Ktoś mamrotał coś z niecierpliwością. Druga stewardesa przepuściła pozostałych pasażerów obok Rosy.

Wszyscy gapili się na nią, jakby przyłapano ją na próbie porwania samolotu.

– Więc? – zapytała Rosa.

– Pani walizka...

– Przecież powiedziałam.

– ...została przypadkowo uszkodzona podczas transportu.

Poważnie uszkodzona.

Rosa zmrużyła oczy.

– Czy mogę w związku z tym zaskarżyć pani firmę?

– Nie. Takie są warunki transakcji handlowej.

– Więc dolecę na Sycylię bez czystych rzeczy? – I bez muzyki. Tylko *My Death*.

– Przewoźnik wyraża ubolewanie z powodu komplikacji...

Wyglądasz właśnie, jakbyś ubolewała.

– ...i oczywiście dostarczy pani bagaż.

– Miałam tam obłędnie drogie ciuchy. – Przeciągnęła dłońmi po starej spódniczce swojej siostry, którą nosiła od dwóch lat.

Stewardesa wykrzywiła usta, jej broda zmarszczyła się. Wyglądała jak pestka wiśni.

– Mamy ekspertów, którzy mogą to ustalić. – I niemal z rozkoszą dodała: – Na podstawie tego, co z nich zostało.

Podala Rosie formularz.

– Proszę zadzwonić pod ten numer telefonu. Tam udziela pani dalszych informacji. W dole formularza może pani podać szczegóły dotyczące zawartości walizki.

– Czy mogę już wejść do samolotu?

– Oczywiście.

Kiedy kobieta podawała jej kartę pokładową, palce Rosy musnęły jej nadgarstek.

Na dole, w autobusie, wciśnięta pomiędzy innych

pasażerów, otworzyła dłoń. Leżała w niej złota bransoletka. Wsunęła ją stojącej obok Japonce do kieszeni kurtki i włożyła do uszu słuchawki.

* * *

Od trzech kwadransów byli w powietrzu, kiedy mężczyzna siedzący obok niej nacisnął guzik wzywający personel pokładowy. „Co za niespodzianka” – pomyślała Rosa, kiedy w przejściu ukazała się stewardesa z bramki na lotnisku.

– Panienska nie chce podnieść żaluzji na oknie, a ja chciałbym zobaczyć chmury – powiedział.

– A przy okazji nachylić się nade mną i wgapić się w mój dekolt – zauważyła Rosa.

– To śmieszne! – odparł mężczyzna, nie patrząc Rosie w twarz.

Pełne powątpiewania spojrzenie stewardesy prześlizgnęło się po czarnej bluzce dziewczyny.

– Dopiero będzie śmieszne – powiedziała Rosa uspokajająco. – Bez obaw.

– Przecież ja chciałbym tylko zobaczyć chmury – powtórzył mężczyzna.

– Moje miejsce przy oknie, więc i moja żaluzja.

– Co za bzdura. Przecież okno nie należy do pani miejsca.

– A chmury do pana programu rozrywkowego.

Mężczyzna już zamierzał się najeżyć, ale stewardesa uśmiechnęła się z wdziękiem sklepowego manekina.

– Dwa rzędy z przodu jest wolne miejsce przy oknie. Mogę je panu zaproponować. Za kilka minut przyniosę panu kieliszek szampana. Proszę nam wybaczyć te niedogodności.

Mężczyzna szarpnięciem odpiął swój pas i cicho

przeklinając, podążył przejściem między fotelami.

– My, kobiety, musimy trzymać się razem – powiedziała Rosa.

Stewardesa obejrzała się, osunęła na wolne miejsce i ściszyła głos.

– Posłuchaj, dziecko. Znam się na takich jak ty... Oddaj mi moją bransoletkę.

– Jaką bransoletkę?

– Tę, którą mi ukradłaś. Kobieta w ostatnim rzędzie cię zauważyła.

Rosa podniosła się i spojrzała przez ramię.

– Jeśli ta kobieta oskarżyłaby pani córkę o kradzież jakichś bzdetów, uwierzyłaby pani?

– Nawet nie próbuj...

– Więc dlaczego robi to mnie?

Stewardesa rzuciła jej wściekłe spojrzenie, milczała przez chwilę, a potem wstała.

– Powiem o tym kapitanowi. Po wylądowaniu w Palermo będą na ciebie czekać *carabinieri*.

Rosa chciała jej odpowiedzieć, ale głos z przedniego rzędu był szybszy:

– To mało prawdopodobne.

Rosa i stewardesa jednocześnie spojrzały w tym kierunku. Chłopak w wieku Rosy patrzył na nie z powagą zza oparcia.

– Widziałem bransoletkę leżącą przy bramce na lotnisku. Na podłodze, tam, gdzie pani stała.

Rosa uśmiechnęła się do stewardesy.

– Przecież mówiłam.

– Dajcie spokój, przecież to...

– Słowo przeciwko słowu. – Potarł sobie grzbiet nosa. – A jeśli chodzi o policję, to wcale nie jest takie łatwe. Kapitan to

pani wytłumaczy. Poza tym ten dżentelmen w rzędzie przede mną czeka na szampana.

Stewardesa niczym ryba otwierała i zamykała usta, po czym w jednej chwili zerwała się z fotela i odeszła.

Chłopak jakby w tym momencie zapomniał o jej istnieniu i z ciekawością przyglądał się Rosie. W jego wzroku było wyczekiwanie.

– Dlaczego wtykasz swój pieprzony nos w nie swoje sprawy? – zagadnęła go przyjaźnie.

* Moja śmierć czyha niczym/ biblijna prawda/ Na pogrzeb mojej młodości/ Szlochaj głośno za nią/ i mijającym czasem.

ALESSANDRO

Wyglądał dobrze, bez dwóch zdań.

Rachunek prawdopodobieństwa podpowiadał coś przeciwnego – jeśli ktoś przychodzi komuś z pomocą, nigdy nie wygląda dobrze. Typ norweskiej gwiazdy pop wykluczony. Trudno nawet o pokrytego trądzikiem rozgrywającego ze szkolnej drużyny futbolowej. Po prostu jakiś facet z przethuszczonymi włosami i fatalnym zapachem z ust.

A ten był inny.

Rosa lustrowała go wzrokiem przez dwie, trzy sekundy, a potem wstała.

– Moment.

Ruszyła w stronę ostatniego rzędu. Kobieta z diamentowymi kolczykami spojrzała na nią znad kolorowej prasy.

– Jeśli samolot roztrzaska się przy lądowaniu – powiedziała Rosa cukierkowo słodkim głosem – szanse, że pasażerowie z tylnej części samolotu spłoną żywcem, wynoszą dziewięćdziesiąt dwa do ośmiu.

– Nie wiem, co pani...

– My, siedzący bardziej z przodu, prawdopodobnie przeżyjemy. Przede wszystkim ci źli. Życie jest niesprawiedliwe, a śmierć to prawdziwa dziwka. Mimo to życzę pani miłego lotu.

Zanim kobieta była w stanie cokolwiek odpowiedzieć, Rosa ruszyła z powrotem na swoje miejsce.

Chłopak oparł podbródek na dłoniach i obserwował ją, kiedy siadała.

– Co jej powiedziałaś?

– Że wkrótce lądujemy.

Jego oczy były nieprawdopodobnie zielone. Jej miały bardzo jasny kolor lodowatego błękitu. Gdyby o tym wspomniał, zignorowałyby go. Tak jakby wcale go tam nie było. To o wiele zbyt nudne.

– Przykro mi z powodu twojej walizki – powiedział, ale w jego głosie nie brzmiało głębokie współczucie. – Wszystko słyszałem, stałem za tobą w kolejce.

– To ty ją zniszczyłeś?

– Nic mi o tym nie wiadomo.

– Więc nie musisz mi z tego powodu współczuć.

Nie dał jej wyboru – musiała go ocenić. Nikt jak dotąd nie wynalazł żaluzji pomiędzy rzędami samolotowych foteli. A on nie sprawiał wrażenia, jakby chciał się odwrócić i usiąść.

Nie wyglądał za bardzo sycylijsko, także wtedy, kiedy powiedział, że dorastał na wyspie. Być może cieszyło go, że znów używa tego języka, i przesadnie akcentował dialekt. Przypomniała sobie teraz, że widziała go już na lotnisku w Nowym Jorku. Może wakacje u krewnych? Albo powrót z semestru za granicą? W końcu nie był dużo starszy od niej, nie mógł jeszcze studiować na włoskim uniwersytecie. A może było na odwrót – chodził do college'u w Stanach i odwiedzał swoją rodzinę we Włoszech?

Jego twarz wydała jej się znajoma, chociaż nie mogła ustalić, czy widziała ją już wcześniej, przed wyjazdem. Wąski, prosty nos, grube, brązowe brwi. Ślad cynizmu w oczach i w kąciku ust. Dołeczki, nawet kiedy się nie uśmiechał. Jego cera miała lekko złotawy odcień, zupełnie inny niż Rosy. Ona nigdy się nie opalała, chociaż jej ojciec był Włochem. Irlandzko-amerykańską karnację odziedziczyła po matce. Miała wielką nadzieję, że nic więcej.

Jego ciemnobrązowe włosy wyglądały, jakby właśnie

przyglądał je dłońmi. Niesforne kosmyki okalały twarz, która teraz – kiedy w myślach cofnęła się o krok – nabrała nieco arystokratycznego wyrazu. Nie żeby znała arystokrację z innych źródeł niż z telewizji. Jednak to słowo samo się z nim kojarzyło. Jeszcze odrobina symetrii, szczypta harmonii i perfekcji, a byłby niemal zbyt piękny, nawet gdyby jego rysy miały się zmienić w nadchodzących dwóch, trzech latach, stać się trochę surowsze, twardsze.

– Przeszkadzam w lekturze? – Wskazał na zwiniętą gazetę, wciśniętą między oparcie a ścianę samolotu.

Nawet nie znała jej tytułu. Po prostu przy wejściu na pokład wzięła jedno ze stosu czasopism, tylko dlatego, że tam leżało. Zwyczajny odruch.

– Nie – powiedziała, ale wyciągnęła gazetę i położyła sobie na kolanach.

– Ciekawa?

Rozbawiony błysk w jego spojrzeniu kazał jej podążyć za jego wzrokiem na okładkę magazynu. Poradnik dla mężczyzn. *Dziesięć sposobów, jak uczynić JA szczęśliwą* – brzmiał tytuł głównego artykułu, widniejący pod zdjęciem pary przypominającej woskowe figury. I małym drukiem: *ONA nigdy nie będzie miała dość.*

Rosa spojrzała na niego.

– Piszę dla nich artykuły. Wskazówki i refleksje z własnego doświadczenia. Ktoś to przecież musi robić.

– Mam cię zostawić w spokoju, tak?

– Powiedziałabym raczej: pilnuj swojej piaskownicy.

Jego spojrzenie zgasło. Odwrócił się i chciał usiąść.

– Hej – powiedziała.

Obejrzał się przez ramię.

– Dlaczego lecisz na Sycylię?

– Sprawy rodzinne.

I zniknął z jej pola widzenia. Słyszała, jak poprawia się w fotelu. Jego oparcie wibrowało lekko pod jej kolanem i powodowało delikatne łaskotanie w nogach. Dostała gęziej skórki.

Otworzyła gazetę i zaczęła studiować dziesięć trików.
Nie poczuła się szczęśliwsza.

* * *

Podczas lądowania w Palermo przez szparę pomiędzy siedzeniami podpatrywała, jak na grzbiecie jego dłoni wybijają żyły i ścięgna. Palce chłopaka mocno zaciskały się na podłokietniku. Miał wąskie, opalone dłonie z wypiełgnowanymi paznokciami. Z drugiej strony jego siedzenia, spod ściany samolotu wyglądał rąbek skórzanej kurtki. Rosa musiała się wysilić, by zajrzeć do wnętrza bocznej kieszeni.

Kilka chwil później trzymała w dłoniach jego paszport. Alessandro Carnevale. Osiem miesięcy starszy od niej, za kilka tygodni skończy osiemnaście lat. Urodzony w Palermo. Dziwny adres: *Castello Carnevale*. Genuardo. Brak nazwy ulicy i numeru domu. Nie знаła nazwy miejscowości, ale to nic nie znaczyło. Miała cztery lata, kiedy matka zabrała ją do Ameryki. Od tego czasu nie była na Sycylii.

Alessandro Carnevale.

Zirytowała się, że tak bezceremonialnie ją spławił. Sprawy rodzinne. Ona też je miała, i to całkiem skomplikowane.

Zamiast włożyć mu paszport ponownie do kieszeni, rzuciła go niedbale na puste siedzenie, kiedy wysiadała z samolotu. Personel pokładowy zdecyduje, czy mu go oddać. To nie jej

problem.

Spojrzenia stewardesy paliły Rosę w plecy, kiedy wychodziła z samolotu. Nie obejrzała się.

W myślach zadała sobie pytanie, czy Zoe choć raz w życiu będzie punktualna.

* * *

Drzwi z mlecznego szkła rozsuneły się i odsłoniły widok na oczekujących. Za taśmą stały całe pokolenia sycylijskich rodzin, włącznie z pomarszczonymi babciami w czarnych strojach. „Ja za osiemdziesiąt lat” – pomyślała Rosa ponuro. Małe, drące gardła bachory z balonami. Wylaszczone młode kobiety, czekające na swoich mężów i kochanków. Rodzice, którzy nie mogli się doczekać corocznej wizyty swoich dorosłych dzieci mieszkających na północy. Ubrani w garnitury ludzie w okularach przeciwsłonecznych z nazwiskami wypisanymi odręcznie na kawałkach kartonu.

Nigdzie nie było Zoe.

Rosa weszła pierwsza do hali przylotów. Zapytała raz jeszcze o to, co ci w Rzymie zrobili z jej walizką. Zauważyła, że zgubiła karteczkę z numerem serwisu. Szkoda, bo nudząc się podczas lotu, stworzyła całkiem finezyjną listę ubrań.

Na zewnątrz poczuła gorąco, choć był początek września. Teren w pobliżu wyjścia był osłonięty betonowym dachem, na skraju chodnika zaparkowały taksówki. Po drugiej stronie ulicy znajdował się niski parking piętrowy. Przez jego siatkową strukturę prześwitywało Morze Śródziemne, spienione kołnierze na niebieskich grzebieniach fal. Lotnisko Falcone e Borsellino, nazwane tak na cześć dwóch zamordowanych przez mafię sędziów, ulokowane było na cyplu lądu.

Także tutaj ani śladu po Zoe.

Jej siostra była trzy lata starsza od niej, miesiąc temu skończyła dwadzieścia lat. Przed dwoma laty przyleciała tutaj ze Stanów. Zoe miała siedem lat, kiedy zmarł ich ojciec Davide, a matka, wbrew woli klanu Alcantara, wywiozła je do USA. W przeciwieństwie do Rosy, Zoe zachowała wiele wspomnień z Sycylii. Pamiętała starą posiadłość rodzinną między sękatymi drzewami oliwnymi i kaktusami figowymi. Pamiętała ciotkę Florindę Alcantarę, siostrę ojca i obecną głowę rodziny.

Dla Rosy ciotka była tylko niewyraźną plamą w pamięci, jeszcze mniej realną niż ojciec, a i z nim wiązała wyłącznie odczucia, żadnych konkretnych obrazów.

Obok niej przetaczały się strumienie ludzi wychodzących z lotniska i wchodzących tam. Zagubiona stała w ukropie, wśród chmur spalin taksówek i autobusów. Trzymana obiema rękami torba zwisała na wysokości kolan. Szukała w sobie poczucia, że wróciła do domu.

Nic.

Obcość nie była dla niej niczym nowym, dobrze się na niej znała. Dziwiła się tylko, że zupełnie nic nie czuje.

Po jej lewej stronie, za rzędem taksówek zaparkował wojskowy jeep, w którym nudziło się kilku uzbrojonych żołnierzy. Rosa słyszała, że Włochy wysłały tu wojsko dla wsparcia lokalnej policji. Mimo to dziwnie było widzieć, jak otwarcie stoją z pistoletami maszynowymi zawieszonymi na ramionach niczym torby-konduktorki. Jeden z młodych mężczyzn zauważył ją, jak stoi samotnie w słońcu, i szturchnął innego żołnierza. Obaj wyszczerzyli zęby.

– Bez obaw – znany głos odezwał się za jej plecami. – Strzelają tylko do mafii.

Alessandro Carnevale stanął obok niej na chodniku przed

hałą lotniska, trzymając rączkę czarnej walizki na kółkach. Najwyraźniej odzyskał swój paszport, w przeciwnym razie nie przeszedłby tak szybko przez kontrolę przylotów.

– Alessandro – powiedział i wyciągnął w jej stronę rękę. Jego palce nie były już tak pokurczone jak przy lądowaniu. Giętkie i silne.

– Rosa.

– Ktoś cię odbiera?

– Moja siostra. Jeśli nie zapomniała.

– Możemy cię zabrać.

– My?

Wskazał na czarną limuzynę, która w tym samym momencie zatrzymała się przed wejściem na lotnisko. Rosa zdążyła jeszcze zauważyć, jak pod podwoziem samochodu znika wymalowany na asfalcie znak zakazu parkowania. Nikt nie zwrócił na to uwagi. Żołnierze żuli gumę i rzucali ciekawskie spojrzenia na lśniąca karoserię. Najpierw samochody, potem dziewczynki. Bardzo jej się to podobało.

– No i? – zapytał Alessandro.

– Zoe powinna być tutaj w każdej chwili.

– Zoe? – Przekrzywił głowę. – Jesteście Amerykankami?

– Urodziłyśmy się tutaj, dorastałyśmy w Brooklynie.

Cofnęła się o krok, bo bliskość budziła jej niepokój. Dziwnym trafem on w tym samym momencie wykonał podobny ruch, więc powstała między nimi odległość prawie dwóch metrów.

– Oczywiście! – wykrzyknął w nagłym olśnieniu. – Zoe Alcantara. Jesteście krewnymi Florindy Alcantary, prawda?

– Bratanicami. To nasza ciotka.

Drzwi limuzyny otworzyły się. Wszystkie szyby samochodu były lustrzane. Kierowca, który z niego wysiadł,

wyglądał zadziwiająco młodo. Czarne włosy w nieładzie, nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Czarna koszula puszczona luźno nad paskiem spodni, czarne dżinsy. Brązowe oczy, które rzuciły spojrzenie w ich stronę i w jednej chwili zwróciły się gdzie indziej. Podszedł, uścisnął dłoń Alessandra i chciał chwycić jego walizkę.

– Fundling – powiedział Alessandro. – To Rosa Alcantara... Roso, to Fundling.

Na dźwięk swojego nazwiska chłopak o tak dziwnym przydomku uniósł brew, wyciągnął rękę w nerwowym geście i natychmiast ją cofnął, kiedy od razu jej nie chwycił.

– *Ciao* – powiedział zwięźle i włożył walizkę Alessandra do bagażnika samochodu.

Zdziwiona lustrowała go badawczym spojrzeniem, choć nie uznała go za niesympatycznego. Potem jednak jej uwagę na nowo przykuł Alessandro.

– Nie miej mu tego za złe – powiedział.

– Nie ma sprawy.

– Wysadzimy cię przed *palazzo* twojej ciotki, jeśli chcesz. Nie będziemy musieli nadkładać drogi.

Stała w miejscu, wyciągnęła szyję i rozejrzała się, daremnie poszukując Zoe.

Przyleciała na Sycylię, by odnaleźć spokój. By pobyć sama i podumać. Zawieranie nowych znajomości chwilowo nie stanowiło jej priorytetu. A fakt, że właśnie do tego doszło, świadczył o tym, że sytuacja wymknęła się spod kontroli. Bardzo jej się to nie podobało. Toczyła wewnętrzną walkę o odzyskanie przewagi. Rób to, na co masz ochotę. Nie daj się do niczego zmusić.

– To oczywiście zależy od ciebie – powiedział z uśmiechem.

Nie miał pojęcia, że tymi słowami tylko pogarsza sytuację.
Powietrze wkoło niej jakby ochłodziło się o parę stopni.

– Nie – odpowiedziała z nieobecnym spojrzeniem. – To niepotrzebne.

Co powiedziawszy, odwróciła się na pięcie i ruszyła wzdłuż rzędu samochodów. Boże, jak nienawidziła tego zdania. To zależy od ciebie. Rok temu słyszała je o wiele za często.

To zależy od niej. Marzyła, by kiedyś tak się stało. Tylko od niej.

Jednocześnie oczekiwała, że Alessandro krzyknie coś za nią. Że spróbuje ją zatrzymać. On jednak nie zrobił tego. Także ona się nie obejrzała.

Kilka chwil później limuzyna w żółtym tempie przejechała obok niej. Rosa nie mogła zrobić nic innego, jak tylko na nią spojrzeć. W lustrzanych szybach zobaczyła jednak tylko samą siebie w krótkiej czarnej sukience ze zwichrzonymi blond włosami.

Samochód bez zatrzymania przejechał drogą, a potem skręcił w kierunku autostrady.

Zakreśliło się jej w głowie.

Żołnierze znów się śmiali.

KLAN

Rosa wypuściła z dłoni torbę i poczuła, że musi się podeprzeć.

W tym samym momencie dostrzegła Zoe. Siostra ruszyła w jej stronę wielkimi krokami i powiedziała coś, co dotarło do Rosy z opóźnieniem i z dziwnym pogłosem, jakby skrzypiącej płyty winylowej.

Oparła się o rozgrzany do czerwoności błotnik taksówki, syknęła z bólu – i w mgnieniu oka świat wrócił na dawne tory. Samochody poruszały się szybciej, hałasy przycichły, zawroty głowy ustały.

Zoe przyciągnęła ją do siebie i przytuliła.

– Dobrze, że w końcu jesteś.

Rosa poczuła zapach perfum Zoe, inny niż dawniej. Powiedziała kilka zdań, których – jak sądziła – od niej oczekiwano: że się cieszy z przyjazdu i że wcale się tego nie spodziewała. Nie skłamała, najwyżej trochę przesadziła.

Odsunęły się od siebie i Rosa dopiero teraz mogła się przyjrzeć swojej siostrze. Przez ostatnie dwa lata widziała Zoe tylko na przysyłanych do niej zdjęciach. Była o pół głowy wyższa od Rosy, tu nie mogło się wiele zmienić. Zoe miała takie same długie blond włosy, które, wycieniowane, sięgały aż do połowy jej pleców; Rosa zauważyła, że choć wyglądały naturalnie, zostały starannie ułożone. Także makijaż Zoe nosił cechy wyrafinowania, był bardzo subtelny, ale skuteczny. Na jej czole i policzkach nie było śladu potu, mimo lejącego się z nieba żaru.

A Rosa pociła się tak bardzo, że czuła się, jakby stała w kałuży.

– Ale jesteś szczupła! – zauważyła. „Chuda” byłoby lepszym słowem.

– I ty to mówisz? – Zoe uśmiechnęła się i zdmuchnęła sobie z twarzy kosmyk włosów.

Rosa odniosła wrażenie, że robi to, by przykryć zapadnięte policzki. Szybko pojawiły się jednak inne tematy do rozmowy. Jej podróż, *jetlag*, zniszczona walizka.

Zoe stawiała się coraz bardziej podobna do matki i już jako dwudziestolatka potwierdzała przypuszczenie, że Gemma Alcantara – lub Gemma Farnham, jak dziś się nazywała – wydała na świat swojego sobowtóra. U Rosy to podobieństwo nie było tak widoczne, jak u jej siostry. Żadna z nich nie była z tego powodu specjalnie zadowolona i jako dzieci często wyrażały życzenie, by w ich wyglądzie wyraźniej odcisnęła się włoska uroda ojca. Często przywoływały swoje korzenie na odległej Sycylii, marząc o własnych koniach, przejażdżkach wśród palm i kaktusów, wystawnych przyjęciach w marmurowych salach balowych i wycieczkach na jachtach żaglowych.

Na parkingu Zoe podprowadziła ją do żółtego nissana. Na jego tylnej szybie widniała naklejka z nazwą wypożyczalni samochodów. Rosa była zbyt zmęczona, by głośno okazać swoje zdziwienie. Wrzuciła torbę podróżną na tylne siedzenie, opuściła oparcie fotela pasażera i spróbowała wyprostować nogi najdalej, jak to było możliwe.

Mężczyzna w obrzydliwej kurtce ze skóry węża przeszedł obok niej, ciągnąc za sobą walizkę. Kiedy zaciekawiona Rosa obejrzała się za nim, Zoe pokręciła głową i powiedziała cicho:

– Prawdziwe węże noszą skórę łuskami do wewnątrz.

Kilka minut później pędziły autostradą na południe. Na lewo od nich wznosiły się strome skały i winnice, po prawej za płaskim wybrzeżem połyskiwało Morze Tyrreńskie. Pomiedzy barierkami oddzielającymi nitki autostrady rósł oleander. Było

wczesne popołudnie, żar lał się z bezchmurnego nieba, a nieobecny cień pozbawił ziemię konturów. Palmy i wysokie na kilka metrów trzciny szumiały za szybami samochodu, mgliście zlewając się ze sobą.

Zoe w kółko paplała o tym, jak bardzo jej się tu podoba, ale Rosa wkrótce zapadła w drzemkę. Śniło jej się, że ktoś je ściga, a Zoe, brawurowo manewrując, próbuje zgubić podążający w ślad za nimi samochód. Kiedy ocknęła się po kilku minutach, nissan zjechał na lewy pas. Zoe wciąż sprawiała wrażenie odprężonej i zadowolonej z przyjazdu siostry.

– Trzymaj – powiedziała, dostrzegając, że Rosa się obudziła. – To dla ciebie.

Wyciągnęła w jej stronę mały pakunek obwiązany wstążką. W środku leżał połączony telefon komórkowy. W klawisze wtopiono małe kamienie szlachetne.

– Twoja stara komórka nie będzie tu działać – wyjaśniła Zoe. – Mają tu inny zakres fal niż w Stanach. Sama go wybierałam.

– Pewnie dlatego jest taki stylowy. – Kiedy Rosa skończyła wypowiadać to zdanie, zrozumiała, że Zoe nie żartuje: ona naprawdę uważała ten telefon za ładny. Z cieniem skruchy na twarzy nachyliła się w stronę siostry i pocałowała ją w policzek. – Dziękuję. To bardzo miłe.

Wyciągnęła telefon z pudełka, włączyła go i zobaczyła, że jako tapetę Zoe ustawiła zdjęcie ich zmarłego ojca. Był atrakcyjnym mężczyzną: ciemnowłosym, w bardzo południowym typie.

– Dziękuję – powtórzyła.

– W środku jest jeszcze coś – powiedziała Zoe.

Rosa wsunęła komórkę do kieszeni kurtki. Na dnie pudełka znalazła dowód osobisty i prawo jazdy. Oba dokumenty zostały

wystawione na jej nazwisko. Uśmiechnęła się. Zoe rzuciła siostrze zdziwione spojrzenie spod uniesionych brwi.

– Data urodzenia – powiedziała Rosa.

Trzydziesty pierwszy stycznia, zgadza się. Ale nie tego roku. Oba dokumenty dodawały jej rok. Zgodnie z nimi była pełnoletnia.

– Wszyscy je tu mają – powiedziała Zoe, uśmiechając się. – To nic szczególnego. Przecież umiesz prowadzić samochód, prawda?

Rosa zdała egzamin na prawo jazdy na rok przed wyjazdem Zoe, kiedy miała szesnaście lat. Taki zwyczaj panował w Ameryce.

– Umiem też kraść samochody.

– To zostawimy innym – powiedziała Zoe poważnym tonem. – Podobnie jak jeszcze parę tematów. Rodzina nie miesza się w takie sprawy.

Rodzina. Ich matka weszła do klanu Alcantara, zapewne wiedząc, na co się decyduje. Dopiero później doszło do wielkiego konfliktu między klanem i Gemmą Alcantarą. Po śmierci męża rozpoczęła z córkami nowe życie w Ameryce. Skrupuły, a może też strach przed byciem zależną, powstrzymały ją przed przyjęciem wsparcia dla obu dziewczynek od szwagierki Florindy. Rosa i Zoe musiały oswoić się z nową rzeczywistością, w której nie było pieniędzy. Dopiero niedawno Rosa dowiedziała się, że Florinda od czasu do czasu potajemnie przesyłała Zoe czeki, z których część z pewnością była przeznaczona dla niej, choć nigdy do niej nie trafiła. Nie miała tego siostrze za złe. Jako dzieci uwielbiały wyobrazać sobie wspólnie bajeczne bogactwa Alcantarów, ale od tego czasu Rosa straciła jakiegokolwiek zainteresowanie pieniędzmi i prestiżem. Wystarczało jej, że nosiła kilka lepszych

ubrań po Zoe; kiedy miała czternaście albo piętnaście lat, czuła się w nich dojrzała i dorosła. Rok temu los potraktował tę dorosłość aż nazbyt poważnie.

Skończywszy osiemnaście lat, Zoe przeniosła się z powrotem na Sycylię w poszukiwaniu lepszego, wygodniejszego życia. Rosy nie kusila wizja pieniędzy i luksusu. Wolala zostać. W dobre dni nazywała to „dochodzeniem do siebie”. W złe – „ucieczką”.

Trąbienie wyrwało ją z zamyślenia. Zoe wyprzedzała ciężarówkę do przewozu zwierząt. Spomiędzy sztachetek wyglądały nastroszone strusie.

– A co powiesz na to, by napisać do mamy SMS-a, że dotarłaś na miejsce?

– Później. Może.

* * *

Po półgodzinie jazdy autostradą Zoe zjechała na krętą jednopasmówkę, wijącą się między winnicami, aż w końcu skrzyła na drogę pokrytą żwirem, która prowadziła na nagie wzniesienie.

Tam czekał na nie helikopter.

– Wszyscy tu mają takie rzeczy? – zapytała Rosa.

Zoe zostawiła kluczyk w stacyjce i zabrała torbę Rosy z tylnego siedzenia. Razem podeszły do helikoptera. Pilot rzucił coś na powitanie i pomógł im przy wsiadaniu. W odpowiedzi Zoe uśmiechnęła się do niego promiennie, ale Rosa była zbyt zmęczona na takie uprzejmości. Zanim wzbili się w powietrze, obie dostały ochraniacze na uszy, które wyglądały jak grube nauszniki, i musiały zapiąć pasy.

Kiedy Rosa obejrzała się za siebie i spojrzała w dół,

zobaczyła długą chmurę pyłu, która razem z helikopterem wzniosła się nad drogą. Za porzuconym nissanem zatrzymał się drugi samochód. Wysiedli z niego kobieta i mężczyzna, oboje w skórzanych kurtkach i okularach przeciwsłonecznych. Mężczyzna rozmawiał przez telefon i wymachiwał gwałtownie ręką w stronę nieba.

– Mogliby sobie dać spokój – warknęła Rosa, przekrzykując hałas panujący w helikopterze. Zoe pokręciła głową.

– Musimy wiedzieć, że nas obserwują. To jakaś nowa strategia prokuratury. W pobliżu Palermo i Katanii jest najgorzej. W górach i gdzie indziej nie są aż tak bezczelni. To taka gra – przecież tak naprawdę dobrze wiedzą, dokąd się wybieramy.

Rosa stwierdziła, że jej puls jest tylko umiarkowanie przyspieszony. Wiedziała przecież, na co się decyduje. Lot helikopterem był bardziej ekscytujący niż fakt, że policja i prokuratura obserwują Alcantarów.

Po raz pierwszy przesłuchiowano ją, kiedy skończyła dwanaście lat, choć już wtedy od ośmiu lat nie miała kontaktu z rodziną ojca. Drugi raz – kiedy miała czternaście. I odtąd tak co roku. Gdyby jej matka mogła sobie pozwolić na sensownego adwokata, ten z pewnością nie dopuściłby do tego. Ale w ich sytuacji znosiły to bez słowa protestu, z roku na rok coraz bardziej znudzone.

Gdyby miały coś do ukrycia, przynajmniej cała sprawa stałaby się dla nich ciekawsza. A tak – na wszystkie pytania odpowiadały „nie” i „nie mam pojęcia”, ktoś stawiał znaczek na papierowym arkuszu, ktoś inny tłumaczył ich słowa włoskiemu sędziemu, a potem wszyscy rozchodzili się w swoje strony.

Na świecie naprawdę istniały ciekawsze rzeczy niż rodzina,

która od pokoleń należała do mafii.

* * *

Lecieli ponad zapierającym dech krajobrazem ze stromymi zboczami, grupami nagich skał i brunatnymi plamami, które, widziane z bliższej odległości, okazały się skupiskami małych pudełkowych domków. Górskie wioski wspinały się po spadzistych skalnych ścianach, zawieszane niczym orle gniazda nad bezdennymi przepaściami. W dolinach rozciągały się niezliczone rzędy winorośli, gdzieś widać było plantacje cytryn i wyschnięte łąki. Wąskie drogi wiły się serpentynami, prowadząc z miejsca do miejsca. Część z nich kończyła się w pustce.

Im bardziej zapuszczali się w głąb wyspy, tym bardziej opuszczona i wypalona słońcem stawała się ziemia pod nimi. Najbardziej rzucały się w oczy niezliczone ruiny porzuconych gospodarstw, pozostałości czasów, kiedy żyli jeszcze chłopcy i pracownicy najemni wielkich właścicieli ziemskich. Dzisiaj jedni i drudzy już zniknęli i nikt nie wysilił się, by usunąć ostatnie ślady tamtych czasów. Zająły się nimi woda i wiatr.

Jałowy, surowy krajobraz zrobił na Rosie wielkie wrażenie. Tu i ówdzie widziała szczyty gór na obrzeżach wiosek, zaniebane wille, niektóre z nich obwarowane niczym fortece, z krytym cyną murem i wieżami strażniczymi, z kaplicami i własnymi cmentarzami. Zoe wyjaśniła jej, przekrzykując warkot helikoptera, że wiele z tych prastarych murów pamięta jeszcze czasy Arabów, do których Sycylia należała przez długie dziesięciolecia.

W pewnym momencie przelecieli nad zwalonymi kolumnami i ruinami świątyni, które wyglądały jak miniatura

Akropolu, a potem nad kamiennym kraterem antycznego amfiteatru.

– Nigdzie nad Morzem Śródziemnym nie ma tylu greckich ruin na tak małej przestrzeni – powiedziała Zoe.

Wyspa była niegdyś grecką kolonią i nie bez powodu mówi się, że wiele przygód Odyseusza wydarzyło się na wybrzeżach Sycylii.

– Zawsze były tu jakieś potwory! – krzyknęła Zoe, podnosząc jeden z nauszników na głowie Rosy. – Jeszcze przed czasami Cosa Nostry!

Ziemia pod nimi zazieleniła się. Krzaki janowca, oleandry i pola kaktusów zmieniły się w rzadkie zalesienie. Pilot dał im znak i zaraz potem zmniejszył wysokość. Helikopter zatoczył szerokie koło nad zboczem porośniętym drzewami oliwnymi.

– To tam! – Wargi Zoe poruszały się bezgłośnie.

Rosa przycisnęła nos do szyby i ujrzała w dole cel ich podróży. Właśnie to, czego szukała. Samotność do woli.

Palazzo Alcantara.

MIĘSOŻERCA

Witamy – powiedziała wysoka kobieta, kiedy siostry dotarły na skraj łąki, a warkot helikoptera zamarł za ich plecami.

Na tle barokowej posiadłości Florinda Alcantara wyglądała jak zjawa z dawnych czasów. Stała w cieniu potężnego kasztanowca, których rosło tu mnóstwo – tworzyły ciemną ścianę na tle sękatych i powyginanych drzew oliwnych.

Florinda była po czterdziestce, a jej uroda zdradzała południowowłoskie pochodzenie. Wysokie, ciemne brwi dodawały surowości, a pełne wargi miały w sobie coś zmysłowego. Upięte wysoko włosy, naturalnie czarne, były pofarbowane na jasny blond, choć u nasady połyskiwały czernią.

Serdeczność jej uścisku była dla Rosy zaskoczeniem. Podobnie jak pocałunek, który złożyła na jej czole.

– Bardzo się cieszymy z twojego przyjazdu – powiedziała, a promiennosc powitania zupełnie zniweczyła pierwsze wrażenie.

Kiedy Florinda była uśmiechnięta, wyglądała na dobroduszną i miłą, lecz kiedy poważniała, w jej spojrzenie wkradała się przygnębiająca ciemność. Wyglądała wtedy tak, jakby dręczyły ją niekoniecznie chwilowe smutki.

W drodze do domu Rosa odwróciła się i spojrzała na helikopter. Rzuciło jej się w oczy, że w wielu miejscach widać było odpryski lakieru. Pilot zajmował się cienką smużką dymu, która wydobywała się z wnętrza silnika w ogonie maszyny. Stał przed nią w rozkroku na trawie i opierając ręce na biodrach, oceniał szkody. Chwilę później usłyszała, jak uderza młotkiem o blachę.

Posiadłość Alcantarów owiewał czar dawnego przepychu. Szeroka fasada rzucała cień na pokryty żwirem plac, w środku

którego wyrastała wielka fontanna. Z ust kamiennych faunów nie wypływała ani kropla wody. Rosa podeszła bliżej i w wyschniętej niecce zobaczyła dziesiątki pustych ptasich gniazd. Ktoś musiał zdjąć je z drzew i tu złożyć.

Kute żelazne balkony stanowiły główny element frontu posiadłości. Ściana pokryta była artystycznymi stiukami. Podjazdu strzegły stojące w niszach posągi z jasnobrązowego tufu wulkanicznego. Większość rzeźb była uszkodzona, prawie wszystkie – pokryte mchem i plamami.

Florinda poprowadziła Rosę i Zoe pod wysokim łukiem przez przednią część budynku. Po przejściu przez wejściowy tunel – wysoki na dziesięć metrów, w którym było zaskakująco chłodno i pachniało spleśniałym tynkiem – przed idącymi otworzył się zalany słońcem dziedziniec wewnętrzny. W jego środku znajdował się wielki trawnik – zaniedbany i pełen chwastów. Główna część *palazzo* była wyższa od trzech pozostałych skrzydeł. Te same sztukaterie, żelazne balkony i rzeźby, co na zewnętrznej fasadzie budynku. Szerokie, kamienne stopnie z potężnymi poręczami prowadziły z obu stron do znajdującego się na pierwszym piętrze wejścia. Jedna część półkolistych drzwi była otwarta.

Florinda zapytała o lot i przesiadkę w Rzymie. I ona uznała całą tę procedurę z bagażem za bezczelność. Rosa mogła jej tylko przyznać rację.

– Twoja siostra opowiadała mi, że jesteś wegetarianką – powiedziała Florinda, kiedy wspinały się po schodach do wejścia. Dwuskrzydłowe drzwi były pokryte łuszczącą się farbą. Pod ich stopami po rozgrzanym kamieniu przemknęła jaszczurka i zniknęła wewnątrz budynku.

– Już od lat.

– Nie przypominam sobie nikogo w tej rodzinie, kto nie

lubiłby mięsa.

– A jednak ktoś tu nie lubi ptaków.

Florinda zamilkła, wspinając się na ostatni stopień. Zoe rzuciła Rosie spojrzenie z ukosa.

– Florindzie przeszkadza ich świergot. Ogrodnicy wiedzą, że mają ściągać z drzew wszystkie gniazda. Co kilka tygodni pali się je w niecce fontanny, uważając, by płomienie nie wymknęły się spod kontroli. Pożary lasu to tutaj wielkie zagrożenie. Nie daj się zwieść zieleni w okolicy. Latem cała wyspa jest nieprawdopodobnie sucha, szczególnie kiedy wieje tu afrykańskie *sirocco*.

– *Sirocco*?

– Gorący wiatr znad pustyni. Często przynosi ze sobą piasek z Sahary. – Uniosła ramiona. – To bardzo szkodliwe dla cery.

– A gniazda?

– Tylko gniazda – uprzedziła ją ciotka. – Nie ptaki. – Na jej twarzy znów pojawił się ujmujący uśmiech. – Nie jestem nieludzka.

Weszły do wysokiej i ciemnej sieni pełnej wyblakłego przepychu. Florinda zostawiła je tam, tłumacząc, że musi zająć się przygotowaniami do kolacji. Najwyraźniej gotowała sama.

– Przed ósmą – wyjaśniła Zoe – na Sycylii nie je się żadnych ciepłych posiłków.

Poprowadziła Rosę po kamiennych, wyłożonych dywanem stopniach, długimi korytarzami do tylnej części domu. Po drodze nie spotkały żywej duszy.

– Sądziłam, że zatrudniają tu ludzi.

– Niewielu – powiedziała Zoe. – Florinda nie lubi obcych w domu. To typowa cecha w tej rodzinie, tacy sami byli nasi dziadkowie i pradziadkowie. Przedpołudniami kilka kobiet ze

wsi za wzgórzem przychodzi tu sprzątać, ale żadna z nich z nami nie mieszka. Obaj ogrodnicy spędzają tu kilka godzin każdego popołudnia, a to ledwo wystarcza, by załatwić najpilniejsze sprawy.

– Na przykład pozbierać ptasie gniazda?

Zoe zmarszczyła brwi.

Pokój Rosy, ku jej zaskoczeniu, okazał się jasnym, słonecznym pomieszczeniem, wystarczająco dużym, by uchodzić za salę. Poza łóżem z baldachimem z pieczołowicie wyrzeźbionymi słupkami oraz antyczną komodą z marmurową toaletką pokój był pusty. Sąsiednie pomieszczenie służyło jako przechodnia garderoba. Ściany sypialni wyłożone były tapetą z tkaniny. Jej kawałek odkleił się tuż obok drzwi, odsłaniając wyblakłe malowidła ścienne.

– Chciałabym go umeblować. – Biorąc duży rozmach, Rosa wrzuciła swoją torbę podróżną do sąsiedniego pokoju. Wylądowała między pustymi regałami i szafami.

Zoe bez przerwy trajkotała. O kucharce, która czasem gotuje sama, ale często tylko pomaga, podczas gdy Florinda osobiście oddaje się przygotowywaniu potraw. O pilocie helikoptera, który mieszka w Piazza Armerina, a w rzeczywistości jest mechanikiem samochodowym. I o strażnikach, którzy na polecenie Florindy przeczesują okoliczne gaje oliwne i lasy piniowe.

– To znaczy, że dziewięćdziesiąt procent pokoi jest pusta, prawda?

– Raczej dziewięćdziesiąt pięć. Tylko nocą wydaje się, że we wszystkich ktoś mieszka. Wszędzie stuka i skrzypi.

– Ponure przebudzenie palacza opium... – szepnęła Rosa. Może powinna była lepiej przyjrzeć się fasadzie, by upewnić się, że nie ma na nich żadnych pęknięć.

– Co takiego?

– Edgar Allan Poe. *Zagłada domu Usherów*. Narrator porównuje uczucie, które go ogarnia, kiedy pierwszy raz widzi posiadłość Usherów, z przebudzeniem opiumisty. Na końcu cały budynek się zawala... To była lektura szkolna, Zoe. Nie znasz jej?

Jej siostra zmarszczyła czoło.

– Nie ma tu żadnych zjaw, jeśli o to pytasz.

– Madeleine Usher nie była zjawą. Wpadła w letarg, jej brat pogrzebał ją żywcem, a potem wydostała się ze swojego sarkofagu. À propos. Gdzie jest krypta rodzinna?

Zoe rzuciła krytyczne spojrzenie na pomalowane na czarno paznokcie Rosy.

– Wciąż tkwisz w tym horrorowym kiczu.

Rosa lekko dotknęła jej ręki.

– Pokażesz mi, gdzie jest grób ojca?

* * *

Granitowa płyta pomiędzy wieloma innymi, wtopiona w ścianę umarłych. Żadnych obrazów, żadnych kwiatów, tylko kamienna szachownica z wyrytym imieniem.

Davide Alcantara. Nie było nawet daty urodzenia i śmierci.

Grobowiec znajdował się w kaplicy sąsiadującej ze wschodnim skrzydłem posiadłości. Były tam drzwi łączące kryptę z domem, ale Rosa i jej siostra wybrały drogę powrotną przez dziedziniec.

Na zewnątrz pachniało janowcem i lawendą. *Palazzo* leżało na wzgórzu, które łagodnie opadało ku wschodowi. Wkoło kasztanowców rozpościerał się las drzewek piniowych, który piał się aż do górskiego grzbietu. Gaje oliwne rosły daleko po

stronie zachodniej, pod tarasem widokowym i nie było ich stąd widać.

Coś ponad kaplicą przykuło wzrok Rosy. Odlany z żelaza zegar wisiał w niszy ponad wejściem. Był stary i pokryty czarnymi strupami, jakby strawił go ogień.

– Tam też ptak uwił sobie gniazdo?

– Florinda nie lubi świergotu ptaków. Ty nie lubisz ludzi. O co ci chodzi?

– Wszyscy lubią śpiew ptaków.

– A ona nie. – Zoe machnęła ręką. – I nie nazwałaby tego śpiewem, uwierz mi.

Rosa raz jeszcze spojrzała w górę na ciężki zegar, a potem na otwarte wejście do krypty.

– Prawie go nie znałam. Ty pewnie pamiętasz go lepiej.

– Myślę, że był w porządku.

– Więc dlaczego ożenił się z mamą?

– Ona nie jest taka zła, jak ci się wydaje.

– Nie było cię przy tym.

Zoe spuściła wzrok.

– Nie, nie było mnie. Przykro mi. – Milczała przez chwilę.
– Mogłam ci pomóc.

Zabrzmiało to, jakby wciąż cieszyła się, że była wtedy daleko.

Rosa chwyciła siostrę za rękę.

– Chodź, pokaż mi, gdzie jesteśmy.

Razem obeszły *palazzo*, kryjąc się w cieniu kasztanów. Pomiedzy drzewami widziały połyskujące okna szklarni, która wystawała niczym wyciągnięty palec z tylnego skrzydła posiadłości. Rosa zauważyła ją wcześniej. Znajdowała się dokładnie pod oknem jej pokoju.

Po zachodniej stronie, na krawędzi gaju oliwnego i dalej

pod wzgórzem nie spotkały ani ogrodników, ani strażników posiadłości. Rosa szła jak zamroczona, na miękkich nogach, ale wiedziała dobrze, że gdyby teraz położyła się spać, nie mogłaby zasnąć.

– Florinda chciałaby, byśmy towarzyszyły jej jutro – powiedziała Zoe.

– Dokąd idziemy?

– Oficjalna sprawa. Polityka rodzinna.

– Idziemy okraść bank?

Pomiędzy brwiami Zoe pojawiła się głęboka bruzda.

– Powiedziałam przecież, że nie mamy z tym nic wspólnego.

– Kasujemy tylko podatki tych, którzy na naszym terenie popełnili przestępstwo, prawda?

– Wiele interesów jest obecnie, no cóż, powiedzmy, że półlegalnych. Wiesz, jak Florinda od lat zarabia na życie? Wiatrakami. Wszędzie w górach, na całej Sycylii jej firmy stawiają wiatraki, wyciągają miliony dotacji z Rzymu i nie produkują ani wata prądu. Większość z nich nie obraca się nawet podczas największej burzy.

Westchnęła, kiedy uświadomiła sobie, że Rosa już jej nie słucha.

– Jutro będzie pogrzeb. Każda rodzina wysyła swojego przedstawiciela. Umarł jeden z najpotężniejszych *capi*. Przez szacunek dla niego wszyscy, nawet jego wrogowie, oddadzą mu cześć. Kodeks honorowy i takie tam...

– Nawet jego wrogowie? – zapytała Rosa. – Czy to my?

– Klany Alcantara i Carnevare od zawsze są wrogami na śmierć i życie. Chwilowo obowiązuje zawieszenie broni, którego nikt nie waży się przerwać.

Rosa stanęła jak wryta.

– To nazwisko.
– Carnevare? Jutro chowają swojego bossa. Barona
Massima Carnevare.
Pod nogami Rosy skrzypnęła nadepnięta trzcina.
Sprawy rodzinne, powiedział.

WROGOŚĆ

Spała aż do późnego popołudnia. Po śniadaniu, które zjadła w jadalni, wybrała się na zwiedzanie posiadłości. Na pierwszym piętrze, gdzie był salon pełen wypłowiałych fresków i zakurzona sala balowa, spotkała jedną ze sprzątaczek, które godzinami usiłowały pozbyć się kilkusetletniego kurzu. Kobieta pozdrowiła ją zdawkowo i zniknęła w innych pomieszczeniach.

Na drugim piętrze na końcu długiego korytarza odkryła gabinet Florindy – szeroką salę z drewnianą boazerią. Nie było tam drzwi, a naprzeciwko zwieńczonego łukiem wejścia stało biurko. Obramowany żeliwną balustradą balkon wychodził na wewnętrzny dziedziniec *palazzo*. Szklane drzwi były otwarte. Na zewnątrz panowała cisza, tylko kilka cykad bzyczało w zdziczałych rabatach.

Na bocznym stoliku dostrzegła komputer. Obejrzała się za siebie. Ponieważ nie znalazła nikogo, kogo mogłaby poprosić o pozwolenie, usiadła przed monitorem. Obudził się, kiedy poruszyła myszką.

Ściągnęła *My Death* ze strony z torrentami na pulpit Florindy i umieściła na swojej tablicy na MySpace. Nie zaglądała tu od roku, więc lista jej znajomych była tak samo martwa, jak nazwiska w krypcie rodzinnego grobowca. Podobnie na Facebooku. Sprawdziła Twittera i pocztę, znalazła kilka wiadomości od osób, z którymi sporadycznie rozmawiała przez Internet – i tylko przez Internet. Nie miała jednak ochoty im odpowiadać, więc od razu zamknęła program. Na koniec przeciągnęła pliki muzyczne do kosza i opróżniła go.

Już chciała wstać od biurka, by wyruszyć na dalsze zwiedzanie *palazzo*, ale coś ją powstrzymało. Ponownie otworzyła swój profil na MySpace i natknęła się na zdanie:

„Chciałabym być tak samo pewna siebie, jak moja siostra”. Poczuli się tak, jakby napisała to zdanie przed setką lat, i zamierzała je skasować razem z innymi bzdurami, które już nie miały z nią nic wspólnego. Potem jednak przyszło jej do głowy, że wymazałaby w ten sposób kogoś, swoje stare „ja”, dawną Rosę sprzed roku i wcześniej.

To dziecinne i głupie, ale nie mogła się zmusić, by wymieść to wszystko, jak z od dawna nieodwiedzanego pokoju. Nie miała zamiaru nigdy więcej otwierać prowadzących do niego drzwi. Jednocześnie było w tym coś fascynującego – Rosa, taka jaka była dawniej, miała dalej istnieć w Internecie, jak gdyby nic się nie zmieniło. Jakby świat nie zatrzymał się na moment i nie ruszył potem w przeciwnym kierunku.

Podczas gdy Scott Walker śpiewał o śmierci, gapiała się w dane obcej sobie osoby, jej zdjęcie, na którym zadała sobie wiele wysiłku, by wyglądać melancholijnie i zagadkowo. Kręcąc głową, zostawiła wszystko, jak było, ponownie zamknęła przeglądarkę. Miała wrażenie, że właśnie odbył się jej internetowy pochówek, pod granitową płytą, w rocznicę śmierci.

Na zewnątrz zaskrzypiały na żwirze opony wjeżdżającego na dziedziniec samochodu. Możliwe, że to Florinda wracała nie wiadomo skąd. Rosa od rana nie widziała jej w *palazzo*.

Wpisała nazwisko zmarłego barona w okno przeglądarki. Massimo Carnevare. Chcąc mieć pewność, dodała nazwę miejscowości, którą wyczytała z paszportu Alessandra. Genuardo.

Dźwięk zamykanych drzwi samochodu. Pospieszne kroki.

Na ekranie pojawiły się niezliczone wyniki, przede wszystkim w powiązaniu z różnymi nazwami firm. Większość z nich brzmiała przyzwoicie i nudno. Przedsiębiorstwa budowlane, import maszyn rolniczych, a nawet fundacja, która

wspierała skrzywdzone dzieci z blokowisk w Palermo i Katanii. Pomiedzy nimi także meldunki prasowe o rozprawach sądowych, aferach finansowych przy budowie budynków rządowych i domniemanych kontaktach z północnoafrykańskimi baronami narkotykowymi. Gdyby wpisała w wyszukiwarkę dane Florindy, prawdopodobnie pojawiłyby się te same tagi. Może dodatkowo wiecznie nieczynne wiatraki.

Wymazała imię Massimo i zastąpiła je Alessandro.

Szybki rzut okiem w stronę wejścia, przez liczne pomieszczenia aż do przeciwległego skrzydła budynku. Nikogo.

Enter.

Przed rokiem Alessandro był członkiem drużyny lekkoatletycznej w amerykańskiej prywatnej szkole w Hudson Valley. Później uczestniczył w forum poświęconym sprawom gospodarczym dla początkujących prawników. W myślach widziała go w szarym garniturze z laptopem na mównicy, jak opowiada innym siedemnastolatkom o swojej fascynacji sfalszowanymi bilansami.

Prawie straciła zainteresowanie, kiedy na dziesiątym czy jedenastym miejscu znalazła informację o gali charytatywnej w Mailand. Artykuł ścigał się niewyobrażalnie wolno, szybkość sycylijskich łącz pozostawiała wiele do życzenia. Najpierw pojawił się tekst, a potem jedno po drugim zdjęcia.

Widniał na nich uśmiechnięty Alessandro. Miał tak samo zmierzwione włosy, jak wtedy, w samolocie. Wyglądał olśniewająco, nieoczekiwanie elegancko w ciemnym garniturze. Nawet flesz lampy błyskowej nie mógł mu bardzo zaszkodzić. Na podbródku widniała plamka krwi – prawdopodobnie ślad po goleniu. Na szczęście w Internecie nie było żadnych zdjęć chudych piszczeli Rosy.

Obok niego stał mężczyzna koło pięćdziesiątki, z wysokim

czołem, czarnymi włosami, ciemnobrązowymi brwiami i sztucznym grymasem polityka.

„Baron Massimo Carnevare z synem Alessandrem” – głosił napis pod zdjęciem.

* * *

Wymykając się z *palazzo*, nie spotkała po drodze żywej duszy. Minęła cienisty krąg kasztanów i dotarła do krawędzi oliwnego gąszczu. Miała na sobie krótką czarną spódniczkę, czarny T-shirt z napisem „Świat jest pełen lepszych kłamców” i buty z metalowymi czubkami. Rano zmyła z paznokci resztki lakieru.

Siedząc w gabinecie Florindy, kliknęła na jeszcze jeden artykuł, do którego doprowadziło ją nazwisko Alessandra. Chodziło w nim raczej o jego ojca i jego interesy. Nie zdążyła przeczytać więcej niż pierwsze zdanie, kiedy ogarnęły ją wątpliwości, czy powinna buszować po komputerze ciotki.

„Tylko w latach osiemdziesiątych XX wieku w porachunkach mafijnych w południowych Włoszech zginęło dziesięć tysięcy osób – trzy razy więcej niż przez dwadzieścia pięć lat trwania północnoirlandzkiej wojny domowej.”

Nie wiedziała, ilu z tych ludzi padło ofiarą klanu Carnevare i Alcantara. Miała dziś stanąć twarzą w twarz z wieloma mężczyznami i kobietami, którzy byli odpowiedzialni za masakrę Cosa Nostry. Tych, którzy już wtedy podejmowali decyzje i wydawali rozkazy. Poczowała łaskotanie w żołądku. Miała wrażenie, że zaproszono ją na światowy kongres seryjnych morderców.

Boże, co ja na siebie włożę?

Uśmiechnęła się do siebie. Zoe prawdopodobnie zadaje

sobie to pytanie już od tygodni.

Tak rozmyślając, zabrnęła głęboko w oliwny gąszcz i zadumana kluczyła pomiędzy wykreconymi dziwacznie pniami drzew. Ludzie Florindy musieli krążyć gdzieś w pobliżu. Posiadłość z pewnością była przez cały czas strzeżona. Rosa nie spotkała jednak nikogo po drodze i była z tego powodu zadowolona.

Alessandro Carnevare zaproponował jej na lotnisku, że odwiezie ją do *palazzo*. Powiedział, że jadą w tym samym kierunku. Bzdura. Wieś Genuardo, gdzie mieściła się siedziba klanu Carnevare, znajdowała się o godzinę drogi stąd. To już wiedziała. Czyżby Alessandro chciał wykorzystać ją jako pretekst, by niespodziewanie wtargnąć do samego serca wrogiego klanu i później chwalić się tym przed synami innych bossów, tak zwanych *capi*? Nie ufała mu.

I właśnie tu był problem – nie ufała także sobie. Nauczyła się tego rok temu, a teraz musiała sobie z tym poradzić. Dużo łatwiej było przenieść ten brak zaufania na kogoś innego, niż spojrzeć w lustro, wytrzymać pełne wyrzutów spojrzenie wyrazistych, jakby pociągniętych kajalem oczu i powiedzieć: „To ty. To ty jesteś problemem”.

Na prawo od niej coś się poruszyło.

Stała jak wryta i zaczęła badawczo lustrować otaczającą ją kratownicę słońca i cienia. Szum przeszedł przez gałęzie drzew. Zza kępy kaktusów figowych dobiegł ją pomruk.

Chociaż wyteżęła wzrok, nie udało jej się niczego dostrzec. Wkoło tylko światło i cień w ostrych kontrastach, jakby wprost z kolorowej telewizji przypadkiem znalazła się w czarno-białym programie.

I znów pomruk. To nie był wiatr.

Z pasiastego wzoru światłocienia wyłonił się tygrys.

BESTIARIUM

Ruchy tygrysa były tak szybkie, że w sekundę stanął przed nią z uniesioną czarno-żółtą głową i lekko otwartym pyskiem. Spojrzał jej prosto w oczy.

Wszystko znieruchomiało. Świat skamieniał. Uczucia i myśli Rosy straciły znaczenie. Ta bestia zawładnęła jej umysłem i zmysłami. Tylko ona i tygrys. Nic poza tym.

Jego łapy miały wielkość jej głowy. Muskularne tylne kończyny były szersze od jej tułowia. Kły połyskiwały śliną, która zbierała się na czarnych dziąsłach. Roztaczał zapach męskiej szatni po meczu piłki nożnej.

Coś ewidentnie było nie tak. Niewiele wiedziała o Europie i o reszcie świata, ale ten widok zdecydowanie tu nie pasował. Dzikie psy, owszem, udomowione koty. Ale nie tygrysy.

Przez ciało tygrysa przeszedł dreszcz. Złożył się do skoku.

Powróciły zawroty głowy, jeszcze silniejsze niż te, które miała zaraz po przyjeździe. Tym razem nie było jednak rozżarzonej karoserii, z którą mogłaby powiązać odczuwany ból. To sen, pomyślała. To nie dzieje się naprawdę.

Zachwiała się, niemal upadła. Dobiegł ją czyjś głos. Głos Zoe. Nie wiadomo skąd. Wołała Rosę po imieniu.

Jestem tutaj, pomyślała.

Ja i ten tygrys.

Ale chwilę potem, kiedy znów wyostrzył jej się wzrok, była sama i wszystko zniknęło. Kilka listków oliwnych chwiała się na dolnych gałęziach drzewa. Jeden z nich miękko opadł na jej dłoń. Niemał nie poczuła jego dotyku.

– Rosa?

Odwróciła się, wciąż próbując złapać równowagę.

– Wszędzie cię szukam – powiedziała jej siostra. – Co ty tu

robisz?

Ani słowa, pomyślała Rosa. Ani słowa o tygrysie. W przeciwnym razie zaczną myśleć, że jesteś jeszcze bardziej walnięta, niż wszyscy mówią, i natychmiast wyślą cię do domu.

– Rosa, do jasnej cholery, nie pójdziesz chyba na pogrzeb w T-shircie?

* * *

Czarne limuzyny tłoczyły się na wąskiej górskiej drodze. Luksusowe samochody z lustrzanymi szybami w żółtym tempie pięły się po serpentynach tak wolno, jakby były częścią jakiejś straszliwej inscenizacji.

Rosa wyglądała przez boczną szybę i obserwowała, jak niekończący się rząd samochodów przepływa przez brązowy grzbiet górski. Połyskujące kontury na tle głębokiego błękitu nieba.

– Przyjechali ludzie z całej wyspy – powiedziała Zoe. Siedziała obok Florindy z tyłu przestronnej limuzyny. Rosa miała do dyspozycji całe siedzenie naprzeciwko nich.

– Dlaczego nie przylecieli helikopterami?

– Nie nauczyłaś się taktu przy swojej matce – powiedziała ich ciotka.

– Tego mam się nauczyć od ciebie i twoich przyjaciół.

Florinda i Zoe spojrzały na Rosę wzrokiem modliszek zza swoich wielkich okularów przeciwsłonecznych. Jeszcze silniej niż wcześniej poczuła się jak obca, która tylko przez przypadek trafiła do tego samochodu, w ten dziki, archaiczny krajobraz. Trudno było nie zauważyć, jak blisko są ze sobą związane. Chociaż Zoe wyglądem bardzo przypominała matkę, Florinda i ona, ubrane na czarno, w identycznych okularach

przeciwsłonecznych, wyglądały jak siostry bliźniaczki.

Rosa widziała w szybach swoje poczwórne odbicie. Jej długie włosy były zbyt odporne, by móc je okiełznać za pomocą szczotki. Związała je apaszką na karku, by Zoe dała jej spokój z dalszymi wykładami na temat stosownego ubioru i skromnego wyglądu. Skromność – dwa lata temu uznalaby to słowo za niewyobrażalne w ustach swojej siostry.

Kierowca, jeden z mężczyzn ze wsi, którzy od pokoleń pracowali dla klanu Alcantara, pokonał limuzyną kolejny zakręt. Genuardo i *castello* Carnevare z pewnością nie leżały daleko stąd, ale żadnego z nich nie mogła dostrzec. Przypuszczała, że znajdują się za jednym z tych nagich, wypalonych słońcem wzgórz. Nie rosło tu nic poza wyschniętą, grubą trawą. Tu i ówdzie żuła ją jakaś krowa, spoglądając ze zdziwieniem na przejeżdżającą obok kolumnę samochodów.

W chmurze pyłu dojechali na szczyt wzgórza. Rosa przesunęła się na przeciwną stronę swojego siedzenia i zobaczyła cmentarz. Był otoczony trzymetrowym murem, który nadawał mu wygląd kanciastej, masywnej twierdzy na szczycie wzgórza, białej i wyblakłożółtej, niczym krajobraz, który przemierzali godzinę wcześniej. Zza korony muru wystawały szpiczaste dachy licznych grobowców rodzinnych, tworząc las kamiennych krzyży i figur. W południowych Włoszech, zamożne rodziny stawiały swoim zmarłym wystawne kaplice jako miejsca ostatecznego spoczynku. Na cmentarzach piętrzyły się więc bogato zdobione budynki.

Ciepły wiatr ugiął wierzchołki cyprysów z boku cmentarnego muru. Było to zaskakująco duże *cimiterio* jak na wiejską okolicę, w której leżało Genuardo.

Dziesięć tysięcy trupów przez dziesięć lat, przypomniawszy sobie Rosa. Na Sycylii musiało być sporo takich dużych

cmentarzy.

Łańcuch samochodów przesuwiał się dalej. Spojrzenie Rosy prześlizgnęło się po pokrytym skruszałym tynkiem murze. Tu i ówdzie widniały otwory, zamknięte drzwi z kraty, przez które mogła zajrzeć na alejki pomiędzy grobami. Niektóre z prostych nagrobków były jaskrawo przybrane, obwieszane zabawkami, wypłowiałymi od słońca lalkami i zniszczonymi maskotkami. Poza cyprysami nie rosły tu inne drzewa. Słońce wysysało wszystkie kolory z murów i z krajobrazu.

– Popatrz tam – powiedziała Zoe.

Przed jednym z grobów, naprzeciwko zakratowanego wejścia, stała zgięta postać, od stóp do głów ubrana w czerń, typową dla prostych wiejskich kobiet.

Drżąc, ujęła obiema rękami młot kowalski, uniosła go i pozwoliła mu opaść na kamień nagrobny. Jeden z narożników nagrobka był już odrąbany, ale kobieta najwyraźniej nie zamierzała na tym poprzestać. Nie podnosząc wzroku, uderzała raz za razem w płytę grobu, podczas gdy samochód powoli przemieszczał się za cmentarnym murem, wznosząc tabuny kurzu.

Florinda nachyliła się, by wyjrzeć przez okno.

– Znam tę kobietę – powiedziała.

Rosa z ociąganiem oderwała wzrok od dziwnej postaci i spojrzała na ciotkę.

– Jej syn był zdrajcą, *pentito*, zeznawał jako świadek koronny przeciwko klanom. – Głos Florindy brzmiał beznamiętnie. – Nie posłuchał rady sędziów. Zamiast zniknąć za granicą pod nowym nazwiskiem, wrócił, by odwiedzić swoją matkę. *Soldati* jego klanu dopadli go w porcie w Mesynie. Matka przez tydzień codziennie dostawała paczkę z inną częścią jego ciała.

Rosa spojrzała w kłęby opadającego kurzu. Stara kobieta oparła się na trzonku młota. Po chwili uniosła go i trzęsąc się, uderzyła ponownie.

– Błaga o życie – wyjaśniła Florinda. – Chce zademonstrować, że się go wyrzekła i potępiła jego zdradę.

Rosa opuszkami palców dotknęła szyby.

– Przecież naraził życie, żeby się z nią zobaczyć.

– Najwyraźniej ona ma więcej rozumu niż jej syn.

Minęli zasłonięte kratą wejście na cmentarz. Obok nich znów ciągnął się wysoki mur.

– Czy to będzie miało jakieś znaczenie?

Florinda obojętnie wzruszyła ramionami.

– Ktoś w swojej łaskawości przyjmie do wiadomości jej gest.

* * *

Na cmentarzu powitano je z otwartą wrogością. Kobiety i mężczyźni w drogich ubraniach, którzy ustawili się w długiej kolejce przed głównym portalem rodzinnego grobowca klanu Carnevare, wciąż rzucali ponure spojrzenia trzem kobietom z klanu Alcantara.

Florinda zostawiła swoją straż przyboczną, która przyjechała z nimi drugim samochodem, przed bramą cmentarza. Tak samo postąpiły głowy dziesiątek rodzin. Z szacunku dla zmarłego klany powstrzymywały się od demonstracji siły i otwartych pogroźek. Mimo to wiele osób nie kryło wzajemnej niechęci.

Rosa zdawała się jej nie zauważać. Wciąż czuła się bardziej jak obserwatorka na polu bitwy, jakby to wszystko jej nie dotyczyło. Próbowwała sobie to wmówić. A przecież w tym

samym momencie, w którym pojawiła się na cmentarzu w towarzystwie Florindy i Zoe, nie było już wątpliwości, po której stoi stronie. Każde przepełnione nienawiścią spojrzenie, które uderzało w rodzinę Alcantara, dotyczyło jej w takim samym stopniu, jak Florindy i Zoe.

– Nie przejmuj się – szepnęła jej ciotka. – Nikt tu nie zaryzykuje złamania konkordatu.

– Czego?

– Starej umowy o zawieszeniu broni – wyjaśniła Zoe. – Nikt nie lubi klanu Alcantara, ale też nikt nie odważy się przeciwko nam wystąpić.

– Skoro jest taka umowa – zapytała Rosa – kto pilnuje, by nie została złamana?

Nie otrzymała odpowiedzi, ponieważ wyrosła przed nimi pełna przepychu kaplica cmentarna klanu Carnevare. Musiała być jednym z najstarszych budynków na cmentarzu. Przewyższała pozostałe, wykonana była nie z marmuru, jak kilka innych nowoczesnych grobowców, ale z brązowego tufu wulkanicznego, z którego zbudowano barokowe sycylijskie pałace. Od stóp wejścia aż do masywnego szczytu dachu rozciągał się portal z twarzami i rzeźbionymi figurami zwierząt.

Alessandro Carnevare stał pod portalem i przyjmował kolejne kondolencje. Czarny garnitur leżał na nim idealnie. Włosom, wciąż zmierzwionym, wyraźnie niewiele pomogła próba przyczesania. Inaczej niż jego starannie ufryzowanym krewnym.

Na ostatnich dwudziestu metrach przed kaplicą poruszały się bardzo wolno. Tłum gęstniał. Ciemne, zamknięte oblicza. Tu i ówdzie wrogie spojrzenia podążały w ich kierunku. Eleganckie towarzystwo, ale i kilka siermiężnych twarzy, które zupełnie nie pasowały do drogich, designerskich stylizacji.

Alessandro ścisnął wszystkim dłonie, często oburącz, jakby uczestniczył w rytuale braterstwa, nie współczucia.

– Baron miał duże poważanie – wyszeptała Zoe tak cicho, że Rosa niemal nie zrozumiała jej słów. – To jego syn, Alessandro Carnevare.

Rosa kiwnęła głową, jakby widziała go pierwszy raz w życiu.

Zoe nachyliła się do jej ucha.

– Za kilka tygodni ma zostać następcą swojego ojca. O ile do tego czasu nic mu się nie przytrafi.

– Ach tak? – Zacisnęła dłoń w pięść.

– Ten mężczyzna obok niego. – Zoe prawie niezauważalnie wskazała przed siebie. – Cesare Carnevare. Kuzyn zmarłego barona i jego wieloletni *consigliere*, doradca. Ma prowadzić interesy do czasu, kiedy Alessandro osiągnie pełnoletność.

Rosa lekko zmrużyła oczy, by lepiej przyjrzeć się mężczyźnie. Gorące popołudniowe słońce rozmigotało scenerię. W powietrzu unosił się silny zapach cyprysów i stęchłego kamienia nagrobnego.

Cesare Carnevare był wysoki i całkiem atrakcyjny – najwyraźniej dotyczyło to całej jego rodziny. Dawała mu pięćdziesiątkę, choć bez przekonania. Alessandro w garniturze też wyglądał dużo dojrzałej. Cesare miał mocną sylwetkę, szerokie ramiona i wielkie dłonie, co szczególnie rzucało się w oczy, kiedy odbierał kondolencje od przesuwającego się rzędu żałobników. Ogromnymi palcami mógł całkowicie objąć każdą z dłoni.

Rosa rzuciła Zoe szybkie spojrzenie.

– Skoro wszyscy wiedzą, że będzie próbował sprzątnąć Alessandra...

– Cisza! – fuknęła Florinda.

Były już w zasięgu słuchu członków rodziny stojących pod kaplicą.

Obok Cesare stał drugi młody mężczyzna, niewiele starszy od Alessandra, atletyczny i opalony na brązowo, z blond pasemkami na ciemnych włosach. Na nosie miał okulary bez oprawek. Rosa zdziwiła się, że wcześniej nie zwróciła na niego uwagi. Patrzył na nią. Możliwe, że już od dłuższego czasu. Tak otwarcie i bez zażenowania, że coś w jej wnętrzu zamarzło na kamień. Poluzowała pięści – by nie zraniła się sama, gdyby musiała się bronić.

– Tano – szepnęła Zoe. – Syn Cesare.

Florinda ustawiła się przed nimi. Bez wahania, z kamienną twarzą, wyciągała dłoń do trzech mężczyzn. Ani Cesare Carnevare, ani żaden z dwóch chłopców nie zdradził swoich myśli. Wymieniono powściągliwe, pełne szacunku gesty grzeczności. Delikatne palce Florindy na krótki moment zniknęły w uchwycie Cesare.

Następna była Zoe. Udało jej się wysłać przelotny uśmiech w stronę Alessandra i Tana, ale nie odważyła się spojrzeć w oczy Cesare. Rosa uznała, że jej siostra za bardzo zdradza się ze swoim dyskomfortem. Sama chciała to zrobić dużo lepiej.

Zniosła bez wysiłku spojrzenie Tana znad okularów. Uścisnęła jego dłoń. Wypowiedziała grzeczne wyrazy współczucia. Żadnego drgania powieki, żadnego cofania się. Nie musiała się wewnętrznie nastawiać. Agresja była jej mocną stroną, więc wyzwanie we wzroku Tana Carnevare tylko dodało jej pewności siebie.

No chodź, jeśli masz odwagę, mówił jej uścisk. Z błysków zaskoczenia w jego oczach dowiedziała się, że zrozumiał przekaz.

Zwróciła się do Cesare, ojca Tana i szwagra zmarłego. Był

innego kalibru i już z daleka nie pozostawiał co do tego wątpliwości. Stojąc blisko, wszystkimi zmysłami wyczuwała zagrożenie, które płynęło od *consigliere* barona. Odwzajemniając jego zimne, wyrachowane spojrzenie, zobaczyła swoją ciotkę w zupełnie nowym świetle i była mu za to wdzięczna – Florinda musiała być niewiarygodnie zdeterminowaną kobietą, by przez całe życie móc przeciwstawiać się takim wrogom i nie ustępować im ani na krok.

– Ty musisz być Rosa – powiedział Cesare Carnevale.

Skąd znał jej imię?

– Witamy w domu. – Jego głos był głęboki i przyjemny, zupełnie inny niż się spodziewała.

Kiwnęła głową w jego stronę i podążyła dalej.

Stała przed Alessandrem.

Wyciągnęła do niego rękę i natychmiast chwyciła się własnej, bo jednocześnie spojrzała w jego oczy, w tę niezbadaną zieleń głębi morskiej, która tu, na zalanym słońcem cmentarzu, pomiędzy ubranymi w czerń żałobnikami wydała się jej jeszcze bardziej żywotna. Mimo to ich dłonie odnalazły się po tym krótkim, niemal zakłopotanym spojrzeniu, którego, miejmy nadzieję, nie zauważył nikt poza nimi.

– Bardzo mi przykro – powiedziała.

Przygryzła dolną wargę i chciała pójść dalej, kiedy Alessandro uśmiechnął się do niej nad grobem swojego ojca.

– Miałem nadzieję, że przyjdiesz – powiedział cicho.

KSIĘGA NIEWOLNIKÓW

We dwoje spacerowali pomiędzy grobami, z dala od innych żałobników. Po złożeniu wyrazów współczucia większość z nich podążyła w stronę bramy cmentarnej. Tam, w cieniu wysokiego kamiennego krzyża, rozstawiono bufet. Ubrani w liberie kelnerzy roznosili na błyszczących tacach kieliszki z szampanem. Proboszcz, który prowadził żałobną procesję, stał w towarzystwie bossów klanów i z lubością oddawał się konwersacji.

Liczne spojrzenia podążały za Rosą i Alessandrem, którzy coraz bardziej oddalali się od gości, raz po raz znikając pomiędzy płytami nagrobnymi. Florinda nie spuszczała dziewczyny z oka, także Cesare spoglądał na nich co chwilę. Zoe stała samotnie z kieliszkiem szampana w ręku w cieniu bramy i ukrywała wzrok za ciemnymi okularami.

– Zedrą sobie na nas języki – powiedział Alessandro. – Powiniennem być cię ostrzec.

– Zostaw ich w spokoju.

– Nie obchodzi cię to?

– A powinno? – Sama zadała sobie to pytanie, potrząsając głową. – O wiele za mało wiem o życiu tutaj, by poważnie zawracać sobie tym głowę. Nie znam żadnej z tych osób. Mogą o mnie myśleć, co im się żywnie podoba.

I to była prawda. Inni zwyczajnie jej nie interesowali. Tylko przed nim zachowywała czujność. Jednocześnie jednak ekscytował ją powiew ryzyka, który towarzyszył temu spotkaniu. W zeszłym roku w Nowym Jorku kazano jej chodzić do terapeutki. Ta wbiła jej do głowy, że żyje w ciągłym oczekiwaniu na niebezpieczeństwo. Chcąc wyeliminować to, co niespodziewane, i nie stracić kontroli, Rosa sama doprowadzała

do stanów zagrożenia. Nadmierna agresja. Kradzież przedmiotów, które nie miały dla niej żadnego znaczenia. A teraz, jako ukoronowanie jej kariery ryzykantki, ten spacer po cmentarzu z Alessandrem Carnevare, na oczach wszystkich wrogich przywódców mafii z tej wyspy.

– Na lotnisku – zaczął Alessandro – powiedziałem coś nie tak. Coś, co cię rozwścieczyło.

– Wcale nie byłam wściekła, a ty nie powiedziałeś nic nie tak.

– Ależ tak, powiedziałem. I bardzo chciałbym się dowiedzieć, co to było, by nie popełnić jeszcze raz tego samego błędu.

– Przecież powiedziałam, że nic się nie stało. – Była naprawdę dobra w zduszaniu obiecujących rozmów w zarodku.

Alessandro nie poddawał się.

– Przynajmniej wiesz już, dlaczego tu przyleciałem. A ty?

– Wakacje – skłamała.

– Twoja siostra mieszka tutaj od dwóch lat. A jak długo potrwają twoje wakacje?

– Czy to jakieś przesłuchanie?

– Czysta ciekawość.

– Dlatego chciałeś ze mną porozmawiać?

Westchnął cicho i skręcił z głównej drogi w wąską uliczkę pomiędzy ścianami marmurowych grobowców. Pięć, sześć długich rzędów z kamiennych prostokątów, na nich obramowane czarno-białe zdjęcia zmarłych, ich nazwiska, daty urodzin i śmierci. Do niektórych przymocowane były kwiaty i ozdoby.

– W zasadzie to chciałbym ci coś dać – powiedział, kiedy za kolejną marmurową tablicą zniknęli z oczu pozostałych żałobników. – To prezent. A potem zaproszenie.

– Dla mnie?

– Najpierw prezent. – Wyciągnął coś z kieszeni marynarki.

– Och – zareagowała bez jakiegokolwiek entuzjazmu. –

Baby-książka.

Była maleńka, mniejsza od pudełka papierosów, w skórzanej oprawie, z pożółkłymi krawędziami kartek.

– Ma przynajmniej tę zaletę, że przez całe życie pozostaje śliczna – powiedział. – I nie wrzeszczy.

– I pachnie lepiej, mam nadzieję.

Otworzył książeczkę i przycisnął nos do jej stron.

– Nie tak dobrze, jak świeżo wydrukowana, ale można wytrzymać. – Jej pierwsza reakcja najwyraźniej go nie zniechęciła. – Dał mi ją ojciec, zanim wysłał mnie do internatu w Ameryce.

Powstrzymała się od komentarza, cały czas go obserwując. Jego spojrzenie prześlizgiwało się po niezliczonych twarzach na płytach nagrobnych. Niektóre z nich były stare i dziwnie nieostre, niczym oblicza zjaw. Wiele z kwiatów leżących na grobach dawno już uschło.

– Tak szybko więdną – powiedziała.

– Uwierz mi – odpowiedział cicho, wskazując na swój rodzinny grobowiec. – Na jego grobie zmarnieją nawet bez słońca.

Wyciągnęła książkę z jego dłoni.

– Pokaż mi ją.

Jego uśmiech powrócił, przewędrował z kącików ust do zielonych oczu, co na chwilę oderwało uwagę Rosy od leżącego w jej dłoni skózanego tomiku. Chwilę później jednak przyjrzała się jej dokładniej. Okładka nie była opisana, a skóra na niej nosiła ślady zadrapań. Na pierwszej stronie widniał wytłoczony złotymi literami tytuł: *Bajki Ezopa*.

Spojrzała na niego pytająco, a on znów się uśmiechnął. Kiedy uświadomiła sobie, że Alessandro odwzajemnia uśmiech, niezwłocznie wyhamowała z nastrojem. Standardowa mieszanka arogancji i złego humoru. Miała w zanadrzu cały wachlarz takich humorów, ale ten sprawiał, że każdy brał nogi za pas. Może poza kontrolerami w metrze.

I poza Alessandrem Carnevare.

– Znasz Ezopa?

– Brzmi jak nazwa przewoźnika samolotowego.

– Był greckim niewolnikiem, żył sześćset lat przed Chrystusem. Zbierał historie o zwierzętach. A właściwie o ludziach i ich cechach, głównie tych złych, które przypisywał różnym zwierzętom.

– Coś jak wilk i zając?

– Mniej więcej. Ta historia akurat nie jest z Ezopa. – Jego uśmiech wydał jej się trochę zarozumiały, ale najwyraźniej nie umiał tego powstrzymać. – Sam ich nie spisał, zrobił to za niego ktoś inny, kilkaset lat po jego śmierci. Historie, które dzisiaj znamy jako bajki Ezopa, tylko w niewielkiej części są jego autorstwa. – Jego ramiona drgnęły, ale wzrok pozostał ostry i przenikliwy. – Bardzo je lubiłem, kiedy byłem dzieckiem.

– A teraz dajesz je mnie? – Nie chciała, by zabrzmiało to sarkastycznie, ale inaczej się nie dało. – Jak słodko.

Otworzyła książkę w połowie i czubkiem nosa dotknęła spojenia kartek. Pachniało rzeczywiście dobrze, obco i niecodziennie. W jej domu było dużo kieszonkowych książek, ale żadnej tak cennej. Zapach tomiku pokierował jej myślami do biblioteki w *palazzo*, do której zajrzała tego samego ranka. A jednak ta książka pachniała trochę inaczej. To nie była woń stęchlizny. Jak gdyby przez wiele lat często otwierano ją, kartkowano i czytano.

I wtedy zrozumiała, że ta książeczka wciąż coś dla niego znaczy. Tym bardziej zagadkowe było, dlaczego zdecydował się podarować ją właśnie jej.

Bajki Ezopa. Historie o zwierzętach z ludzkimi cechami. Obserwował ją.

– Dziękuję – powiedziała, zamykając książkę. – Lubie książki. Nie mam ich wielu.

– *Baby*-dziecko, powiedziałaś. – W jego oczach zagrały ogniki. – Jeśli wpuścisz do domu jedną, za chwilę pojawią się kolejne.

Zmierzyła go spojrzeniem zmrużonych oczu, z zainteresowaniem i pewną dozą irytacji.

– To nie wszystko – orzekła. – Prawda?

– Tak jak powiedziałem... mam dla ciebie zaproszenie. Przez wiele lat przyjeżdżałem na Sycylię tylko na wakacje, w zasadzie jestem tu tak samo nowy jak ty.

– I twoim zdaniem właśnie dlatego się zaprzyjaźnimy – powiedziała to szybko, twardo i zimno. Zauważyła, że dotknął go ton jej głosu.

Mimo to bardzo się starał nie dać po sobie nic poznać.

– Jutro płyniemy na Isole Lunę. Ta wyspa to w zasadzie kawał skały wulkanicznej z kilkoma domami i przystanią na północnym wybrzeżu. – Jego ramiona drgnęły, kiedy dodawał wyjaśniającym tonem: – Wyspa należy do mojej rodziny. Tino zebrał grupę swoich koleżanek i kumpli, ale uwierz mi, to nie są moi znajomi.

– Pytasz mnie, czy popłynę z tobą i z twoim – wybacz – średnio sympatycznym kuzynem...

– Dalekim kuzynem.

– ...i z całą ekipą totalnie obcych, z pewnością nie moich znajomych, na opuszczonej wyspę?

– Nie zapominaj o pazersko luksusowym jachcie, który ma nas tam zabrać. To jedna z zabawek mojego ojca. – Odgarnął sobie z czoła kosmyk niesfornych włosów, który natychmiast opadł w to samo miejsce. – A na koniec masz moją gwarancję, że kilka osób z tej ekipy po pierwszych dziesięciu minutach zacznie się zachowywać całkowicie niestosownie, przypuszczalnie skonsumuje jedną lub dwie zakazane substancje i wcześniej czy później zacznie wymiotować na pokład.

Przechyliła głowę, spojrzała na niego uważnie, potem przeniosła wzrok na Florindę, która zmieniła pozycję i przesunęła okulary z oczu na czubek głowy, by sokolim wzrokiem wypatrywać pary spacerującej między nagrobkami.

– Musiałabyś wymknąć się z domu. – Podążył za jej wzrokiem. – Jeśli chcesz, Fundling jutro po ciebie przyjedzie.

* * *

Wieczorny zmierzch wydłużył garbate cienie drzew. Podczas gdy szczyty wzgórz oświetlały jeszcze ostatnie tego dnia promienie słońca złotą cukrową polewą na czubkach krzewów piniowych, nocne cienie od dawna zagarniały już dziedziniec *palazzo* i ciche plantacje oliwne.

Rosa siedziała z podciągniętymi kolanami w otwartym oknie swojego pokoju i wyglądała na zewnątrz. Dwa piętra niżej znajdował się szklany dach palmiarni. Szyby były zarośnięte od wewnątrz, tylko rozproszony blask lampy przebijał się przez płataninę liści i gałęzi. Na Sycylii palmy rosły także w naturze. Co Florinda hodowała tam w dole? Może orchidee?

Jeszcze w samochodzie, podczas podróży powrotnej, Florinda próbowała wypytać Rosę o jej rozmowę z Alessandrem. Rosa opowiedziała, jak spotkała go na lotnisku, że

ją rozpoznał i że najwyraźniej zamierzał się z nią zaprzyjaźnić, nie zważając na dawne zatargi rodzinne. Wiedziała doskonale, jak to zabrzmiało, i bardzo bawiło ją śledzenie dokładnie przewidzianej reakcji obu kobiet. Florinda węszyła tu spisek swojego zacieklego wroga Cesare, podczas gdy Zoe przybrała pozę starszej siostry i z góry przestrzegała ją przed złym wpływem Alessandra. Całość bardziej Rosę usypiała, niż denerwowała. Zrzuciła to na zmianę czasu, z którą nie zdołała się jeszcze uporać. Podczas gdy one coraz bardziej się wściekały, ona zwyczajnie odpływała. Większość podróży po prostu przespala.

Ani słowem nie wspomniała o wyspie.

Zamiast tego poczekała, aż Florinda pójdzie się kąpać, i znów wślizgnęła się do jej pracowni. Włączyła komputer z zamiarem zgromadzenia informacji o Isoli Lunie i przeczytania jednego czy dwóch artykułów, na które następnego dnia mogło nie starczyć jej czasu. Postanowiła również wygooglować nazwisko Tano Carnevare.

Jednak na ekranie pojawiło się nowe okienko, które żądało hasła dostępu. Florinda musiała się zorientować, że Rosa rano korzystała z komputera, i podjęła wszelkie środki, by nie doszło do tego kolejny raz bez jej zgody. Wściekła Rosa wyłączyła komputer, z całego serca życząc mu wirusów na dysku twardym, i wymknęła się na taras widokowy po zachodniej stronie *palazzo*.

Okrażyła basen, wyłowiła z wody miotającą się ćmę i weszła na podwyższenie z basenem z hydromasażem. Roztaczał się stąd widok na całe zbocze, korony drzew i oświetlony dojazd do posiadłości, który ciągnął się od drogi numer 117 przez las piniowy i gaje oliwne na długości dwóch kilometrów. Panorama rozciągała się również dalej, na żółto-brązowe wzgórza na

zachodzie i północy. Na horyzoncie połyskiwały odległe światła dalekiego miasta.

Rosa oparła się o poręcz, wsłuchiwała w grę wieczornego wiatru w koronach drzew i pogrążyła się w myślach. Dopiero po chwili zorientowała się, że trzyma w dłoni *Bajki Ezopa* i nieświadomie je kartkuje, nucąc przy tym *My Death*.

Ostatecznie wróciła do swojego pokoju i schowała książkę do szuflady stolika nocnego. Być może przeczyta choć fragment przed zaśnięciem.

Na cmentarzu wymienili się numerami telefonów. Jego był pierwszym, który zapisała w kiczowatej złotej komórce. Stara karta SIM nie pasowała do niej, więc na liście kontaktów panowała taka sama pustka jak w jej iPodzie. Alessandro i zagadkowa piosenka zastąpiły dotychczasowe osie jej życia, ale dziwnym trafem nie czuła, by była to zmiana na gorsze.

Kiedy chciała zamknąć okno, zauważyła, że na zewnątrz, między drzewami po wschodniej stronie, coś się poruszyło. Ktoś przemykał w cieniu kasztanów i zbliżał się do pałacu.

Chwilę później zobaczyła, że była to Zoe. Nie miała już na sobie czarnego kostiumu z popołudnia, ale dzinsy i T-shirt. Jasne włosy związała w koński ogon. Wyglądała stąd prawie jak dawna Zoe, dużo naturalniej niż na lotnisku i na pogrzebie.

Być może wracała ze spaceru. Czy jednak miała coś do ukrycia? To pewnie kochanek, pomyślała rozbawiona Rosa. Ktoś, kto nie spodobałby się Florindzie. Ktoś z wrogiego klanu.

Zamaszystymi susami Zoe przecięła pas wyschniętej trawy. Zanim zniknęła za palmiarnią, Rosa zdążyła zauważyć, że do tułowia przyciskała płaski pakunek. Szklana przybudówka *palazzo* połyskiwała zielenią.

Rosa powoli wycofała się do pokoju. Gdzieś w ciemności rozległ się dźwięk otwieranych i zamykanych drzwi. Po chwili

słyszeć było już tylko koncert cykad.

Przez chwilę rozważała, czy nie przywitać Zoe pod drzwiami jej pokoju. Ale przecież nie obchodziło jej, z kim spotkała się siostra albo co miała do załatwienia na zewnątrz. Rosa nie pragnęła niczego poza spokojem. Odmówić tego samego siostrze – byłoby nie fair.

Przez minutę, dwie ważyła w dłoni telefon i przeciągała w zamyśleniu czubkami palców po maleńkich kamieniach szlachetnych wtopionych w klawisze.

Otworzyła menu i wybrała jedyny numer na liście kontaktów.

FUNDLING I SARCASMO

Rosa zatrzymała się w połowie skarpy i wyjrzała na ulicę. Poranne słońce chowało się jeszcze nisko za pagórkiem znajdującym się za jej plecami, ale rozświetliło już granat nieba i przeniknęło w pejzaż, nadając mu miękką, srebrzystą jasność. Nawet sekaty drzewa oliwne zdawały się lśnić, na każdym listku połyskiwała rosa.

Samochód, na który czekała, nie był jedną z wystawnych limuzyn, jakie zjechały się na pogrzeb barona klanu. Na wąskim poboczu zaparkował mały mercedes klasy A, trzydrzwiowy niebieski metalik.

Fundling stał przy otwartych drzwiach. Skrzyżował ręce na samochodzie i oparł o nie podbródek. Patrzył w dal, a kiedy zobaczył ją znad dachu auta, uniósł głowę.

Na tylnym siedzeniu stał czarny pies i przyciskał mokry nos do szyby. Machał przy tym nieśmiało ogonem, ale nie wydawał z siebie żadnego dźwięku.

Rosa raz jeszcze rozejrzała się w poszukiwaniu strażników, jednak także i tym razem nie dostrzegła nikogo pomiędzy drzewami. Kilkoma susami pokonała ostatni odcinek wzgórza. Miała na sobie czarny T-shirt, dżinsy i buty z metalowymi czubkami. Do przerzuconej na ukos torby włożyła nóż do papieru, który znalazła na biurku Florindy. Tak dla pewności.

Fundling okrążył samochód i otworzył jej drzwi pasażera. Jak okiem sięgnąć, nie było widać żadnego samochodu. Tylko dwie jaszczurki przebiegały na drugą stronę ulicy.

– Dzień dobry – powiedziała.

Uniknął jej wzroku, ale wymamrotał słowa powitania i zamknął za nią drzwi. Torbę z rzeczami do kąpieli włożył do bagażnika.

Czarny pies mocniej zamachał ogonem i przesunął łeb do przodu, kiedy odwróciła się i wyciągnęła do niego dłoń. Zwierzak wpadł w zachwyty, polizał jej palce i pozwolił się pogłaskać po szyi.

– Jak się wabi? – zapytała Fundlinga, który usadowił się za kierownicą.

– Sarcasmo.

– Sam wymyśliłeś to imię?

– Po prostu tak się nazywa.

Fundling rzucił jej pospieszne spojrzenie. Zarejestrowała, jak szybko poruszają się jego oczy. Były brązowe, ze złotym połyskiem. Miał szeroki, mocny nos i wysoko osadzone kości policzkowe. Czarne włosy sięgały ramion, a skóra była ciemniejsza niż większości Sycylijczyków; mogła wskazywać na arabskich lub północnoafrykańskich przodków.

Pies szturchał ją pyskiem w tył głowy i zaczął dyszeć w jej burzę blond włosów. Odwróciła się, ujęła jego łeb w obie ręce i podrapała sierść za uszami.

– Więc ty jesteś Sarcasmo. Wygląda na to, że cieszysz się na mój widok znacznie bardziej niż twój pan.

Fundling uruchomił silnik i ruszył.

– Zapniesz pasy?

Ostatni raz pogłaskała Sarcasmo po łbie, odwróciła się do przodu i posłusznie chwyciła pas. Fundling włączył płytę CD. Coś, co uznała za jazz, sączyło się cicho z głośników. Pies wydał z siebie sapnięcie, pozostał na środku siedzenia i wprawnie balansował na zakrętach. Fundling prowadził bezpiecznie i spokojnie, przestrzegał przepisów. W myślach zadawała sobie pytanie, czy to ze względu na nią, psa czy obowiązki służbowe.

– Co to za rasa? – Small-talk, coś w sam raz dla niej.

Sposób bycia Fundlinga budził w niej jednak ciekawość.

– Mieszaniec – odpowiedział. – Nikt do końca nie wie, co w nim siedzi.

Droga wiodła przez zalesione wzgórza. Po kwadransie minęli rozjazd na Piazza Armerina, malownicze miasteczko na niskim wzniesieniu. Orchowa kopuła katedry wyrastała ponad pudełkowymi domkami.

– Jadłaś śniadanie? – zapytał.

– Zwykle nie jadam. – Jej zwyczaje żywieniowe były katastrofalne, wiele się już na ten temat nasłuchiwała od lekarzy. Jedzenie po prostu nie sprawiało jej przyjemności i tak było od dawna. Matka prawie nie gotowała, spożywanie posiłków w szkole groziło ciężkimi powikłaniami, a fast food uważała za obrzydlistwo.

– Mam coś do jedzenia – oznajmił Fundling. – Sięgnij za moje siedzenie.

Wyciągnęła rękę do tyłu, podczas gdy Sarcasmo skorzystał z okazji, by polizać ją po policzku. Udało jej się złapać rączkę koszyka, wyciągnęła go więc do przodu i zajrzała do środka. *Tramezzini*, trójkątne kanapki z białego chleba bez skórki, z wędzoną szynką i mozarellą. Do tego dwa małe kubki kawy.

– Wszystko świeże, prosto z baru w naszej miejscowości – powiedział. – Żadnych obaw.

Rzuciła mu badawcze spojrzenie.

– Przecież się nie obawiam. A powinnam?

– Czasem nie zaszkodzi trochę się pomartwić.

Dopiero teraz poczuła, że jest głodna. Ugryzła jedno z *tramezzini* i uznała je za przepyszne. Były świeże, tak jak mówił Fundling. Zjadła z apetytem pierwsze i natychmiast sięgnęła po drugie. Kawa była jeszcze ciepła.

– Oj, przepraszam – powiedziała, przeżuając. – Chcesz

też?

- Już zjadłem, dziękuję.
- O której wyjechałeś?
- Wstałem o czwartej, jak co dzień.
- To raczej wcześniej.
- Nie dla Sarcasmo.
- Ach, hej, Sarcasmo...

Wyciągnęła z kanapki kawałek szynki i podała psu. Sarcasmo przełknął go bez gryzienia i zaskomlał po dokładkę.

Odstawiła kosz na podłogę, a potem, syta i zadowolona, wygodnie usadowiła się w fotelu. Zostawiła Zoe kartkę: „Nie martw się, wieczorem będę w domu”. Nie uznała za konieczne, by zaprzętać sobie głowę tym, jak Florinda zareaguje na tę wiadomość. Nie przyjechała tu po to, by dać się podporządkować i cierpieć z powodu wyrzutów sumienia, że robi po prostu to, na co ma ochotę.

Po półgodzinie zieleń żyznych wzgórz w okolicy Piazza Armerina zmieniła się w wyspy krzewów, kaktusów i plantacji. Na wysokości Valguarnery księżycowy krajobraz zdominowała stepowa ochra, charakterystyczna dla centralnej Sycylii. Pod Enną odbili na autostradę i ruszyli na północny zachód, w kierunku wybrzeża.

– Ty się nie boisz – orzekł Fundling po dłuższej chwili milczenia.

– A powinnam?

– Tutaj wszyscy czegoś się boją. Większość tego nie okazuje, ale da się to wyczuć. Na pogrzebie barona widać było strach w ich oczach.

– Ty też tam byłeś?

Kiwnął głową.

– Nie widziałam cię.

– Nie stałem przy grobie. Jestem tylko kierowcą.

– Czego się boją?

– Głodomora.

– Kto to taki?

– Jeszcze się dowiesz.

Wzruszyła ramionami i zamilkła.

Odczekał moment i rzucił jej spojrzenie z ukosa.

– Nie jesteś ciekawa.

– Nie.

Jechali dalej w milczeniu. Dopiero po chwili Rosa zapytała:

– Zawsze tak robisz? Sprawiasz wrażenie, jakby inni cię nie interesowali, ale potem mimo wszystko próbujesz ich wziąć na spytki, rzucając jakąś tezę. „Nie boisz się. Nie jesteś ciekawa”.

Wyglądało na to, że go zaskoczyła. Był prawie wściekły.

– Żadne z nas nie lubi mówić o sobie – stwierdził. – Ani ja, ani ty.

Wzruszyła ramionami.

– A co chciałbyś usłyszeć?

– Czy to prawda, że się nie boisz?

Pomyślała o zgubionym zszywaczu. O tym, co dawniej...

– Dziś już nie – odpowiedziała w końcu.

– A ja tak. Często się boję.

– Tego... Głodomora?

Pokręcił głową.

– Zadałaś sobie kiedyś pytanie, kto stoi w dziurach w tłumie?

– W dziurach w tłumie? – powtórzyła jak echo.

– Kiedy wielu ludzi idzie w tym samym kierunku, sto albo tysiąc, albo nawet więcej, kilka miejsc w tłumie zawsze

pozostanie pustych. Z przodu. Albo gdzieś w środku. Z boku, na zewnątrz. Trzeba się tylko dobrze przyjrzeć. – Zredukował bieg, bo przed nimi wyprzedzały się dwie ciężarówki. – To są dziury w tłumie. A jeśli patrzeć uważnie, można zauważyć, że one się ruszają. Tak samo, jak stojący wkoło nich ludzie.

Rosa zacisnęła wargi i wydała z siebie pełne zrozumienia „mhm”, jak gdyby miała pojęcie, o czym jest mowa.

– Są niesamowite.

– Te dziury?

– Tak naprawdę wcale nie są puste.

– No i?

– Naprawdę nie są. Po prostu nie możemy zobaczyć, kto w nich idzie. Cały czas są z nami. Niewidzialni. Tylko tłum sprawia, że ich widać. Tam, gdzie są, nie może stać żaden człowiek. – Sarcasmo kichnął na tylnym siedzeniu. – Ani nawet pies.

Jej oczy zwęziły się.

– Stroisz sobie ze mnie żarty, prawda? Co to ma być? Taki rytuał powitalny? Zobaczymy, jaka głupia jest ta blondynka?

Drgnął, jakby zadała mu cios między zębra. W miejsce uczucia sytości, które uczyniło ją o wiele zbyt przyjacielską i otwartą, pojawiła się stara, dobra kłótność.

Czekała na jego odpowiedź. Przez długi czas.

– Przykro mi – powiedział w końcu.

A potem, przez resztę podróży, nie odezwał się ani słowem.

ISOLA LUNA

Motorowy jacht mknął przez pryskający wodny granat. Morze Tyrreńskie – część Morza Śródziemnego oblewająca północne wybrzeże Sycylii – delikatnymi wodnymi pióropuszcami rozpościerało się pod bezchmurnym niebem. Było późne lato. Smuga samotnego samolotu niczym lustro odbijała w górze ślad, jaki na wodzie zostawiała za sobą „Gaia”.

Śnieżnobiały, czterdziestometrowy jacht rodu Carnevare płynął z dziesięcioosobową załogą w kierunku północno-wschodnim. Oprócz kapitana i jego załogi na pokładzie był jeszcze barman, kucharz i steward. Isola Luna leżała pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeża, mieli na nią dotrzeć około południa.

Jednak z dzioba nie było jeszcze widać ani skrawka lądu. Poza maleńkim żaglem na horyzoncie można było ulec wrażeniu, że „Gaia” ma całe morze do swojej dyspozycji. Trzy pokłady wznosiły się nad powierzchnią wody, czwarty znajdował się pod nią. Z tego przeznaczonego do opalania, z pieniającym się jacuzzi i przeszklonym tarasem widokowym, dobiegało monotonne włoskie techno. Tano Carnevare i pięcioro zaproszonych przez niego na pokład młodych dam i dżentelmenów nieustannie wpadało na siebie na górnym pokładzie i nie dawało spokoju barmanowi.

W tym samym czasie Rosa i Alessandro siedzieli jeden pokład niżej, na tarasie na rufie jachtu, niedaleko szeroko otwartych szklanych drzwi salonu ze stołem bilardowym i płaskim telewizorem w złożonej ramie.

Ułożyli się wygodnie na dwóch leżakach i spoglądali na morze i wybrzeże Sycylii, które zostało za nimi daleko w tyle. Słońce wpadało zza prawej burty na pokład, a ciepły morski

wiatr plątał Rosie włosy.

Alessandro miał na sobie biały T-shirt, jasne szorty i sportowe buty. Chociaż jego orzechowe włosy były o wiele krótsze od włosów Rosy, on także wkładał wiele wysiłku w odgarnianie niesfornych kosmyków, które wpadały mu do oczu.

– Miałaś rację. – Wzięła głęboki wdech, przyglądając mu się znad papierowej parasolki koktajlu. – I nie mówię tego z radością.

Słomka wyslizgnęła się spomiędzy jego warg.

– A z czym?

– To naprawdę jest najbardziej luksusowy jacht, jaki widziałam, a w Brooklynie często zdarzają się takie widoki. Nie tylko w telewizji.

Uśmiechnął się.

– Mój ojciec wiedział, jak wydawać pieniądze. Mama nienawidziła wykończenia tego jachtu, tych wszystkich marmurów i afrykańskiego drewna, dla którego pewnie trzeba było wyciąć z pół dżungli.

– A ty?

– Ja rzadko na nim bywałem. Dwa razy zanim wysłali mnie do Stanów.

– Możesz go sprzedać, jeśli chcesz. Należy do ciebie, prawda?

– Dopiero po moich osiemnastych urodzinach. Jeśli ich dożyję – powiedział z autentycznym niepokojem w głosie.

Rosa odchyliła się i wsłuchiwała w muzykę, której jednostajne dźwięki dobiegały z górnego pokładu.

– Ci tam, na górze, nie wyglądają na czyhających na ciebie morderców.

Cień przebiegł przez jego twarz.

– Taki właśnie jest problem z mordercami. Dobrze się

kamufluja.

I nagle znów się uśmiechnął.

– Nic nie pijesz.

Pokręciła głową.

– Żadnego alkoholu.

– Przyniosę coś innego.

– Nie, jest OK. Wciąż pracuję nad efektami działania kawy, którą zaproponował mi Fundling.

Wykrzywił twarz.

– Mogłem cię uprzedzić.

– To nic. Miło z jego strony, że zatroszczył się o kawę.

– Chyba cię nie przestraszył? Wiem, jaki potrafi być.

Czasem wygaduje dziwne rzeczy.

Nawet się nie zaczerwieniła, mówiąc:

– Nie przy mnie.

W jego wzroku dojrzała powątpiewanie.

– Opowiadał o sobie?

Rosa pokręciła głową.

– Nie był specjalnie rozmowny.

– Moja matka uratowała mu życie.

– No i? – Zdjęła z parasolki kandyzowaną wiśnię i wgryzła się w zaostrzoną końcówkę trzonka.

– Fundling był wtedy jeszcze dzieckiem, ledwo umiał biegać. Ludzie mojego ojca uratowali go z płonącego hotelu w pobliżu Agrigentu... Oczywiście ci sami, którzy wcześniej wzniecili pożar.

– Oczywiście.

– Właściciel hotelu nie spłacił długów. Być może powiedział też niewłaściwym osobom, od kogo pożyczył pieniądze. Cała masa ludzi zginęła w pożarze, uratowano tylko tego chłopca. Hotel spłonął aż do fundamentów, z wszystkimi

dokumentami. Po jego właścicielu nie został żaden ślad. Tylko popioły.

– I nikt się nie zgłosił? Krewni właściciela?

Alessandro pokręcił głową.

– Nikt. Nie było się po co zgłaszać.

Z pomocą parasolki wyłowiła wiśnię ze szklanki i po krótkim wahaniu wsunęła ją do ust. Klejąca i o wiele za słodka.

– Dziwne, nie?

– Właściwie to wcale.

– Co masz na myśli?

– To wszystko działo się w czasie wielkiego konfliktu klanów. Każdy walczył wtedy przeciwko każdemu, wszędzie strzelano z pędzących samochodów, całe rodziny rozstrzeliwano w biały dzień na ulicach. Jako metodę negocjacji stosowano porwania dzieci skłóconych klanów.

Przysłuchiwała się w milczeniu, koniuszkiem języka wypychając kawałek wiśni spomiędzy zębów.

– Fundling najprawdopodobniej był zakładnikiem – powiedział Alessandro. – Możliwe, że jego porywacze znaleźli się w hotelu tylko przejazdem, ale bardziej prawdopodobne, że właściciel od początku z nimi spiskował. W tym samym czasie mój ojciec wydał rozkaz, by zamordować rodzinę dziecka, i mały miał być kolejną ofiarą. Zamach na hotel uratował mu życie. Ludzie mojego ojca przywieźli go do zamku i zanim ktokolwiek zdążył podjąć decyzję, co dalej, zajęła się nim moja matka. Przekazała go pod opiekę kamerdynera. Fundling wychował się wśród naszej służby. Potem zaczął pomagać w garażu. W krótkim czasie nauczył się, jak rozebrać i złożyć cały silnik. Jest w tym naprawdę niezły... Od pół roku pływa też łodziami, pracuje jako szofer i takie rzeczy.

– I nikt nigdy się nie dowiedział, kim byli jego rodzice?

Alessandro znów pokręcił głową.

Postawiła pełną szklanę na ziemi, zanim przyszło jej do głowy, by się z niej napić. Nie tutaj. I na pewno nie wtedy, gdy w pobliżu przebywa Tano Carnevare.

Ta myśl sprowadziła ją z powrotem do rzeczywistości. Bezwiednie skierowała wzrok w stronę salonu. Stał w przeszkłonych drzwiach, uśmiechając się, z trującą zielonym napojem w dłoni, w kąpielówkach i rozpiętej koszuli. Kobięcy głos zawołał go po imieniu z wyższego pokładu, ale nawet nie drgnął na jego dźwięk. Odwzajemnił spojrzenie Rosy w ten sam zawzięty sposób, co nad grobem barona.

– Co? – zapytał ostro.

Alessandro obejrzał się przez ramię i zmarszczył czoło. Nie powiedział ani słowa, ale wbił mroczne spojrzenie w Tana. Napiął całe ciało i zacisnął zęby.

Rosa obserwowała tę scenę kątem oka i w tej samej chwili pomyślała, że musiała się pomylić. Kiedy spojrzała na Alessandra, ten był jeszcze wściekły. Jego wargi zacisnęły się mocno.

Tano odwrócił się i bez słowa powlókł do wnętrza jachtu. Przechodząc obok stołu bilardowego, mocno popchnął jedną z bili, aż wyskoczyła za bandę i potoczyła się, podskakując, po tekowym parkiecie.

– Co to miało znaczyć? – cicho zapytała Rosa.

Alessandro nie odpowiedział.

* * *

Krajobraz Luny przypominał kawałek księżyca, który spadł z nieba i z nieznanых powodów utknął w Morzu Tyrreńskim.

Szare kamienie wulkaniczne pokryte były

brązowozielonym, niskim gąszczem. Ale nawet gęstwina z janowca, oleandra i niskich krzewów dębu ostrolistnego w połowie wysokości góry znikła jak odcięta nożem, jakby dając do zrozumienia, że jakiegokolwiek życie jest tam skazane na porażkę.

„Gaia” wślizgnęła się do zatoki na południu wyspy. Drobnodziarnisty piasek prawdopodobnie został przesiany. Jak okiem sięgnąć, Rosa nie mogła dojrzeć na całym wybrzeżu wyspy tak perfekcyjnie czystej plaży. Kiedy przesiedli się do jednej z dwóch łodzi motorowych „Gai”, Rosa nie zauważyła ani jednej plastikowej butelki, nawet kawałka śmiecia w wodzie. Niespotykane na Sycylii.

Alessandro i ona siedzieli na dziobie białej motorówki, podczas gdy paczka Tana rozpięzchła się po pozostałych ławkach. Tano sterował łodzią z wąskiego pomostu, pomagając sobie zewnętrznym silnikiem. Rosa ukarała go lekceważeniem, ale czuła na plecach jego spojrzenia. Dlaczego nie patrzył na którąś z trzech dziewczyn siedzących z jego kumplami na pokładzie? Głównie ciemnowłosa piękność o wymiarach modelki wydawała się o niego starać, ale on bez entuzjazmu reagował na jej zaloty.

Pozostali dwaj faceci byli wyraźnie spokojniejsi niż ich towarzyszki. Przystojni południowi Włosi nosili lustrzane okulary przeciwsłoneczne. Rosa uznała ich za tak samo nieciekawych, jak dwa ładnie uformowane kawałki mydła w sklepie z kosmetykami.

Alessandro wyciągnął do niej dłoń, by pomóc przy wysiadaniu na ląd. Przyjęła tę propozycję, chociaż nie potrzebowała pomocy. Miała po prostu ochotę go dotknąć. Jednak natychmiast po przejściu nad wodą cofnęła palce. Musiała uważać, by nie przekroczyć żadnej z granic, jakie ich

od siebie oddzielały.

– Willa mojej rodziny leży kawałek na wschód stąd, pod górę. – Alessandro wskazał niejasno ręką w kierunku wzgórza wulkanicznego. – Nie widać jej stąd, ale tam, między skałami, są schody.

– Ktoś w niej mieszka? – zapytała Rosa.

Tano zbliżył się do Alessandra.

– Nie. Kilku pracowników dogłąda jej przy okazji czyszczenia plaży.

Alessandro pochylił się, nabrał pełną garść piasku i pozwolił mu wolno prześlizgnąć się między palcami.

– Moja mama bardzo lubiła ten dom. Często tu przy pływała.

Druga motorówka dobiła do brzegu. Czterej mężczyźni z załogi wypakowali wszystkie bagaże, rozłożyli ręczniki na leżakach, zmontowali małą wieżę do odtwarzania muzyki i rozładowali przenośne lodówki ze schłodzonymi napojami. Kelner również przybył z nimi na ląd i wyliczał cztery potrawy, które kucharz „Gai” przygotował na kolację. Do czasu ich podania musieli się zadowolić przekąskami.

Załoga wróciła motorówką na pokład jachtu, który zakotwiczył w zatoce. Tylko kelner pozostał na lądzie i serwował pierwsze drinki. Dwie z dziewczyn w skąpych bikini pobiegły się kąpać, a trzecia i Tano ułożyli się na leżakach.

Rosa stała niezdecydowana, podczas gdy Alessandro ściągnął T-shirt, zostając tylko w długich spodniach. Był opalony jak inni i miał umięśnioną klatkę piersiową. Widać było, że dużo trenował w internacie. Z cichym westchnieniem zdecydowała się pójść w jego ślady. Ściągnęła T-shirt i natychmiast poczuła się blada i chuda w swoim czarnym bikini. Nie zdjęła dzinsów. Uważała swoje biodra za kościste, a uda za

zbyt chude w porównaniu z innymi dziewczynami. Na lotnisku zadawała sobie pytanie, czy Zoe nie cierpi na zaburzenia pokarmowe, ale teraz, w towarzystwie tych trzech pań, sama wyglądała na anorektyczkę.

– Chcesz się wykąpać? – zapytał Alessandro.

Pokręciła głową i zapytała samą siebie, co tu właściwie robi. Określenie „nie na miejscu” nawet w przybliżeniu nie oddawało jej sytuacji.

– Chodź, spacerujemy się więc po wyspie – zaproponował.

Jego uśmiech był szeroki, ale zauważyła, że jest spięty. Pomyślała o tym, co na jachcie powiedział jej o mordercach, i zlustrowała spojrzeniem pozostałych, siedzących na leżakach. Jedna z dziewcząt wcierała w siebie krem do opalania, a faceci leżeli z twarzami zwróconymi ku morzu. Być może obserwowali swoje towarzyszki, które pluskały się w wodzie. Zza lustrzanych okularów nie było widać ich oczu.

Tano spojrzął na Alessandra znad odtwarzacza mp3, który właśnie podłączył do wieży. Wyrzut w jego głosie był zimny i wyrachowany.

– Twojemu ojcu nie podobałoby się, że wałęsas się po wyspie z Alcantarą.

Alessandro zignorował Tana, ale Rosa widziała, jak rysy jego twarzy stwardniały.

Posłała Tano obezwładniający uśmiech.

– Dobrze wiedzieć, że macie tu coś, co mogłoby nas zainteresować.

– Idziemy. – Alessandro dotknął jej palców.

– Byle nie za daleko – powiedział Tano.

Rosa wzięła Alessandra za rękę.

– Zobaczymy, jak daleko uda nam się zajść, co?

Zrobiła przy tym tak słodką minę, że nawet czarnowłosa modelka przerwała na chwilę pracowite wcieranie w siebie kremu.

Ręka w rękę brnęli w piasku, nie zważając na to, co dzieje się za ich plecami. Zaczęła grać muzyka. Coś jazzującego, lata pięćdziesiąte, oceniła Rosa. Nie w jej stylu i dziwne, że w stylu Tana.

Alessandro prowadził ją w górę między czarnymi skałami wulkanicznymi do wąskich schodów, a potem znów w dół, pokrytą szczelinami, skalną ścianą. Stąd nie było widać ani jachtu, ani pozostałych członków grupy. Zamiast piasku pojawiły się ostre skały, o które rozbijały się spienione fale.

– Nie chcesz iść do willi? – zapytała.

– Zaraz. – Wciąż trzymał ją za rękę, a jego głos był pełen zadumy. – Najpierw chcę ci coś pokazać.

Jeszcze poprzedniego dnia nie miałyby do niego najmniejszego zaufania, a teraz pozwalała się prowadzić przez tę opuszczoną przez Boga wyspę. Właśnie tak, pomyślała: „Pozwalam się prowadzić”. Wszystko pozostaje pod kontrolą.

Dotarli do małej zatoki, która wbijała się w ląd lejowatym kształtem. Otworzyło się przed nimi wejście do grotty w skale wulkanicznej – czarna gardziel, wsysająca i wypluwająca morską wodę. Na krawędzi jaskini, kilka metrów ponad gulgoczącą, pryskającą wodą kipieli, znajdowała się maleńka skalna półka z widokiem na wirujący chaos otwartego morza.

Alessandro stanął jak wryty, jakby coś trzymało go w miejscu. Rosa wspinała się dalej i teraz to ona wyciągnęła dłoń w jego stronę.

– To było ulubione miejsce mojej mamy – powiedział, wspinając się w jej stronę. – Często siedziała tu i malowała.

– Była w tym dobra?

- Chciałbym mieć choć jedną dziesiątą jej talentu.
- Ty też malujesz?
- Czasami. – Machnął ręką, jakby nie chciał o tym mówić.
- Tylko dla siebie.

Usiadła na skalnej półce i znalazła ukryte schody, prowadzące wyżej na wzgórze. Nagle coś przyszło jej do głowy.

- „Gaia”, nazwa jachtu, to było...
- Imię mojej matki, Gaia Carnevare.

Podeszła do krawędzi półki i spojrzała w rozszalałe prądy morskie. Otchłanie zawsze szczególnie ją intrygowały, ale tym razem przyciąganie było silniejsze niż dotąd. Dobrze rozumiała, co w tym miejscu tak bardzo podobało się Gai Carnevare.

Odwróciła wzrok od szalejącego nurtu i wbiła go wprost w oczy Alessandra.

- A więc dlaczego tak naprawdę tu jesteśmy? – spytała.
- Przez krótką chwilę wstrzymywał się z odpowiedzią.
- Żeby się dowiedzieć, kto zabił moją matkę. I dlaczego mój ojciec się na to zgodził.

TAJEMNICA GAI

Wspinali się po czarnych stopniach ze skały wulkanicznej, z wysiłkiem zdobywali pokryty szczelinami krater wulkanu na Lunie.

Willa położona była w połowie wysokości wzgórza i ku zdumieniu Rosy, przed wejściem do niej rozciągał się mały plac, do którego prowadziła wąska droga.

– Na północy wyspy jest druga przystań – wyjaśnił Alessandro. – Mogą w niej cumować większe statki, z których ładuje się samochody.

Willa była rozłożystym kompleksem budynków i przybudówek. Rosa spodziewała się wygodnego domku wypoczynkowego, wakacyjnego lokum na kilka dni lub tygodni. Zamiast tego wznosiła się przed nią luksusowa rezydencja, którą bez problemów mogła sobie wyobrazić w prestiżowej dzielnicy wielkiego miasta.

Biały kamienny mur, dużo szkła, płaskie dachy i coś w rodzaju wieży widokowej, z której widok musiał obejmować połowę wyspy. Przez wielkie przeszklone ściany i drzwi z większości pomieszczeń widać było morze. Gdyby ktoś czuł się – gdzie indziej lub w swoim życiu – jak w puszcze, tutaj musiał się zmierzyć z niesamowitym poczuciem wolności i przestrzeni. Zaczynała lubić matkę Alessandra, chociaż nigdy jej nie spotkała.

– I nikt z tego już nie korzysta? – zapytała Rosa.

– Nic o tym nie wiem.

– Żadnych ciekawskich żeglarzy?

Pokręcił przecząco głową.

– Ludzie na Sycylii wiedzą, do kogo należy Luna i z kim lepiej nie zadzierać. To samo dotyczy większości skipperów na

Morzu Śródziemnym.

Wbrew jej woli fakt, że nazwisko mogło być lepszą gwarancją bezpieczeństwa niż drut kolczasty i mury, zrobił na niej wrażenie. Zaczynała pojmować, o ile bardziej wpływowi i potężniejsi od Alcantarów i ich imperium wiatraków są członkowie klanu Carnevare.

– Poza moją matką mało kto tu przypląwał – wyjaśnił i podszedł do wykonanych z kraty drzwi w murze.

Podążała za nim w odległości dwóch kroków, nie mogąc się zdecydować, co woli oglądać: jego czy budynek.

W południowym słońcu słychać było cykanie świerszczy, wulkaniczne skały połyskiwały po obu stronach budynku.

Alessandro wyciągnął z kieszeni spodni pęk kluczy. Ciężkie drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem.

– Tano nie chciał, żebyśmy tu przychodzili – powiedziała nagle.

Alessandro rzucił jej spojrzenie znad ramienia. Kiełkowała w nim złość. Pierwszy raz odkryła w nim coś, co uznała nie tylko za pociągające i atrakcyjne, ale nawet ekscytujące.

– Jeśli Tano ma wobec mnie jakieś zarzuty – powiedział cicho, kładąc nacisk na każde słowo – może przyjść i przedstawić je w dowolnej formie.

Chciał iść dalej, ale Rosa chwyciła go za ramię. Cienka strużka potu połyskiwała na jego nagim torsie, światło igrało w niej niczym złoty kurz na marmurowym posągu.

– Poczekaj – powiedziała. – Gdybyś nie bał się Tana, nie byłoby mnie tutaj, prawda?

Zacisnął usta. Cicha nadzieja, że jednak się pomyliła, wyparowała.

– „Tak” lub „nie” wystarczy – powiedziała.

Wahał się przez chwilę, a w końcu przytaknął.

– To z powodu tej umowy – stwierdziła. – Tak długo, jak jestem z tobą, Tano i inni nie mogą cię tknąć.

Znowu przytaknięcie. Ostrożne.

– A więc jestem twoim aniołem stróżem. Bez względu na okoliczności, nie wolno im mnie skrzywdzić, niezależnie od wszystkiego. – Tym razem nie czekała na jego ruch głową i mówiła dalej: – I nie chcę, by ktoś był świadkiem, że coś ci się stało, kiedy zabiją cię na tej wyspie i sprawią, że znikniesz. Ci faceci tam, w dole, nie są przyjaciółmi Tana.

– To zależy, jak na to spojrzeć. To nie oni są zabójcami, których nasłał na mnie Cesare.

– Nie? – Zmarszczyła czoło. – Więc to dziewczyny?

Kiwnął głową.

– Wszystkie trzy?

– Tylko te dwie, które pobiegły do wody. Trzecia jest nieszkodliwa.

– Ale tak długo, jak tu jestem, nie mogą tobie nic zrobić, prawda?

Westchnął.

– Posłuchaj, nie chcę, żebyś miała wrażenie, że...

– Alessandro, do cholery! – Mocno przycisnęła palec wskazujący do jego klatki piersiowej. – Nie wyjeżdżaj mi tu z konwenansami. Cesare i Tano chcieli ciebie wyeliminować. Taki był ich wcześniejszy plan, by zrobić to tu i teraz.

– Moja rodzina jest podzielona – powiedział Alessandro. Za jego plecami migotała biel willi. – Połowa stoi po mojej stronie, połowa po stronie Cesare. Jeśli wyszłoby na jaw, że zlecił moje morderstwo, doszłoby w końcu do rozłamu – i być może nastąpiłby kres klanu Carnevare. Miał nadzieję, że załatwi to tutaj, bez świadków, żeby przynajmniej teoretycznie wyglądało to na wypadek. Ale tobie, Alcantarze, pod żadnym

pozorem nie może tu spaść włos z głowy. Tak długo, jak będziesz mogła opowiedzieć prawdę wszystkim, którzy mnie wspierają...

– ...ty jesteś bezpieczny – dokończyła zdanie. – Nieważne, co takiego uda ci się wygrzebać w willi na temat śmierci twojej matki i tych, którzy są za nią odpowiedzialni.

Znów kiwnął głową.

– Tak.

Poczuła się oszukana i wykorzystana, ale za żadną cenę nie chciała mu tego okazać. Nagle zapragnęła zakryć swoje półnagie ciało, ale T-shirt leżał w dole, na plaży. Głośno wciągnęła powietrze.

– Dobrze – powiedziała. – Czy to wszystko?

– Nie – odpowiedział. – Lubię cię. Taka jest prawda.

Zamachnęła się i wymierzyła mu siarczysty policzek.

Nawet nie drgnął.

– Naprawdę.

Spoliczkowała go jeszcze raz i długo patrzyła na niego bez słowa.

A na końcu przeszła obok niego i skierowała się w stronę wejścia do willi.

– Chodź. Zobaczymy, czy uda się tu znaleźć to, czego szukasz.

* * *

Przed nimi otworzył się widok na sień, oświetloną wpadającym przez wielkie okna późnopołudniowym słońcem. Nawet schody na piętro wykonano z grubego pleksiglasu.

– Tutaj.

Przeprowadził ją przez kilka pomieszczeń, w których

królował taki rodzaj bieli, że zaczęła drżeć, choć przecież świeciło słońce. Nawet umeblowanie zachwycało oryginalnością: łukowate siedziska z plastiku, powykęcane, stojące lampy przypominające modele nici DNA, obłe regały z tworzywa sztucznego – wszystko w bieli, tylko tu i ówdzie ostry pomarańczowy akcent. Psychodeliczny szyk wczesnych filmów o Bondzie. Z tyłu głowy zadźwięczała jej znów *My Death*. Pasowała tu, jak gdyby została skomponowana specjalnie dla tego miejsca.

Dom pachniał niewietrzonymi pokojami, ciepłym plastikiem i drobinkami kurzu, których kolumny wirowały we wpadających przez okna promieniach słonecznych i zdawały się podtrzymywać przeszklone sufity ogrodu zimowego.

Schody prowadziły na górę, na pierwsze piętro. Nowy zapach. Najpierw pastele, a potem, znacznie intensywniej, farby olejne. Weszli do atelier Gai Carnevare. Po oślepiającej bieli, barwy w tym pokoju wypadały szaro.

Także tutaj sufit wykonany był całkowicie ze szkła i stanowił jedyną powierzchnię, która nie była pokryta obrazami. Wszędzie dookoła wisiały lub opierały się o ściany nieoprawione płótna, pokryte płataniną pociągnięć pędzla, dzikich kleksów, eksplozji farb, które po dokładniejszym przyjrzeniu stawały się obliczami – wykrzywionymi, koślawymi, zmasakrowanymi twarzami.

Rosa milczała. Stojąc w miejscu, odwracała się powoli i wędrowała wzrokiem po malunkach. W wielu miejscach płótna leżały na stosach po pięć, osiem, dziesięć sztuk. Mogła jedynie przypuszczać, ile podobnych niepokojących grymasów mogło się na nich kryć.

– Dlaczego to wszystko jeszcze tu jest? – zapytała.

– Cesare powstrzymał mojego ojca przed przewiezieniem

obrazów do pałacu. Nie chciał ich mieć blisko siebie. – Mięśnie szczęki Alessandro napięły się. – Nienawidził jej.

– Jej obrazów?

– Ich też.

Spojrzała wprost na niego, pierwszy raz od czasu, kiedy dwukrotnie go spoliczkowała.

– Czy to on? Czy to Cesare zabił twoją matkę?

– Myślę, że tak.

– I tutaj szukasz na to dowodów?

Podszedł do jednego z obrazów, przedstawiającego twarz w kolorze czerwieni, czerni i ciemnego fioletu z szeroko otwartymi ustami. Koniuszkami palców delikatnie pogładził powierzchnię.

– Myślę, że wiedziała, że Cesare zdradził mojego ojca. Był jego najbliższym powiernikiem, doradcą we wszystkich sprawach, nie tylko w interesach. Ale Cesare trzyma się też starych tradycji Cosa Nostry, upiera się przy prawie silniejszego i uważa, że walka powinna toczyć się otwarcie, na ulicach. To, że nasze rodziny coraz częściej przypominają prawdziwe przedsiębiorstwa, wykorzystujące kruczki prawne na granicy legalności, a ich spory niekoniecznie kończą się bijatyką pomiędzy kilkoma zwerbowanymi osiłkami, w ogóle Cesare nie obchodzi. Każdą nowinkę przyjmuje ze wstrętem, jego zdaniem wszystko powinno pozostać jak dawniej. Chciałby zdobyć władzę nad całym klanem Carnevare i strzec tego, co sam nazywa starymi wartościami. Myślę, że w jego oczach mój ojciec za daleko od nich odbiegł ze swoimi pozornymi interesami, fasadą działalności dobroczynnej, brataniem się z politykami w Rzymie. Cesare potajemnie odkładał pieniądze, by być przygotowanym na przejęcie władzy, a mój ojciec był na tyle ślepy, że tego nie zauważył. A może po prostu nie chciał

widzieć, jak jest naprawdę.

– A twoja matka była inna?

– Ona i Cesare od początku za sobą nie przepadali, jeszcze zanim mój ojciec ją poślubił. A potem domyśliła się, co knuje Cesare. Na pewno próbowała ostrzec mojego ojca, a że on nie chciał jej słuchać, coraz bardziej się wycofywała i spędzała większość czasu na wyspie.

Rosa spojrzała na wykrzywione twarze.

– Ta samotność chyba jej nie służyła.

– Cesare nie chciał odpuścić. Nie mógł pozwolić, by poznała prawdę.

– Więc zlecił zabójstwo?

Oczy Alessandro zwęziły się, teraz były zimne i budzące grozę.

– Myślę, że zrobił to własnymi rękami. Tutaj albo gdzie indziej. Ale to on ją zabił. – Przerwał, podszedł do następnego obrazu i zaczął podążać palcem po śladach ruchów pędzla. – Mój ojciec musiał o tym wiedzieć, a przynajmniej to przeczuwać. Cesare na pewno przekonał go, że to jedyna możliwość, że moja matka straciła rozum i powiedziała niewłaściwym ludziom o interesach klanu. I mój ojciec po prostu... ustąpił. – Odwrócił się z zaciśniętymi pięściami, a na jego twarzy malowała się taka złość, że Rosa prawie cofnęła się o krok.

Stała i ze zdziwieniem przyglądała się jego oczom. Jak nagle powiększają się jego źrenice. I przez krótką, mylącą chwilę miała wrażenie, że jego włosy zmieniły kolor, jakby ściemniały i nabrały kruczoczarnej barwy. Może to kwestia dziwnego górnego oświetlenia.

– Mój ojciec wybaczył Cesare – warknął Alessandro. – Wybaczył mu morderstwo własnej żony.

– To już tylko twoje przypuszczenie.
– Ona pisała. I zbierała swoje notatki. Robiła tak od zawsze.

– Masz na myśli listy? Do ciebie?

Potrząsnął głową.

– Nie miała zaufania do listów.

Rosa uniosła brew.

– Wiem, że miała trochę nie po kolei w głowie. – Ruszył w jej stronę. – Wiem o tym, Roso. Ale nie zwariowała, była tylko trochę... szalona. Muszą gdzieś istnieć notatki, pamiętniki, coś w tym rodzaju. Jestem tego pewien! A jeśli gdzieś są...

– ...to pewnie tutaj – dokończyła.

– Tak. – Stał przed pokrytym farbą stołem kreślarskim, na którym leżały wielkie zwoje szkiców, zupełnie jakby artystka przed paroma minutami wyszła ze swojego atelier. Otworzył jedyną szufladę, przetrząsnął ją i coś z niej wyciągnął.

Lśniący skalpel.

Odwrócił się.

Pomyślała o nożu do cięcia papieru, który ukryła tego samego dnia rano i który leżał teraz w jej torbie tam, w dole, na plaży.

Włosy Alessandra znów miały orzechowy kolor, ale źrenice wciąż wypełniały niemal całe oczy. Podeszedł do jednego z obrazów i rozciął go. Przecinane płótno wydało rozdzierający dźwięk. Na wykrzywionej twarzy widniała bezkrwawa rana.

Druga. I trzecia.

Rosa w bezruchu przyglądała się, jak niszczył jeden obraz za drugim, każdy ostrym, pionowym cięciem. Pomyślała, że wcześniej, w czasie wielkich wojen mafii te twarze zastępowali prawdziwi ludzie, z którymi tak samo postępowali *capi* i ich *soldati*. Alessandro Carnevale nie był wolny od dziedzictwa

tamtych czasów, tamtych ludzi.

Ona także nosiła takie brzemie, wrosnięte głęboko niczym gen. Czowała, jak coś się w niej porusza, coś w środku się zmienia, chce się wydostać. Do napięcia, które panowało wszędzie wkoło, do złości, która wciąż się w niej tliła, dołączyła tajemnicza fascynacja.

Alessandro zamarł w bezruchu, wskazując na otwartą szufladę.

– Tam jest ich więcej.

Zrobiła krok do przodu, spojrzała do środka i zobaczyła płataninę pędzli, szpachli, ołówków i – ostrzy. Wahając się, wyciągnęła w ich stronę dłoń, chwyciła jedno. Zważyła w palcach zimny metal.

Skalpel taki sam jak jego. Gaia Carnevare najwyraźniej zeszkrobywała nimi farbę z płótna. Czerwoną farbę.

– Tylko jedno jedyne cięcie – powiedział Alessandro. – Musi wystarczyć, żeby zobaczyć, czy coś jest pod spodem.

Podeszła do jednego z obrazów i przyłożyła do niego ostrze. Przecięła wykrzywioną krzykiem twarz. To tylko obraz, tylko farba. Dostała gęziej skórki i mimowolnie się uśmiechnęła. Poczowała łaskotanie na kolanach, udach, w podbrzuszu. Dotarło do piersi i zapaliło się płomieniem w jej czaszce.

Następny obraz. I jeszcze jeden.

W pewnej chwili wydało jej się, że słyszy coś w rodzaju dzwonięcia jakby wielu maleńkich dzwoneczków. Nie w jej głowie, ale gdzieś w domu. Teraz jednak była niczym zahipnotyzowana, podobnie jak Alessandro. Niszczyli obrazy jego matki w poszukiwaniu tego, co mogło być w nich ukryte, za nimi, pod nimi. Przed ich wzrokiem otwierały się policzki, oczy, usta. Tam, gdzie płótna leżały spiętrzone, ukazywały się nowe grymasy, jeszcze więcej przerażonych twarzy, kolorowe,

ostre spojrzenia z głębin duszy Gai Carnevare.

– Tu jest – powiedział Alessandro.

W tym samym momencie ostrze Rosy natrafiło na przeszkodę twardszą niż płótno i farba. To coś tkwiło w środku, nie z tyłu obrazu.

Matka Alessandra przyklejała do płócien teczki z twardego plastiku albo bardzo cienkiego metalu i za pomocą pędzla pokrywała je grubą na palec warstwą farby olejnej. Zaprzęgała je w służbę swoich wizji i koszmarów.

Znaleźli ich dziesięć, rozdzielonych na sto albo więcej obrazów. W każdej teźce tkwiły dokumenty: wyciągi z konta, rozliczenia, fotografie, na których był Cesare Carnevare z mężczyznami ubranymi w ciemne garnitury. Oprócz tego parę kartek zapisanych maleńkimi literami, powstałymi i możliwymi do odczytania tylko za pomocą lupy.

Stali bez tchu na środku pobojuwiska. Alessandro w jednej dłoni trzymał skalpel, a w drugiej garść kartek. Pierś Rosy unosiła się i opadała. Górna część czarnego bikini naprężyła się, jakby całe jej ciało wypadło z rytmu.

Alessandro uśmiechnął się, a w jego oczach błyszczwały łzy. Na nagiej skórze mięśni ramion i brzucha lśnił pot.

Zrobił krok w jej stronę i zorientowała się, że chce ją pocałować.

Odchyliła się i pokręciła głową.

Uśmiech zelżał, jak gdyby rzeczywistość stopniowo znajdowała drogę do jego myśli. Oboje stawali się na powrót sobą i zaczynało do nich docierać, jak wygląda świat wkoło nich i jak wyglądałoby w oczach kogoś, kto niespodziewanie stanąłby w drzwiach.

I znów rozległo się jasne, szklane dzwonienie.

Tym razem bliżej. Na zewnątrz przy schodach.

Alessandro wsunął luźne kartki i zdjęcia do jednej z oklejonych farbą, plastikowych teczek i przycisnął ją lewą ręką do klatki piersiowej. W prawej ręce trzymał nóż. Obrócił się w stronę drzwi.

Rosa przesunęła się do wejścia do atelier, trzymając w mokrej od potu dłoni ostrze skalpela. Jednym szybkim ruchem prześlizgnęła się do drzwi i wyjrzała przez nie.

Przed przesyconą światłem bielą stała zagubiona, drobna postać.

Dziewczynka, młodsza od niej.

Jej kostkę otaczał wąski metalowy pierścień. Srebrzysty łańcuch o grubości ołówka wiódł przez dziedziniec i mocno naprężony niknął za najbliższym rogiem.

Kiedy dziewczynka poruszyła się, by coś powiedzieć, ogniwa łańcucha wydały z siebie delikatne dzwonienie.

– Przyszliście tu, żeby mnie zabić?

DZIEWCZYNKĄ NA ŁAŃCUCHU

Nazywała się Iole Dallamano. Mówiła cicho i powoli. Skalpel w dłoni Rosy nie robił na niej żadnego wrażenia.

Miała piętnaście lat, ale wyglądała na młodszą, mimo sińców pod smutnymi oczami. Czarne włosy były ścięte na krótko. Zrobił to jeden z mężczyzn, którzy regularnie do niej przychodzili. Poza tym jej nie tknęli. Włosy rosły, więc co kilka miesięcy jeden z mężczyzn z grubsza je przycinał. Iole pytała, dlaczego przy okazji nie poderzną jej gardła, ale nie uzyskała odpowiedzi.

Opowiedziała o tym Rosie i Alessandro, jeszcze zanim jej stopa przestąpiła próg domu. Iole była boso i gdyby nie łańcuch na jej kostkach, poruszałyby się po szklanych schodach całkiem bezgłośnie. Łańcuch miał długość osiemdziesięciu albo nawet stu metrów, sięgał do prawie wszystkich pomieszczeń w domu. Nie starczało go tylko do atelier na piętrze. Swoboda poruszania się Iole miała kres kilka metrów przed drzwiami studia Gai Carnevare.

Rosa schodziła za nią po schodach, słuchając tego, co mówiła Iole. Srebrzyste ogniwa łańcucha ciągnęły się, cicho brzęcząc na krawędziach stopni. Alessandro szedł za nimi, ściskając obiema rękami teczkę z dokumentami. Skalpele zostawili na górze.

– Jak długo tu jesteś? – zapytała Rosa, kiedy dotarli na parter. Schody prowadziły do jednego z salonów.

– Tu, na wyspie, od ponad półrocza – odpowiedziała dziewczynka. – Wcześniej chowali mnie w innych miejscach, na położonych na uboczu wsiach i gdzieś w górach. Powiedzieli, że żyją w nich wilki.

Rosa spojrzała na Alessandra, którego spojrzenie

sposępniało.

– Nic o tym nie wiedziałem – powiedział, odczytując w jej oczach pytanie.

– W sumie to już sześć lat – dodała Iole. – Dwa miesiące i siedem dni.

Rosa cicho zaklęła.

– Zabrali mnie z domu moich rodziców. – Iole wbiła wzrok w ziemię. – Powiedzieli, że wszyscy zginęli. Moi rodzice, moi dwaj bracia, wszyscy wujkowie i ich rodziny. Wszyscy co do jednego.

– W Syrakuzach mieszkał klan Dallamano – wyjaśnił Alessandro. – Nie wiem, co się stało, ale...

Iole weszła mu w słowo:

– Mój wujek Augusto... pracował z pewną sędzią. Powiedzieli, że zdradził. Wiele osób zostało wtedy z jego powodu aresztowanych, także ci, którzy pracowali dla Carnevarów. Mój wujek dostał nowe nazwisko i mieszka teraz gdzieś za granicą. Ale Carnevarowie wierzą, że on wie coś więcej o nich i ich interesach. Trzymają mnie w niewoli, żeby ich nie wydał. Powiedzieli, że jeśli to zrobi, zabiją mnie. Myślą, że o tym wie i dlatego nie mówi nic więcej.

Ton jej głosu sprawiał, że robiła wrażenie młodszej niż piętnaście lat. Rosa pomyślała, że Iole od ponad sześciu lat nie chodziła do szkoły. Dziewczynka wyjaśniła, że miała telewizor, w którym najchętniej oglądała kreskówki. Rosa zaczęła się zastanawiać, czy jej słownictwo nie zubożało w czasie tak długiego osamotnienia.

– Mówiąc „oni”, masz na myśli Cesare Carnevare i jego ludzi?

– Tak. – Iole opadła na jedno z pomarańczowych plastikowych siedzisk, podciągnęła kolana i objęła je rękami.

Łańcuch wciąż podzwaniał. – Przez cały ten czas widziałam Cesare trzy razy. Pierwszy raz na początku, potem w górach, a ostatnio przed kilkoma miesiącami. Był tutaj i czegoś szukał.

Alessandro nadstawił uszu.

– Wiesz, co to było?

Pokręciła głową.

– Na koniec odkrył sejf za obrazem w pokoju truskawkowym. – Uśmiechnęła się przepaszająco. – Tak go nazwałam, wisi w nim obraz z wielką czerwoną plamą, która wygląda jak truskawka. Wszystkim pokojom nadałam nazwy, zresztą zwierzętom za oknami też.

Rosa spojrzała przez przeszkloną ścianę na popękane skały wulkaniczne i granatowe morze. Jak okiem sięgnąć, żadnego zwierzęcia.

– Co było w skarbcu? – zapytał Alessandro.

Rosa spojrzała na niego z wyrzutem. Widać było, że współczuje Iole, ale głód zemsty na Cesare był silniejszy niż wszystkie inne emocje. Rosa poczuła, jak wraca jej wcześniejsza złość. Dziwne oszołomienie, które zawładnęło nimi w atelier, stopniowo ustępowało. Dała się ponieść, straciła kontrolę. Niedobrze.

Tak samo, jak wykorzystał ją, teraz interesowało go przede wszystkim, co Iole wie o jego wrogu z klanu Carnevare. Rosa stanęła pomiędzy nim i skutą łańcuchem dziewczynką.

– Zostaw ją w spokoju. Musimy się zastanowić, jak ją stąd wydostać.

Spojrzał na Rosę, jakby był to całkowicie niedorzeczny pomysł.

– Jeśli Cesare dowie się, że z nią rozmawialiśmy, dojdzie do tego, że o czymś wiemy.

Rosa zrobiła krok w jego stronę.

– Więc po prostu zwiejemy stąd bez niej? Chyba nie mówisz tego poważnie.

– Papiery – powiedziała Iole do jego pleców. – W sejfie były papiery i zdjęcia. Cesare wyglądał na całkiem zadowolonego.

Alessandro zaklął pod nosem.

– Były bezwartościowe – oznajmiła Rosa. I jeszcze zanim spojrzał na nią ze zdziwieniem, uświadomiła sobie, że powiedziała to zupełnie bez zastanowienia. Logiczne. – Twoja matka nawet ich nie schowała, to znaczy, nie w sejfie. Myślę, że chciała, by coś znalazł i nie szukał dalej właściwych dokumentów, schowanych w teczkach przyklejonych do obrazów, które były przeznaczone dla ciebie.

Alessandro kiwnął głową.

– Możliwe.

– Masz to, czego chciałeś – powiedziała lodowato. – A teraz zadbamy o to, by ona...

– Oczywiście! – W jednej chwili w jego głosie znów pojawiła się ta okropna stanowczość, którą pierwszy raz usłyszała, kiedy Alessandro trzymał w dłoni skalpel. – Tano dowie się o Iole. Najlepiej będzie, jeśli zacznę od niego.

– Nie jest mi tu źle – powiedziała Iole. Koniuszki jej palców przemykały po zgiętych kolanach niczym po klawiszach fortepianu. – To piękny dom. W ciągu dnia jest tu ciągle jasno. Tylko nocą, kiedy przychodzą zwierzęta...

– Zajmę się tym – przerwał jej Alessandro. – Rosa, zostań z nią. – Chciał już wybiec, ale przypomniał sobie o teczce z dokumentami. Namyślał się przez chwilę, a potem cofnął się i wcisnął ją Rosie do rąk. – Uważaj na to. Do czasu, kiedy nie załatwię tej sprawy.

Nie mogła go rozszyfrować. Wiedziała tylko, że

nieustannie doprowadzał ją do złości, nieważne, co akurat robił. Najpierw ją wykorzystał, potem zaczął się zgrywać, a na końcu ją zostawił. A mimo to znowu miała wyświadczyć mu przysługę. „Zostań z nią”. I jeszcze: „Uważaj na to”. A ona nigdy nie robiła nic dla innych. Nie wtedy, jeśli dało się tego uniknąć. Nawet po wystąpieniu w obronie Iole czuła się tak, jakby sama siebie wyprowadziła w pole.

– Biegnij za nim – powiedziała dziewczynka i nagle zaczęła sprawiać wrażenie jeszcze mniejszej i delikatniejszej, jakby obrzydliwy fotel ścisnął ją jak plastikowa pięść. – Nie martw się o mnie.

Biec za nim? Rosa prawie zakrztusiła się, nabierając powietrza. Ale potem skinęła głową.

– Poczekaj, niedługo przyjdziemy cię stąd zabrać, dobrze?

– Naprawdę to zrobicie? Zabierzecie mnie stąd?

Rosa już chciała wybiec, trzymając w ręce tę cholerną mapę. Zawahała się jednak na moment, podeszła do Iole, pogłaskała ją po głowie i powiedziała:

– Obiecuję ci. Wyciągniemy cię stąd tak szybko, jak to tylko możliwe.

Iole spojrzała na nią wielkimi oczami, niczym postać z kreskówek, które tak bardzo lubiła.

– Uważaj na zwierzęta... Przychodzą zawsze w nocy.

Rosa zmusiła się do pełnego otuchy uśmiechu i ruszyła przed siebie. Przyciskając do siebie dokumenty, wybiegła z willi, przecięła dziedziniec i podążyła za Alessandrem schodami w stronę brzegu. Był albo bardzo szybki, albo niewiarygodnie wściekły, albo jedno i drugie, na co wskazywała jego znacząca przewaga. Widziała go przez chwilę niżej, w grocie, a potem zniknął jej z pola widzenia.

Kiedy dotarła na plażę, ujrzała obrazek, który odpowiadał

jej przewidywaniom.

Alessandro rzucił się na Tana. Obaj walczyli z taką zawziętością, że nawet młodzi mężczyźni w lustrzanych okularach cofnęli się i nie wykazywali woli uczestniczenia w walce.

Rosa zwolniła i zatrzymała się dwadzieścia metrów dalej. W domu, w Brooklynie widziała wiele bijatyk. Co ją jednak zirytowało, to fakt, że żaden z przeciwników nie odezwał się ani słowem. Jak gdyby nie mieli sobie już nic do powiedzenia, jak gdyby wróg nie był wart nawet obelg. Powoli zbliżała się do nich. Miętko stawiała stopę za stopą na gorącym piasku.

Tano nie miał już na sobie okularów, które padły ofiarą jednego z ciosów Alessandra. Jednak nie tylko to sprawiało, że wyglądał inaczej niż zwykle. To jego oczy, wypełnione ciemnością z dwiema ogromnymi, pochłaniającymi biel źrenicami. Takie same, jak oczy Alessandra w atelier. A kiedy przeniosła spojrzenie na niego, w jego wzroku ponownie odnalazła mrok. Włosy Alessandra wydawały się jeszcze ciemniejsze niż poprzednio.

Obie dziewczyny, które wcześniej kąpały się w morzu, stały teraz na plaży trochę z boku, niedaleko skrzynek z prowiantem. Trzecia usiadła na swoim leżaku i zawiesiła nieruchome spojrzenie na sprężystych ruchach Tano. Młodzi mężczyźni w bezruchu śledzili bieg wydarzeń. Tylko kelner krzyczał coś, co miało zakończyć bójkę. Uciszył go zwierzęcy odgłos wydobywający się z głębi gardła Tano.

Obaj walczący krążyli wkoło siebie przyczajeni. Każdy z nich czekał, aż przeciwnik zdecyduje się na jakąś formę ataku.

Spojrzenie Rosy padło na nagie plecy Tana. Były owłosione. Myślała, że to refleksy słońca, ale teraz dostrzegła jasnożółte włoski rosnące na jego plecach wzdłuż kręgosłupa.

Nikt nie zwracał na nią uwagi. Podbiegła do torby i wsunęła do niej teczkę z dokumentami Gai. Kiedy się wyprostowała, nad morzem i plażą rozległ się grzmot.

Dźwięk rotorów.

Mrużąc oczy, dostrzegła helikopter, który warcząc wściekle, czaił się w połowie drogi pomiędzy plażą a zakotwiczonym jachtem. Kontury maszyny zlewały się z kadłubem łodzi w błyskach i migotaniu.

Alessandro rzucił przeciwnika o ziemię. Brutalnie opadł kolanami na jego klatkę piersiową.

Dwie dziewczyny otworzyły jedną ze skrzynek i w następnej sekundzie trzymały w dłoniach karabiny maszynowe. Karabiny! Karabiny maszynowe! Ich widok był tak nierealny, że Rosa zamrugała gwałtownie.

Jeden z chłopaków zdjął okulary przeciwsłoneczne. Kelner wyglądał jak skamieniały.

Alessandro ukucnął nad Tano na ziemi, odrzucił głowę w tył i wydał z siebie triumfalny, drapieżny ryk. Cienie niczym płomienie błądziły po jego ciele, nadając mu czarną, zwierzęcą barwę.

Tano zaskomlał.

Alessandro otworzył usta. Szeroko, jeszcze szerzej. Wyglądał, jakby chciał wbić zęby w gardło przeciwnika. A może krzyknął coś, czego Rosa nie usłyszała w szumie helikoptera?

Piasek zawirował i przesłonił widok.

Obiecuję ci to, powiedziała. Wyciągniemy cię stąd.

Płozy helikoptera dotknęły ziemi.

KŁÓTNIA RODZINNA

Przy włączonym śmigle pilot, zginając się, wyskoczył z kabiny i otworzył boczne, przesuwane drzwi. Piaskowe trąby powietrzne przetaczały się po plaży, długie włosy dziewczyn tańczyły na ich nagich ramionach.

Rosa od dłuższej chwili wiedziała już, z kim ma do czynienia.

Florinda Alcantara wyślizgnęła się na zewnątrz, zgięta przemknęła pod szalejącym piórem śmigła i wyprostowała się. Za nią z helikoptera wyskoczyło dwóch uzbrojonych mężczyzn.

Obaj pomocnicy mieli przy sobie lekkie karabiny maszynowe, takie same, jak te w rękach towarzyszek Tana. Pilot również wyciągnął z kurtki pistolet. Całość wyglądała jak scena z trzeciorzędnego filmu akcji, w którym zabrakło pieniędzy na statystów.

Dziewczęta w bikini z karabinami maszynowymi. Mafiosi w lustrzanych okularach przeciwsłonecznych. Pilot w skórzanej kurtce. Chciała zawołać „cięcie!”, zanim nastąpi koniec. Żeby wszyscy poszli do domu, a obsługa kina mogła posprzątać popcorn.

Zamiast tego jej ciotka zawołała:

– Rosa, chodź, impreza skończona.

Nawet jej kwestie pasowały do czarnego charakteru z filmów klasy B.

Florinda stała w połowie drogi pomiędzy Rosą a helikopterem. Długie, farbowane na blond włosy uderzały ją po twarzy, a dwaj gotowi do ataku, uzbrojeni mężczyźni obracali się w prawo i w lewo.

Jedno Rosa musiała przyznać Florindzie – o ile całość wystąpienia graniczyła z wygłupem, ona zachowała elegancję.

Miała na sobie czarny kostium: krótką spódniczkę i dobrze skrojony żakiet. Najlepszym dowodem, że na poważnie nie liczyła się z konfrontacją, były jej kozaki na wysokim obcasie, w których podczas walki nie przeszłaby po plaży nawet trzech metrów.

I wtedy Rosa zrozumiała, że to wszystko był jedynie teatr. Każdy gest, każde słowo, każde spojrzenie składało się na tajemną mowę, którą rozumieli tylko członkowie dwóch rodzin. Umowa chroniła ich przed sobą nawzajem, a całe to pozowanie na macho było słodką polewą na torcie, którego smak wszyscy znali aż za dobrze. Trzymali się tradycji, która bazowała na tym, co mafiosi zobaczyli na swój temat w filmach. Wszyscy tu najwyraźniej lubili naśladować ojca chrzestnego i człowieka z blizną.

Alessandro wciąż kucał przy Tanie i trzymał obie dłonie na jego gardle. Dziwna ciemność, która do tej pory przenikała mu ciało, zniknęła. Rosa nie widziała dobrze jego oczu, wciąż były bardzo ciemne, ale mogło to być związane z otaczającym go cieniem. Kiedy spojrzał w jej stronę, miała wrażenie, że w jego wzroku dostrzega smutek.

Od czasu przybycia Florindy minęło zaledwie kilka sekund. Tano wykorzystał moment zaskoczenia, poderwał się i tym razem zdołał zachwiać przeciwnikiem. Alessandro na jeden krótki moment stracił koncentrację i teraz musiał za to zapłacić: Tano odepchnął go od siebie, podskoczył, nie próbując jednak uderzyć Alessandra. Zamiast tego patrzył na niego wzrokiem pełnym nienawiści, demonstracyjnie odwrócił się plecami do niego i powoli podążył w stronę Florindy oraz jej ludzi. Strzepnął piasek z nagiej klatki piersiowej, całkowicie niewzruszony hałasem helikoptera, i zatrzymał się trzy metry od Florindy.

– Ta wyspa jest własnością prywatną, o czym pani wie. A mimo to przylatuje pani tutaj ze swoimi lokajami i wymachuje bronią – co mogłoby doprowadzić do szybkiego złamania umowy – i nic panią nie obchodzi, że napędza przy tym moim gościom strachu. – Musiał mówić głośno, by zagłuszyć ryk helikoptera.

Alessandro podniósł się. Rosa zacisnęła wargi i wytrzymała jego spojrzenie. Nie do końca rozumiała jeszcze, co dokładnie się wydarzyło, ale dobrze radziła sobie z tą nową sytuacją.

Chwyciła torbę ze swoimi rzeczami i ruszyła w stronę helikoptera. Tak było lepiej dla wszystkich tutaj, a może nawet i dla samotnej dziewczynki tam, w górze, w willi. Rosa przeszła obok Florindy, która nie zaszczyciła jej spojrzeniem.

Alessandro stanął obok Tana.

Przez chwilę stali tak we czworo naprzeciw siebie w kłębach wzniesianego piasku.

Florinda sprawiała wrażenie, jakby chciała zabić Alessandra wzrokiem, ale swoje słowa skierowała do Rosy:

– Nie masz pojęcia, na co się naraziłaś. Mogli zrobić z ciebie zakładniczkę i prawdopodobnie nawet nie złamaliby w ten sposób konkordatu.

Tano wykrzywił twarz.

– Musielibyśmy to gdzieś sprawdzić, prawda?

– Zakaz rozlewu krwi i porwań – powiedział Alessandro. – Tak mówi umowa.

– Jak dobrze mieć w rodzinie wschodzącą gwiazdę jurysdykcji – zakpił Tano.

Ku oburzeniu Rosy złość Florindy wymierzona była wyłącznie w Alessandra, nie w jego aroganckiego kuzyna. Co by się stało, gdyby zostawiła go z nimi samego? Czy Tano naprawdę by go zabił? Nie po całym tym zamieszaniu – myślała

z nadzieją. Zwłaszcza że nie było już tajemnicą, że obie dziewczyny odrobinę zbyt sprawnie posługują się bronią.

Ale nie mogła być tego pewna.

Niezauważalne drżenie głowy. Jeśli teraz odwróci się plecami do swojej rodziny i podąży za wrogim klanem, nie będzie miał nikogo po swojej stronie i straci swój spadek. Być może właśnie na to liczył Tano – że jego problem rozwiąże się sam, kiedy Alessandro ujawni swoją słabość.

Florinda chwyciła ją mocno za ramię i pociągnęła za sobą do helikoptera. Rosa tak energicznie strząsnęła z siebie jej rękę, że wyrzut w spojrzeniu jej ciotki ustąpił na krótką chwilę miejsca mieszance złości i niechęci, od której Rosie niemal zrobiło się niedobrze. Jeszcze bardziej ją to rozwścieczyło.

– Nigdy więcej tego nie rób! – warknęła na ciotkę. – Nigdy.

A potem odwróciła się na pięcie i z torbą pełną papierów Gai wsiadła do helikoptera.

Jeszcze raz spojrzała na Alessandra. W ciemności szukała jego oczu, wcześniejszego cienia. Ani śladu. Piasek sypał się w jego brązowe włosy, ale twarz ani drgnęła.

Florinda przesunęła się na siedzenie naprzeciwko niej, za nią wsiedli dwaj uzbrojeni mężczyźni. Rosa wcisnęła torbę pomiędzy kolana i trzymała ją obiema dłońmi.

Helikopter odbił od ziemi. Jego wir wyciął ślad w pianie kipieli. Helikopter wznosił się wyżej i zatoczył łuk wkoło jachtu.

Rosa ostatni raz spojrzała przez okno na Lunę. Dostrzegła przeplatającą się ze skałami wulkanicznymi połyskującą biel willi i pomyślała o Iole, która pewnie jeszcze kulila się na plastikowym fotelu, czekając na jej powrót.

Przez resztę lotu starała się unikać wzroku Florindy. Nie

miała jej nic do powiedzenia, więc milczały, aż poniżej pojawiły się drzewa oliwne i ze złotego słońca popołudnia wynurzyło się *palazzo*.

* * *

Następnego dnia Zoe zabrała Rosę na wycieczkę kabrioletem na północ wyspy. Najpierw ruszyły autostradą w stronę Katanii, szybko jednak z niej zjechały i zapuściły się głębiej w górzyste odludzie centrum Sycylii. Brunatno-żółte wzgórza stopniowo zmieniały się w bardziej skalisty krajobraz. Nieliczne pola leżały odłogiem, wiele z nich pokrywały zwęglone resztki podpalonych przez rolników pozostałości ostatnich zbiorów. Wszędzie pachniało dymem, nawet jeśli okolica sprawiała wrażenie opuszczonej. Niekiedy na poboczu krętej drogi pojawiały się szerokie zatoczki, w których stały przepełnione kontenery na odpady. W wielu miejscach ludzie z okolicy po prostu zostawili obok nich worki ze śmieciami. Także w krzewach rosnących wzdłuż drogi kotłowały się opakowania i plastikowe butelki.

– Nigdy w życiu nie widziałam tylu śmieci w jednym miejscu – powiedziała Rosa, kiedy kolejny raz przejechały obok poczernionego sadzą pola, pokrytego spalonymi resztkami tworzyw sztucznych.

– A podobno jest już lepiej – odparła Zoe. – To prawda, trudno sobie wyobrazić, by mogło być gorzej.

– Myślałam, że Cosa Nostra zarabia na nielegalnym przetwarzaniu śmieci.

– Ale nie własnych. Kilka rodzin rzeczywiście działa w tej branży, ale sprowadzają śmieci z Kalabrii albo jeszcze skądinąd.

– To nie poprawia sytuacji, prawda?

Zoe spojrzała na nią poważnie, ale zaraz musiała się skoncentrować na następnym zakręcie.

– Nawet nie zaczynaj prowokować wyrzutów sumienia. Jeśli to zrobisz, będzie po tobie.

– Co robisz, żeby ich nie mieć?

Pytanie wyraźnie zaskoczyło Zoe.

– Zakupy – powiedziała po chwili. – To pomaga na wiele trosk.

– Ale teraz nie zamierzasz tego robić, prawda? Mam na myśli zakupy.

– Nie.

– Więc dokąd jedziemy?

– Zaraz zobaczysz. Już prawie jesteśmy na miejscu.

– Czy to był pomysł Florindy? – Rosa zmarszczyła twarz. – Żeby pomóc mi znaleźć drogę powrotną na łono rodziny?

– Była zbyt wściekła, by o czymś mi mówić.

– Poradzi sobie z tym.

– Nie jest jej łatwo. Mało jest kobiet-głów rodziny. Następnym *capo* miał być tata, ale umarł, a mama wzięła nas do Ameryki. Florinda została nagle sama w swoim *palazzo* i musiała wszystkim dogodzić.

– Chyba nie prowadziła sama interesów?

– Miała swoich *consiglieri*, doradców – powiedziała Zoe. – Ale oni mieszkają w Palermo i Katanii, a kilku z nich w Rzymie i Mediolanie. Niektórzy są naszymi kuzynami i kuzynkami. Prowadzą swoje firmy i udzielają Florindzie wskazówek, ale ostateczna decyzja zawsze należy do niej. Regularnie tu przyjeżdżają i zdają raporty, Florinda też często do nich jeździ. Internet i telefon są zbyt niepewne. Większość spraw załatwia się w cztery oczy i nie zmieni tego żadna, nawet najbardziej wymyślna technologia.

Rosa omiotła spojrzeniem piękny i smukły profil swojej siostry. Zoe miała dwa oblicza, to jasne. Siostra, którą znała z przeszłości, była niestabilna, opętana modą, uzależniona od przyjemności. A obok niej istniała jeszcze jedna Zoe, która otwarcie zajmowała się interesami swojej rodziny. To nowe, nieoczekiwane oblicze Rosa poznała już na początku pobytu na wyspie – w drodze na pogrzeb, kiedy obie z Florindą siedziały naprzeciwko niej niczym dwie owadzie królowe.

Obraz zbladł, kiedy wbrew swojej woli pomyślała znów o Alessandrze. Wydawało się nieprawdopodobne, by Tano po prostu zrezygnował ze swojego planu. Co wydarzyło się na wyspie po tym, jak Florinda ją z niej zabrała? Wyszła na dziecko, które siłą wyciąga się z placu zabaw. Doprowadzało ją to do wściekłości.

– Lubisz go? – Zoe ujęła rzecz bez ogródek.

– Alessandra?

– Dobrze wiesz, kogo mam na myśli.

– W ogóle go nie znam.

– I to właśnie jest problem. Klan Carnevare nie jest taki jak my. Ich rodzina i nasza...

– Nie zaczynaj z historią o Romeo i Julii.

– Czyli naprawdę go lubisz. – To już nie brzmiało jak pytanie.

– Zaprosił mnie. Popłynęłam z nim. To wszystko. Nie rozmawialiśmy o spółdzeniu pięciorga dzieci i zorganizowaniu przewrotu Cosa Nostry.

– Jasne.

Kabriolet przejechał przez spłaszczony szczyt wzgórza. Kolejny raz otworzyła się przed nimi panorama na ciągnące się kilometrami musztardowe wzgórza i obniżenia terenu. U ich podnóża rozpościerała się szeroka tafla wody. Rosa wzięła ją za

rzeke, ale potem zorientowała się, że widzi jezioro rozlewające się w kilku dolinach. Wyglądało jak ciało obce w tym opuszczonym brunatno-żółtym pejzażu.

– Za chwilę będziemy na miejscu.

Zoe skierowała samochód w dół po kilku serpentynach, gdzie dwupasmowa droga prowadziła wprost przez zaporę. Po prawej stronie rozciągała się pokryta szczelinami dolina, po lewej błyszczała powierzchnia jeziora.

Zoe zaparkowała samochód na poboczu na samym środku zapory. Nigdzie wkoło nie było widać innych samochodów, tylko świergot ptaków niósł się nad nimi po bezchmurnym niebie.

– Lago Carnevale – powiedziała pogardliwie. – Oficjalnie nazywa się inaczej, ale należy do nich.

Rosa wzruszyła ramionami.

– Więc mają jezioro. I co z tego?

– W ten sposób zarabiają krocie. Państwowe projekty budowlane, które nie mają żadnego sensownego celu. Nikt tutaj nie potrzebuje zbiornika retencyjnego. W okolicy nie ma żywej duszy, więc niczego nie trzeba nawadniać. Rozejrzyj się – wkoło tylko pustkowie, bezładne góry i opuszczone domy farmerów.

– My budujemy wiatraki, które nie produkują prądu, a oni zbiorniki retencyjne. Jaka jest różnica?

– Nie w tym rzecz – odparła Zoe, kręcąc głową. – Powinnaś wiedzieć, że... jesteśmy tutaj, bo... – Zawahała się i jeszcze raz rozpoczęła zdanie. – Chodzi o to, co jest w jeziorze.

Otworzyła drzwi samochodu i wysiadła. Rosa podeszła obok niej do wysokiej do pasa balustrady. Przez minutę, dwie spoglądały w milczeniu na gładką taflę wody. Oślepiało je połyskujące w jeziorze światło słoneczne.

– Co jest w dole? – zapytała Rosa po chwili.

– Ruiny – powiedziała Zoe.

Rosa wzruszyła ramionami.

– Na Sycylii jest ich pełno. Tak samo trudno je przeoczyć, jak zwały śmieci na poboczu drogi. Nieważne, w którą stronę spojrzeć – na tej wyspie wciąż jest w zasięgu wzroku przynajmniej jedno opuszczone gospodarstwo albo rozpadająca się szopa. Nikt się tym nie przejmuje. Dlaczego akurat tutaj miałyby być inaczej?

– Na dnie stoi cała wioska – powiedziała Zoe. – Giuliana. W okolicy przy kilku drogach stoją jeszcze drogowaskazy. Kto kieruje się nimi po ciemku, kończy w jeziorze. Nie zbudowali nawet blokad.

Rosa wpatrywała się w toń, na darmo starając się dostrzec coś na powierzchni. Woda była o wiele zbyt głęboka, światło zbyt ostre.

– Carnevarowie poruszyli niebo i ziemię, by zrealizować swój plan – ciągnęła Zoe. – Stosy sfalszowanych zaświadczeń, ekspertyz i pomiarów. Ogromne łapówki na najwyższych szczeblach w Rzymie i w Brukseli. To, co zainwestowali, wyciągnęli stukrotnie pomnożone: dofinansowania europejskie, wsparcie państwa i – oczywiście – pensje dla armii inżynierów, robotników budowlanych itd.

– Mimo wszystko nie ma dla mnie różnicy między tym jeziorem a wiatrakami Florindy. Może tylko ta, że Carnevarowie są na tyle sprytni, że robią to na większą skalę.

– Wiatr nikogo nie pozbawia życia. Woda – tak.

Rosa spojrzała na Zoe z ukosa. Świeży poryw wiatru nadleciał znad jeziora i splątał jej blond włosy. Zoe nie odwzajemniła jej spojrzenia i dalej patrzyła w wodę.

– Co tu się wydarzyło?

– Mieszkańcy Giuliany bronili się. Robili wszystko, co mogli, by tak po prostu nie zniknąć z powierzchni ziemi. Najpierw były zebrania, potem obwieszczenia, a nawet demonstracja przed parlamentem w Rzymie, którą nikt się nie zainteresował. I koniec. To było cztery lata temu.

– Nic więcej?

– Żadnych protestów, żadnego oporu.

Rosa przeczuwała, do czego zmierza Zoe, a mimo to zapytała jeszcze:

– Dostali jakieś rekompensaty?

– Rzekomo zostali przesiedleni. – Zoe wykrzywiła kąciki warg w gorzkim uśmiechu. – Przydzielono im nowe miejsce w Kalabrii, po drugiej stronie Cieśniny Mesyńskiej. Jak gdyby można było wpakować ośmiuset Sycylijczyków na łódź, przewieźć przez wodę i skoszarować gdzieś indziej na resztę życia. – Już się nie uśmiechała, mówiąc: – To się nie udało nawet z nami dwiema.

– A jaka jest prawda?

– Oficjalnie mieszkają tam i hodują bydło albo owce. W rzeczywistości sami stali się owcami. Przyszły wilki i rozszarpały je. A ściślej: to były tygrysy i lwy.

Rosa zwalczyła wspomnienie zjawy w gaju oliwnym.

– Carnevarowie ich zabili? Wiesz, jak to brzmi? – A potem pomyślała o dziewczynach z karabinami maszynowymi na wyspie. – Utopili ich w jeziorze?

Zoe podniosła mały kamyk z balustrady i cisnęła go w topiel. Zginął bez śladu w otchłani.

– Oni nie utonęli. Przynajmniej o ile mi wiadomo. Po prostu zniknęli z dnia na dzień. Zapora była już wtedy prawie gotowa. Giuliana leżała w dole, w cieniu doliny. – Zoe wskazała na taflę wody. – I wciąż tam leży. Najprawdopodobniej dotyczy

to też jej mieszkańców. Jeśli chcesz znać moje zdanie: założę się, że ich ciała są tam, w dole. Wiedziałaś, że Carnevarowie są kimś w rodzaju grabarzy Cosa Nostry? Jeśli jedna z pozostałych rodzin chce, by ktoś zniknął, prosi ich o pomoc. Drogi, pasy startowe na lotniskach, a nawet budynki rządowe w Katanii i Palermo. Ludzie Cesare Carnevary wypełniają fundamenty nie tylko betonem.

A więc to dziedzictwo było tak ważne dla Alessandra. To o nie walczył do krwi z Tanem i jego ojcem. Recykling zwłok pod domami i autostradami. Wyludnione wsie na dnie cichych jezior.

Rosa wspięła się na balustradę, zrobiła krok do przodu i stanęła na kamiennej krawędzi. Powierzchnia zbiornika znajdowała się jakieś dwadzieścia metrów pod nią.

– Zejdź stamtąd – powiedziała Zoe.

Rosa strząsnęła jej rękę ze swojej łydki.

– Nie. To ty chodź tu do mnie na górę.

Zoe obdarzyła ją jednym długim wściekłym spojrzeniem, potem westchnęła głęboko i przywołała na twarz uśmiech. Chwyła rękę, którą wyciągnęła do niej Rosa, i wspięła się na mur. Bok przy boku stały o krok od przepaści, podczas gdy wiatr rozwiewał ich ubrania i włosy.

– Dlaczego mi to opowiedziałaś? – zapytała Rosa cicho. – Powiedz prawdę.

– Ponieważ Alessandro Carnevare nie...

– Ponieważ powiedziała to tobie Florinda? Sama wymyśliła tę historię?

– Ona jest prawdziwa, Rosa.

– A nawet jeśli jest, to czy powinnam się teraz przestraszyć? Czy powinnam go z tego powodu znienawidzić? Wiedziałam dobrze, dokąd zmierzam, kiedy wsiadałam do

samolotu do Włoch. Myślisz, że jestem aż tak naiwna? Czy Florinda tak myśli? Wiem, kim i czym jest nasza rodzina. I wiem, że nie jest ani odrobinę lepsza od Carnevarów, Riinów i wszystkich innych. A ty i ja jesteśmy jej częścią.

– Nie masz pojęcia, czego częścią – szepnęła Zoe przez wiatr.

– Bardzo możliwe. – Rosa poszukała dłoni siostry. Ostatnio zrobiła to, kiedy była dzieckiem. – Ale gdzieś indziej dokonano przestępstw, za które to my jesteśmy odpowiedzialni. Nasza rodzina. Prawdopodobnie nasz ojciec. Czego oczekuje Florinda? Że zakochamy się w chłopakach z przyzwoitych, przestrzegających prawo, poważanych rodzin z Turynu albo Mediolanu? Albo że przez całe życie będziemy same, jak ona?

Dłoń Zoe była zimna jak lód.

– Nie zrozumiesz tego. Jeszcze nie.

– Wiesz co? – zaczęła Rosa z naciskiem. – Nie mam najmniejszych wyrzutów sumienia, żadnych skrupułów względem tego, co – być może – spotkało mieszkańców Giuliany. Jestem z rodziny Alcantarów i nie mogę tego zmienić. Tak samo jak Alessandro nie może zmienić tego, kim jest.

Zoe otworzyła usta, by coś powiedzieć, ale nie wydobył się z nich żaden odgłos. Zwilżyła wargi końcem języka i milczała dalej.

– Na wyspie nic się nie wydarzyło – powiedziała Rosa i spojrzała ponownie na połyskujący wodny dywan. – Nic, o czym pomyślałyście.

Milczała przez chwilę, patrząc w dal ku drugiemu brzegowi jeziora.

– Nic – wyszeptała jeszcze raz i tym razem chciała przekonać o tym nie tylko Zoe.

TYGRYS I WĄŻ

Było już ciemno, kiedy wróciły do *palazzo*. Rosa, znalazłszy się sama w swoim pokoju, wybrała w komórce numer Alessandra. Nagrany głos wyjaśnił jej, że wybrany numer nie istnieje. Zirytowana spróbowała jeszcze raz, z tym samym rezultatem. Cisnęła złotą komórkę na poduszki. Wylądowała miękko, niczym w śnieżnej zaspie.

Na łóżku leżała także plastikowa teczka z dokumentami Gai Carnevare, a obok niej *Bajki Ezopa*. Dwa dowody zaufania Alessandra. Dlaczego numer już nie odpowiadał? Czy coś mu się stało na wyspie? Czy w tej sytuacji Cesare tak szybko zablokowałby jego telefon? To raczej nieprawdopodobne.

Musiała przyznać, że była zaniepokojona. Miała przy tym wszelkie powody, by czuć się rozczarowana, bo przecież Alessandro zabrał ją na wyspę tylko dla swojego bezpieczeństwa. Dała sobie z tym radę. Dąsanie się, że ktoś nie jest dla niej dostatecznie miły, nie było w jej stylu. W zasadzie niewiele rzeczy potrafiła usprawiedliwić z taką łatwością, jak bycie niemiłym. Ostatecznie ona sama w takiej sytuacji nigdy nie prosiła innych o wybaczenie. Ale dlaczego zaprzętała sobie myśli kimś, na kogo właściwie powinna być wściekła?

Lubił ją, tak jej powiedział. Ludzie lubią też na przykład szczeniaki i świnki morskie. To żaden powód, żeby za zmieniony numer telefonu spuszczać nos na kwintę. Nie była nawet pewna, czy ona go lubi.

Wybrała jego numer po raz trzeci, nie używając menu, ale wpisując każdą cyfrę osobno. Bardzo długo gapiła się w ekran, by na pamięć nauczyć się szeregu cyfr, a teraz – w głowie – zabrakło klawisza z napisem *delete*.

Usłyszała ten sam komunikat.

Komórka znów wylądowała na poduszkach. Niecierpliwie poderwała się z łóżka, otworzyła okno i głęboko odetchnęła. Wieczorne powietrze przyjemnie pachniało drzewami piniowymi.

Poniżej połyskiwała szklana palmiarnia. Okna zaryglowano od wewnątrz. Jeszcze raz zadała sobie pytanie, jakim celom może służyć taki budynek na wyspie, na której dziko rosną palmy. Nawet w *palazzo* było ich kilka; wznosiły się po zachodniej stronie, wzdłuż wielkiego tarasu widokowego i podczas zachodów słońca rzucały cień na basen.

Para wodna na szybach palmiarni ukrywała jej wnętrze przed spojrzeniami.

Dostrzegła jakiś ruch za rogiem i od razu wiedziała, że to Zoe.

Jej siostra wyszła z bezpiecznego ukrycia w cieniu palmiarni i przecięła dziedziniec. W połowie drogi zatrzymała się. Rosa szybko cofnęła się w głąb pokoju i nie zdążyła zauważyć, czy Zoe spojrzała w okna. Kiedy odważyła się ponownie wyjrzeć na zewnątrz, jej siostra była już w cieniu kasztanów.

Rosa miała na sobie dżinsy, letnie lniane buty i jeden z ciemnych T-shirtów, które dała jej Zoe. Klucze do drzwi tkwiły w kieszeni spodni. Niczego więcej nie potrzebowała. Kieszonkowa latarka zdradziłaby jej obecność.

Szybko opuściła pokój, przebiegła przez wysokie, ciemne korytarze klatki schodowej i chwilę później przez tylne drzwi wydostała się na zewnątrz. O tej porze Florinda siedziała wygodnie w swoim gabinecie, pracownicy od dawna byli z powrotem we wsi albo na Piazza Armerina. Rosa musiała uważać tylko, by nie wpaść prosto w ręce któregoś ze strażników.

Jej siostra wybrała trasę pod górę. Po drugiej stronie rzędu kasztanów las piniowy sięgał aż do szczytu wzgórza. Nawet jeśli Zoe nie spieszyła się, na pewno miała nad nią przewagę.

Rosa zapamiętała miejsce, w którym Zoe zniknęła między drzewami. Niebo było jeszcze czyste, połowa księżycy świeciła słabym światłem. Wkrótce Rosa odkryła wąską ścieżkę, która prowadziła w kierunku wzgórza.

Igły drzew piniowych tłumiły jej kroki. Dróżka wiła się po opadających i stromych zboczach. Tuż przedtem, zanim dotarła do szczytu wzgórza, dostrzegła siostrę – cień pomiędzy gałęziami drzew. Zoe miała około pięćdziesięciu metrów przewagi. Szła zdecydowanie, ale bez wielkiego pośpiechu.

W pewnej chwili Rosa obejrzała się przez ramię i pomiędzy drzewami dostrzegła kilka zagubionych świetlistych punktów. Okna *palazzo*. Dlaczego nie włączyły się czujniki ruchu zamontowane na zewnętrznym oświetleniu? Czyżby Zoe je wyłączyła? Przed czyimi spojrzeniami chciała się chronić? Florindy? Rosy?

Zoe zniknęła za krawędzią wzgórza, a Rosa przyspieszyła kroku. Jeszcze więcej drzew piniowych, jeszcze więcej cieni. Gdzieś przed nią Zoe biegła przez ciemność. W igłach drzew szumiał wiatr.

A wtedy wzgórze urwało się tak nagle, jakby ktoś gigantycznym szpadlem odciął jego część. Ostra krawędź, a poniżej skalny wąwóz, głęboki może na dziesięć metrów. Po przeciwnej stronie także rosły drzewa, a nad nimi wisiało czyste, rozgwieżdżone niebo.

Rosa stanęła na skraju, zobaczyła, że ścieżka po ostrym zakręcie prowadzi wzdłuż przepaści. Wydawało jej się, że znów dostrzegła Zoe, wąską postać pomiędzy krawędzią skał i drzewami. Rosa zwolniła, co miało ją ustrzec przed

zdemaskowaniem, kiedy nagle jej siostra niespodziewanie zatrzymała się i obejrzała za siebie. Nie było czasu, by szukać schronienia z boku, między drzewami. Zastygła w cieniu pinii z nadzieją, że ciemność ukrywa kontur jej sylwetki. Zoe patrzyła teraz prosto na nią. Potem jednak odwróciła wzrok w kierunku wąwozu, spojrzała też w niebo, jak gdyby spodziewała się prześladowców z powietrza.

Kiedy Zoe ruszyła, Rosa jeszcze przez chwilę stała w miejscu, zanim na nowo podążyła za siostrą. Ścieżka biegła kilkaset metrów wzdłuż krawędzi, niecałe dwa kroki od niej. Gdzieś odezwała się sowa.

Z ciemności wynurzył się masywny zarys farmy. Rosa pomyślała najpierw, że zrujnowane budynki są opuszczone, ale potem dostrzegła wewnątrz słabe światło. Dachówki wyglądały na zniszczone, a jasne mury groziły zawaleniem. W fasadzie nie było okiennic, ale ktoś zawiesił wewnątrz czarne zasłony. Jasność przebijała przez wąską szparę pomiędzy płachtami materiału.

Zoe zawołała coś, czego Rosa nie zrozumiała. Tylna ściana domu stała bezpośrednio przy skalnej krawędzi, przód budynku zwrócony był w stronę lasu piniowego. Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem, żółty snop światła rozlał się po ziemi. Sylwetka Zoe odcinała się od jasnego prostokąta, w którym widać było tylko jedną, przysadzistą postać z szerokimi ramionami. Mężczyzna skinął w jej stronę w zapraszającym geście, a potem drzwi się zamknęły.

Rosa, ukrywając się, przeszła pomiędzy drzewami na przód domu, starannie wybierając miejsce, które leżało poza zasięgiem światła, na wypadek, gdyby drzwi ponownie się otworzyły. Nie była zdecydowana, co dalej robić. Skradanie się pod oknem było dziecinne. Dlaczego miałoby ją interesować, co Zoe robi w

środku? W takim razie po co ją śledziła? Zaczęła czuć wstyd.

Była już prawie zdecydowana, by po prostu wrócić i zostawić Zoe z jej sprawami, kiedy znów rozległo się skrzypienie i drzwi ponownie się otworzyły. Nie minęło nawet dość czasu na powitanie.

Jej siostra ukazała się w drzwiach w towarzystwie krępego mężczyzny, dwa kruczoczarne cienie na tle panującej w domu jasności. Zoe zgięła się, ucałowała mężczyznę przyjacielsko w oba policzki i pospieszyła z powrotem ścieżką na krawędzi wąwozu. W ręce trzymała płaskie zawiniątko, jak poprzednim razem, kiedy obserwowała ją Rosa. Ponownie obejrzała się za siebie, pomachała mężczyźnie i zniknęła w ciemności.

Rosa wstrzymała oddech, kiedy cień jeszcze przez chwilę stał w drzwiach. Mieszkaniec budynku najwyraźniej się rozglądał, a jego spojrzenie wędrowało po całej ścianie lasu, włączając w to miejsce, w którym się ukrywała. Kilka razy zatrzymał wzrok, jak gdyby coś dostrzegając, ale w końcu wszedł do domu i zamknął za sobą drzwi. Rosa zagryzła dolną wargę i odważyła się wciągnąć powietrze.

Kiedy wróciła na ścieżkę, doszła do wniosku, że jej zdenerwowanie było nieuzasadnione. Znajdowała się na terenie Alcantarów, w pobliżu *palazzo*, a po drugiej stronie wzgórza uzbrojeni strażnicy strzegli bezpieczeństwa jej ciotki. Florinda musiała wiedzieć o mężczyźnie mieszkającym w ruinach. Być może Zoe przyszła tu na jej polecenie. Co jednak mogła tu mieć do załatwienia?

Przed Rosą rozciągała się opuszczona ścieżka nad wąwozem. Zoe musiała się spieszyć. Także i ona przyspieszyła, wkrótce skręciła w kierunku wzgórza i podążała wąską drogą w stronę jego szczytu.

Pomiędzy drzewami piniowymi rozległo się warczenie.

Najpierw po lewej, potem za nią, a na końcu po prawej stronie ścieżki.

Nie zaczęła uciekać. Po prostu stanęła.

Powoli przesuwiała wzrokiem po korzeniach drzew. Żaden gąszcz nie przesłaniał jej widoku, a drzewa piniowe rosły w dużych odstępach od siebie.

Trudno było przeoczyć tygrysa. Zawsze uważała, że drapieżne koty są eleganckie i zwinne, ale to, co stało w ciemności, było ogromne – góra mięśni i żółto-czarnego futra z białymi zębami w pysku. Tygrys oblizywał swoje kły.

Powinna być zaskoczona. Przerażona na śmierć.

A jednak nie była.

Przychodzą nocą.

Warczenie przerodziło się w głęboki pomruk.

Zawsze nocą.

Tygrys zaczął obchodzić swoją ofiarę, a ona odwracała się tak jak i on, nie spuszczać go z oka. Kilka metrów wyżej, na wzgórzu, przeciął ścieżkę i sunął dalej pomiędzy drzewami po jej lewej stronie. Zbliżał się, ale nie prostą drogą, tylko spiralą, która stopniowo zmniejszała dystans pomiędzy nimi.

Jeszcze jedno kółko. I jeszcze jedno.

Kiedy trzeci raz przeszedł przed nią przez ścieżkę, dzieliło go już od niej zaledwie kilka metrów. Zagrożenie, które od niego biło, miało w sobie coś hipnotyzującego. Rosa przestała się odwracać, stała teraz twarzą zwróconą w kierunku wąwozu i z dziwnym trudem usiłowała choćby pomyśleć o ucieczce.

Był z pewnością dziesięć razy szybszy od niej. Nie miała nawet cienia szansy.

Odgłos gniecionych pod łapami drapieżnego kota igieł piniowych umilkł. Wyczuwała jego oddech dokładnie za sobą, na swoich plecach. Pachniał dzikością, zwierzęcą siłą,

pewnością, że może z nią zrobić, co chce, a ona nie będzie umiała się bronić. I chociaż wiedziała, że to zwierzę przerasta stukrotnie domowe drapieżniki, z jakimi stykała się wcześniej, nie czuła strachu. Być może wszystkie jej zmysły stępiały, także te, które odpowiadały za panikę.

Bardzo powoli odwróciła się w jego stronę.

Stał tam, dwa metry wyżej na ścieżce, jego ogromne ciało było napięte, głowa opuszczona. Patrzył na nią.

Przypomniała sobie to spojrzenie.

Rozpoznała jego oczy.

Wciąż nie odczuwała potrzeby, by krzyczeć lub uciekać. Mimo to zaczęła iść tyłem, ostrożnie, krok za krokiem. Dziwiła się, że nie rozpoznała go wcześniej.

Zamierzał ją zabić. Dlatego tu przyszedł.

Już raz została skrzywdzona i odtąd była gotowa się bronić. Wszystko jedno, przeciwko czemu lub komu. Ale dlaczego dzisiaj zamiast palącej złości po jej ciele rozlewał się dziwny chłód?

Tygrys podążał za nią powoli. Zgięty schodził za nią ścieżką, utrzymując niezmienny odstęp kilku metrów. Jej stopy, cofając się, szukały oparcia w sprężystym leśnym podłożu. W tym miejscu droga była spadzista. Jeden fałszywy krok groził upadkiem. Wąwóz był niedaleko niej, może w odległości dziesięciu kroków.

Spojrzała na tygrysa i dostrzegła, że napawa się swoją przewagą. Obserwował ją i zdawał się na coś czekać. Czekał, aż w końcu spanikuje? Lód w jej żyłach skutecznie to uniemożliwiał.

Zaczęła się trząść, kiedy nienaturalne zimno przejmowało kontrolę nad jej ciałem. Tygrys chyba to zauważył i zmrużył oczy. Liczyła się z tym, że w następnej chwili na nią skoczy.

Rosa otworzyła usta.

Rozległ się świst. Przez chwilę myślała, że wydobył się z jej ciała.

Ciemna ścieżka za tygrysem ożyła. Jej zakręty drżały, ziemia ruszała się. Cienie ześlizgiwały się ze szczytu góry.

Za jednym zamachem ciemność uniosła się z ziemi, ciemna wstęga rozprostowała się za drapieżnikiem i wyglądało to tak, jakby sama ścieżka zmieniła swój bieg, rozciągnęła się nad tygrysem i pochłonęła go.

Bestia wydała z siebie ostre parsknięcie, kiedy zorientowała się, że została zaatakowana od tyłu. Ciemność owinęła się wkoło ciała tygrysa. Jej przedni koniec rozwarł się, dwoje oczu błysnęło w świetle księżyca niczym sztabki złota w kształcie migdałów. Paszcza, która nagle przesunęła się nad kark drapieżnika, opadła.

Tygrys był o ułamek bicia serca szybszy. Rzucił się na bok, ruszył grzbietem w stronę drzewa i wcisnął napastnika pomiędzy swoje ogromne cielsko i korzeń. Był przygotowany do ataku, ale uderzenie spowodowało, że kłapał teraz zębami w ciemność.

To był wąż. Długi na kilka metrów wąż pokryty srebrzyście czarnymi łuskami, z czaszką wielką jak u krokodyla i zębami długości palców.

Oplótł ciasno ciało tygrysa i ścisnął jego klatkę piersiową, podczas gdy jego głowa przecinała ciemność, próbując umknąć przed kłapiącą paszczą.

ZIMNOKRWIŚCI

Tygrys i wąż tarzali się po ziemi, prychając i siłując się, prowadzili walkę na śmierć i życie, uderzali o drzewa i za jednym skokiem drapieżnego kota znów lądowali na ścieżce, tym razem poniżej Rosy, która wirując w miejscu, próbowała ogarnąć otaczający ją chaos żółci i czerni, łap i ostrych jak igły zębów.

Zimno wciąż było w niej, ale nie rozprzestrzeniało się. Całe jej ciało pulsowało, jak gdyby serce napuchło do nienaturalnych rozmiarów i chciało wyskoczyć z klatki piersiowej. Bolało ją w środku, coś wsysało jej narządy i próbowało wywrócić ją na drugą stronę, złamać, uformować na nowo.

To wszystko działo się w tle, bo całą jej uwagę wciąż przykuwała walka między dwiema bestiami. Rosa próbowała złapać równowagę, nie mogąc jednocześnie uwolnić się od spojrzenia wściekłego tygrysa. Z całej siły próbował strząsnąć z siebie ogromnego węża, który wieloma pętlami owinał się wkoło jego ciała. Skakał i przewracał się, turlał po ziemi, zdierał węża z grzbietu, czołgając się w kłębowiskach igieł piniowych i kurzu w dół ścieżki. Dopiero na krawędzi lasu znów stanął na czterech łapach, a oszołomiona Rosa przypomniała sobie, co znajdowało się za nią. Krawędź skały, a dalej wąwóz.

Łeb węża kołysał się na wpół zamroczony gwałtownym atakiem nad grzbietem tygrysa. Jeszcze raz szeroko rozwarł pysk, obnażone zęby połyskiwały niczym sztylety z kości słoniowej. Tygrys machnął łapą ponad głowę i przednią częścią cielską, trochę nieporadnie, jakby siedział na nim natrętny owad. Trafił gada poniżej jego łba, sprężyste ciało zgięło się wpół i elegancko odparowało morderczy cios. Wężowi znów nie udało się wbić zębów w tygrysi kark – o mgnienie oka za późno

zorientował się, że uderzenie miało jeszcze jeden cel. Potężny unik sprowadził jego ciało w zasięg tygrysiego pyska, tylko na krótką chwilę, ale to wystarczyło.

Drapieżny kot, warcząc, chwycił ciało węża, wbił w nie zęby i szarpnął. Gad syknął, ale zamiast się poddać, przystąpił do kontrataku. Zakrzywione zęby zniknęły w futrze tygrysa, zagłębiając się w nim aż do oporu. Jego ukąszenie nie mogło być jadowite, w przeciwnym razie przeciwnik już by padł. Obaj jeszcze mocniej wzajemnie się zakleszczyli. Tygrys próbował się uwolnić, ale z odwróconą szyją mógł użyć tylko ułamka swojej siły. Wąż dusił go, wpijał zęby w jego ciało. To, że drapieżny kot jeszcze stał, graniczyło niemal z cudem.

Rosa zachwiała się i oparła o drzewo rosnące niedaleko ścieżki, oddalone o kilka metrów od pola walki. Jedną ręką podpierała się, a drugą gwałtownie pocierała oczy. Tygrys i wąż znów złączyli się w jedną postać, wszystko wkoło niej drżało. Być może był to efekt zimna, który odbił się także na jej wzroku. A może to działało się naprawdę.

Tygrys zaskowyczał z furją i puścił pokryte łuskami cielsko. Wąż wydał z siebie ostry syk, stłumiony sierścią i mięsem, które miał w pysku. Nacisk na ciało drapieżnego kota wreszcie zaczął działać, tygrys stracił oddech i odskoczył na bok.

Słaby skok doprowadził go dokładnie na brzeg skalnej przepaści. Wąż także pojął, co się stało, ale był zdecydowanie zbyt mocno owinięty wkoło tygrysiego cielska, by na czas się odplątać.

Gmatwanina tygrysa i węża straciła równowagę i jej impet wyrzucił ją poza krawędź. W następnej chwili zniknęli. Rosa usłyszała pęknięcie suchych gałęzi, a następnie głuchy odgłos uderzenia o ziemię w wąwozie.

Ich obraz zacierał się przed oczami Rosy, znikający koszmar, zawieszony w połowie drogi między snem a jawą, aż w końcu ostatecznie rozwiła go rzeczywistość. Ścieżka i skalna krawędź leżały przed nią puste, fragment dzikiego krajobrazu w bladym świetle księżyca.

Poniżej, w przepaści, coś się poruszyło.

Rosa odwróciła się gwałtownie i zataczając się, ruszyła w stronę wzgórza.

* * *

Światła *palazzo* tańczyły przed nią w ciemności, znikaly za drzewami i wynurzały się ponownie. Szła, potykając się, ścieżką prowadzącą w dół. Zachwiała się i upadła. Powoli i z wysiłkiem unosząc ciało, wbiła w dłonie piniowe igły. Kontury korzeni, szare odpryski nocnego nieba i błyszczące punkty okien zlały się w jeden wirujący taniec, w którym nie umiała się odnaleźć. Było jej potwornie zimno, drgawki nie ustąpiły. Chłód wypierał krew z jej żył i promieniował od serca.

Szersze korzenie drzew. Kasztanowce.

Rozszalały oddech brzmiał w jej uszach niczym syk węża. Nie czuła swoich palców, jakby jej ręce kończyły się tępymi kikutami. Kolana uginały się coraz niżej, traciła kontrolę nad nogami. Wargi były wysuszone i popękane, zwilżyła je językiem. W tej samej chwili potknęła się, upadła i niemal odgryzła sobie język. Niezgrabnie wyprostowała się i pobiegła dalej.

Nagle ktoś przed nią wyrósł, jakaś postać. Rosa chciała ją odepchnąć – Nie ja, nigdy więcej! – ale jej ręce napotkały pustkę. Nagle ktoś chwycił ją i unióśł wysoko. Męski głos coś do niej powiedział. To jeden ze strażników.

Kiedy ją niósł, czuła się tak, jakby nic nie ważyła. Chociaż stawiał jej wiele pytań, żadnego z nich nie rozumiała. Wciąż walczyła z jego uściskiem. Obce spojrzenia, obce dłonie. Obce ciało tak blisko jej ciała, o wiele za blisko.

A potem inny głos.

Florinda.

Rozgniewanym tonem wydawała polecenia, których Rosa nie rozumiała. Drgawki trochę ustąpiły, ale wciąż było jej zimno, choć nie tak bardzo jak wcześniej. Wszędzie wkoło było jasno. Wizje aniołów i diabłów – malunki na sufitach *palazzo*. Była w domu, wciąż niesiona w ramionach mężczyzny, i patrzyła w górę, kiedy ten niósł ją pospiesznie przez korytarze i sale. Poważne, blade twarze o okrągłych policzkach. Pomiedzy nimi pociągłe głowy świętych mężów. Skręcone ornamenty i wzory. Wcześniej nie zauważyła, jak przytłaczające są te freski.

Skrzypnęły drzwi i Rosa znów usłyszała obok siebie Florinę, tym razem wściekłą. Ręce na jej ciele. Już jej nie nieśli, leżała na miękkim podłożu. Czy to jej łóżko? Nie, to nie łóżko. Czuła trawę lub ziemię. Czy znów była na zewnątrz?

Tylko nie z powrotem do lasu! – chciała krzyknąć, ale zamiast tego z jej ciała wydobyło się prychnięcie. Z sykiem zaczerpnęła powietrza. W obsesyjnym rytmie wciąż przeciągała językiem po suchych i chropowatych wargach. Próbowwała ruszać palcami i stopami, ale nawet jeśli jej się udawało, nie czuła tego. Jej ciało wygięło się w pałąk i znów opadło.

Mężczyzna już dawno odszedł, Florinda zamilkła. Czy czuwała jeszcze przy niej? Rosa straciła zainteresowanie tym, gdzie była i czym była. W *staccato* trzeźwych spojrzeń i ciemności nic nie miało znaczenia.

Nie było już tak jasno jak wcześniej, otoczenie miało blady i mętny odcień delikatnej zieleni i błękitu. Światło w akwarium,

pomyślała w zamroczeniu. Pod wodą, jak zatopieni mieszkańcy Giuliany. A przecież mogła oddychać teraz spokojniej, mogła zaczerpnąć powietrza, a do jej płuc nie dostawała się woda. Otaczały ją dźwięki – szelesty i trzaskanie, jak gdyby ktoś ciągnął coś ciężkiego po grubym leśnym poszyciu. Nie leżała w łóżku, a na ciepłej ziemi.

Była naga. Ktoś ją rozebrał.

Narastał w niej krzyk, podobny do tego, który wydała z siebie przed rokiem, chociaż nie była tego pewna. Także wtedy została rozebrana.

Dotykała swojej nagiej skóry, przeciągnęła ręką po tułowi, kościstych biodrach i udach. Znów czuła swoje dłonie.

Jej oczy przyzwyczyły się do przyćmionego światła. Wszędzie wkoło widziała rośliny, gęstą, tropikalną wegetację. Jak w dżungli. Powietrze było wilgotne i ciężkie. W szybach ponad nią odbijało się rozproszone światło. Pomiedzy roślinami paliły się lampy.

Teraz wiedziała. To nie akwarium, to terrarium.

Uniosła głowę i dostrzegła ruch. Węże, kilkadziesiąt węży, ale nie tak wielkich jak ten w lesie. Nie bała się ich, lubiła je znacznie bardziej niż ludzi, którzy gromadzili się nad jej nagim ciałem.

Węże ocierały się o nią, pełzały po niej, ale nie wykazywały chęci wyrządzenia krzywdy. Sprawiały wrażenie, jakby się jej bały. Kiedy Rosa spojrzała na siebie, w mgnieniu oka spełzły z jej ciała i podążyły pospiesznie z powrotem w gęstwinię.

To nie był sen. Była w palmiarni Florindy.

Węże cofnęły się z respektem, ukryły się w cieniu i spoglądały na nią z ciemności swoimi oczami podobnymi do kamieni szlachetnych.

Rosa uniosła się i strząsnęła ze skóry wysuszone łuski.

DZIKIE PSY

Spała aż do wczesnego popołudnia. Kiedy się obudziła, nie była pewna, czy to, co wydarzyło się poprzedniej nocy, było snem, czy jawą.

Jej ciało było czyste i pachniało mydłem, ale nie mogła sobie przypomnieć, by brała prysznic. Poduszka była mokra, pewnie od jej mokrych włosów. W wannie, stojącej w łazience obok jej pokoju, dookoła odpływu zatrzymały się resztki piany. Było to bardziej niepokojące niż rozmazane obrazy ogromnych węży i drapieżnych kotów, które przebiegały jej przed oczami. Od tamtego czasu najbardziej obawiała się luk w pamięci. Była przerażona, a jej palce nie przestawały się trząść.

Miała na sobie szlafrok ze złotym motywem kwiatów. Bez wątpienia pochodził z szafy Zoe. Na krześle leżało kilka neutralnych czarnych ubrań, które parę dni temu jej siostra przywiozła dla niej z Piazza Armerina, a obok nich wyczyszczona czarna spódniczka, w której przyleciała na wyspę.

Jakimś cudem udało jej się, jak gdyby nigdy nic, umyć zęby. Włosy nawet po szczotkowaniu pozostały dzikie i potargane, ale desperacko próbowała omamić się normalnością. Rób wszystko jak zwykle. Nie daj się. To ty masz kontrolę.

Problem w tym, że przeszłość wymykała się jej spod kontroli. Wydarzenia w lesie, przebudzenie w palmiarni, gdzie była w połowie przykryta przez węże – niczego nie miała pod kontrolą, nie wiedziała nawet, co dokładnie się stało.

Udało jej się dotrzeć do toalety. Zwymiotowała i klęcząc, w jednej chwili poczuła się tak wycieńczona, że wydawało jej się, że nie zdoła na powrót stanąć na nogach.

Z wielkim wysiłkiem podniosła się, wytarła z twarzy łzy,

jeszcze raz umyła zęby, płucząc je tak długo, aż zabrakło jej powietrza. Włożyła spódniczkę, T-shirt i czarne rajstopy. Kiedy zawiązywała czarne buty, dłonie trzęsły się jej tak niemiłosiernie, że myślała, że nigdy nie skończy.

Ktoś zapukał do drzwi.

– Nie żyję – powiedziała.

Weszła Zoe.

– Ja jeszcze bardziej.

Miała rację – wyglądała okropnie. Na pierwszy rzut oka było widać, że usiłowała ukryć część swoich stłuczeń i sińców pod makijażem, uzyskując przy tym jednak taki efekt, jak gdyby złomowane auto doprowadzać do porządku za pomocą farby i pędzla. Miała podbite oko, pękniętą wargę, a na skraju jej dekoltu Rosa dostrzegła kawałek białego opatrunku, którym obwiązane było jej ramię.

– Jak ty wyglądasz?! – Rosa zerwała się na równe nogi, ale to nie był najlepszy pomysł. Jej kolana strzyknęły i po chwili znów siedziała na krawędzi łóżka.

– A ty? – zapytała Zoe.

– Ty jesteś ranna, a ja tylko nieźrównoważona. Ty mów pierwsza.

Zoe udało się przywołać na twarz słaby uśmiech.

– Byłam na zewnątrz wczoraj wieczorem. – Zawahała się i najwyraźniej nie wiedziała, czy Rosa śledziła ją, czy znalazła się w lesie przez przypadek. Na pewno przeczuwała prawdę, ale nie chciała się w nią zagłębiać. – Poszłam na spacer i coś mnie zaatakowało. Pewnie jakiś dziki pies, a może cała zgraja. Nic więcej nie wiem, zupełnie urwał mi się film. Zgarnęli mnie strażnicy. Swoją drogą to twoja zasługa – gdybyś już wcześniej nie weszła im w drogę i w związku z tym nie musieli przeszukać całego wzgórza, nie znaleźliby mnie tak szybko.

Rosa spojrzała na nią badawczo.

– Może lepiej odpuścić sobie spacerowanie w tej okolicy.

Zoe wytrzymała jej spojrzenie.

– Pewnie masz rację.

Jaka część tego wyluzowania była udawana, a jaka autentyczna?

– Co się stało z twoim ramieniem? – zapytała Rosa.

– Wygląda gorzej, niż rokuje. To rana od ugryzienia. Lekarz z Piazza Armerina mnie zaszczepił. Był tu wczoraj w nocy, u ciebie zresztą też.

Rosa poczuła ucisk w gardle.

– Zupełnie nic nie pamiętam.

– Florinda mówi, że tobie dał zastrzyk uspokajający. Kiedy znaleźli cię na skraju lasu, byłaś kompletnie wykończona. Zaniósł cię do łóżka i wypuścił strażników. Kiedy wróciła do ciebie po chwili, zniknęłaś. Podobno lunatykowałaś. Florinda mówi, że doszłaś do palmiarni i tam się położyłaś. W tym samym czasie przyjechał lekarz i dopiero on cię obezwładnił.

Rosa nie mogła nic powiedzieć, ale jej spojrzenie musiało być bardzo wymowne.

Zoe źle je zinterpretowała.

– Lekarze, którzy mają do czynienia z rodzinami, nie wahają się długo. Zwykle muszą sobie radzić z gorszymi przypadkami niż parę zadrapań i ukąszeń. Po prostu robią, co trzeba zrobić, i nie strzepią sobie języka na darmo. Tak jest lepiej dla wszystkich i za to dostają dobre pieniądze.

– Cena milczenia – szepnęła Rosa.

– To jest Sycylia. *Omertà* jest jej częścią, tak samo jak dym nad płonącymi polami i śmieci przy drogach.

– Jakie to poetyckie.

Zoe przestępowała z nogi na nogę. Kiedy to tylko było

możliwe, unikała okazywania niepewności. Podeszła do okna i wyjrzała przez nie.

Rosa czekała, czy jej siostra zamierza jeszcze coś dodać. Zoe patrzyła jednak przez okno w milczeniu.

Rosa zmarszczyła czoło.

– Jest jeszcze coś, prawda?

Zoe westchnęła, odwróciła się i chciała podciągnąć się na parapet, ale ból przypomniawszy, że w jej stanie lepiej tego nie robić. Wyraźnie było jej trudno znów zacząć mówić, a przeszkoda nie tkwiła w ranach.

– Był tutaj – powiedziała.

Rosa spodziewała się czegoś zupełnie innego i przez krótki moment poczuła irytację.

– Kto?

– Alessandro Carnevare.

– Tu, w domu?

Po zorganizowanej przez Florindę teatralnej akcji odbicia jej z Luny nie mógłby zrobić nic głupszego, niż pojawić się właśnie tutaj.

– W domu to dość nieprecyzyjne określenie – powiedziała Zoe. – Przed drzwiami.

– W jaki sposób udało mu się przemknąć obok strażników?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Poprosił przez domofon, żeby go wpuszczono.

– I Florinda to zrobiła?

– Mówiła, że nawet go zaprosiła. Chciała mu powiedzieć prosto w oczy, że złamie konkordat, jeśli nie będzie trzymał swoich brudnych palców z dala od jej głupiej, naiwnej, niewdzięcznej bratanicy. To jej słowa, nie moje.

Rosa zerwała się na równe nogi, zaskoczona, że tym razem poszło jej to sprawnie.

– To się działo, kiedy my obie byłyśmy w lesie, prawda?
Zoe kiwnęła głową.

– Był sam? Z Tanem?

Przez twarz jej siostry przebiegł cień.

– Florinda mówiła tylko o nim.

– Czego chciał? Zoe, do cholery, nie dawaj sobie wcisnąć każdego kitu!

– A czego mógł chcieć? Rozmawiać z tobą.

– A Florinda zagroziła, że go zabije?

Spojrzenie Rosy niezauważenie odnalazło plastikową teczkę, która leżała obok jej łóżka na stoliku nocnym. Czy ktoś zaglądał do środka? Ktokolwiek kładł ją do łóżka – Florinda, lekarz czy strażnik – musiał odłożyć teczkę na bok.

Były tam dokumenty Gai, ale książeczka z bajkami Ezopa zniknęła. A nie, leżała otwarta kawałek dalej na podłodze, przy podłogowej listwie. Jak gdyby rzucona w kąt.

Ktoś najwyraźniej nie lubił historyjek o zwierzętach.

Zoe podążyła za spojrzeniem Rosy, zmarszczyła czoło i lekko kulejąc, podeszła do niewielkiego tomiku. Schylając się po niego, skrzywiła się z bólu. Rosa założyłaby się o każde pieniądze, że tamta Zoe, mieszkająca dwa lata temu w Stanach Zjednoczonych, nigdy nie słyszała o greckim niewolniku o imieniu Ezop. Teraz jednak wystarczył krótki rzut oka na tytuł, by doprowadzić ją do szału.

– Alessandro ci to dał?

Rosa zwinęła leżącą na łóżku dłoń w pięść.

– To nie jest wasza sprawa. Ani twoja, ani Florindy.

– On się tobą bawi!

– Dając mi książkę?

Zoe rzuciła mały, oprawiony w skórę tomik na łóżko, potrząsnęła mocno głową i pokuśtykała w stronę drzwi.

– Co to wszystko ma znaczyć?! – warknęła w jej stronę Rosa.

Zoe zatrzymała się z dłonią na klamce i obejrzała się w jej stronę.

– Mieszka się w rzeczy, które nie powinny go obchodzić. I nie wmawiaj sobie, że robi to z twojego powodu.

Otworzyła drzwi i znów znieruchomiała, jakby czekając na nowy atak.

Głos Rosy był lodowaty.

– Być może Carnevarowie topią zwłoki w jeziorach – powiedziała cicho. – A ciebie co właściwie gna tam, do lasu?

Zoe zamarła. Sprawiała wrażenie, jakby chciała się odwrócić, ale stała w miejscu. Mijały sekundy.

Rosa patrzyła na plecy Zoe.

– Musisz mi pomóc.

– Więc?

– Potrzebny mi twój samochód.

Zoe głośno wypuściła powietrze.

– Kluczyk jest w stacyjce – szepnęła, wychodząc.

CASTELLO CARNEVARE

Do Genuardo poprowadziło ją urządzenie nawigacyjne. O dalszą drogę do *castello* Carnevare miała zamiar zapytać na miejscu, ale okazało się to zbędne. Twierdza klanu wznosiła się ponad wsią. Był to średniowieczny kolos z żółto-brązowego piaskowca, który z zewnątrz wyglądał tak samo przytulnie, jak kamienne bloki Stonehenge.

Droga prowadziła wąskimi serpentynami na szczyt wzgórza. Przy trasie, jeszcze przed wsią, zauważyła kilka posterunków obserwacyjnych. Motorzysta, markujący na poboczu testowanie układu wydechowego. Mężczyzna z lornetką, który oparty o maskę motoru udawał, że obserwuje ptaki w skałach. Prawdopodobnie również wyrosnięty chłopak, który wyprowadzał psa na rozwidleniu dróg i rozmawiając przez telefon, po kryjomu przyglądał się jej samochodowi. Z pewnością nie dostrzegła wszystkich. Nikt jej nie zatrzymał.

Skierowała należący do Zoe kabriolet porsche wprost w tunel prowadzący do zamku. Z bliskiej odległości jego fasada wyglądała tak samo niezachęcająco, jak z podnóża góry, ale teraz dostrzegła, że historyczny wygląd był tylko złudzeniem. Dachy pokrywały glazurowane płytki ceramiczne, w prastare mury wpuszczono nowoczesne okiennice. Żelaznej bramy nie dało się sforsować niezauważenie, bez zarejestrowania przez liczne kamery. Fakt, że stała otwarta, ostatecznie potwierdzał, że Rosa była tu oczekiwana.

W żółtym tempie przejechała przez tunel. Koła samochodu zazgrzytały na kracie ze stalowych kolców, które można było podnieść, gdyby zaszła taka potrzeba. Kiedy wjechała na dziedziniec twierdzy, w jej stronę zwróciły się kolejne kamery.

Na obszernym placu rosły palmy, orchidee i pnące róże.

Ogromne bukszpany podparte były przez figury siedzących zwierząt. Rosa odniosła wrażenie, że przypominają psy, ale przyglądając się im dokładniej, uświadomiła sobie, że to wielkie koty. Spodziewała się ponurego zamczyska rodem z powieści gotyckiej. Zamiast tego znalazła się w wypielegnowanym ogrodzie z pluskającymi fontannami i stadem śpiewających ptaków po drugiej stronie wzgórza.

W półmroku otwartych garaży połyskiwały wypolerowane karoserie oldtimerów. Coś przemykało między nimi – czarny pies. Sarcasmo! Rozpoznał ją, pomachał ogonem i nagle znikł z pola widzenia, jakby zawołał go ktoś stojący w ciemności. Być może był to Fundling, ale nie dostrzegła go nigdzie.

Na balkonach z kamiennymi balustradami siedziało kilku mężczyzn, skrywających oczy za okularami przeciwsłonecznymi. Rosa była pewna, że wszyscy patrzą w dół, na nią.

Wyłączyła silnik i chciała wysiąść z samochodu, kiedy otworzyły się drzwi u szczytu marmurowych schodów. Wyszedł przez nie Alessandro w tenisówkach, wytartych dżinsach i koszulce z logo jakiejś grupy muzycznej. Wyglądał na wściekłego. Spojrzał przez ramię do wnętrza budynku, krzyknął coś, czego nie zrozumiała, a potem zbiegł po schodach i przechylił się przez drzwi pasażera.

– Włącz silnik – powiedział bez słowa przywitania.

Położyła palce na tkwiących w stacyjce kluczykach, ale nie przekreśliła ich. Przygotowywała się na niezbyt przyjazną reakcję, ale on tylko ze złością potrząsnął głową i przez zamknięte drzwi wskoczył na siedzenie. Stało się to tak szybko, że z zaskoczenia uniosła jedną brew.

– Jestem doprawdy pod wrażeniem. – Ironia w jej komentarzu miała zatuszować rzeczywistość.

Odczekała jeszcze chwilę, spojrzała w ciemność otwartych drzwi i zauważyła, że mężczyźni na balkonach wstali ze swoich krzeseł – jak gdyby niewidzialny lalkarz pociągnął z dachu za ich sznurki. Dopiero teraz zauważyła, że wszyscy mają w uszach małe słuchawki.

Uruchomiła silnik i zawróciła samochód.

– A co z bramą? – zapytała.

– Nie martw się. Jestem przy tobie.

Była to tak zła odpowiedź, że z wrażenia odebrało jej mowę. Niewiele brakowało, by nacisnęła hamulec i wyrzuciła go z samochodu.

Powstrzymał ją jednak ton jego głosu, który podpowiadał, że się nie zgrywa. On naprawdę był przekonany, że jego obecność ochroni ją przed czymś bardzo złym.

– No powiedz to wreszcie. Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

– Nie powinnaś była tu przyjeżdżać. – Spojrzał na nią z ukosa i na chwilę zmarszczył brwi. – Ale cieszę się, że to zrobiłaś.

Skierowała samochód w stronę tunelu wjazdowego i oczekiwała, że leżące na ziemi żelazne kolce lada moment się uniosą. Koła przejechały z lekkim podskokiem przez pierwszą blokadę. Została jedna. Ciemne oczy kamer spoglądały na nich w tunelu. Za nimi, na dziedzińcu, rozległy się głośnie głosy. W lusterku widziała, że ktoś podszedł do balustrady przy marmurowych schodach, oparł się o nią obiema dłońmi i patrzył w ich stronę. Od przyglądania się mu oderwał ją dudniący odgłos przejeżdżania przez drugą kratę.

– Cesare? – zapytała.

Alessandro skinął głową.

Wyjechali z tunelu. Minęli mikrofony i kamery na

zewnątrz twierdzy. Na drodze z serpentynami Rosa dodała więcej gazu, niż było to konieczne. Alessandro zbladł, kiedy wjeżdżali w kolejny zakręt. Uśmiechnęła się z zadowoleniem.

– Twoja ciotka miała rację – powiedział.

– Na pewno nie.

– Ależ tak, dobrze zrobiła, zabierając cię z wyspy. Tano popadł w poważne tarapaty, kiedy Cesare dowiedział się, że byłaś z nami, a on nie... napędził tobie stracha.

Dużo większego stracha napędził jej Alessandro, zmieniając się podczas walki z Tanem. A może tylko jej się wydawało.

Nagle uśmiechnął się.

– Będziemy udawać, że właśnie odebrałaś mnie z lotniska.

– Jeśli teraz powiesz „zaczniemy wszystko od nowa”, zacznę krzyczeć. Od czasu ubranych w bikini koleżanek Tana mam serdecznie dość scen z tanich filmów.

Uśmiechnął się i lekko dotknął jej ręki spoczywającej na dźwigni zmiany biegów, jednak tak szybko cofnął palce, że równie dobrze mógł ją musnąć ciepły wiatr.

– Jak się miewasz?

– Pytasz z grzeczności?

Pokręcił przecząco głową.

Rosa wzruszyła ramionami.

– Moja siostra wczoraj w nocy zmieniła się w wielkiego węża. A twój kuzyn Tano...

– Daleki kuzyn.

– On też tam był. Rozpoznałam jego oczy. On i wąż walczyli ze sobą. A potem straciłam przytomność. – Rzuciła mu spojrzenie z ukosa. – Jak to brzmi?

– Jak z bajek Ezopa. Jest jedna o wężu i tygrysie.

– Naprawdę?

– Nie, ale pasowałyby do reszty. – Zaśmiał się.

– Inna opcja jest taka, że to wszystko mi się przyśniło. –
Nadal jechała o wiele za szybko, chociaż minęła tablicę z nazwą
miejscowości. – Czasem wyobrażam sobie różne rzeczy.

– Ale ta kontrola radarowa przed nami to nie sen.

Zahamowała ostro i udało jej się zredukować prędkość do
pięćdziesiątki.

– Kto stawia takie rzeczy w waszej miejscowości?

Jego spojrzenie padło na plastikową teczkę z dokumentami.
Leżała na wycieraczkę pod siedzeniem pasażera.

– Zabrałaś ją!

– Przecież to po nią przyjechałeś do nas wczoraj
wieczorem.

– Przyjechałem głównie do ciebie.

Zmarszczyła czoło.

– A ja w tym czasie leżałam w delirium w palmiarni mojej
ciotki, we krwi miałam jakieś wstrzyknięte przez lekarza
święństwo i widziałam dziwne stwory. Uwierz mi, że nie
zamieniłabym tego na żadną wizytę świata.

– Co ci zrobili?

– A co robi się z kimś, kto widzi tygrysy i gigantyczne
węże? W lesie? W ciemności? Dali mi coś na uspokojenie.

Marszcząc czoło, zmierzył ją spojrzeniem i głęboko
wciągnął powietrze.

– To nic takiego – powiedziała. – Często śnią mi się
śmieszne rzeczy. Zwykle nie potrzebuję do tego zastrzyków.

– To brzmi, jakbyś miała w tym praktykę.

– Całkiem sporą.

Minęli oświetloną słońcem *plazę* w centrum miasteczka.
Kabriolet przejechał w cieniu rzucanym przez kamienne figury
świętych. Przed jedną z kafejek siedziało kilkunastu starszych

mężczyzn i przyglądało im się w milczeniu.

Kiedy wyjechali z miasteczka, Alessandro pochylił się i podniósł teczkę.

– Przyglądałaś się jej?

– Nie. Nic mnie to nie obchodzi.

– Mówisz serio?

Uniosła ramiona.

– Co z Iole?

Wyciągnął dokumenty i przekartkował je.

– Rozmawiałem o niej z Cesare. Zajmie się tym.

Zaniemówiła.

– I to wszystko?

– Oficjalnie musi robić to, co mu powiem. Przy naszej rozmowie było dostatecznie wielu świadków, by nie mógł sobie pozwolić na zlekceważenie mojego rozkazu.

– Twojego rozkazu?! On chciał cię zabić, pamiętasz?

– To skomplikowane – powiedział i wsunął papiery z powrotem do teczki.

– Nie rozmawiaj ze mną jak z idiotką. – Ton jej głosu był lodowaty.

– Ta cała sprawa jest mocno zagmatwana. Cesare i Tano, i mój ojciec, nawet po śmierci i...

– Twoja matka. – To mogło boleć.

– Tak – powiedział cicho. – Ona też.

– Od czasu śmierci twojego ojca w rodzinie brakuje przywódcy – stwierdziła, kiedy zamilkł na dłuższą chwilę.

– Klan jest podzielony. Niektórzy popierają Cesare, niektórzy mnie. Żadna z grup nie chce zaryzykować konfrontacji.

Uniosła brew.

– Bo wtedy zawaliłoby się potężne imperium mafii

Carnevare?

– W najlepszym wypadku. W najgorszym – jedni albo drudzy postanowiliby szukać ochrony, którą wcześniej gwarantował im mój ojciec, w prokuraturze. Dziś nie jest już jak dawniej, kiedy wszyscy trzymali się razem, a pójście na policję uważane było za niehonorowe. Dzisiaj każdy myśli tylko o swoich korzyściach. Odsiedzieć dwa, trzy lata w pudle z telewizją kablową i prawem do odwiedzin – to brzmi ciekawiej, niż ryzykować głową w wojnie pomiędzy dwoma *capi*.

Wiedziała, do czego zmierza.

– Więc ani Cesare, ani ty nie możecie wystąpić otwarcie przeciwko sobie. A ponieważ za kilka miesięcy przejmiesz swój spadek, Cesare zachowuje pozory i jest tobie posłuszny.

– Zgadza się, słucha mnie w mało istotnych kwestiach.

Uderzyła dłonią w kierownicę.

– Trzymają tę dziewczynkę w niewoli od sześciu lat!

– W kwestiach, które dla niego są mało istotne – poprawił się Alessandro.

Odwróciła się i spojrzała mu prosto w oczy. W tle przesuwały się nagie wzgórza.

– Nie wierzysz mi – stwierdził.

– Oczywiście, że nie. – Zaśmiała się bez odrobiny radości.

– Dlatego, że zabrałem cię ze sobą na wyspę?

– Dlatego, że nie powiedziałeś mi, po co mnie tam zabierasz.

– A pojechałabyś wtedy? Gdybym powiedział?

– Możliwe. – Zastanowiła się przez chwilę. – Tak, pojechałabym.

Czuła, że wciąż na nią patrzy, ale musiała się skupić na drodze, która znów zaczęła wić się serpentynami.

– Skreć, proszę, w prawo – poprosił.

- A potem?
- Pokażę ci coś.
- Znowu jakieś tajemnice.
- Nie ma w tym nic tajemniczego. Obiecuję.
- Ty jesteś tajemnicą.
- Ja? – Uśmiechnął się.

Rosa kiwnęła głową i odgarnęła z twarzy niesforne włosy. Nie powiedziała nic więcej i na następnym skrzyżowaniu skręciła w prawo.

Wkrótce dojechali do zakurzonych blokad drogowych ze zбитych drewnianych krzyży. Alessandro wskazał jej, jak objechać wszystkie trzy zapory.

Byli jedynymi ludźmi na tej wielkiej bezludnej przestrzeni wypalonych pól i dzikich gajów oliwnych. Zostawiali za sobą długą smugę kurzu, która przecinała pejzaż brązową wstęgą. Rosnące na wzgórzach kaktusy wyciągały ramiona w kierunku nieba.

Przed nimi wyrósł wjazd na autostradę. Wkoło nie było jednak żadnych znaków drogowych, żadnych informacji ani żadnych samochodów. A mimo to droga rozciągała się szerokim pasmem asfaltu, który sięgał aż do horyzontu. Także na niej brakowało linii i oznaczeń. Rosa oceniła, że było tam miejsce na cztery pasy ruchu, przykryte kurzem i rozrzuconą, naniesioną przez wiatr ziemią.

Żadnych śladów życia. Tylko oni, ich samochód i zapomniana droga donikąd.

- Dokąd ona prowadzi?
 - Na koniec świata – powiedział.
- I miał rację.

KONIEC DROGI

Rosa nie mogła jechać tak szybko, jak chciała. Asfalt pokrywały głębokie bruzdy. W kilku miejscach były to wybrzuszenia, pod którymi maleńkie roślinki znajdowały drogę do światła dziennego, pociągając za sobą setki innych. Było coś niepokojącego w świadomości, że pod szarą, martwą wstęgą kipi tyle życia, niecierpliwie czekając na wyjście na wolność.

– Co to jest? – zapytała.

– Niedokończona autostrada. Miała być połączeniem pomiędzy A19, prowadzącą w poprzek wyspy, z A20 na północnym wybrzeżu. Mój ojciec wygrał przetarg i wysłał tu swoich budowlańców, ale nowy rząd w Rzymie zatrzymał budowę.

– I wszystko zostało tak, jak było?

– Zniszczenie gotowych odcinków kosztowałoby prawie tyle samo, co cała budowa. Prowincje na Sycylii nie mają pieniędzy. Przed kilkoma laty zorganizowano kilka akcji protestacyjnych, ale ich organizatorzy w końcu przenieśli się na nową ruinę budowlaną, na której ktoś się wzbogacił.

– Nie ktoś. Wy.

Patrzył uparcie przed siebie.

– Moja rodzina. Tak.

Skupiła uwagę na drodze, patrzyła na brzydki, bezużyteczny pas asfaltu przed sobą i nagle uznała, że podoba jej się tutaj. Prawdopodobnie dlatego, że coś podobnego nie istniało nigdzie indziej – urok tkwił w całkowitej niepowtarzalności tego miejsca. Niedokończonych dróg było z pewnością wiele. Ale przed nią rozciągały się całe kilometry pustego asfaltu, po którym poza spycharkami i walcami nie przejechało niemal żadne auto. Kolosalny martwy płód, który

przyprawił ją o gęsią skórę na karku.

– A co jest pod nią?

– Co masz na myśli?

– Czy to po prostu nikomu niepotrzebna autostrada, czy jest w niej jakiś recykling?

W lot złapał, co miała na myśli, była tego pewna. Na jego korzyść przemawiało to, że w chwili zawahania, by mówić o tej części interesów rodzinnych, pojawił się cień wstydu.

– Nic o tym nie wiem – powiedział. – I taka jest prawda.

– Widziałam wasze jezioro. Zbiornik zaporowy.

Machnął dłonią.

– Tamta historia? Nie ma w niej ani krzty prawdy.

– A kto ci to powiedział? – zapytała pogardliwie. – Twój ojciec?

Zacisnął wargi i milczał.

– My, dzieci klanów – powiedział w końcu – od pierwszych dni naszego życia słuchamy kłamstw. Kiedy nasze matki i ojcowie udają przed nami normalne, szczęśliwe życie rodzinne, to pierwsze wielkie kłamstwo, po którym następuje lawina kolejnych. Poczucie, które nam dają, że wszystko jest tak, jak w innych domach. U nas nic nie jest jak u innych. – Niespokojnie poruszył się na siedzeniu. – Kiedy stajemy się starzy, mamy dzieci i wnuki, nieustannie natykamy się na rzeczy, które uważamy za niemożliwe. Na... – zawahał się.

– Przesłupstwa – zaproponowała ze wzruszeniem ramion.

– Na interesy. Ze wszystkimi ich konsekwencjami, które były konieczne i które przerastają nasze wyobrażenia. Nasze dzieci i wnuki przeżyją to samo, bo do tego czasu my wyzbędziemy się wszelkich skrupułów i nie będziemy już mogli powiedzieć, że jesteśmy choć odrobinę lepsi od naszych ojców i dziadków.

Zwolniła i spojrzała na niego.

– A myślałam, że to ja jestem pesymistką.

– Przywyknijemy do klanów i ich porządków. W końcu nie wybraliśmy ich sobie, prawda?

– Powinnam była zostać w Stanach. – Zastanawiała się przez chwilę. – Swoją drogą, ty też.

– Nie wierzę, że historie o Giulianie i jeziorze zaporowym są prawdziwe – powiedział ze spokojem. – Ale czy wiem to na pewno? I czy wiem, na co natknę się kiedyś w jakimś starym segregatorze? Prawdopodobnie przez przypadek?

Myślała o tym jeszcze przez chwilę, kiedy horyzont w jednej chwili skrócił się i zbliżył do nich. Zakłęła cicho, zdjęła nogę z gazu i zahamowała. Samochód zatrzymał się niecałe dwadzieścia metrów przed końcem świata.

Alessandro wysiadł z samochodu.

– Czy przesadziłem z obietnicami?

Kiedy, jeszcze nie pojmując, patrzyła na wprost ponad kierownicą, on obszedł samochód i otworzył jej drzwi, nie nadmiernie szarmancko, ale zupełnie naturalnie.

– Zobacz to sobie z bliska.

– Z bliska? – wymamrotała. – Przecież tam nic nie ma. Zupełnie nic.

– Musisz patrzeć bardzo uważnie. Wtedy znajdziesz to, czego szukasz.

Zabrzmiało to, jakby chciał jej pomóc w poszukiwaniu ukrytej magii tego miejsca. Zauważyła, że musiał myśleć o tym samym. Pierwszy raz, kiedy przejechał tą drogą donikąd, i być może za każdym następnym razem. Także dzisiaj. Możliwe, że w obliczu takiej pustki każdy szuka czegoś, w czym mógłby znaleźć oparcie. Alessandro może nawet trochę bardziej niż inni. Przez ostatnie kilka minut odkryła w nim więcej refleksyjności,

woli znalezienia odpowiedzi, niż mogła się spodziewać. Trudno jej było oderwać od niego wzrok i patrzeć na to, co rozciągało się przed nimi.

Porośnięty chwastami pas kończył się na poszarpanej krawędzi asfaltu, jakby potężna paszcza odgryzła dalszą część drogi. Za nią otwierała się głęboka przepaść, która mogła mieć więcej niż sto metrów – szeroki, skalny wąwóz, w którego szorstkich ścianach otwierały się liczne pęknięcia. Początkowo Rosa wzięła je za wytwór natury, dziwaczną strukturę w porowatych skałach. Ale potem odkryła, że były to jaskinie.

– Groby – powiedział Alessandro. – Kilkaset grobów. Mają około trzech tysięcy lat. Wykuli je Sykulowie, prastare plemię zamieszkujące Sycylię. Zostali wybici przez Arabów. Pozostały po nich nekropolie, miasta umarłych. Na wyspie jest ich więcej, a ta nawet nie jest największa. Wąwóz Pantalica na południu jest...

– Czy możesz na chwilę się zamknąć?

Nie powiedziała tego z gniewem, a on nie wyglądał, jakby miał jej to za złe. Nie mogła już dłużej go słuchać, musiała po prostu podejść bliżej i sama zobaczyć to miejsce na własne oczy, zanim usłyszy jakiegokolwiek wyjaśnienia.

Podeszła do krawędzi zafascynowana, ale nie przestraszona wysokością i porywami wiatru, które szalały poniżej. Na dnie przepaści leżały masywne betonowe głazy. Wąwóz mógł mieć pół kilometra szerokości, może więcej, a przeciwna krawędź była tak samo stroma i pokryta szczelinami. Za nią widać było garby skalne i pokryte kurzem doliny, a po tamtej stronie horyzontu z pewnością kolejne ślady cywilizacji. Przez chwilę jednak ona i Alessandro czuli się, jakby byli sami na świecie.

– Most na drugą stronę był ostatnim elementem, który wybudowano – Alessandro przerwał milczenie. – Ale po

zatrzymaniu prac budowlanych rząd zdecydował, że i on musi zniknąć. Firmy mojego ojca dostały zlecenie zniszczenia tego, co właśnie wybudowały. Władzom prowincji Enna zabrakło pieniędzy na wywóz gruzu, dlatego to wszystko leży tu, jakby spadło z nieba. Tysiące ton betonu pośrodku sykulskiego wąwozu umarłych.

W jego głosie pobrzmiwał respekt, który zwałił ją z nóg. Kolejny raz ją zaskoczył i przypadło jej to do gustu.

Usiadła ze skrzyżowanymi nogami na gorącym asfalcie, nie dbając o to, że minispódniczka podciągnęła się odrobinę za wysoko. Krawędź przepaści leżała niecałe pół metra od niej, czuła wznoszące się powiewy wiatru, usiłujące zepchnąć ją w otchłań. Miała dość siły, żeby się im oprzeć.

Alessandro usiadł obok niej i rozprostował palce na asfalcie. Wyglądał, jakby wyczuwał coś pod nim, serce tego tajemniczego miejsca. Nagle ona też je poczuła, dudniące, jak jej własne.

– Nie wierzysz, że to był sen, prawda? – spytał nagle.

– Wąż i tygrys?

Kiwnął głową.

– A nawet jeśli? To nie ma znaczenia.

– Nie rozumiem.

– Przez prawie cały rok byłam na terapii. – Jak łatwo było to powiedzieć. Może właśnie dlatego, że tak słabo go znała. – Wmawiają ci tam, że nic, co widzisz i słyszysz, nie jest prawdziwe. Nic, co naprawdę interesujące. Nieważne, czy wierzysz, czy nie wierzysz. To wszystko dzieje się tylko w twojej głowie, mówią. Wszystko dlatego, że jesteś wariatką.

– Ale ty nie jesteś wariatką – powiedział.

– A może jestem bardziej popieprzona niż ktokolwiek inny, a ty nie masz o tym pojęcia. Morduję siekierą. Jak cholerny

Freddie Krueger z twoich najgorszych koszmarów. – Powoli odwróciła głowę i spojrzała na jego piękną, otwartą twarz, która w jednej chwili mogła stać się mroczna i zamknięta. Na wygiętą linię jego ust. Na zielone oczy, których spojrzenie wnikało w nią odrobinę za głęboko, a ona nie umiała się przed tym bronić.

A mogło być tak łatwo. Ale w jej przypadku „łatwo” znajdowało się po drugiej stronie planety. Gdzieś za Australią, na biegunie południowym.

Miała problem z bliskością. Nie mogła zaufać sobie, nie wspominając o innych. Ucinała spotkania i rozmowy, nie wiedząc, dlaczego to robi. W środku była pokrecona i splątana, jak jedno z dzikich drzew oliwnych rosnących na tej wyspie.

Była koszmarem, przede wszystkim własnym, i wszystko w niej krzyczało, by natychmiast wznosić mury obronne i barykadować bramy.

Byłoby fair powiedzieć mu o tym. Od razu wyjaśnić, że jest cholernym Titanikiem, którego wir go wciągnie, jeśli w odpowiednim momencie nie wskoczy na łódź ratunkową.

Zamiast tego on nachylił się, by ją pocałować.

Czekała. Zawahała się. A potem cofnęła głowę, zanim ich wargi zdołały się dotknąć. Przez krótką chwilę, w której zmieściło się jedno uderzenie serca, wyglądał na zranionego, ale potem uśmiechnął się, spojrzał na słońce i powiedział:

– Będę, kiedy nadejdzie czas.

– Jaki czas?

– Kiedy przestaniesz patrzeć na ludzi, jakby właśnie wypowiedzieli ci wojnę. I kiedy zauważysz – wskazał ręką za przepaść – że niektóre rzeczy wyglądają na koniec świata, ale po drugiej stronie życie toczy się dalej. Być może potrzeba tylko dostatecznie dużego kroku, żeby się tam dostać.

– Chwilowo cieszę się z każdego małego kroku, który

wykonam, nie potykając się – powiedziała cicho, jak gdyby do siebie. – Dlatego przyjechałam na Sycylię. Miałam już dość spokoju.

Spojrzał na nią i kiwnął głową z namysłem. Wiedział, kiedy lepiej zachować milczenie. Za to też go lubiła.

– Zmiana tematu? – zaproponowała.

Najwyraźniej to przewidział.

– Iole?

Kiwnęła głową, podniosła się i wyciągnęła do niego rękę.

– Załatwimy to sami. Tylko ty i ja. Zabierzemy ją stamtąd.

Objął jej palce, ale nie po to, by stanąć na nogi, a najwyraźniej dlatego, że chciał jej po prostu dotknąć. Ona też tego chciała, o wiele za bardzo. Stał więc naprzeciwko niej, a ona wdychała zapach jego skóry i włosów. Puściła jego dłoń, choć wcale nie miała na to ochoty.

– Już teraz?

Skinęła głową.

DESZCZOWY CIEŃ

Isola Luna wylaniała się z morza, otulona w suknię z szarobłękitnej mgły. Na niebie zapalały się pierwsze gwiazdy, więc przez chwilę oboje siedzieli na dziobie jachtu i nie robili nic, poza wypatrywaniem następnego jasnego punktu na tle wielkiej ciemności.

Od czasu do czasu ich spojrzenia spotykały się, tylko na krótko, by zaraz potem znów powędrować w stronę horyzontu.

Po chwili Rosa znów zaczęła mówić. O Nowym Jorku podczas pierwszych jesiennych dni i opadłych liściach na ulicach i w parkach. O opatulonych szalami, czapkami i futrzanymi kapotami matkach z grubo ubranymi dziećmi nad jeziorem Belvedere.

A potem powiedziała:

– Przed rokiem zabiłam mojego syna.

Nie była pewna, dlaczego zaczęła ten temat. Żeby go sprawdzić? Żeby sprowokować jedną ze zwykłych reakcji? Przerażenie, współczucie albo jąkanie się i niepewność? Żeby mogła go zaszeregować jako jednego z tych lub tamtych?

Spojrzał na grupę skał na północy, która stopniowo rosła.

– Jak miał na imię?

Nikt nigdy o to nie zapytał. Dzieci po aborcji nie mają imion. Nie mają też płci. Są tylko kawałkiem tkanki, czerwonym śluzem w gumowym wężu i szklanych cylindrach.

– Nathaniel – powiedziała.

– To dość niezwykle imię, prawda?

– Chciałam mu dać coś szczególnego. Żeby coś odróżniało go od innych, od tych, którzy... muszą na zawsze zostać tam, w klinice.

Silnik Gai mruczał w głębi kadłuba. Dziób rozcinał

spienioną wodę. Monotonne odgłosy miały w sobie coś uspokajającego.

– Powiedzieli, że decyzja należy do mnie. – Nie mogła przestać drapać palcem wskazującym paznokcia swojego dużego palca u stopy. – Powiedzieli: musisz wiedzieć, co robisz. – Jej głos był spokojny. – Ale ja nie wiedziałam. Bałam się, że nikt nie będzie się ze mną cieszył, kiedy dziecko przyjdzie na świat. Pomyślałam, że będę z nim zupełnie sama. Ale to nie inni ludzie decydują o tym, czy czujesz się samotny. Ty sam to robisz. Problem w tym, że wtedy jeszcze tego nie wiedziałam. I dlatego Nathaniel nie żyje.

Alessandro milczał. Wyspa zbliżała się, a wraz z nią nadciągała ciemność.

– Nadanie mu imienia pomogło mi – powiedziała. – I to, że wyobrażałam sobie, jak mógłby wyglądać później. Stał się dla mnie człowiekiem, a ludzie umieją wybaczać błędy. Wszystko jedno, jak są poważne – umieją przebaczać.

Wyspa odcinała się od światła zmierzchu niczym ciemny portal, w który wpływał ich jacht. Rosa odwróciła głowę i Alessandro nawet kątem oka nie mógł teraz widzieć jej twarzy.

– W końcu jednak musiałaś podjąć jakąś decyzję – stwierdził.

– Jest tylko czarne i czerwone.

– Czarne i czerwone?

– Jak w ruletce. Jedno nie jest wcale lepsze od drugiego. Możesz się długo zastanawiać, który kolor zwycięży, ale to ci wcale nie pomoże. Myślisz i myślisz, ale ostatecznie nie masz na to żadnego wpływu.

Zawahał się.

– A jeśli pomyślisz przez chwilę tylko o sobie, nie o nim – wtedy też żałujesz?

- Od tamtej pory myślę wyłącznie o sobie.
- To dobrze czy źle?
- Tak już po prostu jest. Nie można tego oceniać.

Kątem oka dostrzegła, że niemal niezauważalnie kiwa głową, i znów miała uczucie, że pozwala mu się zbliżyć do siebie o wiele za bardzo.

- A ojciec? – zapytał.
- Nie mam pojęcia.

Dał jej czas, odczekał, aż w końcu sama zaczęła mówić dalej.

– Byłam na imprezie – powiedziała. – Ktoś dosypał mi czegoś do drinka. Nic więcej nie wiem. Mało spektakularne, prawda?

Pierwszy raz zobaczyła jego gwałtowną reakcję i fakt, że była to złość, przyniósł jej ulgę. Czysta, kipiąca złość, która tak bardzo przypominała jej własną.

– Zgwałcił cię.

– Jeden. Wielu. W każdym razie nie było to niepokalane poczęcie... Odkryli tylko jedne ślady spermy, ale ja niczego nie pamiętam. Ktoś znalazł mnie na chodniku i zadzwonił po karetkę. Tak powiedzieli mi później. Kiedy się obudziłam, leżałam w łóżku, wszystko wokół było czyste i sterylne, a moja mama trzymała mnie za rękę i płakała jak bóbr. – Uśmiechnęła się gorzko. – Wiesz, jaka była moja pierwsza myśl? Że na pewno obudziłam się po wielu latach śpiączki i wszyscy znajomi są o dwadzieścia lat starsi, a Chiny zdążyły podbić Amerykę. Moja matka wyglądała naprawdę cholernie staro. Chwilę potem zorientowałam się, że to efekt płaczu i nic się nie zmieniło. Było po prostu kilka godzin później i wszystko dokładnie tak samo jak wcześniej. Poza tą maleńką różnicą w środku mnie.

– Kto ci doradził aborcję? Twoja matka?

– Ona też. A potem lekarki. Psycholożka. To oczywiście twoja decyzja, powiedzieli, a na twarzach mieli wypisane wielkie ALE. Nikt nie powiedział tego głośno... Tylko Zoe doradzała mi coś innego: „Najlepiej przyjedź tutaj i po prostu poczekaj na to, co się stanie”. Już od roku była wtedy na Sycylii.

– Nikt na twoim miejscu tak po prostu nie czekałby na to, co się miało stać.

– To jest cała Zoe. I mam pewność, że ona właśnie to zrobiłaby na moim miejscu – poczekalaby, aż decyzja sama zapadnie i nie będzie już innego wyjścia, tylko urodzić dziecko.

– Wciąż grzebała przy paznokciu, chociaż z palca leciała już krew. – Ale ja nie jestem Zoe. Zrobiłam to i zrobiłam źle.

– Ja tak nie uważam.

Uznała jego słowa za bardzo odważne. Znała niewiele osób podobnych do niego – ludzi, którzy po prostu mówili, co myślą. Nieważne, czy było to niegrzeczne, czy bez szacunku. Wszyscy chcieli ją tylko uspokoić i pocieszyć. Chcieli, by na zawsze pozostała owinięta miękką watą, by nigdy nie miała powodu, żeby uderzyć pięścią w stół, zacząć krzyczeć i być może stracić odrobinę rozsądku.

Alessandro wykonał ruch, jakby chciał położyć dłoń na jej dłoni, ale ostatecznie zgiął się i z białymi jak śnieg knykциями chwycił się relingu.

– Wcale nie myślę, że zrobiłaś źle.

Odczekała chwilę. Obserwowała go, ale on patrzył uparcie w stronę wyspy.

– Być może nikt z nas nie powinien mieć dzieci – powiedział z naciskiem. – Nikt z nas.

* * *

Zaczęło padać, kiedy dopłynęli na miejsce. Wokół wygaszonego wulkanu Luny kłębiły się burzowe chmury, z minuty na minutę coraz groźniejsze. Kapitan „Gai” próbował zatrzymać Alessandra i Rosę, ale oni nawet nie chcieli o tym słyszeć.

Jacht opłynął wyspę do połowy i dobił do północnego wybrzeża. Tutaj nie musiał kotwiczyć, jak w zatoce przy plaży – mógł zacumować w szarej, betonowej przystani. W świetle reflektora w strugach deszczu Rosa dostrzegła kanciasty budynek z płaskim dachem, który wynurzał się zza skał przy brzegu. Wyglądał jak fundament zburzonej latarni morskiej.

Rosa i Alessandro wysiedli z „Gai” na ląd. Jacht nie miał pełnej załogi, poza kapitanem było jeszcze dwóch majtków. Na polecenie Alessandra wszyscy zostali na pokładzie.

Oboje założyli peleryny z ciemnego goreteksu, na których woda perliła się niczym rtęć. Dwie ciężkie latarki miały w bateriach dość prądu na kilka godzin. Do tego Alessandro zabrał ze sobą lekki pistolet, na co bardzo nalegał kapitan. Zgodnie ze słowami Alessandra, kapitan należał do tej części klanu Carnevare, która pozostała mu wierna. Jego poprzednika, jednego z ludzi Cesare, Alessandro zwolnił; nowy kapitan kierował jachtem dopiero od tygodnia.

Koniec długiej przystani, w której przycumowała „Gaia”, był zablokowany wysoką bramą z kraty. Alessandro otworzył prostokątną klapkę z jej boku i za pomocą klawiatury uruchomił kod, który ukazał się niżej na ekranie. Zamek otworzył się ze szczękiem.

Przed budynkiem znajdował się asfaltowy plac, z którego wąska droga prowadziła między skały na wulkanicznym wzgórzu. To o niej Alessandro mówił podczas ich pierwszej

wizyty na wyspie. Z tego miejsca nie było widać willi.

W oddali zagrzmiało. Błyskawice przeszywały niebo niczym białe błędne ogniki u podstawy chmur. Czarna sylwetka szczytu wulkanu pod światło sprawiała wrażenie trzykrotnie wyższej i nierealnej.

Światło ich latarek prześlizgnęło się po froncie budynku nad brzegiem. Na parterze widać było szeroką bramę, której skrzydła, mimo złej pogody, były otwarte.

– Wcześniej chowano tam urządzenia do oczyszczania plaży i brzegu – powiedział Alessandro. Woda kapiała z krawędzi jego kaptura. – Jest tam też motorówka do wycieczek dookoła wyspy, sprzęt do nurkowania i paralotnia.

Rosa oświetliła podjazd do budynku. Dzielilo ich od niego około trzydziestu metrów. W świetle latarki dostrzegła nagą betonową ścianę i niski otwór, który prowadził dalej, w głąb budynku.

– Wygląda na pusty – wymamrotała.

– Podczas drugiej wojny światowej ludzie chronili się tu przed Niemcami – wyjaśnił. – Moja matka zawsze chciała, żeby ojciec zburzył ten budynek, ale on uważał, że to dobre miejsce na narzędzia i pojazdy. W każdym razie świetnie nadaje się do obrony.

Teraz uświadomiła sobie, co ten budynek przez cały czas jej przypominał: stary bunkier, który widziała w telewizji. A właściwie naziemną część tego bunkra. O dreszcze przypawiła ją wizja, że pod budynkiem może się znajdować sieć korytarzy i kamer.

– Myślisz, że Iole jest w środku?

Alessandro potrząsnął głową.

– Przecież sama nie mogła wyjść z willi. Trudno mi uwierzyć, że przyprowadzili ją tutaj. – Odwrócił się do niej. –

Posłuchaj, to naprawdę ważne. Musisz trzymać się mnie tak blisko, jak to tylko możliwe. W żadnym razie nie próbuj tu działać na własną rękę.

– Myślałam, że na wyspie nie ma nikogo oprócz Iole.

– Teoretycznie tak, ale wyspa jest przez większość czasu niestrzeżona.

– Dziwne, prawda? Trzymają tu zakładniczkę.

– Nikt, kto zna wybrzeże w tej okolicy, nie odważy się tak po prostu tu przypłynąć.

– Chodźmy prosto do willi – zaproponowała. – Im szybciej tam pójdziemy, tym szybciej będziemy mogli stąd zniknąć.

Otwarta brama starych obwarowań najwyraźniej nie dawała mu spokoju. A jednak po chwili skinął głową i ruszyli przed siebie. Przecięli plac i podążyli w górę wąską drogą.

Rosa nie zapomniała, co powiedziała Iole – że nocą pod oknami willi wałęsają się zwierzęta. Wciąż miała przed sobą obraz oczu tygrysa. Ludzkich oczu. Oczu Tana.

Oświetlali latarkami ciemność po obu stronach asfaltowej drogi. Po lewej wzgórze opadało w stronę brzegu. Dobiegał ich szum kipieli, a deszcz i ciemność utrudniały widoczność. Zacumowany w przystani jacht można było rozpoznać tylko po rozmytych, świecących punktach bulajów. Także bunkier utonął w ciemności, jakby upomniały się o niego mroki przeszłości.

Burza wciąż wisiała nad drugą stroną wzgórza, ale deszcz padał bez przerwy. Grzmoty rozlegały się dookoła z ogłuszającą siłą. Błyskawice rozświectlały niebo po przeciwnej stronie wulkanu.

Maszerowali już od dłuższej chwili, wspinając się krętą ścieżką, kiedy Rosa przerwała milczenie.

– Ty też uważasz, że on ją zabije, prawda?

Alessandro westchnął cicho.

Stanęła w miejscu, po jej butach ciekły strugi deszczu. Oświetliła tył jego wysoko postawionego kaptura. Odwrócił się w jej stronę i oślepiło go światło, ale przez mgnienie oka – zanim opuściła latarkę – widziała jego jasno oświetloną twarz.

– To dlatego byłeś gotów przyjechać tu od razu.

– Myślę, że... – zaczął, ale przerwał, jakby szukając słów.
– Być może to był błąd, by rozmawiać o tym z Cesare. Powinienem był to wiedzieć. Znam go i jego metody rozwiązywania problemów. Mogę tylko mieć nadzieję, że w tej chwili ma na głowie inne sprawy i że zdążyliśmy na czas.

Co robi, jeśli w willi znajdą zwłoki Iole? Dziwne, że ta myśl wcześniej nie przyszła jej do głowy. Obudziło się w niej nietypowe poczucie odpowiedzialności.

– Idziemy – powiedziała ochryłym głosem.

Dopasował do niej swoje tempo i przez resztę drogi szedł obok. Ich ręce dotknęły się wiele razy, w większości jednak pod rękawami peleryn. Droga z dołu wyglądała na mniej stromą, niż była w rzeczywistości. Rodziła się pokusa, żeby skrócić serpentyny i wspinać się na ukos po skałach. Najwyraźniej kosztowało to jednak zbyt dużo czasu i wysiłku.

W końcu pokonali ostatni zakręt. Przed nimi stała willa. W ciemności budynek sprawiał wrażenie jeszcze bardziej skomplikowanego niż za dnia. Na swój sposób wydawał się pochodzić z innej epoki, tak samo jak betonowy bunkier na dole, na brzegu. W ogromnych szybach odbijały się błyskawice i zwielokrotniały mieniące się krople deszczu. Jednak kiedy gasły błyski, zapadała głęboka ciemność.

Alessandro otworzył bramę i starannie zamknął ją za sobą, jeszcze raz oświetlił latarką podjazd i zbocze wzgórza, a potem, wraz z Rosą, pospieszył do domu. Wnieśli do środka wilgoć i przez chwilę stali w przedsionku, ociekając wodą. Drzwi

wejściowe zatrzasnęły się z głośnym szczękiem.

Rosa zerwała z siebie pelerynę i pozwoliła jej upaść na płytki.

– Iole? – zawołała.

Dopiero teraz zauważyła, że jedyne światło pochodzi z jej latarki.

Alessandro podszedł do włącznika niedaleko przejścia do jednego z pokoiów. Nacisnął go kilka razy. Dom wciąż pogrążony był w ciemności.

– Działał, kiedy byliśmy tu ostatnim razem? – zapytał podejrzliwie, ale najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi.

Starła z czoła krople deszczu.

– Wtedy na zewnątrz świeciło słońce. Nie włączaliśmy światła.

Długim holem podszedł do drugiego włącznika i nacisnął go. Nic. Przez mleczone szkło półokrągłych lamp nie można było dostrzec, czy żarówki zostały usunięte, czy uszkodzone.

Zaklął i spróbował jeszcze raz w pokoju obok. Z takim samym rezultatem.

Deszcz zacinał w okna frontowe, głucho bębnienie otaczało ich ze wszystkich stron. Strumyki wody na szkle zanurzały wszystkie pokoje w swoim płynnym cieniu.

Rosa omiotła ściany latarką.

– Iole? – zawołała ponownie, tym razem głośniejszym głosem. – To my, Rosa i Alessandro.

Naraz straciła pewność, czy wcześniej zdradziła dziewczynce swoje imię.

Ponieważ nadal nie było odpowiedzi, spróbowała sobie przypomnieć, w którą stronę prowadził przypięty do kostki Iole łańcuch. Nie schodami w górę, do salonu, ale do jednego z pokoiów po prawej stronie holu.

Alessandro już w nim był i rozglądał się wkoło siebie. Także on w biegu zdjął pelerynę. Sztywny, gumowy materiał opadł na żółto-czerwony dywan, skurczył się o połowę i przypominał garbatego gнома.

– A może się ukryła?

Rzuciła mu z ukosa posepne spojrzenie.

– Być może.

– Cesare nie zdołałby tak szybko kogoś tu przysłać.

– A Tano?

Obrazy niczym błyskawice. Tygrys z ludzkimi oczami. Żółty meszek na plecach Tana podczas walki na dole na plaży. I cień, który uniósł się nad plecami Alessandra. Jego ogromne źrenice.

Nie opuści tej wyspy, dopóki nie usłyszy prawdy.

Alessandro zniósł jej badawcze spojrzenie.

– Nie wiem, co tu się wydarzyło. Możliwe, że zabrali stąd Iole. Możliwe, że stało się coś gorszego. A może schowała się gdzieś w domu.

– Była zakuta w łańcuch. Jak trudno może być ją znaleźć?

Niecierpliwie przemierzała pomieszczenie. Nawet kaptur nie ochronił jej blond włosów przed przyklejeniem się do mokrego czoła i ramion. Zdecydowanym ruchem odgarnęła kosmyki z oczu. Zaczynała marznąć, bo także czarne rajstopy pod krótką spódniczką były całkowicie przemoczone. Grunt to się dobrze ubrać, pomyślała lakonicznie.

– Pozwól mi prowadzić. – Podszedł do niej. – Wiem, gdzie powinniśmy zacząć.

– Powinniśmy od razu zdjąć jej ten cholerny łańcuch.

– Bez narzędzi?

– Wiem. Po prostu... nie powinniśmy byli jej tu zostawiać.

– Lepiej szukajmy jej dalej.

Podążała za nim, a snop światła z jej latarki wędrował po wszystkich miejscach, które mijali. Badała przede wszystkim podłogę. Łańcuch był cienki, ale trudny do przeoczenia. Iole nie mogła się schować za meblami albo w żadnym kącie, gdzie nie zdradziłyby jej srebrzyste okowy.

Przeszli przez wiele salonów i pokojów gościnnych, pełnych surowych mebli z lat siedemdziesiątych, poczynając od zwalistych siedzisk przez przezroczyście sofy z tworzywa sztucznego, po lampy w kształcie zastygłej lawy.

A wszędzie wielkie szyby okienne, od podłogi do sufitu. Za nimi noc i ściana deszczu, rozjaśniana błyskawicami. Smugi cienia, które spływały z przeciwległych ścian i podążały nad podłogą w kierunku okna.

Coś poruszyło się na zewnątrz. Na początku myślała, że to jej odbicie w szybie, ale potem zauważyła, że to coś znajduje się za szybą. Coś niskiego. Nie małego, ale pochylonego. Na czworakach.

Instynktownie obejrzała się, spojrzała w otwartą przestrzeń za sobą, w przejścia pomiędzy pokojami i w oddali dostrzegła czarnego zakapturzonego gnoma.

– Rosa! – Głos Alessandra dobiegał z przerażająco daleka.

Nie zauważył, że została w tyle. Światło jego latarki wskazywało, że znajdował się dwa pokoje przed nią. Nie widziała go. Tylko drżący snop światła.

– Chodź tutaj! – zawołał. – Musisz to zobaczyć!

ŻĄDZA KRWI

Mały pokój na parterze. Prawdopodobnie jedyny w całym domu, który nie miał okien, tylko okratowaną górną lampkę.

Pomieszczenie leżało za obszerną kuchnią, do której wcześniej weszła Rosa. Kiedyś musiała się tu mieścić spizarnia.

A teraz była to więzienna cela.

Pod jedną ze ścian stało łóżko z rozgrzebanym kocem i zatłuszczoną poduszką. Pościel wyglądała na od dawna niezmienianą. Rosa poczuła ukłucie w klatce piersiowej. Tak często czuła się samotna, ale dopiero teraz naprawdę pojęła, co to oznacza.

Dookoła leżało kilka starych gazet i książek, starannie ułożonych w stos. Pomięte części garderoby, wyglądające identycznie, jakby ktoś wykupił cały stojak ze sklepu z ciuchami, wciąż te same wzory, najważniejsze, że zgadzał się rozmiar. Proste sukienki, które więźniarka mogła wsunąć przez głowę, bo o jej nogę zaczepiony był łańcuch.

Im dłużej Rosa rozglądała się po pomieszczeniu, tym więcej szczegółów rzucało się jej w oczy. Alessandro stał obok niej, dłonie zwinął w pięści i tak mocno zacisnął usta, że całkowicie zbielały.

Do ściany obok drzwi przymocowane były dwa żelazne pierścienie. Łańcuch piętrzył się na podłodze w srebrzystym stosie. Pusty zacisk na nogę wyzierał z niego niczym czaszka węża.

– Nie ma jej – wyszeptała Rosa.

Alessandro jak ogłuszony wpatrywał się w łańcuch.

– Albo jest martwa – wymamrotała. Rzadko kiedy słowa z takim trudem przechodziły jej przez usta.

– Zabiję go – powiedział cicho.

– To nie pomoże Iole.

– Co za gnojek. – Ruszył przed siebie, wyminął ją, wbiegł do kuchni i gwałtownymi szarpnięciami otworzył kilka szuflad. Wszystkie były puste.

– Z pewnością nic w nich nie ma – zauważyła Rosa.

Jeszcze jedna szuflada. Potem szafki. Wszystkie puste, poza jedną, wypełnioną gotowymi daniami do przygotowania w kuchence mikrofalowej.

– Czego szukasz?

Na zewnątrz rozległo się warczenie.

– Noża – powiedział. – Dla ciebie.

Błyskawicznie znalazła się obok niego i szarpnęła go za ramię.

– Co tu jest grane?

– Słyszałaś to, prawda?

– Nie jestem głucha.

– Już od jakiegoś czasu czyhają pod domem.

– Oni? – Rosa zadała sobie trud, by zamiast o Iole, pomyśleć o sobie. Miała w tym cholernie dobrą praktykę. Dlaczego tym razem miałyby się nie udać?

– Zwierzęta – powiedział. – Drapieżniki.

Uścisk Rosy na jego ramieniu stężał. To musiało boleć, a mimo to nie strząsnął jej dłoni.

– Tano? – zapytała bezgłośnie.

– Nie sądzę. Nie.

Walczyła ze swoją złością, z bezsilnością.

– O co tu chodzi, Alessandro? Dlaczego ten tygrys miał oczy Tana? Przecież sobie tego nie wymyśliłam, prawda?

– Miałem nadzieję, że twoja ciotka ci to wyjaśni. Albo siostra.

I znów warczenie. Natychmiastowa odpowiedź, bliżej, pod

kuchennymi oknami. Rosa próbowała dojrzeć coś w ciemności, ale widziała tylko uderzający o szyby deszcz.

– Wyjaśnię ci wszystko – powiedział Alessandro. – Obiecuję. Ale teraz musimy stąd uciekać.

– Na zewnątrz? – zapytała zjadliwie. – Jasne.

Kilka pokoiów dalej rozległ się przeciągły, donośny odgłos.

– To pod jednymi ze szklanych drzwi – szepnął Alessandro. – Cholera, wiedziałem.

– Co?

– Ktoś jest na wyspie. Ktoś, kto na dzień zamyka zwierzęta, a w nocy wypuszcza je na wolność. Ktoś, kto je karmi i trzyma w psiarni. Ktoś w rodzaju stróża.

– Co to ma być? – Puściła jego ramię. Jej ręka była ciężka jak ołów. – Prywatne zoo twojej rodziny?

– Obawiam się, że to raczej coś na kształt terrarium twojej ciotki. Tylko nie z węzami. – Podbiegł do drzwi. – Nie wiedziałem o tym. Wcześniej trzymano je gdzie indziej. Że też Cesare odważył się umieścić je na wyspie mojej matki... – Zamilkł, kiedy uświadomił sobie, że nie ma drzwi, które mógłby zamknąć. Także Rosa w tym samym ułamku sekundy zrozumiała, że w całym domu widziała tylko otwarte przejścia. Ktoś musiał wystawić wszystkie drzwi.

– Chodź! – szepnął Alessandro.

Obudził się w niej sprzeciw, ale podążyła za nim, bo w jego głosie było coś, co wzbudzało jej ślepe posłuszeństwo.

Wzbudzało. Jej. Ślepe. Posłuszeństwo. Później będzie musiała sobie z tym poradzić.

Tak wiele przemawiało przeciwko temu, żeby mu zaufać. Tyle przemilczał, tyle razy ją okłamał. A mimo to był pierwszą osobą od roku, której dobrowolnie opowiedziała o Nathanielu. I

to nie było trudne. Teraz jednak znów tego żałowała.

Znów rozległ się ryk.

Tym razem w domu.

– Wpuścił je do środka. – Alessandro stanął w miejscu i nasłuchiwał. Jego ciało przybrało dziwną pozę. Lekko pochylony do przodu, przyczajony. Zwierzę, które łapie trop.

Zrobiło jej się jeszcze zimniej, drgawki ogarnęły jej ciało.

– Ktokolwiek zajmuje się tymi zwierzętami, należy do ludzi Cesare – wymamrotał. – Możliwe, że zadzwonił do niego i powiedział mu, że tu jesteśmy.

– I Cesare rozkazał mu poszczuć nas tymi bestiami?

– Być może chciał cię postraszyć. Albo zabić nas oboje. – Spojrzał na nią pytająco. – Masz przy sobie komórkę?

– Nie. – Zostawiła ją rano na łóżku w *palazzo*.

– Więc żaden helikopter nie pojawi się, by cię stąd zabrać.

– Co masz na myśli? – przerwała, kiedy pojęła prawdę. – Myślisz, że dlatego wiedzieli, że jestem z wami?

– Założę się, że to był prezent, prawda? Zaraz po twoim przyjeździe. – Parsknął gorzko, wskazał na schody prowadzące na piętro i pobiegł w ich stronę. – Tam, w górę, chodź!

– A więc oni... Myślisz, że zamontowali w tym badziewiu nadajnik?

– Oczywiście. – Cofnął się w jej stronę, chwycił ją niecierpliwie za rękę i pociągnął na schody. – To żadna nowość w naszych rodzinach. Dzieci klanów często bywają uprowadzane albo próbują uciec. Niektórzy rodzice wszczepiają nawet swoim synom i córkom mikroskopijne nadajniki pod skórę, by móc je w razie czego odnaleźć.

Przez chwilę szła za nim jak w transie. Wąska klatka schodowa wirowała wokół niej. Czowała się zdradzona przez Zoe, przez Florindę. Także przez niego? Miała coraz mniej pewności

co do własnych uczuć.

Alessandro zatrzymał się na pierwszym piętrze. Położył palec na ustach, nakazując jej milczenie. Nic nie mów – wyczytała z bezgłośnego ruchu jego warg.

Stali na korytarzu. Przez otwarte drzwi wpadała do środka blada szarość. Deszcz walił o szyby.

Coś poruszyło się na końcu korytarza i zastygło w miejscu. Rosa widziała tylko czarny zarys sylwetki. Nie rozpoznała, co to było. Tygrys. Lwica. Jak gdyby to miało jakieś znaczenie, co ją rozszarpie.

Drapieżny kot nasłuchiwał z podniesionymi uszami. Długi ogon poruszał się powoli to w jedną, to w drugą stronę na znak dużego napięcia.

Alessandro i ona nie ruszali się z miejsca. Bębnienie deszczu musiało wzbudzać w zwierzęciu irytację. Najwyraźniej nie odkryło jeszcze ofiar w osobach Rosy i Alessandro.

Kot ruszył przed siebie. Szedł do końca korytarza z płynną, bezgłośnie elegancją, tyleż majestatyczną, co morderczą.

Alessandro puścił dłoń Rosy.

Zwierzę zniknęło w jednym z przejść. Nie zostanie długo w kolejnym pokoju, jeśli ich tam nie znajdzie.

Alessandro dał jej znak, ale była szybsza. Rzuciła się już w przeciwnym kierunku, w dół korytarza. Podążył za nią. Znaleźli się w pokoju gościnnym bez drzwi do łazienki. Dziwne, że drzwi wystawiono także we wszystkich sypialniach. Mimowolnie pomyślała o budowlach na niektórych wybiegach w zoo. Plac zabaw dla zwierząt, do chowania się i polowania. To do tego miał służyć ten dom, zanim ukryto w nim Iole?

– Do okna – szepnął Alessandro i pobiegł przodem.

Liczyła się z tym, że okna nie będzie można otworzyć. A jednak wystarczyło tylko przesunąć drążek i szyba wyskakiwała

do wewnątrz. Deszcz wdzierał się do środka razem z zapachem mokrych skał. Znajdowali się w jednym z bocznych skrzydeł domu, pod oknami Rosa widziała popękane wulkaniczne podłoże. Mur, który otaczał willę, był stąd niewidoczny, przypuszczalnie ciągnął się dalej w ciemności.

– Dasz radę stąd skoczyć? – zapytał cicho.

Spojrzała przez ramię w kierunku drzwi. Jeśli to coś zbliżało się do nich na miękkich łapach, nawet cień nie mógł go zdradzić – było za ciemno.

Pospiesznie kiwnęła głową. Znajdowali się na pierwszym piętrze, poniżej błyszcząły nagie skały. Ale okno sięgało prawie do podłogi, więc od ziemi dzieliły ich maksymalnie trzy metry.

– Mogę skoczyć pierwszy i spróbować cię złapać – zaproponował.

Myśl, by wylądować w jego ramionach niczym przestraszona księżniczka, była tak niedorzeczna, że niemal parsknęła śmiechem. Pokręciła głową, wspięła się obok niego na wąski parapet i rozejrzała się po okolicy w poszukiwaniu wałęsających się zwierząt.

Zderzenie z ziemią było silniejsze, niż się obawiała. Poczowała ból, jak gdyby nogi wbijały się w jej podbrzusze. Straciła równowagę, upadła do przodu, podparła się rękami i runęła na kolana. Ostre kawałki lawy przebiły jej rajstopy i poprzecinały skórę. Na początku nie czuła nic, a potem rany zaczęły ją palić jak ogień. Nie musiała patrzeć, by wiedzieć, że krwawi.

Jeśli zwierzęta dopiero teraz złapały trop, już go nie zgubią.
– Wszystko w porządku? – szepnął z góry Alessandro.

Z wykrzywioną bólem twarzą wstała i chwiejąc się, próbowała utrzymać równowagę. Bolały ją stopy, nogi i uda. Ale kiedy ostrożnie spróbowała się ruszyć, uspokoiła się. Nic

nie złamała, nic nie skręciła.

Mrużąc oczy, spojrzała w górę w kierunku okna i odsunęła się. Alessandro obejrzał się i nagle wyraźnie zaczął się spieszyć. Odbił się, w locie podciągnął nogi, wyciągnął ręce w dół i wylądował zgrabnie na czworakach ze zgiętymi kolanami. Nawet nie drgnął, wyprostował się, uśmiechem skwitował jej pełne niedowierzania spojrzenie i znów wziął ją za rękę, chcąc pociągnąć za sobą. Mokre od deszczu palce wyślizgnęły się jednak z jego dłoni. Podążyła za nim, lekko kulejąc, z zaciśniętymi zębami. Przynajmniej mogła biec.

Przemykali wzdłuż fasady willi, biegnąc w czymś w rodzaju rowu, który z jednej strony ograniczała ściana domu, a z drugiej – krawędź skał. Gdzieś w ciemności znów rozległ się pomruk drapieżnego kota, dwa inne mu odpowiedziały. Przynajmniej jeden z nich znajdował się na zewnątrz. Jego głos rozbrzmiewał gdzieś bardzo blisko.

Dotarli do końca ścieżki. Wulkaniczne skały na lewo od nich nie wyglądały w tym miejscu bardzo stromo. Kiedy Rosa ostrożnie wyjrzała zza jednej z nich, zorientowała się, że znajdują się w przedniej części posiadłości. Dziesięć metrów przed nimi wznosił się mur, który otaczał całą posesję. Żelazna brama z kraty była otwarta, chociaż Alessandro zatrzasnął ją, kiedy wchodzili na dziedziniec.

Rosa odwróciła się w jego stronę. Ich spojrzenia się spotkały. Wyglądał na zaniepokojonego, a ona zastanawiała się, czy to z powodu jej otwartych ran na kolanach i ciepłej krwi, która sączyła się przez porwane rajstopy. Podniósł rękę. Zanim zdołała się cofnąć, odgarnął z jej twarzy mokry kosmyk i pocałował ją w usta. Było to niewiele więcej niż delikatne dotknięcie, które mimo całego protestu, jaki się w niej obudził, nie chciało zniknąć z jej warg.

– Bardzo mi przykro – szepnął. Myślała, że mówi o pocałunku, ale zaraz dopowiedział: – Że cię tu zabrałem.

– Chciałam tu przyjechać – odparła bezgłośnie. – Co się stało z Iole? Myślisz, że wciąż tu jest?

Potrząsnął przecząco głową.

– Jeśli jeszcze żyje, zabrali ją stąd. Być może myliłem się i Cesare dotrzymał słowa. To byłoby coś nowego, ale nie niewyobrażalnego.

– To będzie wyglądało dość głupio, jeśli z tego powodu rozszarpie nas ta jego trzódka.

– Nie robi tego. Zaufaj mi.

Za sprawą wilgoci jego włosy znów nabrały kruczoczarnej barwy, tej samej, co na plaży. Także jego oczy wyglądały na ciemniejsze.

Wskazała na bramę:

– Czy to jedyna droga?

– Najszybsza. Trzymaj się asfaltu. Biegnij i nie oglądaj się za siebie.

– A ty?

– Ja pobiegnę za tobą.

– Ale dlaczego...

– Proszę – powiedział z naciskiem. – Po prostu biegnij. Musisz zapamiętać kod do bramy w dole, przy przystani.

Podał jej sześć cyfr. Dopiero po chwili zorientowała się, że mogła to być data urodzin jego matki. Pasowała, jeśli dwie ostatnie cyfry oznaczały rok.

Zaczęli biec. Wypadli z bezpiecznego cienia ściany domu na wolną przestrzeń pomiędzy willą i murem. Deszcz uderzał o ich twarze i znów rozległo się zwierzęce warczenie.

Mgnienie oka później coś z przerażającą siłą trzasnęło od wewnątrz w pancerną szybę frontu budynku.

– Szybciej! – Alessandro nie zważał już na to, że było go słychać.

Przebiegli przez bramę, przecięli podjazd i skręcili w kierunku drogi. Podczas podchodzenia Rosie wydawało się, że serpentyny ciągną się w nieskończoność, ale teraz, mimo ciemności i deszczu, dostrzegła brzeg morza. Przystań leżała jednak kilkaset metrów dalej na północ i prowadziły do niej liczne zakręty. Ścigający, nie dbając o bieg drogi, wybrałby krótszą trasę przez skały.

Alessandro został kilka metrów z tyłu, chociaż biegał szybciej od niej. Kolana ją bolały i nie była pewna swoich nóg. Mógł ją bez trudu wyprzedzić. A mimo to trzymał się z tyłu, słyszała jego kroki i myślała o tym, co powiedział. Nie oglądać się.

Ale rzut okiem przez ramię przydarzył się jej jakoś samoistnie. Zachęcanie Rosy, by czegoś nie robiła, było najlepszym sposobem, by sprowokować ją do działania.

Alessandro wciąż spoglądał do tyłu. Było tam coś jeszcze, jakieś dziesięć albo piętnaście metrów za nimi na drodze, rozmazana zjawą w deszczu, znacznie szybsza niż ona i gotowa, by rzucić się w pościg.

Odwróciła głowę, by nie zbiec z drogi. W skałach natychmiast by upadła. Musiała pozostać na asfalcie i próbować nie poślizgnąć się w strumieniach wody.

Kiedy odwróciła się ponownie, Alessandro zniknął.

Poszarpane ubranie leżało porozrzucane na drodze. Ten widok uderzył ją jak cios w plecy, potknęła się, a kiedy odzyskała równowagę, stanęła niczym zamurowana.

– Alessandro?

Także jej prześladowca pozostał za ostatnim zakrętem i mrocznym skupiskiem skał. Przez chwilę zdawało jej się, że

ustało nawet bębnienie deszczu. Rosa stała na środku drogi, gapiła się szeroko otwartymi oczami na wzgórze i nie słyszała nic poza własnym biciem serca i pospiesznym oddechem. Krople zdawały się spadać z ciemnego nieba w zwolnionym tempie i miała wrażenie, że każdą z nich może rozprysnąć koniuszkiem palca.

Tępo patrzyła na drogę, na części ubrania, które leżały w środku rwącego strumienia. Niechętnie wypatrywała na ziemi dalszych śladów. Szukała mieszającej się z wodą krwi.

Głęboki ryk, niespodziewanie blisko, wdarł się jej do uszu. Poczowała gorący oddech zwierzęcia. Nie przypominał tygrysa w lesie, był bardziej dziki.

Powoli odwróciła głowę. Spojrzała na grupę skał, która wznosiła się niecałe trzy metry od drogi.

Stał na niej wyrośnięty lew z przemokniętą grzywą. Pod połyskującym mokrym futrem odznaczały się ogromne pasma mięśni. Jego oczy płonęły. Lustrował ją wzrokiem z półotwartym pyskiem, czując w nozdrzach zapach jej ciepłej krwi. Jakby chciał jej pokazać, czym rozszarpie ją w następnej minucie.

Rzuciła się do przodu i pobiegła dalej, chociaż wiedziała, że nie ma to sensu. Biegła najszybciej, jak umiała. Kiedy przez dłuższą chwilę nie padł na nią pierwszy cios, obejrzała się.

Ciemność nocy przerodziła się w mocne, gładkie ciało, które z ogłuszającym prychaniem wspięło się po skale i zaatakowało lwa. Ten warknął, stracił równowagę i ciężko upadł na bok, kłapnął paszczą w kierunku atakującego i pociągnął go za sobą.

Lew z wściekłym rykiem wypadł na krawędź drogi. Potężny drapieżny kot skoczył na niego, wbił w niego pazury i kły, szarpał futro i mięso. A potem zeskoczył i odwrócił się w

jego kierunku. Także lew uniósł się wściekły z bólu. Nie tracił czasu i przeszedł do kontrataku.

Kiedy błyskawica rozświetliła nocne niebo, Rosa wyraźniej zobaczyła drugie zwierzę. Ten widok wciąż tkwił przed jej oczami, kiedy jak oszalała zbiegała ze wzgórza.

Kruczoczarna pantera, prawie takiego samego wzrostu, co jej przeciwnik, ale szczuplejsza i zwinniejsza. Górna warga odsłaniała połyskujące kły.

Obrazy i odgłosy walki towarzyszyły Rosie przez całą drogę w dół wzgórza. Prawie nie czuła ziemi pod stopami, a przystań i bramę zobaczyła dopiero, kiedy znalazła się naprzeciw nich.

Mężczyzna przeciął jej drogę. Rosa nie miała czasu, żeby się zdziwić. Z krzykiem siłą rozpędu uderzyła ramieniem w jego klatkę piersiową, przeskoczyła obok niego, zanim zdołał ją chwycić, i dobiegła do placu nad brzegiem. Metrowe fale rozbijały się o skały.

Za nią, w górze toczyła się walka między lwem i panterą. Mężczyzna zawołał coś, czego nie zrozumiała.

Na końcu betonowego pomostu w strugach deszczu połyskiwały światła „Gai”.

Rosę i jacht dzieliła już tylko brama, którą musiała otworzyć na czas, wystukując na klawiaturze kombinację cyfr. Woda sprawiała, że lśniąca powierzchnie wyglądały jak wykonane z ciekłej stali.

Mężczyzna za jej plecami coś zawołał. Ciężkie kroki były coraz bliżej. W szumie deszczu usłyszała coś jeszcze – ryk wielu dzikich kotów.

Obejrzała się za siebie. Postać na placu zbliżała się. Z ciemnej masy skał oderwały się trzy cienie.

Rosa odnalazła klapkę, otworzyła ją. Czerwona lampka

świeciła nad klawiszami.

„Kod wykasowany” – pojawiło się na ekranie. „Nowy kod zaakceptowany”.

Mężczyzna zmienił ten cholerny kod. Droga powrotna na jacht była zablokowana.

Klnąc, odwróciła się, odepchnęła dłonie swojego prześladowcy i zobaczyła trzy pędzące dzikie koty. Jedyne droga ucieczki wiodła do starego bunkra.

Przez szerokie wejście wbiegła do nagiego betonowego pomieszczenia. Prześlizgnęła się przez niski otwór w tylnej ścianie.

Ogarnął ją gryzący, zwierzęcy zapach.

PSIARNIA

Pod szarym sufitem paliło się szare światło. Jedna z jarzeniówek świeciła i brzęczała głośniejsz od innych. Robactwo uderzało o szkło.

Rosa obejrzała się. Nie mogła uspokoić oddechu. Odgłos bicia serca rozsadzał jej czaszkę. Bolała ją głowa, widok rozmywał się jej przed oczami.

Smród w prostokątnym, betonowym pomieszczeniu był trudny do zniesienia. Podłogę przykrywała słoma, w ścianach znajdowało się więcej okratowanych drzwi, które prowadziły do pojedynczych boksów. Cztery pary z nich były otwarte, dwie – zamknięte. Jeśli nawet coś tu żyło, nie ujawniało się. W przedsionku stał wielki pojemnik z wodą i ogromne miski, do brzegów których kleiły się wyschnięte kawałki mięsa.

Pośpiesznie wyjrzała z powrotem przez otwór w przedsionku. Trzy dzikie koty wbiegły na plac i zbliżyły się bez pośpiechu, rozluźnione i pewne siebie. Przeszły obok mężczyzny, nie zwracając na niego uwagi. Znały go, to on je karmił i o nie dbał. Rosa nie widziała nic poza zarysem jego wełnianej czapki.

Otwór, przez który dotarła do wyłożonego słomą przedsionka, był krótkim tunelem wykutym w potężnej betonowej ścianie. Mógł mieć dwa metry. Nie zmieściłaby się w nim więcej niż jedna z bestii. Okratowane drzwi, którymi można było zamknąć tunel, wisiały od zewnętrznej strony, Rosa nie zdołałaby ich dosięgnąć bez wychodzenia zwierzętom naprzeciw. Byłoby to samobójstwo, zwłaszcza że wszystkie trzy właśnie wchodziły do budynku. Za kilka chwil miały znaleźć się obok niej.

Nerwowo rozejrzała się wkoło. Żelazne drzwi po

przeciwnej stronie pomieszczenia mogły być wejściem dla ich opiekuna, który dokarmiał je i wymieniał zużyte siano. Podbiegła do nich i poślizgnęła się na ekskrementach.

Piękna śmierć, pomyślała. Łądujesz w tygrysim gównie, a następnie zgraja rozszalałych bestii odgryza ci głowę.

Jeden z dzikich kotów wydał z siebie krótkie warknięcie. Z pewnością był już w tunelu. Wyciągniętą ręką Rosa dopadła żelaznych drzwi. Gałka nie dała się przekreślić, nawet obiema dłońmi.

Z wściekłym wrzaskiem napała na drzwi. Ani drgnęły. Usłyszała szelest słomy za swoimi plecami.

Po prawej od nich otworzył się jeden z boksów. Nie zastanawiając się, zrobiła trzy kroki w jego stronę, chwyciła za kratę i pociągnęła za sobą, wskakując do środka. Żelazo zazgrzytało, kiedy drzwi uderzyły o ramę, i odskoczyły. Rosę odrzuciło od kraty, nie wypuściła jej jednak z rąk. Jeszcze raz spróbowała ją zamknąć, teraz nieco wolniej – tym razem zamek zaskoczył.

Jęcząc, z wyschniętymi ustami i palącymi oczami wyjrzała spomiędzy żelaznych prętów.

Biała lwica stała po drugiej stronie pomieszczenia i patrzyła wprost na nią. Jej futro było mokre i brudne, łapy niemal czarne od błota. Warknęła i podeszła bliżej, podniosła łapę i pacnęła nią o kratę.

Rosa zrobiła unik, zatoczyła się w głąb swojego dobrowolnego więzienia i dopiero w tej chwili uświadomiła sobie, że właściwie nie wie, czy jest puste. Oczekując najgorszego, rozpoczęła obchód.

Także tutaj pod betonowym sufitem świeciła neonówka. Jedną stronę podłogi pokrywała słoma, drugą piasek. Na tylnej ścianie na wysokości oczu widniała podłużna szczelina, która

wcześniej prawdopodobnie służyła jako otwór strzelniczy. Od zewnątrz uszczelniała go żółta masa, a całość wyglądała jak pęknięty wrzód. Prowadził przez niego wąż doprowadzający wodę, który ciągnął się do podłużnego koryta.

Lwica znów zaatakowała kratę. Rosa wzdrygnęła się. Najpóźniej kiedy pojawi się tu dozorca z kluczami, przestanie być bezpieczna. Ale nie było stąd żadnej drogi ucieczki. Sama wmanewrowała się w tę pułapkę.

Na zewnątrz rozległ się ludzki krzyk. Do betonowego wnętrza wdarł się stłumiony dziki ryk i warczenie. Lwica niespokojnie przemknęła kilka razy pod kratą, zanim zdecydowała się wesprzeć swoich towarzyszy. Zniknęła w tunelu.

Rosa odetchnęła głęboko i poczuła, że musi zwymiotować. Nie tylko z powodu smrodu. Obrazy przepływały przez jej myśli, ale żadnego z nich nie mogła zatrzymać na dłużej. Lew w górze na skale. Pantera, która przybyła jej na pomoc. Rozrzucone w kałużach ubranie Alessandra. Wiedziała dobrze, co to oznacza, i już się przed tym nie broniła.

Czyż nie przeczuwała tego od dawna? Tygrys z oczami Tana. Rany Zoe i jej kłamstwa. Mimo wszystko wyobrażać sobie, że ludzie zmieniają się w ogromne węże, to co innego niż się temu przyglądać.

Na zewnątrz rozległo się skomlenie i wycie, przerwane przez ostre warczenie. Potem zapadła cisza. Na końcu odległy skowyt zwierzęcia, a może nawet dwóch. Ktoś zawołał coś, ale zdanie zginęło w głuchym okrzyku bólu.

Krok za krokiem oddalała się od kraty, aż mogła zobaczyć kawałek przedsionka. Pasek słomy, zamknięte żelazne drzwi. Jej łydki oparły się o koryto z wodą na tylnej ścianie. Zatrzymała się. Szarpnęła za metalową rurę, która wystawała ze ściany, ale

była dobrze przymocowana. Poza nią nie było tu nic, czego mogłaby użyć jako broni.

Pociła się, ale jednocześnie było jej okropnie zimno. Kiedy spojrzała na swoje przedramię, zauważyła, że żyły odznaczyły się na nim na niebiesko, cała ich sieć, jak gdyby ktoś zamienił jej krew w atrament. Jej skóra była sucha i porowata, jakby pokryta liszajami.

Coś się z nią działo. Już raz się tak czuła, kiedy obudziła się w szklarni, ten dziwny stan pomiędzy transem a niebywale ostrą percepcją otoczenia. Trzęsła się i pociła, miała łzy w oczach. Było jej niedobrze, ale wciąż trzymała się na nogach. Jedną ręką opierała się o lodowato zimną rurę, drugą trzymała na przemoczonej spódnicy. Coś jak piasek tarło ją w oczach. Ale kiedy otarła dłonią twarz, jej grzbiet pokrył się białym łupieżem, który, spadając z czoła, zatrzymywał się na nosie, na kościach policzkowych i zaklejał jej oczy.

– Nie kontrolujesz tego – powiedział głos w wejściu.

Alessandro miał teraz na sobie o wiele za duże dzinsy. Jego nagi tors połyskiwał od deszczu wymieszanego z krwią.

– Musisz to w sobie stłumić. Tak będzie lepiej.

Jak to zrobić, skoro nie wiedziała nawet, co to było i dlaczego jej się przytrafiło?

Alessandro zaczął przymierzać do zamka zapięte w pęku klucze. Trzeci pasował. Krata odskoczyła.

Rosa zachwiała się i wyciągniętymi dłońmi podparła o surowy beton na ścianie. Pozwoliła głowie opaść z wycieńczenia, spojrzała na podłogę i nie wiedząc, co się dzieje, próbowała skupić się na swoim oddechu. Wciąż jej się to nie udawało, ale wyobraziła sobie, że powietrze, które wnika do jej klatki piersiowej, wypiera lodowate zimno. Wtedy opanowała oddech.

Na jej ramionach od tyłu delikatnie spoczęły dłonie. Zdawało się, że płynie z nich ciepło, które rozprzestrzeniało się po całym jej ciele. Drgawki ustąpiły, wracały tylko w pojedynczych dreszczach.

Jego palce troskliwie głaskały jej żebra, obejmowały talię, zaciskały się na płaskim brzuchu. Trzymał ją bardzo mocno, przyciskał swój tułów do jej pleców i wciskał twarz w mokre włosy. Rozgrzał ją, aż minęły najłżejsze dreszcze. Fakt, że trzęsa się dalej, miał inną przyczynę, która budziła w niej pewne obawy.

Długo tak stali, jej plecy przy jego torsie. Nie pytała, co stało się na zewnątrz, bo żadne słowo nie chciało jej przejść przez usta, same prychnięcia i syki, które dla niej samej brzmiały obco i przerażająco.

DYNASTIE ARKADYJSKIE

Rosa i Alessandro siedzieli owinięci w koce w salonie na górnym pokładzie jachtu, otoczeni połyskującymi złotymi okuciami i boazerią z egzotycznego drewna. W kominku tańczyły płomienie z tworzywa sztucznego, z ukrytego nawiewu docierało do nich delikatne ciepło, które pachniało sosnowym drewnem.

– Nigdy w życiu nie widziałam czegoś równie okropnego – powiedziała Rosa, mając na myśli psiarnię na wyspie.

– Nie każdy może sobie na to pozwolić – powiedział Alessandro – więc powinno to być coś niezwykłego. Tak przynajmniej myślał mój ojciec.

Siedzieli w dwóch ciężkich fotelach naprzeciwko kominka. Jacht zmierzał z powrotem do macierzystego portu na północy Sycylii i podróż miała mu zająć jeszcze ponad dwie godziny. Morze było niespokojne, ale burza ucichła.

Rosa miała na sobie miękki, o wiele za duży płaszcz kąpielowy i domowe kapcie z futrem. Jej ubranie znajdowało się w suszarni pod pokładem. Głęboko zakopała się w fotelu i mocno podciągnęła oklejone plastrem kolano. Rąbek koca sięgał aż do jej podbródka. Wciąż było jej zimno, ale powodem tego było z pewnością również zmęczenie.

– No więc? – zagadnęła zachęcająco.

Alessandro miał na sobie norweski sweter jednego z załogantów i stare džinsy, które znalazł w jakiejś kabinie. Te należące do dozorca, które miał na sobie w psiarni, oddał ich właścicielowi, zamkniętemu gdzieś pod pokładem przez mężczyzn z załogi. Alessandro także owinał się kocem, a w jego dłoniach parował kubek z gorącą herbatą. Rosa nienawidziła herbaty.

– Naprawdę nic nie wiesz? – zapytał.

Spojrzała na niego znad rąbka koca i pokręciła głową. Stopniowo narastała w niej stara dobra niecierpliwość.

– Ta książka, *Bajki Ezopa* – powiedział. – Dałem ci ją, ponieważ chciałem sprawdzić, jak na nią zareagujesz. Żeby ustalić, co ci powiedzieli. Gdybyś wiedziała, na pewno coś byś powiedziała. Zdradziłabyś się.

– Skąd możesz to wiedzieć? Przecież wcale mnie nie znasz. Wykrzywił twarz w lekkim uśmiechu.

– Widziałem cię w akcji w samolocie.

Cicho westchnęła.

– Bajki mówią o zwierzętach, które mają cechy ludzi. A my wszyscy, twoja rodzina, moja rodzina i wiele innych jesteśmy czymś w tym rodzaju. Albo tego przeciwieństwem – w zależności od punktu widzenia.

Rozważała, czy milczeć tak długo, aż wreszcie powie: jesteśmy ludźmi, którzy zmieniają się w zwierzęta. W tygrysa, węże i panterę.

– Słyszałaś kiedyś o dynastiach arkadyjskich?

Pokręciła głową i pomyślała, że tym razem ma przed sobą Alessandra, który uczył się retoryki w internacie w Hudson Valley.

– W mitach greckich wciąż pojawia się kraina, która nazywa się Arkadia. To także jedna z dzisiejszych prowincji greckich, której po prostu nadano to stare miano. Wcześniejsza Arkadia, ta z antycznych greckich opowieści, była wyspą na Morzu Śródziemnym. Przez kilka tysięcy lat wielokrotnie zmieniała nazwę.

– I nauczyłeś się tego w Hogwarcie?

– Jedną z nich była Atlantyda.

Wysłała mu karcące spojrzenie.

– Pantera, Alessandro. Lwy. Nie małe zielone ludziki.

Pociągnął łyk ze swojego kubka, uśmiechnął się lekko i ciągnął dalej:

– W najstarszych legendach greckich tylko bogowie mogli przyjmować postać zwierząt – nigdy ludzie. Zmieniło się to, kiedy ojciec wszystkich bogów, Zeus, postanowił złożyć wizytę w królestwie Arkadii. Rządził tam król o imieniu Lykaon, który był głównie przestępcą.

– To tak samo jak my – powiedziała bez cienia humoru.

– Lykaon słynął nie tylko z tyranii, ale także z kanibalizmu. Kiedy Zeus siedział przy jego stole, król polecił podać sute mięsne potrawy. Zeus spróbował ich i natychmiast domyślił się prawdy. Z wściekłości i wstrętu przeklął całą Arkadię, a przede wszystkim jej władcę. Zamienił Lykaona w wilka, by każdy mógł rozpoznać, jaką był bestią i czym się żywił.

– Mamy czas – nie przestawała mu docinać. – Możesz spokojnie zacząć od dinozaurów, bylebyś tylko zdążył zahaczyć o Carnevarów i Alcantarów.

– Poczekaj. Lykaon był pierwszym zwierzoczłowiekiem – jednocześnie wilkiem i człowiekiem. Przekleństwo Zeusa rozprzestrzeniło się jednak na całą Arkadię, a kiedy wyspa później zatoneła w morzu, nieliczni, którzy przeżyli, rozpierzchli się na cztery strony świata. Ostatecznie byli jednak Grekami, a Grecja – w tamtym czasie – najpotężniejszym państwem nad Morzem Śródziemnym. Jej żeglarze zakładali kolonie na wszystkich wybrzeżach. Ocaleni mieszkańcy Arkadii wszędzie byli witani przyjaźnie, osiedlali się w Europie, Afryce i Azji. Wielu z nich w swoich nowych ojczyznach stało się bardzo poważanymi osobistościami. Widziałaś, ile ruin jest na Sycylii? Ta wyspa była wtedy jednym z filarów greckiej cywilizacji.

Ciepłe powietrze z kominka musiało działać na nią usypiająco, ale Rosa była całkowicie przytomna. W milczeniu skinęła głową.

– Uchodźcy Arkadii w krótkim czasie stali się bardzo potężni. Ich rodziny zdobywały coraz więcej posiadłości, mieli swoich ludzi w rządach państw albo wywierali wpływ na decyzje polityków. Kiedy Greków wypędzono z Kartaginy, wielu Arkadyjczyków wywalczyło u nowych władców prawo do pozostania tu. Było im o wiele za wygodnie w tym miękko wyściełanym gniazdku, by tak po prostu z niego zrezygnować. Miało to miejsce mniej więcej dwa i pół tysiąca lat temu i od tej pory niewiele się zmieniło.

– I przez ten cały czas podczas pełni zmieniają się w dzikie koty, węże i...

– To nie ma nic wspólnego z pełnią księżyca – przerwał jej ze śmiechem. – Bo jeśli trochę poćwiczymy, możemy tym kierować. Ale czasem silne wybuchy emocji sprawiają, że się przeobrażamy. Złość i nienawiść, ale też miłość mogą prowadzić do utraty kontroli i wtedy to po prostu się dzieje.

Obiema dłońmi potarła oczy. Spojrzała potem na palce, ale nie dostrzegła na nich płatków skóry. Wcześniejsza przemiana dawno się zatrzymała, jej czoło było gładkie i niemal nietknięte, jak po lekkim oparzeniu słonecznym.

– Po tym, co zrobiłam w zeszłym roku, myślisz, że przeżywam jeszcze jakieś silne wybuchy emocji? – Chciała, by zabrzmiało to pogardliwie. To była jej sprawdzona broń, kiedy czuła się niepewnie.

Alessandro odstawił kubek i nachylił się do niej.

– A przy okazji, czy to twoja ciotka cię tu zaprosiła, czy był to twój pomysł?

– Właściwie to Zoe. – Już kiedy to mówiła, stało się dla

niej jasne, do czego zmierza. – Myślisz, że Florinda ją do tego namówiła...? Oczywiście! Florinda i Zoe zawsze były ze sobą w kontakcie. Przed dwoma laty Florinda wpadła na pomysł, by ściągnąć tu Zoe. A potem, kiedy przyszła na mnie kolej, przekonała Zoe, by... – zająknęła się ze złości. – Florinda to wszystko zaplanowała, by mieć nas blisko siebie.

Alessandro skinął głową.

– Tutaj o wiele łatwiej jest trzymać to w tajemnicy. Przez ostatnie kilkaset lat na Sycylii zamieciono pod dywan tyle brudu, że ludzie mają w tych sprawach bogate doświadczenie. – Zmarszczył czoło, a dołeczki na jego twarzy pogłębiły się. – Potrafisz sobie wyobrazić, jakim problemem jest ukrycie takiej przemiany w amerykańskim akademiku?

– Nikt ciebie nie ostrzegł?

– Ależ tak. Zrobił to właśnie Tano. Ale nie uwierzyłem mu. Kiedy przydarzyło mi się to za pierwszym razem, byłem kapitanem drużyny lekkoatletycznej. Złamałem nogę i nie mogłem wziąć udziału w zawodach. Podczas gdy moja drużyna była na mistrzostwach, ja leżałem w łóżku i strasznie się wściekałem... Nie patrz tak na mnie, tak to właśnie wygląda w tym głupim internacie...! Na pewno zszokowałyby mnie to znacznie bardziej, gdyby Tano nic mi o tym nie powiedział.

Zamyślona Rosa owinęła sobie mokry kosmyk włosów wkoło palca.

– Arkadyjczycy – powiedziała powoli. – A więc są wszędzie?

– W innych okolicach i krajach dynastie upadały albo po prostu znikwały. Rosyjskie klany Niedźwiedzi, Hundingowie w dawnej Germanii, a nawet chińskie rodziny Lisów pochodziły z Arkadii. Tutaj, na Sycylii, utrzymanie władzy przyszło im z wyjątkową łatwością, a nawet udało im się zaistnieć jako

koalicja klanów. Carnevarowie należą do Panter – to drapieżne koty wszelkiej maści, nie tylko pantery. Wy, Alcantarowie, jesteście Lamiami, kobietami-wężami. Z jakiegoś powodu w waszym klanie dotknięte tym są tylko kobiety.

Dlaczego jej to nie dziwiło?

– Powiedziano mi – mówił dalej – że męscy potomkowie Alcantarów rzadko osiągają dorosłość. Jeśli jednak któremuś się to uda, traci zdolność przeobrażania się.

– Rzadko osiągają dorosłość, to znaczy, że wcześniej umierają? Czy że... zostają zamordowani?

– Nie wiem – powiedział wymijająco. Nie zabrzmiało to przekonująco.

Chciała możliwie daleko odsunąć od siebie skojarzenia. Jej ojciec umarł młodo. A jej własne dziecko, jej syn... nie chciała pociągnąć tej myśli do końca.

– A mafia? – zapytała, by trochę zmienić temat. – Tak naprawdę to tylko maskarada, która ma dać oficjalny wizerunek arkadyjskim dynastiom?

Potrząsnął przecząco głową.

– Nie. Kiedy w dziewiętnastym wieku z tajnych związków sycylijskich posiadaczy ziemskich narodziła się mafia, Arkadyjczycy znaleźli się w niej przypadkowo, przez wzgląd na swoją historię. Wielu z nich należało do dawnej szlachty ziemiańskiej: twoja i moja rodzina, i jeszcze kilka innych. W ten sposób stali się częścią czegoś, co początkowo odrzucali. Obawiali się, że podczas badania dokumentów i akt na światło dzienne wyjdzie więcej niż tylko kilka nielegalnych interesów. Ale w końcu dynastie zrozumiały, jak łatwo jest wykorzystywać Cosa Nostrę do własnych celów – i że w przeciwnym razie grozi im utrata wpływu na politykę i społeczeństwo Sycylii. To już trzecia i czwarta generacja, od kiedy dynastie arkadyjskie

całkowicie złąły się z Cosa Nostrą. Tylko niektóre klany mafii są Arkadyjczykami, ale wszyscy sycylijscy Arkadyjczycy należą do mafii.

Silna fala zachybotwała jachtem. Rosa prawie spadła z fotela i skuliła się w nim jeszcze bardziej.

– Lwy i tygrysy na wyspie, czy to też byli...

– Nie, to są zwykłe zwierzęta – przerwał jej. – Tak samo jak węże w szklarni twojej ciotki. Wcześniej dynastie wierzyły, że dusze Arkadyjczyków po śmierci wcielają się w takie same zwierzęta. Hodowali ich żywe egzemplarze w roli totemów. Czcili je i składali im ofiary.

Rosa nie była pewna, czy chce wiedzieć, jakiego rodzaju były to ofiary.

– Wielu z nas, przede wszystkim ze starszego pokolenia, nadal wierzy, że dusze wszystkich zmarłych Arkadyjczyków żyją dalej w ciałach zwierząt. Kiedy zwierzę umiera, dusza wnika w kolejnego nowonarodzonego chłopca. Gdyby tak było, gdzieś na świecie, w jakimś zwierzęciu, wciąż żyliby wszyscy potomkowie Lykaona.

– Razem z samym Lykaonem.

– Niektórzy w to wierzą. Myślą nawet, że urodził się na nowo, by podporządkować sobie wszystkie dynastie.

Jak przez mgłę przypomniała sobie, co powiedział jej Fundling podczas ich pierwszej przejażdżki w drodze na jacht.

– Głodomór – wymamrotała.

Alessandro spojrział na nią podejrzliwie:

– A więc już o nim słyszałaś?

– Coś obito mi się o uszy.

– Tak nazwano Lykaona po jego śmierci, w czasach, kiedy mit o królu kanibali z Arkadii był przekazywany z pokolenia na pokolenie.

– I dynastie obawiały się jego powrotu? – O tym także powiedział jej Fundling. Czy i on był Arkadyjczykiem? Czy dlatego przygarnęli go Carnevarowie?

– Trzeba odróżnić – powiedział Alessandro – pierwotną wersję legendy o Głodomorze od jej późniejszych wersji.

– Co to znaczy?

– Od wielu lat dynastie arkadyjskie na Sycylii wybierają *capo dei capi*, bossa wszystkich bossów – najwyższego szefa mafii. Poprzednik dzisiejszego *capo dei capi* sam wybrał sobie przydomek Głodomór, jako tytuł honorowy, który miał legitymizować jego aspiracje do rządzenia wszystkimi dynastiami.

Kolejna fala uderzyła w mostek kapitański „Gai”. Alessandro wyprostował się w fotelu.

– Policja aresztowała go przed prawie trzydziestoma laty. Wciąż siedzi w więzieniu, nie na Sycylii, ale na kontynencie. – Wzruszył ramionami. – Od pewnego czasu krąży plotka, że nowy rząd w Rzymie ma zamiar go ułaskawić. I właśnie tego obawia się większość rodzin: że Głodomór wróci na Sycylię i znów będzie się domagał pełni władzy. Nikt nie wie, ile osób skrycie wesprze jego i jego aspiracje, kiedy z powrotem pojawi się na wyspie. Mogłoby wtedy dojść nie tylko do wojny o władzę w obrębie mafii, ale i do wojny pomiędzy dynastiami.

Rosa strząsnęła z siebie koc i podwinęła szlafrok nad kolanami. Już nie marzła, teraz było jej gorąco. Wzrok Alessandro prześlizgnął się po jej nagich nogach.

– Jest tylko jeden problem – ciągnął. – Cała ta historia z pochodzeniem dynastii... to mit. Jak wiadomo, mity niekoniecznie przekazują prawdę. Jest w nich coś, co przed tysiącami lat ludzie uważali za możliwe. Niewiele więcej... Wierzysz w Boga?

– A co to ma z tym wspólnego?

– Nie wierzysz, prawda? Tak samo jak ja. Dlaczego w takim razie mamy wierzyć, że istniał ktoś taki jak Zeus? Albo przekleństwo, które rzucił na Arkadię?

Dostatecznie duży problem sprawiało jej zaakceptowanie istnienia ludzi-zwierząt. Chociaż Alessandro miał, oczywiście, rację. Wierzyć w coś kompletnie nieprawdopodobnego, co jednak widziało się na własne oczy, to jedno, a inna rzecz to brać za dobrą monetę opowieści o antycznych bogach.

– Ale jeśli historia z karą Zeusa to tylko legenda – powiedział – co w takim razie się wydarzyło? Jak powstały arkadyjskie dynastie?

– Nie wiesz tego?

– Nie mam pojęcia – przyznał, potrząsając głową. – I nie znam nikogo, kto znałby inne wytłumaczenie.

Powoli pokręciła głową. Przerastało ją to. Mogła jedynie słuchać, a w najlepszym wypadku przyjmować, co się do niej mówiło. Zwłaszcza że był inny, o wiele bardziej naglący problem.

– Co się stało z Iole? – zapytała cicho.

DOM W LESIE

Za późno, by czegoś żałować.

Za późno, by wsiąść w następny samolot i polecieć z powrotem do Ameryki.

Za późno, by to nowe życie, które chciała znaleźć na Sycylii, zwrócić w sklepie z nowymi zyciami.

Zamiast tego postanowiła następnego dnia przejść do ofensywy. Nie zrobiła tego, co najbardziej oczywiste – nie zmusiła Zoe i Florindy do rozmowy. Nie była jeszcze na to gotowa. Mogły jej wmówić wszystko – podobnie jak Alessandro, jeśli miała być ze sobą szczerą – do wyboru: najprawdziwszą prawdę, najgorsze kłamstwo albo kombinację tych obu, obliczoną na przywrócenie jej spokoju.

Jedyne, co naprawdę mogło ją uspokoić, to odpowiedzi. Miała prawo dowiedzieć się więcej o swoim pochodzeniu, o swojej rodzinie. O tym, co się stanie z nią w ciągu nadchodzących tygodni albo miesięcy.

Zmęczona do granic możliwości, wczesnym rankiem dotarła do *palazzo* Alcantara, po kryjomu wślizgnęła się do swojego pokoju i zamknęła drzwi na klucz. Nie udało jej się jednak przemknąć niezauważenie i na korytarzu wybuchła nieunikniona awantura. Florinda zapalała świętym gniewem. Zoe przemawiała jej do rozumu przez zamknięte drzwi – właśnie ona!

Rosa dla pewności zablokowała klamkę oparciem krzesła i przykryła głowę poduszką. Zaraz potem zasnęła głębokim i mocnym snem.

Kiedy obudziła się późnym popołudniem, pod jej drzwiami stała taca ze śniadaniem. Na kartce widniała zapisana pismem Zoe informacja, że Florinda musiała pilnie udać się na

Lampedusę, wyspę położoną pomiędzy Sycylią i Afryką Północną. Zoe natomiast była umówiona i zamierzała wrócić z Katanii dopiero po południu. Obok widniała buźka otoczona wieńcem słonecznych promieni.

Wszystko przebaczone i zapomniane? Trudno to było sobie wyobrazić. Rosa z tacą w ręku powlokła się do kuchni, zrobiła sobie jeszcze jedną kawę, przy której zbladłby nawet Fundling, i właśnie drugi raz wgryzała się w słodkie pieczywo, kiedy przyszedł jej do głowy pomysł.

Wzięła prysznic, zmieniła opatrunki. Złotą komórkę schowała głęboko w stoliku nocnym i wyruszyła w drogę do lasu.

Wciąż jeszcze połamana, ale przepelniona dziwną euforią, wspinała się na górę wznoszącą się nad posiadłością. Słońce prześwitywało przez gałęzie, ciepły wiatr spływał po zboczach. Pachniało żywicą i rozgrzаныmi igłami drzew piniowych.

Kiedy mijała miejsce, w którym wyrósł przed nią tygrys, poczuła lekki skurcz w żołądku. Czy Tano zamierzał ją zabić, licząc się nawet ze złamaniem konkordatu? Czy chciał ją tylko przestraszyć, by możliwie szybko uciekła tam, skąd przybyła?

Wyparła myśli o nim, o Alessandrze, a nawet o Iole, aż w końcu dotarła do wąwozu i ruszyła na wschód wzdłuż krawędzi skalnej.

Zza drzew wyłonił się rozpadający się dom. Żółtawe mury przykrywał cień, cała przybudówka była zarośnięta pnączami i gęstwiną roślin. Za dnia mury robiły wrażenie jeszcze nędzniejszych niż w nocy. Dopiero kiedy przyjrzała się im dokładniej, dostrzegła, że jedna połowa zwisającej więzby dachowej pomiędzy rozpadającymi się ścianami znajdowała się nieco wyżej niż druga i była całkowicie zrujnowana. Także fakt, że okiennice były zamknięte i jeszcze nie wypadły z

zardzewiałych zawiasów, wskazywał na to, że dom ma lokatorów, nie wspominając o kablu od elektryczności, który jeszcze w nocy rzucił jej się w oczy.

Nie kryła się ze swoją obecnością, szła prosto w stronę domu, zapukała do drzwi i w myślach wyraziła nadzieję, że po otwarciu nikt nie odstrzeli jej głowy.

Ale drzwi ani drgnęły. Żadnej reakcji.

Spróbowała jeszcze raz.

Poplamione drewno w rzeczywistości było gładkie i solidne. Ktoś celowo nadał mu wygląd starego i skruszałego.

– Dzień dobry, Roso – powiedział głos. Dobiegał nie zza drzwi, ale spomiędzy drzew, na prawo od niej.

Powoli odwróciła się. Żadnych szybkich ruchów. Nie działać pochopnie. Strzelba, której spodziewała się za drzwiami, najpierw wysunęła się z cienia. Podwójna lufa. Pokryte starczymi plamami żylaste ręce i skóra grubości pergaminu. Brązowy wełniany sweter, wycięty w serek. Brudne spodnie, a na nogach ciężkie, żołnierskie buty.

Jego włosy były białe jak śnieg i związane z tyłu głowy. Starzy mężczyźni z końskim ogonem byli w jej oczach podejrzani, nawet jeśli nie mieli przy sobie broni. Ten nosił dodatkowo piracką opaskę na oko. Mimowolnie zadała sobie w duchu pytanie, czy ten sztafaż był tak samo nieprawdziwy, jak sztucznie postarzałe drzwi i ruina, w której mieszkał mężczyzna.

– Pan mnie zna – stwierdziła.

– Jesteś Rosa, siostra Zoe.

Poza džinsami i T-shirtem miała na sobie jedną ze skórzanych kurtek Zoe. Być może rozpoznał ją i wyciągnął właściwe wnioski. Ale coś jej mówiło, że nie było mu to potrzebne, bo znał nie tylko jej imię, ale też jej twarz i Bóg jeden wie, co jeszcze. Nagle poczuła się naga pod kłującym

spojrzeniem jego jedyne go oka.

– Czy chce mnie pan zastrzelić?

– Nie – odparł, ale wciąż trzymał broń wycelowaną w jej stronę. – Ale ty się tego nie obawiasz. To dobrze. Po wszystkim, co o tobie usłyszałem, byłem pewny, że jesteś prawdziwą Alcantarą.

– Czy nie przyczynił się do tego także mój paszport?

Opuścił broń, podszedł do niej i wymierzył jej siarczysty policzek. Jej ręka uniosła się, by oddać cios, ale on chwycił ją za łokieć i mocno trzymał. Uścisk jego palców był zadziwiająco silny i bolesny. Jej policzek płonął, ale miało to większy związek ze złością niż z jego uderzeniem.

– Bardzo cię przepraszam – powiedział, nie dopuszczając, by szybkim ruchem mu się wyślizgnęła. Dopiero po chwili ją puścił. Odskoczyła o krok w tył. Uśmiechnął się całkiem przyjaźnie. Jego rysy twarzy były pomarszczone i pociągłe. Grubo po siedemdziesiątce, oceniła. Niewykluczone, że starszy.

– Za co ten policzek? – zapytała ze spokojem.

– Już poprosiłem o wybaczenie.

– Nie jestem głucha.

– Nie przyjmujesz moich przeprosin?

– Tak się tu robi? Bije się, a natychmiast potem prosi o wybaczenie?

– Tylko wtedy, gdy jest to uzasadnione. Byłaś przemądrzała wobec twojego *capo*. Musisz się nauczyć, że to bardzo poważne przewinienie. Jednocześnie powinnaś wiedzieć, że nie jestem szczególnie pamiętliwy, a już na pewno nie wobec Alcantarów. I jeszcze: przepraszanie za coś nie jest oznaką słabości. Podobnie jak przyjmowanie przeprosin.

– Nie szukam przyjaciela – zacytowała, przyglądając się jego pomarszczonej twarzy. – Szukam mistrza Jedi.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Co takiego?

– *Hamlet*. – Wyciągnęła do niego rękę. – Jestem głupią Amerykanką z domu za wzgórzem. Nazwisko Alcantara tylko przez przypadek widnieje w moim paszporcie. Myślę, że ktoś zamienił mnie w sali dla noworodków. Moi prawdziwi rodzice prawdopodobnie byli turystami na wycieczce objazdowej. Pierwszy raz w Europie. Żadnych planów, wyświechtany przewodnik, wszystko bardzo ekscytujące. Tak naprawdę jestem spadkobierczynią dziedzictwa w postaci budy z pączkami w Taylor, Arizona.

Stary człowiek przyglądał się jej ze zdumieniem. Potem jednak jego kamienna twarz stopniała i starzec wybuchnął śmiechem. Zrobił krok w jej kierunku, ponownie uniósł dłoń, ale tym razem pogłaskał ją po policzku i przeciągnął ją po jej włosach.

– Twojej siostrze nigdy nie udało się mnie rozśmieszyć.

Konspiratorsko obniżyła głos.

– To przestępczyni. W Cosa Nostra śmiech nie jest na porządku dziennym.

– Jest bardziej, niż ci się wydaje, moja kochana. Znacznie bardziej. – Wyciągnął klucz i otworzył nim drzwi. – Wyglądasz na wygłodzoną. Mam chleb, kiełbasę i ser. Twoja ciotka i siostra dobrze o mnie dbają.

W domu był drugi dom. Pod zawalonym dachem zbudowano nowe rusztowanie z belek, wysokie na mniej więcej dwa metry. Za kruchymi zewnętrznymi murami wzniesiono nowe ściany, które wprawdzie zwięzały jedyne pomieszczenie, ale jednocześnie dobrze je izolowały. Stał w nim drewniany stół, dwa krzesła, niezaścielone łóżko i stara komoda z wytartymi mosiężnymi uchwyty. Pęknięte lustro. Malutka umywalka ze

staromodnym kranem. Na ścianach wisiało kilka oprawionych w ramki zdjęć rodzinnych, większość pożółkłych. Mężczyźni i kobiety wyglądali na nich, jakby żyli w czasach drugiej wojny światowej, może wcześniej, sielankowe sceny na polach i wąskich wiejskich drogach, kilka ustawianych zdjęć grupowych na tle namalowanych krajobrazów.

Zapach stęchlizny wisiał w powietrzu. Miała nadzieję, że pochodzi tylko z suszących się pod belkami kiełbas i szynki.

Żadnych książek. Zamiast nich maleńki telewizor. Antena satelitarna musiała być ukryta w ruinach dachu. Obok lodówka, na niej budzik z radiem. Brak telefonu i komputera.

Nie wyglądało to na mafijne centrum dowodzenia. A mimo to starzec nie musiał używać określenia *capo*, by naprowadzić Rosę na właściwy trop.

– To pan jest *capo dei capi* – powiedziała, rozglądając się dookoła. Boss wszystkich bossów. Głowa mafii sycylijskiej. – To dlatego inne rodziny tak nienawidzą Alcantarów? Bo Florinda i Zoe są na pana posyłki?

Strzelba z głośnym uderzeniem wylądowała na stole. Otworzył lodówkę, wyciągnął z niej deskę z serem i postawił ją obok broni. Dołożył do niej kiełbasę i pajdę białego chleba.

– Usiądź – powiedział i wskazał na jedno z dwóch krzeseł.

Zajęła krzesło, które stało bliżej drzwi. Skwitował to uśmiechem, usiadł na drugim i wyciągnął składany nożyk. Z opanowaniem ciął kiełbasę w plastry grubości palca. Rosa przyglądała się mu, kiedy to robił. Spokojnie, z ostrożnością, przecinał ostrzem twarde mięso przy użyciu ostrza.

– Jestem Salvatore Pantaleone – powiedział, nie patrząc na nią. – Gdybyś poszła na policję i wymieniła to nazwisko, w tym lesie w mgnieniu oka byłoby więcej *carabinieri* niż drzew. Szukają mnie od prawie trzydziestu lat, a ja spędziłem ten czas

w zbyt wielu podobnych ruderach. Mam nadzieję, że ta jest ostatnia.

Nawet jeśli w tych słowach mogła kryć się melancholia, starzec dobrze się kamuflował. Ton jego głosu brzmiał, jakby wkrótce spodziewał się wielkiego triumfu.

– Poprosiłem twoją siostrę, żeby przyprowadziła cię do mnie – powiedział.

– Nie zrobiła tego.

– Ależ oczywiście, że zrobiła. Myślisz, że to był przypadek, że za każdym razem, kiedy wybierała się tutaj, przebiegała pod twoim oknem?

– Dlaczego po prostu nie zabrała mnie ze sobą?

– Zabroniłem jej tego.

– Ale...

– Jesteś odważna. Masz silną wolę. Miałem nadzieję, że tak jest, ale chciałem się upewnić. Zoe opowiedziała mi, co zdarzyło się w nocy. O ataku tygrysa, tego bękarta Carnevare. A mimo to wróciłaś. To mi się podoba.

– Zoe miała być przynętą?

– Spełniła też inne zadania. Sama to powiedziałaś: ona jest na moje posyłki, tak samo jak przed nią Florinda i inni. Bardzo szybko musiałem zniknąć z oczu władzom i odtąd Alcantarowie są moim łącznikiem ze światem. Twojej rodzinie, Roso, powierzyłem moje życie i jak dotąd mnie nie rozczarowała.

– Ten plik papierów, który miała ze sobą Zoe, to były listy do innych rodzin? Ze wskazówkami?

Pantaleone skinął głową.

– Nie jestem pierwszym *capo dei capi*, który jest zmuszony do życia w ukryciu. Świat tam, na zewnątrz, zmienił się, technika poszła do przodu, ale są rzeczy, które nigdy nie tracą na wartości: papier i atrament. Z pomocą tych wszystkich

nowoczesnych urządzeń może oszczędzasz czas, ale kartkę papieru z kilkoma zdaniami rozumieją wszyscy, od *capo* klanu po wiejskiego sprzedawcę. Nawet najgłupszy ludzie potrafią dziś czytać, ale nie każdy potrafi posługiwać się komputerem. Poza tym dane komputerowe można odtworzyć, a kawałek papieru?

Pomyślała o tym, z jaką łatwością pożegnała się z własnym życiem online na MySpace i Facebooku. Gdyby każdemu ze swoich wirtualnych przyjaciół przesłała z tej okazji papierowy list, prawdopodobnie uznaliby to za żart.

– A zatem chciał mnie pan poznać. Dlaczego?

– Jesteś Alcantara. Pewnego dnia staniesz się wielką postacią.

Zaśmiała się.

– No jasne.

– Jesteś spadkobierczynią Florindy, nie wiedziałas o tym? Ona nie ma dzieci ani bliższych krewnych. Alcantarowie wymierają i nie można mieć tego za złe mężczyznom. – Uśmiechnął się w taki sposób, że ciarki jej przeszły po plecach.

– Została już tylko Florinda, twoja siostra i ty. I średniej wielkości imperium finansowe, utrzymywane przy życiu przez kilku zaufanych ludzi i dalekich kuzynów.

– Najpóźniej za kilka tygodni lecę z powrotem do Ameryki. I tyle.

– Szczerze wątpię. – Podał jej nad stołem kawałek chleba z kilkoma plasterkami kiełbasy i sera. – Zjedz to.

Nawet nie drgnęła.

– To nie ma ze mną nic wspólnego. Jestem tutaj, bo...

– ...bo straciłaś dziecko. Wiem o tym.

Zoe. Oczywiście.

– To pana nie powinno obchodzić – fuknęła i nie odchyliła się ani o centymetr, kiedy pochylił się w jej stronę nad stołem. –

Jeśli jeszcze raz spróbuje mnie pan uderzyć, będę się bronić.

Uśmiechnął się.

– Masz rację. Nic mnie to nie obchodzi.

Nie była pewna, co ma na myśli.

– Znów proszę cię o wybaczenie – powiedział przyjaźnie.

– Chyba już sobie pójdę.

– Jedz. – Tylko jedno słowo. Spokojnie, bez najmniejszego nacisku.

Zawahała się. Nie mogła przestać myśleć o tym, co powiedział jej Alessandro – że to dynastie arkadyjskie wybierają spośród siebie *capo dei capi*. Salvatore Pantaleone był jednym z nich, ale mimo najlepszych chęci nie mogła sobie wyobrazić, w jakie mógłby się zmieniać zwierzę. Niespecjalnie też miała ochotę się tego dowiadywać. Nie teraz, nie tutaj.

Oderwała kawałek suchego chleba i żuła go bezgłośnie.

– Kielbasa jest smaczna – powiedział.

– Jestem wegetarianką.

Bez względu na to, czym chciał być, był przede wszystkim Sycylińczykiem, który spędził całe życie na wsi. Myśl, że ktoś może nie jeść mięsa, zdawała się go irytować.

– Więc jedz ser. Jesteś za chuda.

– To kwestia genów.

Westchnął cicho.

– Tak, to prawda.

Odgryzła kawałek, by sprawić mu przyjemność. Ser nie smakował źle, ale wciąż nie miała apetytu.

– Nieczęsto ktoś pana odwiedza – stwierdziła.

– Przychodzi tu tylko twoja siostra. Nawet Florindy od dawna już tutaj nie było. Zabroniłem jej tego.

– Zabronił pan?

– Marnowałem czas na rozmowy z nią. Nie ona jest

przyszłością, ty nią jesteś.

W pierwszej chwili chciała zaprzeczyć, ale coś ją powstrzymało.

– Wy, Alcantarowie, jesteście moim głosem, a czasem moim okiem. Moja ręka was ochrania. Nikt nie odważy się was tknąć, dopóki ja nad wami czuwam.

– Tano Carnevare widzi to trochę inaczej.

Uderzył pięścią w blat stołu.

– Ten chłopak nie ma pojęcia, co zrobił! Cały klan Carnevare to jedna wielka plaga. Uważaj, żeby się do nich nie zbliżać. – Najwyraźniej Zoe i o tym mu opowiedziała. – Baron był słabeuszem, słuchającym podszeptów swoich doradców. Bóg jeden wie, co knuje teraz Cesare. Już dawno temu wydałbym rozkaz, by wytępić tę hołotę, gdyby ich wpływy na kontynencie nie były tak diabelnie ważne dla nas wszystkich.

To był właściwy moment, by postawić pytanie, które od dawna miała na końcu języka.

– Kto strzeże konkordatu? Pan?

Parsknął cicho.

– Konkordat, który chroni lamie, jest za stary, by ktoś nie próbował go złamać.

– Ale kto czuwa nad tym, by panował pokój? I kto wymierzy karę Tano Carnevare, kiedy znów zlekceważy umowę?

– Wiesz więcej o dynastiach arkadyjskich, niż sądzą Zoe i Florinda. Kto ci to opowiedział?

– Ja... podsłuchiwałam je. Myślały, że śpię, ale ja usłyszałam kilka rzeczy.

Jego spojrzenie świdrowało ją coraz mocniej.

Nie wierzy mi, pomyślała. Czuje, że kłamię.

Jednym ruchem odsunął krzesło.

– Może naprawdę powinnaś już iść.

Odłożyła resztkę chleba na stół i wstała. Z wyraźnym spokojem podeszła do drzwi.

– Tam z przodu, listy. – Wskazał na plik leżący na podłodze pod drzwiami. – Zabierz je ze sobą. Przekaż Zoe, że nie musi już po nie przychodzić. Chciałbym, żebyś przejęła jej rolę.

Wszystko w niej krzychało, by powiedzieć mu dosadnie, gdzie może sobie wsadzić swoje listy i rozkazy. Ale potem zgięła się w milczeniu, podniosła plik listów i otworzyła drzwi.

– Dlaczego pan mi wierzy? – zapytała.

– Jesteś jedną z nas.

– Inni też nimi są. Nawet Tano.

– Ale znam twój los. – Uśmiechnął się. – I on nie czeka na ciebie w Ameryce, ale tutaj.

Rzuciła mu jedno dłuższe spojrzenie, a potem zamknęła za sobą drzwi i ruszyła w drogę powrotną.

RZYM

Nie wiedziała, co zaskoczyło ją bardziej – to, że jej siostra miała najlepszą koleżankę, czy to, że Zoe jak dotąd nie wspomniała o niej słowem.

Lilia była ładna, rudowłosa – i wyraźnie na haju. Także Zoe wpadła w dziwną euforię, jak gdyby poprzedniej nocy nic się nie wydarzyło. Ani słowem nie wspomniała o cyrku, jaki rozegrał się pod drzwiami pokoju Rosy. Nie chciała nawet wiedzieć, dokąd pojechała jej samochodem na cały dzień i prawie całą noc.

– Lecisz z nami, prawda? – zapytała trzeci raz, chociaż Rosa zdążyła już się zgodzić.

Dziewczyny wybierały się na dwa dni do Rzymu, by – jak mówiły – rozerwać się i zrobić zakupy, i nie zamierzały dać Rosie spokoju, aż nie zdecydowała się im towarzyszyć.

W głębi serca nie miała nic przeciwko temu, by na chwilę opuścić Sycylię. Potrzebowała odpoczynku, czasu na zastanowienie. I nowych ciuchów. Setki spraw chciała przedyskutować z Zoe. Było to jednak trudne, ponieważ jej siostra wciąż gorączkowo rzucała się po pokoju. Poza tym nie chciała, żeby Lilia przysłuchiwała się tej rozmowie. Być może po drodze nadarzy się okazja, by pogadać z Zoe w cztery oczy.

Lilia, rudowłosa, piękna, upalona Lilia, klasnęła w dłonie, kiedy Rosa zapytała:

– Kiedy wylatujemy?

– Już teraz! – zawołała zachwycona Zoe i razem z Lilią zaczęły się śmiać w kulak, jak gdyby ktoś opowiedział niewiarygodnie śmieszny dowcip.

– W takim stanie chcecie jechać na lotnisko?

Zoe z pewnymi problemami wydobyła z kieszeni trzy

bilety.

– Tadaaaaam! Wszystko zabukowane. Helikopter zabierze nas do Katanii, a Katania zabierze nas... – przerwała, wymieniła z Lilią ogłupiałe, zdumione spojrzenia i znów ryknęła śmiechem. – Nie Katania, ale samolot... z Katanii, samolotem z Katanii polecimy do Rzymu, ale najpierw helikopter...

– Tak – przerwała jej Rosa – mówiłaś już.

– Naprawdę? – Szczere zdumienie, a potem wybuch śmiechu. – Spakuj się i spadamy.

– A Florinda o tym wie?

– Nie wróci przed wieczorem z Lampedusy. Napisałam jej kartkę – chwila zastanowienia – albo nie napisałam?

Lilia kiwnęła głową.

– Napisałaś.

Zoe przyciągnęła Rosę do siebie i przytuliła ją.

– Tak się cieszę, że z nami lecisz.

– Już dobrze.

– Naprawdę!

– OK. Przyniosę swoje rzeczy.

Zoe chwyciła Rosę za rękę i uniosła ją w geście radości.

Cheerliderka w ekstazie, pomyślała Rosa.

* * *

Późnym wieczorem wylądowały w Rzymie, pojechały taksówką do miasta i wprowadziły się do apartamentu w Grand Hotelu niedaleko Panteonu. Był to jeden z tych starych, drobnomieszczańskich hoteli, które Rosa знаła tylko ze zdjęć – z wysokimi kolumnami, sztukaterią, złotymi zdobieniami i ciężkimi, aksamitnymi, ciemnoczerwonymi zasłonami.

Zoe była tu wcześniej kilka razy. Recepcjoniści powitali ją

po imieniu, a ona uścisnęła im dłonie. Rosa zarejestrowała z niezadowoleniem, że Zoe przedstawia ją tym całkowicie obcym ludziom jako swoją małą siostrę. W akcie zemsty ukradła konsjerżowi złote wieczne pióro, ale nie wiedziała, co z nim zrobić, więc włożyła je do doniczki z kwiatami niedaleko wind.

Podczas gdy Zoe i Lilia szykowały się w łazience, ona leżała nieumalowana na łóżku i w kółko słuchała *My Death*. Po chwili spróbowała zadzwonić do Alessandra. Poczta głosowa. Zawahała się, przez moment wsłuchiwała się w ciszę po sygnale, a potem się rozłączyła.

Zoe i Lilia wypłynęły z łazienki na fali dobrego nastroju, otulone kłębamii słodkiego dymu. Były w apartamencie dla niepalących, więc miały szczęście, że nie włączył się alarm. Tego jeszcze brakowało – ewakuacji całego hotelu, bo dwie panny nie mogły poczekać dziesięciu minut ze spaleniem swojego jointa.

– Gotowa? – zapytała Zoe.

Rosa nie ruszyła się z łóżka. Twarz Iole tańczyła jej przed oczami i przez chwilę męczyły ją wyrzuty sumienia. Ona w Rzymie uprawia *dolce vita*, podczas gdy Iole... Właściwie co? Nie żyje? Pożarta przez zwierzęta?

Zmusiła się, by wstać.

– Gotowa. Nie widać?

– Nawet nie wyszczotkowałam włosów.

– Idziemy jeść czy tańczyć figurowo na lodzie?

– I to, i to – powiedziała Lilia. – Mają patrzeć, ale nie dotykać.

Kolację zjadły w niewielkiej *trattorii* niedaleko hotelu. Rosa nie mówiła wiele, za to cały czas przyglądała się Zoe. Jej blizny i siniaki zniknęły zadziwiająco szybko. Zastanawiała się, jak wyjaśniła Lili swoje rany.

No właśnie, Lilia.

Rosa skupiła się teraz na niej, szukając znaków przynależności do dynastii arkadyjskich. Nie miała najmniejszego pojęcia, jak to rozpoznawać.

Rude włosy Lilii opadały w grubych puklach na ramiona. Miała na sobie czarną skórzaną kurtkę, ciasny top i krótką spódniczkę. Baleriny. Jej makijaż nie był tak mocny, jak można by się tego spodziewać po tym, jak wspólnie z Zoe spędziły ponad godzinę przed lustrem.

Po kolacji zaciągnęły ją do jednego z drogich klubów niedaleko Schodów Hiszpańskich. Posuwały się w kolejce. Rosa nie czuła się dobrze pod gradem spojrzeń oczekujących. Zoe kroczyła dumnie z przodu, przy wejściu dała ochroniarzowi buziaka w policzek i pierwsza zanurkowała w huczącą ciemność za ciężkimi, żelaznymi wrotami. Rosa podążyła za nimi czerwonymi schodami w dół, gdzie było jeszcze ciemniej, tłoczniej i głośniejsze niż przed wejściem. Nie chciała nic do picia, ale Zoe i tak przyniosła jej coś z baru. Było w tym więcej lodu niż płynu, a ostra kolorystyka napoju kazała Rosie przypuszczać, że jej siostra zamówiła ten koktajl wyłącznie ze względu na ładną dekorację.

Udało jej się zdobyć miejsce przy ścianie. I chociaż nie spuszczała oka ze swojej szklanki, już po chwili obawiała się z niej pić. Nikt nie zbliżył się na tyle, by móc coś do niej wsypać, a mimo to nie mogła inaczej. Już nigdy nie pozbędzie się nieufności.

Po chwili grzmiące basy i przyćmione światło oszołomiły ją o wiele bardziej, niż można się było spodziewać po jednym drinku. Wstała i powoli ruszyła w stronę parkietu. Od czasu imprezy przed rokiem unikała wszelkich zbiorowisk ludzkich. Jeszcze podczas podróży czuła się nieswojo w tłumie na

lotnisku. Wszystko tutaj odpowiadało jej najgorszemu koszmarowi, ale tym razem postanowiła w niego wejść. Tańczyła, aż jej ubranie przesiąkło potem, a ona – odurzona gorącem, natężeniem dźwięku – utonęła w tym, czego unikała od miesięcy. Jej nastrój lawirował między paniką i euforią, serce biło w rytmie bitu i wkrótce poczuła się jak w kipiącym kotle, na powierzchni którego na chwilę pojawiają się pojedyncze twarze, by zaraz znów zniknąć w jego czeluściach.

Tylko raz się zatrzymała, poszukała wzrokiem Zoe i Lili, znalazła je przy barze w gronie innych młodych kobiet i zanurkowała z powrotem w tłum. Poziom hałasu wciąż rósł, a razem z nim temperatura. Śmiejące się, wykrzywione w grymasach twarze przeobraziły się w smugi, ich ciała – w bezbarwną masę. Czasem wydawało się jej, że słyszy dźwięki, które nie były częścią muzyki, wycie i skrzek, a potem zobaczyła w tłumie płonące oczy, futro na twarzach i ostre kły, zobaczyła postaci, które zginały się i opadały na cztery łapy. Dłonie stawały się łapami, nosy – pyskami, uszy nabierały szpiczastego kształtu, oczy połyskiwały zielenią, żółcią i ognistą czerwienią.

Ktoś chwycił Rosę za ramię i odciągnął ją na bok. Przestraszyła się, chciała się bronić, oparła się o ścianę i dotarło do niej, że stoi na krawędzi parkietu.

– Dość tego – powiedziała Zoe. – Idziemy stąd.

Obok niej stała Lilia. Obie wyglądały na trzeźwe i bardzo poważne, więc Rosa powoli wracała do siebie. Kiedy obejrzała się przez ramię, z powrotem w stronę tłumy, zobaczyła jedynie tańczących ludzi. Żadnych drapieżników, żadnych zakrzywionych zębów. Tylko jej oczy błyszczały wciąż w migotliwym ostrzale artylerii stroboskopów.

Czuła silne pulsowanie w klatce piersiowej, a potem w

biodrach. W taki sposób objawiał się jej ból fantomowy w podbrzuszu. Musiała się stamtąd jak najszybciej wydostać i nagle zrozumiała, że Zoe już dawno to zauważyła. Także Lilia wyglądała na zaniepokojoną.

Przecisnęły się przez tłum, wspięły po schodach na świeże powietrze. Rosa zdołała się dowlec do najbliższego rogu, z dała od spojrzeń ludzi czekających przed wejściem do klubu, a potem osunęła się po ścianie i wybuchnęła niewyjaśnionym, niekontrolowanym, spazmatycznym płaczem.

Zoe i Lilia stały przy niej przez cały czas, jaki potrzebowała, by się uspokoić, a potem zaprowadziły ją z powrotem do hotelu, położyły do łóżka i czuwały przy niej, aż zasnęła.

* * *

Była na nogach od wczesnego ranka i obejrzała wschód słońca nad Rzymem. Apartament znajdował się na najwyższym piętrze hotelu. Z balkonu widziała światło, które spływało złocistą czerwienią na ciasno stłoczone tarasy i dachy domów, wnikało w wąskie uliczki i rzucało cień przypominających zwęglone szkielety anten telewizyjnych.

W długim do kolan T-shircie oparła się o poręcz balkonową. Wracaly do niej obrazy z minionego wieczoru. Nie była pewna, co dokładnie się wydarzyło. Wprawdzie miała za sobą dość godzin terapii, by umieć analizować swoje zachowanie, bredzić o emocjonalnej kompensacji i samodzielnie sprowokowanej konfrontacji, ale w ostateczności okazywało się, że wszystko to były kompletne bzdury. Po prostu przeszła załamanie, jeszcze zanim znalazła się na zewnątrz klubu. Zamiast zemdleć, jej ciało rzuciło się w tłum i w taniec.

Przypomniała sobie coś, co w mgnieniu oka na powrót wyparła. Nie była jeszcze zupełnie zdrowa, jakaś jej część wciąż cierpiała i miała jeszcze cierpieć w przyszłości.

Przy śniadaniu Zoe i Lilia obchodziły się z nią jak z jajkiem. Dopiero kiedy zrozumiały, że Rosa nie wybuchnie po pierwszym niewłaściwym słowie, rozluźniły się i zdradziły jej swój plan, by zapoznać się z tajemnicami tego miasta, a konkretnie – jego butików. Rosa ostudziła ich zapał, oświadczając, że przedpołudnie zamierza spędzić w hotelu. Ani wydłużone miny, ani rzeczowa argumentacja nie skłoniły jej do zmiany zdania.

Kiedy wyszły, Rosa zabrała się do studiowania planu miasta, który znalazła między innymi ulotkami w pokoju. W żadnym razie nie chciała zagrzebywać się w pokoju, ale zakupy z Zoe i Lilią były ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę. Zamiast tego zamierzała samotnie powłóczyć się po okolicy.

Właśnie miała wychodzić, kiedy ktoś zapukał do drzwi.

– Rosa Alcantara?

Kto tam?

Krótką pauza, a potem drugi głos.

– Policja – powiedziała kobieta – proszę otworzyć.

O ironio, pomyślała najpierw o skradzionym piórze, a dopiero potem o interesach swojej rodziny. Ale zamiast spuścić się z balkonu po prześcieradło, niczym lunaticzka wyciągnęła przed siebie rękę i nacisnęła klamkę.

Szpara między drzwiami a futryną miała grubość palca, kiedy pomyślała o wizjerze. I o tym, że każdy przecież mógłby powiedzieć, że jest z policji.

Jednym ruchem zamknęła drzwi.

– *Signorina*, bardzo proszę, co to ma znaczyć?

Na czubkach palców wspięła się do wizjera i zobaczyła

przez niego mężczyznę i kobietę, oboje w skórzanych kurtkach, ona w krótkiej, dopasowanej w talii, a on w długiej z mocno wyładowanymi kieszeniami. Nie mieli na sobie mundurów. Byli młodzi, najwyżej trzydziestoletni.

– Mają państwo przy sobie legitymacje?

Wymienili się spojrzeniami, a potem wyciągnęli małe plakietki i podłożyli je pod wizjer. Rosa dostrzegła tylko paszportowe zdjęcia. Równie dobrze mogły to być miesięczne bilety na metro.

– Mogę zadzwonić do recepcji – zaproponowała, by zaoszczędzić na czasie.

– Prosimy, by tego nie robić. Spowodowałoby to niepotrzebne nerwy.

– Ja jestem zdenerwowana.

– Nikt nie zrobi pani krzywdy. W każdym razie nie my.

Długie przetrzymywanie intruzów przy drzwiach dobrze wyglądało na filmach, ale w rzeczywistości wydawało się jej dziecinne.

– W porządku – powiedziała w końcu i otworzyła drzwi.

– Dziękuję – odparł mężczyzna i ponownie uniósł swoją plakietkę. – Antonio Festa. To moja koleżanka Stefania Moranelli. Proszę iść z nami.

– Dokąd?

Młoda kobieta, ciemnowłosa, szczupła, z lekko orientalnym typem urody, wskazała na korytarz.

– Tylko kilka pokoiów dalej, bez obaw.

Rzeczywiście, w głębi przejścia jaśniały otwarte drzwi.

– Czy nie jest mi potrzebny adwokat albo ktoś w tym stylu?

Mężczyzna, który przedstawił się jako Antonio Festa, uśmiechnął się. Jego nos był tak wielki, że przez chwilę miała wrażenie, że wciąż patrzy na niego przez wizjer. Na swój sposób

był prawie atrakcyjny. Włosy miał obcięte na zapałkę, wąska blizna przecinała brwi. Naprawdę mógł być policjantem albo płatnym mordercą.

– Nie mamy względem pani żadnych zarzutów – powiedział z krzywym uśmiechem. – Poza kradzieżą czekoladowego batonika, bransoletki i złotego pióra wiecznego, które nagle pojawiło się w doniczce z kwiatami w lobby.

Jej serce na chwilę stanęło.

– Od kiedy mnie śledzicie?

– Od czasu pani przyjazdu do Włoch. Bez obaw, tylko wtedy, kiedy przebywa pani w przestrzeni publicznej. Uszanowaliśmy pani życie prywatne.

– Jestem obywatelką Stanów Zjednoczonych.

– Ma pani dwa paszporty, wiemy o tym. A nasze prawo obowiązuje także turystów.

Młoda kobieta Stefania Moranelli wmieszała się do rozmowy.

– Proszę posłuchać, nikt nie zamierza tu pani pogrążyć. W tej chwili chodzi tylko o to, że nasza przełożona chciałaby z panią porozmawiać. Nie potrwa to długo, obiecuję. Potem będzie pani mogła spotkać się w mieście ze swoją siostrą i Lilią Dionisi.

– Kiedy pierwszy raz byłam przesłuchiwana, miałam dwanaście lat – powiedziała. – Jeśli chodzi o moją rodzinę, doskonale wiem, jakie prawa...

– Proszę po prostu pójść z nami – przerwała jej policjantka i lekko trąciła swojego kolegę. – Nie będziemy rozmawiać tu na zewnątrz, w przejściu.

Cofnęła się o krok, wyciągnęła kartę z drzwi i pozwoliła im się zamknąć. W miarę jak zbliżali się do otwartego pokoju, dywan wydawał się Rosie coraz bardziej miękki i głęboki.

Mężczyzna ruszył przodem. Kobieta skinęła na Rosę, obejrzała się na wszystkie strony i ruszyła za nią. Zamknęła drzwi.

Inna kobieta stała plecami do wejścia. Odwróciła się, kiedy Rosa weszła do pokoju. Była niższa niż para, która przyprowadziła Rosę, mogła mieć pięćdziesiątkę. Krótkie brązowe włosy związała w potargany koński ogon. Wyglądała, jakby przed wieloma laty wybrała się po ubrania do centrum handlowego, a potem już nie zaprzętała sobie myśli nową garderobą – beżowe spodnie, ciemny sweter, cienki srebrny łańcuszek z grubym na kciuk wisiorkiem. W środku kryło się zdjęcie jej dziecka – Rosa snuła przypuszczenia – być może widuje je tylko w weekendy u swojego byłego męża.

– Nazywam się Quattrini – powiedziała i wyciągnęła w kierunku Rosy wąską dłoń. – Sędzia Quattrini. Prowadzę śledztwa przeciwko pani ciotce Florindzie Alcantarze.

– Aresztujecie mnie z powodu ukradzionego batonika? Czy mogę już iść?

– Bardzo dużo o pani wiem.

– Czego pani chce?

Sędzia miała na lewym policzku czarne znamię. Jej oczy otoczone były siateczką zmarszczek. Wyglądała na niewyspaną.

– Chciałabym panią prosić, by pracowała pani dla mnie.

Rosa prawie się zakrztusiła.

– Chciałaby pani, żebym śledziła dla pani moją ciotkę? Pani chyba postradała rozum.

– Nie. – Quattrini uśmiechnęła się bez entuzjazmu. – Nie pani ciotkę. O niej wiem więcej niż to konieczne. W zasadzie to część oferty, którą chciałabym pani złożyć. Wycofam zarzuty przeciwko Florindzie Alcantarze, jeśli pani zgodzi się dla mnie pracować.

- Nie mam pojęcia, o czym pani mówi.
- Osoba, o której chcemy dowiedzieć się więcej, to nie pani ciotka. – Sędzia zrobiła krok w jej kierunku. Rosa nie była wysoka, ale o głowę przerastała kobietę. – Interesuje mnie ktoś zupełnie inny. Z tego, co wiem, wynika, że zna go pani całkiem dobrze. Nazywa się Alessandro Carnevare.

SIOSTRY

Około dziewiątej wieczorem samolot z Rzymu wylądował w Katanii. Chwilę później Rosa, Zoe i Lilia gnały przez zmierzch czarnym mercedesem, drogą ekspresową numer 417 w kierunku południowo-zachodnim. Florinda nie wróciła jeszcze z podróży helikopterem, więc przyjechała po nie limuzyna Alcantarów. Wysadzili Lilię w Cartagirone, górskim miasteczku pełnym krętych uliczek, w którego starej części mieszkała ze swoim ojcem i młodszym bratem.

Pół godziny później, około jedenastej, limuzyna skręciła w długą drogę dojazdową do *palazzo* Alcantara, by ostatecznie zatrzymać się u podnóża kamiennych schodów. Kierowca wypakował bagaże, było ich znacznie więcej niż przy wyjeździe. Zoe bez większego namysłu zrobiła zakupy dla nich obu i wydawała zarządzenia, które torby z jakimi markami roznieść do ich pokojów. Rosa stała obok w milczeniu i obserwowała siostrę.

Mężczyzna zniknął w domu z pierwszymi pakunkami, kiedy Rosa dotknęła ramienia Zoe.

– Możemy przespacerować się dookoła domu? Muszę z tobą porozmawiać.

– Jeśli chodzi o to zdarzenie w klubie...

– Chodzi o naszą rodzinę.

Zoe spojrzała na nią ze zdziwieniem, jak gdyby do tej pory udawało jej się z powodzeniem wypierać wiedzę o pochodzeniu pieniędzy, które właśnie wydała na rzymskiej *via* Condotti.

– To chyba może poczekać do jutra?

– Jutro wróci Florinda i będzie mi godzinami robić wymówki, że wybrałam się na wycieczkę z Alessandrem.

– Moim samochodem.

– Który oddałam bez jednej rysy.

Zoe spojrzała na nią poważnie.

– Nie obchodzą mnie rysy na samochodzie. Co innego moja mała siostra.

Rosa uśmiechnęła się.

– Nazwij mnie tak jeszcze raz, a wydrapię ci oczy.

Szły spacerem przez dziedziniec w kierunku drzwi z przodu domu. Przed nimi w świetle reflektora widać było wyschniętą fontannę. Kamienna niecka wciąż wypełniona była pustymi ptasimi gniazdami. Coś ruszało się w gałęziach.

– Myszy – powiedziała Zoe.

– Albo węże – rzuciła Rosa.

Zoe milczała. Przeszły wzdłuż zachodniego skrzydła pałacu, pod wielkim tarasem. Chłodny wiatr spływał ze szczytu wzgórza i niósł ze sobą zapach lawendy i drzew cytrynowych. Kiedy wchodziły w zasięg czujników ruchu, zapalały się kolejne lampy, niektóre z nich przyłączone do wielkich palm rosnących po tej stronie posiadłości.

– Rozmawiałam z tym starym człowiekiem – powiedziała Rosa. – Mogłaś mi po prostu powiedzieć, że chce się ze mną spotkać, zamiast odgrywać tę maskaradę w lesie.

– On tak chciał – cicho odpowiedziała Zoe. – Kiedy Salvatore Pantaleone coś rozkaże, jesteśmy mu posłuszni. Powiedział tobie, kim jest?

– *Capo dei capi*.

– Jednym z najbardziej poszukiwanych ludzi we Włoszech, a może w całej Europie. Wzgórze w szerokim promieniu ochraniają nasi ludzie. On jest... ostatnim ze swojego klanu. Wszyscy pozostali Pantaleonowie na różne sposoby pożegnali się z życiem. To przywilej, że wybrał właśnie nas, Alcantarów, byśmy przekazywali jego rozkazy pozostałym rodzinom.

Traktuje nas jak członków swojego klanu.

– To brzmi jak wyuczona na pamięć formułka.

Zoe westchnęła.

– Florinda miesiącami wbijała mi to do głowy po moim przyjeździe. Pantaleone upierał się, bym przejęła rolę listonosza – przypuszczam, że i ciebie czeka to w przyszłości.

– Powiedział ci o tym?

– Nie. Ale jest bardzo zaintrygowany tym, że przyjechałaś na Sycylię.

– To był jego pomysł?

– W mojej obecności nie wspomniał o tym ani słowem. To była propozycja Florindy po tym, jak usłyszała, co ci się przydarzyło. Uznałam, że to dobra koncepcja. Ale teraz myślę, że pierwszy rozkaz padł z jego strony. – Zoe zatrzymała się. – Chciałam ci o tym powiedzieć, ale... – Pokręciła głową. – To wszystko nie jest takie proste. Istnieją reguły, których trzeba przestrzegać, nawet wobec własnej siostry. Na pewno myślisz o mnie teraz same okropne rzeczy, ale...

– Tam, w lesie, uratowałaś mi życie.

Zoe przyspieszyła kroku, jak gdyby nie chciała patrzeć Rosie w oczy.

– Tano... nie wiem, czy naprawdę chciał cię zabić. Zwykle żaden klan nie zapuszcza się tak daleko na cudzy teren. Inni z pewnością nie zdołaliby minąć strażników.

– Tygrys dał radę.

Zoe zwolniła. Jej spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Rosy.

– Jak się dowiedziałaś? Od Alessandra?

– Znacznie bardziej wolałabym się dowiedzieć od ciebie.

– Ja też tego chciałam. A szczególnie po tym, kiedy pojawiła się tu ta głupia książka z historiami o zwierzętach.

Kiedy zaistniała groźba, że dowiesz się od niego. Powiedziałam Florindzie, że musimy go ubiec i że wreszcie powinnaś poznać prawdę. Ale ona w ogóle nie wzięła tego pod uwagę. Jej zdaniem, nie uwierzyłabyś w ani jedno słowo, zanim sama pierwszy raz nie...

– Zamieniłabym się w węża?

– A jak myślisz, skąd ja się dowiedziałam? Pewnej nocy obudziłam się w szklarni pomiędzy węzami i tak się przestraszyłam, że to po prostu się stało. – Wykrzywiła twarz w grymasie. – I zawsze myślałam, że nienawidzę węży.

– To dlatego Florinda kazała mnie tam zanieść wtedy, w nocy?

– Chciała sprawdzić, czy już jesteś gotowa.

– Ale jeszcze nie byłam.

– Nie bałaś się węży, więc nie podziały jako wyzwalacz... Obserwowałyśmy cię.

– Dwa wielkie węże pomiędzy drzewami to byliście wy, prawda?

– Tak. – Głos Zoe wskazywał na jej zawstydzenie.

Rosa chciała być na nią wściekła, ale bezskutecznie. Zamiast tego po prostu przysłuchiwała się jej, aż nie połączyła w głowie wszystkich odrębnych dotąd wątków.

– Tak się wtedy zdenerwowałam, że przemiana nastąpiła sama z siebie. – mówiła dalej Zoe. – To się stało jakieś trzy miesiące po moim przyjeździe. Ale na ciebie w ogóle to nie wpłynęło.

– O, na pewno nie.

– W każdym razie zbyt słabo, by doszło do przemiany. Do tego potrzebna jest ogromna złość albo strach.

– Było mi tak zimno, jakby moja krew nagle zamarzła.

– Tak to się zaczyna – powiedziała Zoe. – Ty się... to już

się zaczęło. Ale potem nagle się skończyło i znów byłaś człowiekiem.

Żadna z tych informacji nie wstrząsnęła nią specjalnie. W zasadzie uznała, że to fascynujące, czuła w środku lekkie łaskotanie.

– Czy mama o tym wiedziała?

Zoe wzruszyła ramionami.

– Nigdy ze mną o tym nie rozmawiała.

– Musiała mieć powód, by po śmierci taty uciec do Ameryki. Kiedy wzięli ślub...

– Zrobili to po kryjomu. Nie wiedziałaś o tym?

Rosa zawiesiła wzrok na Zoe.

– Po kryjomu?

– Uciekli. Alcantarowie nie chcieli, żeby tata poślubił Amerykankę. Był zupełnie inny niż pozostali, a oni...

– Bo pozwolili mu żyć, zamiast go zabić zaraz po urodzeniu?

– Nie wierz we wszystko, co usłyszysz. To nie tak. Żadna Alcantara nigdy nie zabiła swojego syna.

– Ależ nie – powiedziała Rosa. – Jedna to zrobiła.

Zoe chwyciła ją za rękę.

– Rosa, przecież nie wiesz nawet, czy to byłby syn... Było na to jeszcze za wcześnie.

– Czułam to. Wiedziałam, że to był chłopiec.

Zoe była na tyle mądra, by nie próbować zaprzeczać.

– Nie zabiłaś go.

– Nie, to lekarka. Po prostu wykonała, co do niej należało, a ja powinnam była zrobić to samo – urodzić go. – Rosa szukała odpowiednich słów. – Wiesz, to nie jest tak, że chciałabym mieć dziecko. To znaczy, dziecko, na miłość boską... Ale mogłam po urodzeniu oddać go do adopcji albo coś w tym rodzaju. A nie po

prostu... a zresztą, skąd mogłam wiedzieć, co robić. W każdym razie nie powinnam była słuchać innych, a już na pewno nie mamy.

– Nie możesz zwać na nią odpowiedzialności.

– Wiesz, jakie pytanie sobie zadaję od czasu, kiedy wiem o węzach? Czy mama nie wołała, żeby dziecko zniknęło, żeby jeszcze jeden z nas nie przyszedł na świat? Jeszcze jeden Alcantara. Ani jednego więcej.

– Arkadyjczyka?

Rosa skinęła głową.

– Po śmierci taty musiała się diabelnie bać Florindy.

– Gdyby Florinda chciała, żeby coś się jej przytrafiło, mogła dużo wcześniej dopiąć swego.

– Może nawet tego chciała. Ale potem powstrzymała się z naszego powodu. Poza nami nie ma żadnych spadkobierców. Czy Florinda mówiła ci, że nie może mieć dzieci? Myślałam o tym przez pół nocy i to wszystko ma sens... Zostawiła mamę w spokoju, bo bez nas klan Alcantara przestałby istnieć... I to było dla niej wygodne, bo mama zajmowała się nami do momentu, kiedy dorosłyśmy na tyle, by tu wrócić. – Parsknęła z pogardą. – Wrócić na łono rodziny.

– Ale to wszystko tutaj, Rosa... to jest dla nas dobre! Jesteśmy stąd. Jesteśmy częścią tego świata. Jesteśmy Alcantarami.

– I dlatego ja i jeden z Carnevarów nie możemy...

– Iść do łóżka?

– Rozmawiać.

– Widziałas, co się stało. Tano przychodzi tu i jest gotowy złamać konkordat. Na wyspie prawie pozabijali się z twojego powodu. A wczoraj to już zdrowo przesadziliście...

– Wcale nie przesadziliśmy!

– To tylko wzbudza niepokój.

Szły w milczeniu przed siebie wzdłuż północnej fasady i szklarni. Przez zaparowane szyby prześwitywało zielonkawe światło.

– Kiedy się do tego przyzwyczaisz – powiedziała Zoe – wtedy zaczniesz ci się to podobać.

– Pełzanie w brudzie?

Zoe stanęła w miejscu. W jej oczach zapłonęła złość i przez jedną chwilę Rosa widziała w nich zwężone źrenice.

– Zrozum to w końcu, Rosa! Nie jesteśmy zwykłymi ludźmi, jesteśmy szczególni... jesteśmy ludźmi i Arkadyjczykami. Jesteśmy wyższym gatunkiem. Nasi przodkowie rządzą Arkadią. Władali Morzem Śródziemnym i krajami na jego wybrzeżach.

– Dwa lata temu nie wiedziałaś nawet, gdzie leży to cholerne Morze Śródziemne.

Zoe głośno wypuściła z płuc powietrze i znów przyspieszyła. Rosa dotrzymywała jej kroku. Szły od jednego kręgu światła do kolejnego. Na krawędzi lasu szumiały kasztanowce. Cykady już dawno temu rozpoczęły swój koncert.

– Co się stanie, kiedy Głodomór powróci na Sycylię? – zapytała Rosa po chwili. – Pantaleone mówi, że może wtedy dojść do walk między dynastiami.

– Wszyscy się go boją.

– On naprawdę wierzy, że jest odrodzonym królem? Tym Lykaonem?

– Kilka osób jest o tym przekonanych.

– Musi być dosyć stary.

– Jest mniej więcej w wieku Pantaleone. Po siedemdziesiątce, jak sądzę.

– Jak może być fajnie należeć do... gatunku, który morduje

się, ponieważ rozkazał mu to jakiś starzec?

– Nikt nie wie dokładnie, co on knuje. W każdym razie musi mieć potężnych sprzymierzeńców.

– Czy mafia zawsze nie wywierała wpływu na rząd?

– By uwolnić się od kogoś takiego jak on, trzeba działać na najwyższym szczeblu. – Zoe przerwała, kiedy ponownie dotarły do podjazdu. Okrążyły całą posiadłość. – Cała reszta to czcza gadanina. Nikt nie wie, dlaczego i kiedy Głodomór ma wyjść na wolność. Co się dzieje za kulisami. *Capi* są zaniepokojeni, a Pantaleone... niektórzy mówią, że nie jest dość silny, by strzec dynastii, bo sam od dziesięcioleci żyje w podziemiu.

– Być może ktoś właśnie z tego powodu rozpuszcza plotki – by osłabić wpływy Pantaleone i przygotować wszystko na powrót Głodomora.

– Myślisz, że ty pierwsza wpadłaś na ten pomysł? – Zoe roześmiała się gorzko. – Florinda wciąż o tym mówi, a Pantaleone najwyraźniej nie wie, w co ma wierzyć. Gdyby połowa rodzin nie prowadziła ze sobą kłótni, byłoby to łatwiejsze. Ale co można zrobić? – Potrząsnęła głową.

Rosa oparła się o mur fontanny. Głęboko nabrała powietrza.

– Muszę ci jeszcze o czymś powiedzieć.

Zoe spojrzała na nią wyczekująco, tyleż z zaniepokojeniem, co z ciekawością.

– W Rzymie, w hotelu – zaczęła Rosa – kiedy wyszłaś z Lilią... – Jeszcze raz przerwała, a potem opowiedziała o sędzi Quattrini.

Usta Zoe zacisnęły się.

– Wypytywała cię o naszą rodzinę?

– Tak. Nie powiedziałam jej ani słowa i w końcu musiała mnie wypuścić. – Przyjrzała się siostrze badawczo. – Z tobą też

próbowali?

Zoe pokręciła głową.

– Nie tak otwarcie. Na początku czasem, kiedy wychodziłam, miałam wrażenie... że ludzie mi się narzucają, rzekomi nowi przyjaciele. Uznałam, że to ze względu na pieniądze i powiedziałam o wszystkim Florindzie. Ostrzegła mnie przed policjantami w cywilu, którzy mogą podsłuchiwać. Ale że sędzia tak otwarcie podeszła bardzo blisko i to po tak krótkim czasie... Naprawdę nic jej nie powiedziałaś?

– Nic. – Rosa przemilczała fakt, że w hotelowym pokoju chodziło przede wszystkim o Alessandra i o Carnevarów. Obawiała się, że Zoe powie o wszystkim Florindzie i że jej ciotka dopiero wtedy zrobi rzeczywiście wszystko, by uniemożliwić jej kontakt z Alessandrem. – Przez dobrą chwilę wbijała mi do głowy, dlaczego należy działać przeciwko mafii. Handel narkotykami, morderstwa i tak dalej.

Zoe chwyciła ją za rękę.

– Powinnyśmy były cię na to przygotować.

– Wyglądało na to, że dużo wie o interesach Alcantarów. I nie mówiła tylko o wiatrakach.

– Nie – powiedziała Zoe cicho. – Oczywiście, że nie.

– Loty Florindy na Lampedusę... Sędzia powiedziała, że chodzi o handel ludźmi.

– O uciekinierów z Afryki Północnej, którzy na ochotnika przybywają do Europy. – Zoe wyrwało się westchnięcie. – Próbują w małych łodziach przepłynąć przez Morze Śródziemne i, jeśli mają szczęście, udaje im się dotrzeć do Lampedusy. Kto dotknie ziemi na wyspie, nie może zostać odesłany. Jest tam ogromny obóz dla uchodźców. Florinda dba o to, by duża grupa z tych ludzi dostała szansę i...

– Bzdura. – Rosa wpadła jej w słowo. – Florinda

wyszukuje najsilniejszych mężczyzn i przekazuje ich na place budowy w całej Europie, gdzie pracują za głodowe stawki.

Zoe unikała jej spojrzeń.

– Dobrze wiedziałas, że zarabiamy pieniądze nie tylko na wiatrakach.

To była prawda. A ona nigdy nie czuła się jak przestępca. Nikt, kto znał jej skromne mieszkanie na Brooklynie, nie mógł przypuszczać, że ona lub jej matka mogą czerpać zyski z imperium Alcantarów. Dzisiaj jednak była w tym *palazzo*, wśród eleganckich aut i wypełnionych toreb z Rzymu, które czekały na nią w pokoju.

Zoe patrzyła na nią z konsternacją.

– Nie mów, że jej się to udało. Że wmówiła ci wyrzuty sumienia. Na miłość boską, Rosa, nie miałaś z tym wcześniej najmniejszych problemów.

– Powiedziałam jej, żeby poszła do diabła i zostawiła mnie w spokoju. To wszystko. – Rosa spojrzała Zoe głęboko w oczy.
– Musisz mi coś obiecać.

Zoe cicho przeklęła. Z pewnością już czuła, co się zaraz stanie.

– Nie wolno ci opowiedzieć o tym Florindzie i Pantaleone – powiedziała Rosa. – Ani słowa. Oni nie mogą wiedzieć, że jestem dla nich zagrożeniem. Nie mogą mnie wysłać z powrotem do domu.

Zoe spojrzała na ziemię. Ręka Rosy wysunęła się w jej stronę, chwyciła ją za ramię i zmusiła do podniesienia głowy.

– Musisz to obiecać. Zoe.

– Że...

– Masz u mnie dług. Nadajnik w komórce. To było podłe. Dobrze o tym wiesz.

Zoe zagryzła dolną wargę i głosem pełnym poczucia winy

wykrztusiła z siebie:

– Florinda...

– Wszystko jedno. Jest w porządku. Raz może się zdarzyć. Ale nie ponownie. Nie musiałam ci tego wszystkiego mówić, ale... jesteś moją siostrą.

Zoe powoli kiwnęła głową, wciąż z kwaśną miną, ale mogła już znieść spojrzenie Rosy.

– Umiem trzymać język za zębami, jeśli trzeba.

– Przysięgasz?

– Daj spokój, czy mam trzy razy splunąć przez lewe ramię i...

– Masz być po mojej stronie. To wszystko.

Zoe przełknęła ślinę i objęła Rosę.

– Nie powiem nikomu ani słowa, przysięgam... Cieszę się, że tu jesteś. Tęskniłam za tobą.

Rosa odwzajemniła uścisk.

– Ja za tobą też.

Jeszcze przez chwilę stały bez słowa przy fontannie, mocno przytulone i dopiero kiedy limuzyna przejechała przez bramę i skrzyła w stronę garaży, kiedy musnęło ją światło reflektorów i dźwięk silnika zagłuszył odgłosy sycylijskiej nocy, wtedy opuściły ręce i razem ruszyły w stronę domu.

Tej nocy Rosa pierwszy raz śniła o pocałunku pantery.

POCALUNEK CIEMNOŚCI

Od pierwszej chwili wiedziała, że to sen.

Leżała na łóżku, które stało w środku dżungli. Z mięsistych liści spływała wilgoć. W półmroku kwitły orchidee – świetliste, kwietne oczy, które ją obserwowały. Ogromne strąki pulsowały w cieniu niczym płaty płucne: nadymały się i zapadały w sobie. Gorący powiew powietrza wiejący od podłoża odgarnął jej włosy z nagich pleców.

Czegoś brakowało i dopiero po chwili zorientowała się, co to było. Odgłosy zwierząt. W dżungli panowała niemal całkowita cisza. Tylko wzdęte płaty roślinnych płuc wydawały z siebie brzęknięcia i sapnięcia, podczas gdy między liśćmi unosiły się delikatne piski i szmery. Potrzebowała jeszcze kilku chwil, żeby się zorientować, że to orchidee rozmawiały o niej ze sobą.

Za pierwszym drzewem coś się poruszyło, czarny cień przemknął przez gęstwiny, bezgłośnie, z delikatnym odgłosem kroków stawianych na miękkich łapach. Rosa obserwowała zwierzę, czekała na nie, wiedziała, że chce być blisko niego.

Kiedy zbliżyło się do niej, zdziwiła ją jego giętkość i elegancja. Z cienia wyłoniła się plama w kolorze atramentu, która w świetle nabrała konturów pantery. Pochylona, krokiem drapieżnego kota okrążyła łóżko i zatrzymała się przy jej stopach. Oparła czarną łapę o śnieżnobiałą pościel. Orchidee zaszeptały głośnie, w gorączkowym podekscytowaniu.

Usiadła na łóżku. Kołdra otulała ją niczym biała chmura, za której krawędź nie potrafiła wyjrzeć. Oczy pantery połyskiwały, a czarne futro otaczała srebrzysta poświata. Przyglądała się jej z wyteżoną uwagą – jej drżącym wąsom, lśniącym nozdrzom i koniuszkowi języka, który widziała, kiedy zwierzę obnażało

zęby.

Płynnym ruchem drapieżnik wskoczył na łóżko i wsunął się pod kołdrę od strony nóg. Kołdra wydała się jej wtedy jeszcze większa, dobrze ponad dwudziestometrowa. Pantera poruszała się pod nią, czarny garb na bezkresnej bieli. Dopiero teraz Rosa zauważyła, że tropikalny las zniknął, a łóżko stało się jeszcze większe, tak wielkie, że ze wszystkich stron sięgało horyzontu. Wybrzuszenie zbliżało się w jej stronę, było być może dziesięć, a może sto kroków od niej, fala, która już wkrótce miała dosięgnąć jej nagich nóg.

Oddychała szybciej, a ochryple jęki, które jak dotąd wydawały rośliny, wydobywały się teraz z jej ust, ciepło i rytmicznie przepływały przez jej wargi. Siedząc, podparła się z tyłu na wyprostowanych rękach, mocno zapierając się dłońmi. Blond włosy opadły na plecy, kiedy lekko odrzuciła głowę. Przymknęła oczy w oczekiwaniu na jego dotyk. Czowała, jak zbliża się do niej pod kołdrą, czowała delikatne drżenie materaca, wielkiego jak cały świat, i drgnęły w niej struny, o których dotąd nie miała pojęcia.

Nie odważyła się już zmienić pozycji, ponieważ obawiała się, że się obudzi. Bała się, że zwierzę w jednej chwili zniknie, a ona zostanie sama. Ale drgania łóżka trwały i stawały się coraz silniejsze, podczas gdy ono było już coraz bliżej.

Najpierw nowe tapnięcie w okolicy jej pięt, potem delikatne muśnięcie palców u stóp, w górę jej łydek, aż do ud. Był tam, tak blisko niej, a kołdra uniosła się jeszcze wyżej i przysłaniała jej pole widzenia, chociaż wciąż wpatrywała się w górę, zaciskając oczy w wąskie szparki.

Musiała zwalczyć w sobie odruch, by zerwać kołdrę i spojrzeć na parszającego, mruczącego, drapieżnego kota, który sunął wzdłuż niej. Czarne futro muskało jej ciało i każdym

porem wyczuwała jego bliskość. Wypełniał ją swoją obecnością.

Pantera wydzielala nieprawdopodobne ciepło, które otoczyło ją i zabrało jej powietrze. Pot wystąpił na jej czoło i zalał oczy. Wargi miała słone, na szyi ukazały się mięśnie i ścięgna. Jego oddech dotarł do jej bioder, owionął brzuch i żebra, dotknął jej piersi, obojczyków i szyi.

Już dużo wcześniej całkowicie zamknęła oczy i odbierała go tylko zmysłem dotyku. Jego łapy prześlizgnęły się po jej udach, pazury rozorały prześcieradło.

Bardzo powoli opuściła głowę, spojrzała na jego zgięty tułów, aż do krawędzi kołdry. Jej brzeg uniósł się i tworzył teraz ciemne wejście ponad jej piersiami. Błyszczały w nim kocie oczy.

Przeciagnał językiem po jej ciele. Był szorstki, ciepły i giętki. Zlizał pot z jej skóry, raz w stronę ramion, raz z powrotem. Czula jego zwierzęcy dotyk na pępku, na każdym z żeber, na ramionach i sutkach.

Przeniosła ciężar ciała na jedną z dłoni, a drugą wsunęła pod kołdrę, dotykając miękkiego, jedwabistego futra pomiędzy jego oczami. Powoli uniosła ramię, delikatnie odsunęła kołdrę i zobaczyła, jak wspina się po niej z robiącą wrażenie elegancją, drapieżny cień z połyskującymi oczami.

Kot nadstawił uszu, odczekał jeszcze kilka uderzeń jej serca. Potem opuścił głowę i niczym mleko zlizał z niej ludzką skórę, obnażając złociste łuski węża.

SERCE KOTA

Iole jest bezpieczna! – wykrzyknął Alessandro, wyskakując ze swojego czerwonego ferrari na podjeździe do *palazzo*. – Przynajmniej na razie.

Rosa zbiegła po kamiennych schodach. Czuła się lekko, a jednocześnie była zaskoczona, że tak nagle pojawił się blisko niej.

– Co tu robisz? – zbeształa go. – Kiedy Florinda się dowie...

Nie ruszył się z najniższego stopnia.

– Wie, że tu jestem. Jej ludzie dali jej znać, kiedy wjeżdżałem.

– To niemożliwe. Nie ma jej tutaj. Przyjedzie później.

Alessandro wzruszył ramionami.

– Zadzwonili do *palazzo* i ktoś powiedział im, że mają mnie wpuścić. Jeśli to nie byłaś ty...

Nad nimi otworzyło się okno. Rosa spojrzała w górę i dostrzegła Zoe.

– Pospieszcie się! – zawołała do nich. – Jeśli Florinda odkryje, że się widujecie, to przestanie być dla was zabawne.

Rosa posłała w jej stronę promienny uśmiech.

– Dzięki.

Zoe puściła do niej oko i zamknęła okno. Niebieskie niebo odbiło się w szybie, która nie zdradzała, czy wciąż ich obserwuje.

– Miło z jej strony – zauważył Alessandro.

– W każdym razie wciąż udaje się jej mnie zaskoczyć. – Spojrzała Alessandro w oczy. – Co się dzieje z Iole?

– Jest u nas w zamku. Cesare rzeczywiście rozkazał ją zabrać z wyspy, na krótko przed tym, jak na nią dotarliśmy.

Wiedział, co się stało. Kipiał z wściekłości, ale jeszcze nie odważył się otwarcie wystąpić przeciwko mnie.

– Rozmawiałeś z Iole?

– Tylko przez chwilę.

– Tano nic jej nie zrobił?

– Cesare najwyraźniej trzyma go krótko. W tej chwili jest ostrożniejszy niż kiedykolwiek. Jestem pewien, że Cesare coś knuje, ale jak dotąd nie chce dopuścić do konfliktu pomiędzy jego i moimi zwolennikami.

Rosa nie do końca była przytomna. Po przebudzeniu wykonała ogromny wysiłek, by wstać z łóżka. Jej skóra była rozpalona i podrażniona, bolały ją mięśnie. Poza tym ugryzła się w dolną wargę. Rana lekko pulsowała.

– Wygląda jak opryszczka – powiedziała, lekko zmieszana, kiedy spojrzał na jej usta. – Ale to nie to.

– Miałaś nocne koszmary – stwierdził.

By zmienić temat, wskazała na bramę.

– Spadajmy stąd. Najlepiej dwoma samochodami, wtedy nie będziesz musiał mnie później odwozić. Wysadź mnie pod garażami, pojedę za tobą.

– Dokąd?

Uśmiechnęła się.

– Na koniec świata – powiedziała, a przez myśl przeszło jej: „O czym ty mówisz?”

Zanim jednak zdążyła zmienić zdanie, on już otworzył przed nią drzwi do ferrari. Zapadła się w miękką, skórzaną tapicerkę.

Pod garażami przystanął, żeby mogła wysiąść. Chłopak ze wsi regularnie przychodził umyć i wypolerować sześć sportowych samochodów, stojących w rzędzie w środku. Żaden z nich nie był całkowicie nowy, najwyraźniej Florinda w

poprzednich latach straciła zainteresowanie swoim kosztownym hobby. Rosa nie wiedziała wiele o samochodach, więc po prostu wybrała czarne maserati quattroporte, które oprócz porsche Zoe było jedynym pojazdem z automatyczną skrzynią biegów. Wręczając jej kluczyki, chłopak wyglądał na trochę zdenerwowanego i zbladł jak kreda, kiedy samochód zawył przy wyjeździe z garażu.

Trzy kwadransy później zjechali z A19 w kierunku Agiry i ruszyli zakurzonymi bocznymi drogami na północ. Tym razem Rosa starała się zapamiętać trasę. Prowadziła przez wyludnione wzgórza, a po półgodzinie dotarli do zablokowanego zjazdu na nieczynną autostradę. Tam jechali obok siebie. Mieli do dyspozycji cztery pasy – Rosa dostosowała tempo swojego maserati do prędkości ferrari Alessandro.

Widać już było stromy wąwóz z pradawnymi grobowcami w jaskiniach, na którym kończyła się autostrada, kiedy Alessandro zwolnił i zatrzymał się na środku drogi. Przed nimi mógł być jeszcze kilometr do wysadzonego mostu, ale on wyłączył silnik i wysiadł z samochodu. Rosa również wyslizgnęła się z siedzenia kierowcy i spojrzała w jego stronę w drżącym powietrzu nad rozgrzany dachem samochodu.

– A może przejdziemy ten ostatni kawałek? – zaproponował.

Obejrzała się. Wkoło, jak okiem sięgnąć, nie było żywej duszy, a mimo to wsunęła kluczyk w zamek w drzwiach samochodu. Auto było za stare, by mieć pilota i przez chwilę zastanawiała się, czy mógł nim jeździć jej ojciec. To wyobrażenie poruszyło ją bardziej, niż chciała przyznać.

Po kilku krokach Alessandro schylił się nad samotnym mleczem, który rósł na popękany poboczu drogi.

– Nie zrywaj go – poprosiła Rosa. – Wykonał taki wysiłek,

żeby przebić się na światło dzienne.

Alessandro potrząsnął głową, ostrożnie wyciągnął palce i z cienia rośliny podniósł chrząszcza. Delikatnie umieścił go na środku swojej dłoni. Chitynowy pancerzyk połyskiwał wszystkimi barwami tęczy, podczas gdy robaczek badał czułkami skórę Alessandra.

– Zobacz – powiedział – on wcale się mnie nie boi.

Spojrzała w górę i napotkała spojrzenie Alessandra.

– A dlaczego ty się mnie boisz? – zapytał.

– A skąd wiesz, że tak jest?

– Usiłujesz coś przede mną ukryć. Co dokładnie – uśmiechnął się – to tylko moje przypuszczenia.

– Być może fałszywe.

– Więc o co chodzi?

– To wszystko tutaj – to miejsce, ta wyspa, ty, ja z tobą tutaj – sprawia, że jestem zdenerwowana. Ale nie boję się.

Ostrożnie położył chrząszcza z powrotem na ziemi, obserwował, jak wślizguje się w cień samotnego mlecza i ruszył przed siebie.

W tym samym momencie pojedyncza chmura zasłoniła słońce. W jednej chwili ochrowy, górzysty krajobraz po obu stronach pustej autostrady stracił swój blask. Wlekli się obok siebie po asfalcie, odkopując na boki kamyczki i próbując przebrnąć przez szary cień chmury. Małe jaszczurki uciekały przed nimi w popłochu.

– Przejrzałem papiery z atelier – powiedział. – Notatki mojej matki, dokumenty i całą resztę.

– I?

– Jest tak, jak myślałem. Dobrze wiedziała, że Cesare zdradził mojego ojca. Najwyraźniej kilkakrotnie próbowała nawet opowiedzieć o tym mojemu ojcu. – W brzmienie jego

głosu wmieszała się gorzka nuta. – Ale on jej nie słuchał. Miał do Cesare pełne zaufanie i przez całe życie korzystał z jego rad. Moja matka była na przykład przeciwna wysyłaniu mnie do internatu do Ameryki. Ale Cesare wmówił ojcu, że dobra edukacja w Stanach jest ważna dla mojej przyszłości w roli *capo* Carnevarów. W ten sposób zniknąłem mu z oczu i przeszkadzała mu już tylko moja matka.

Rosa idąc, przyglądała mu się z ukosa, jego nieskazitelnemu profilowi, jego zgrabnym ruchom. Przypomniała sobie o swoim śnie i tym razem przywołała go bez wstydu.

– W końcu musiała prawie całkowicie wycofać się na Lunę, spędzała coraz więcej czasu w willi. Mojemu ojcu najwyraźniej było to obojętne. W swoich notatkach napisała, że ojciec uznał ją za niespełna rozumu, kiedy dostrzegła w Cesare niebezpieczeństwo. Ten idiota nie chciał przyjąć do wiadomości, jak było naprawdę! Po prostu nie chciał widzieć, jaką grę od lat prowadził Cesare.

– I w końcu się poddała?

– Nie. Do końca próbowała go przekonać. Udało jej się zbierać tyle materiałów, żeby ostatecznie pogrążyć Cesare. Miała dowody, których mój ojciec nie mógłby zignorować! Kopie tajnych umów, a nawet protokoły z negocjacji, które Cesare prowadził z politykami w Rzymie i Brukseli... W notatkach, które sporządziła na chwilę przed śmiercią, pisała, że dzwoniła do ojca i prosiła, żeby przyплыwał do niej na wyspę. Podczas ostatnich tygodni najwyraźniej bała się opuszczać Lunę. Zabarykadowała się w willi – a jemu było to zupełnie obojętne.

Opuszkami palców dotknęła jego dłoni.

– Bardzo mi przykro.

– Ale na ostatniej stronie pisała też, że zgodził się do niej przypląć, żeby obejrzeć jej prace. Boże, jaki on był z nich dumny. Więc na końcu musiał jej uwierzyć i wszystko nie poszło na marne...

– Ale zamiast twojego ojca na wyspę przyplął Cesare.

– Musiała coś podejrzewać, bo ważne dokumenty schowała w obrazach, a bezużyteczne papiery włożyła do sejfu, by znalazł je tam Cesare. Ale o tym już nie napisała. Jej ostatnie słowa brzmią... – Przełknął ślinę i przez chwilę zbierał się w sobie. – ...brzmią prawie jakby była szczęśliwa, wiesz? Mimo wszystko wciąż jeszcze kochała mojego ojca i napisała też, że mnie... że ona... – Przerwał, zatrzymał się i na krótką chwilę odwrócił twarz.

Rosa czekała. Korciło ją, by go objąć i pocieszyć. Ale wtedy zobaczyła kawałki czarnego futra, które ukazały się na jego karku, i zawahała się.

W mgnieniu oka się opanował, wysłał w jej stronę olśniewający uśmiech i wziął ją za rękę.

Chmura odsłoniła słońce i żar znów spływał na wyschnięty krajobraz i opuszczoną autostradę. W oddali krawędź asfaltu rozpływała się na skraju przepaści w srebrzystym migotaniu.

– Nic nie mogę na to poradzić – powiedział po krótkim milczeniu. – To się po prostu dzieje, kiedy zaistnieją określone okoliczności...

Wiedziała, co ma na myśli. W tym momencie wszystko zrozumiała. Było coś dziwnego w jego głosie i w dotyku jego dłoni. Delikatne włoski, które w jednej chwili poczuła pod palcami.

Nie spojrzała na niego.

– Nie ma w tym nic złego – powiedziała cicho. – Nie ma w tym zupełnie nic złego.

Jego głos brzmiał inaczej, jakby z trudem przychodziło mu formułowanie słów.

– To nie... z powodu mojej matki – powiedział z wysiłkiem. – ...ani z powodu Cesare.

Patrzyła twardo przed siebie. Nie mogła się zmusić, by na niego spojrzeć. Sama nie wiedziała, dlaczego, ale po prostu nie mogła.

Nie teraz.

– Tylko z twojego powodu – wyszeptał łamiącym się głosem.

A dlaczego to samo nie dzieje się ze mną?, pomyślała jak ogłuszona. Mnie to też dotyczy, kolejny cholerny raz. Dlaczego ja się nie zmieniam?

Jego dłoń wyślizgnęła się z jej dłoni. Delikatne włoski ostatni raz musnęły jej palce. Lekkie łaskotanie, a potem pustka.

Zbliżał się koniec drogi. Z drgającego rozpalonego światła, rozmytego tła, wyłoniła się przepaść.

Został kawałek w tyle. Odgłos pocierania materiału, jak gdyby ściągał z siebie džinsy i T-shirt, zanim przeobrażenie rozsadziło szwy i zamki. Wciąż tylko nasłuchiwała, nie chciała patrzeć. Powoli szła do przodu.

Szuranie, potem odgłos łap, które odbijały się od asfaltu. Miękkie kroki, które przyspieszyły, wyhamowały i trzymały się kawałek za nią, dostatecznie daleko, by nie wejść w jej pole widzenia. A mimo to wyczuwała go, słyszała, a nawet rozpoznawała jego zapach.

Dotarła do spekanej krawędzi drogi, usiadła, opuszczając nogi i patrzyła w głąb przepaści, próbując uspokoić drżenie ciała.

Dlaczego ja?, myślała. Czy już nie mam dość? Czy nie dosyć go lubię?

A może było jeszcze coś, co nim powodowało? Lęk przed czymś? Nienawiść do Cesare? A może poczucie winy, które spowodowało przemianę?

Dźwięk miękko stawianych łap był coraz bliżej. Odgłos szurania dobiegł jej uszu. Poczwała, jak ociera się futrem o jej plecy, jej ramię. Gorący, zwierzęcy zapach, dzikość, która od niego była. Gibkie mięśnie pod kruczoczną sierścią. Elegancja, która wywoływała jej dreszcze.

Usiadł obok niej, bardzo blisko i oparł swój piękny łeb pantery na jej ramieniu.

NOCNA PODRÓŻ

Odstawiła maserati do garażu i jak w transie podążyła w stronę podjazdu. Za kasztanowcami i drzewami piniowymi majaczyła barokowa fasada *palazzo*, jego wysokie okna, ozdobne gargulce, omszałe, zielonkawe sztukaterie.

Od strony wjazdu dobiegał odgłos silnika, warkot rozlegał się wśród gajów oliwnych w dole posiadłości. Brzmiał jak kosiarka do trawy.

Był to jednak skuter, na którym siedziała Lilia. Zatrzymała go obok Rosy, zaraz przy kamiennej fontannie, ściągnęła kask i strząsnęła na ramiona płomienne pukle. Na tle czarnej skórzanej kurtki wyglądały jak języki ognia. Przez chwilę Rosie zdawało się, że pomiędzy kosmykami na karku Lilii mignął jej tatuaż.

– *Ciao* – powiedziała Lilia z olśniewającym uśmiechem.

– *Ciao*. – Rosa wysiliła się, by odwzajemnić uśmiech. Była w nastroju melancholijno-skołowanym. Wciąż towarzyszył jej zapach sierści pantery.

Lilia zmarszczyła czoło.

– Co jest?

– Ja... po prostu byłam na przejażdżce. Maserati. Było fajnie.

– Mogę sobie wyobrazić. Jakież rysy? Wgniecenia?

Rosa pokręciła głową.

– To był samochód twojego ojca. Wiedziałaś o tym?

Cicho westchnęła.

– Nie wiedziałam.

– Zoe mi o tym mówiła. Ona też od czasu do czasu nim jeździ. – Lilia zrobiła dziwną minę. – Bo wy, Amerykanie, nie umiecie sobie radzić ze skrzynią biegów.

– Ona wie, że tu jesteś?

Lilia pokręciła głową.

– Chciałam po nią przyjechać i trochę pojeździć po okolicy. Często tak robimy, przede wszystkim po zmierzchu. Widziałas już jej skuter?

– Nie stoi w garażu.

Lilia klepnęła siedzenie za sobą.

– Wskakuj, pokażę ci go.

Rosa wsiadła na skuter i chwyciła się mocno Lili. W następnej sekundzie niemal spadła do tyłu, bo właścicielka vespy zdecydowanie zbyt gwałtownie dodała gazu i skierowała się na dziedziniec *palazzo*. Tam kilka razy zatrąbiła, okrążyła zdziczałe klomby na środku placu i zatrzymała się przed wąskimi drzwiami we wschodniej fasadzie. Być może było to wejście do piwnic. Rosa nie widziała jeszcze podziemnej części posiadłości.

Lilia obejrzała się niecierpliwie.

– Gdzie ona jest?

Rosa uniosła ramiona i zeszła ze skutera.

– Nie mam pojęcia. Dzisiaj rano tu była. – Wskazała okno na pierwszym piętrze. – Może wróciła Florinda i znów ją magluje.

Lilia wyciągnęła komórkę.

– Zobaczymy.

Nad dziedzińcem wisiała cisza. Za jednym z okien rozległ się dźwięk telefonu. Lilia pokręciła głową i wsunęła telefon do kieszeni kurtki.

– Poczta głosowa.

– Może wyjechała gdzieś z Florindą?

Lilia opuściła nóżkę skutera i ześlizgnęła się z siodła. Z determinacją otworzyła skrzydło staroświeckich drzwi. Spojrzała jeszcze raz przez ramię.

– Jestem go diabelnie ciekawa.

Kiedy Lilia otworzyła drzwi, Rosa zorientowała się, że była w błędzie. Za nimi nie było wejścia do piwnicy, ale mroczne pomieszczenie gospodarza. Sprzęt ogrodowy wisiał lub opierał się o ściany, pachniało ziemią i torfem. Kiedy Lilia dotknęła włącznika obok drzwi, zapaliło się kilka lamp. W prawym rogu coś zaszeleściło i ukryło się za zestawem mioteł i grabi.

Lilia wskazała wypolerowany na wysoki połysk skuter, przykryty folią. Zdjęła pokrowiec i odsłoniła marzenie z chromu i złota. Jego powierzchnia połyskiwała niczym lustro.

– Sam tuning musiał kosztować majątek.

Rosa poczuła się w obowiązku, by stanąć obok niej.

– Piękny – powiedziała beznamiętnie.

– Nie psuj zabawy i usiądź na nim.

Rosa pokręciła głową.

– Daj spokój.

– No dalej!

– Zoe mnie zabije.

– Naturalnie. Ale tylko, jeśli się dowie. – Lilia uśmiechnęła się. – A ja nie mam pojęcia, skąd mogłaby się dowiedzieć.

Rosa usiadła na miękkim siedzeniu, badawczym ruchem położyła rękę na kierownicy, a drugą przeciągnęła po łukowatym lusterku wstecznym. Kluczyk tkwił w stacyjce.

– No i? – zapytała Lilia. – Co o tym sądzisz?

– O czym?

– O jeździe próbnej. Taką maszynę umie prowadzić każdy.

Ty też.

Rosa już raz jeździła skuterem. Zrobiła nim zaledwie kilka rund dookoła boiska do koszykówki na Brooklynie. Skuter należał do chłopaka, którego prawie nie znała i który koniecznie chciał się nim popisać. Poszło jej lepiej niż się spodziewała,

więc w końcu pozwolił jej na rundę dookoła domu. Oddała mu skuter dwie godziny później. Mocno na nią nawrzeszczał, ale było warto. Nigdy więcej nie zaszczyciła go spojrzeniem, natomiast często zerkała na jego skuter.

– No i? – niecierpliwie zapytała Lilia. – Co tam?

– Powinnam chociaż zapytać Zoe.

– Odmówi.

Rosa uniosła brew.

– I to ma mnie przekonać?

– Tylko na godzinę, może dwie. Podczas zachodu słońca są najpiękniejsze widoki. Pokażę ci kilka miejsc, w których z zachwyty stracisz oddech.

Być może właśnie takiej dawki ryzyka teraz potrzebowała. Nawet czegoś w rodzaju kradzieży. Uśmiechnęła się sama do siebie. Właściwie dlaczego nie?

Lilia była już na zewnątrz i biegła w stronę swojego skutera. Rosa włączyła silnik i wolnym tempem podążyła za nią na dziedziniec. Rzuciła jeszcze okiem na okna, potem kilka razy objechała zdziczałe klomby na środku dziedzińca. Poszło jej zaskakująco dobrze,

Po raz pierwszy poczuła się swobodnie w posiadłości swojej ciotki. Być może dlatego, że właśnie miała z niej wyjechać.

* * *

Zmierzch zapadał nad pełną serpentyn drogą lokalną numer 124, kiedy jechały nią w stronę Caltagirone. Na poboczu Rosa widziała mnóstwo zdziczałych psów. Jednego z nich, który statecznie przechodził przez drogę tuż za zakrętem, udało jej się wyminąć tylko dzięki ostremu hamowaniu. Już podczas

wycieczek samochodem rzuciły jej się oczy stada bezpańskich psów, żerujących często w pobliżu kontenerów ze śmieciami. Było jej ich żal, zwłaszcza kiedy zobaczyła na poboczu pierwsze przejechane zwierzę. Gdyby potrafiła któregoś psa, złamałoby jej to serce. Dalej jechała już wolniej, zachowując szczególną uwagę na zakrętach.

Lilia na początku zachęcała, by dotrzymywała jej tempa, ale kiedy Rosa nie chciała się na to zgodzić, szybko ruszyła przed siebie. W połowie drogi do Caltagirone skręciła w prawo w wąską, krętą drogę, prowadzącą na północ.

Nie było tu domów, wzgórza pokrywały dzikie gaje oliwne i kaktusy. Ciemność niczym ciemna mgła unosiła się z dolin i wyschniętych koryt strumieni. Na jednym ze skrzyżowań minęły drogowskaz z napisem Mirabella 3, ale Lilia skręciła w prawo. Przez następne pół godziny Rosa nie zobaczyła przy drodze żadnych tablic.

Jechała bez kasku. Lilia zawiesiła swój na kierownicy. Zapach drzewek oliwnych i cytrynowych igrał im w nozdrzach, długie włosy Rosy powiewały dziko nad ramionami. Jeszcze raz zwróciła uwagę na tatuaż Lilii i teraz wydawało jej się, że rozpoznaje na nim głowę węża, wysuwającą się nad kołnierzem jej skórzanej kurtki aż do nasady włosów.

Rosa lekko dodała gazu, żeby zrównać się z Lilią. Jechała lewym pasem, wiedząc, że pojazdy jadące z naprzeciwka z łatwością dostrzeże z daleka w otaczającej je ciemności.

– Co to za tatuaż? – zawołała.

– Zrobiłam go sobie w Geli na południowym wybrzeżu. Okropne miasto, ale jest w nim cała masa marynarzy.

– Marynarzy!

Lilia roześmiała się.

– To nie to, co myślisz. Gdzie są marynarze, tam jest też

dużo gabinetów tatuazu. Jeśli te brudne dziury można nazwać gabinetami.

– Dlaczego wąż?

– A nie kotwica? – Lilia uśmiechnęła się do niej przez płataninę czerwonych włosów. – Wiem o Alcantarach, Rosa. O tym, kim jesteście.

Jej spojrzenie zdradziło Rosie, że nie mówi o mafii.

– Zoe ci powiedziała?

– Została do tego, że tak powiem, zmuszona, po tym jak pewnego dnia obudziłam się obok węża.

– Och.

– A o tym Zoe ci nie powiedziała?

– Nie wiedziałam, że wy...

– Florinda nie może się dowiedzieć. To byłby koniec.

– Jesteś pewna, że niczego nie przeczuwa?

– Czy nie przeczuwa, że dziedziczka potęgi Alcantarów leci na kobiety? Uwierz mi, rozpętałoby się piekło. – Lilia odgarnęła sobie z twarzy loki. – Ale pytałaś mnie o tatuaz... Zrobiłam to dla Zoe. Nie jestem tym, czym ona, ale... Byłabym, gdybym tylko mogła, rozumiesz? – Znów się roześmiała, tym razem wypadło to nieco nerwowo. – Gdyby była jakimś popieprzonym wampirem, wtedy pozwoliłabym jej się ugryźć, żeby być taka, jak ona. Ale z wami tak to nie działa. Więc wytatuowałam sobie na połowie ciała węża, żeby jej pokazać, że... ach, cholera, przecież wiesz, co mam na myśli, Rosa. – Wzruszyła ramionami. – Sentymentalne brednie.

– Nie, w ogóle nie.

– Jeśli teraz powiesz, że uważasz, że to romantyczne, zepchnę cię z drogi.

– Ale to jest romantyczne!

Lilia wykrzywiła twarz i ostro skrzywiła w jej stronę. Rosa

odbiła bez wysiłku i ruszyła przed siebie w gęstniejącą noc. Pierwsze gwiazdy lekko rozświetlały ciemność, a Rosa od czasu do czasu dostrzegała nietoperza trzepoczącego nad podziurawionymi skałami.

Była wstrząśnięta, nawet jeśli sądziła, że ma to pod kontrolą. Sentymentalne brednie, no jasne. Nie to, co zrobiła Lilia, ale wyrzuty sumienia Rosy.

Lilia zrobiła bardzo dużo, żeby pokazać Zoe, jak bardzo jej na niej zależy. Rosa nie wierzyła w tatuaże jako dowody miłości, ale to było więcej niż gest, więcej niż imię na przedramieniu. Lilia chciała za pomocą sobie dostępnych środków, stać się dla Zoe węzłem. Tak bezkompromisowa była jej miłość. Lilia uwieczniła na skórze symbol swoich uczuć, dowód, którego Zoe z pewnością od niej nie wymagała, a który Lilia mimo wszystko chciała jej dać.

Więc rycz, pomyślała Rosa pogardliwie, zła na samą siebie. Ale potem uśmiechnęła się, kiedy po jej policzku spłynęła jedna, samotna łza, i była szczęśliwa, że Lilia nie może jej zobaczyć. Jeśli Rosa umiała się przemieniać jak inni Alcantarowie, dlaczego nie stało się to w przyływie uczuć do Alessandra? Siedziała z nim jako człowiek na skraju przepaści, uwięziona we własnej niemocy i czuła się okropnie bezsilna.

W końcu po prostu wstała i odjechała. Zostawiła Alessandra na końcu świata i miała nadzieję, że on ją zrozumie i będzie wiedział, dlaczego to zrobiła.

– Rosa!

Z zamyślenia wyrwał ją krzyk Lili. Kilka reflektorów zajaśniało za nimi w ciemności, znikło, kiedy wjechały w zakręt, i znów wyłoniło się na kolejnej prostej. Cztery pojedyncze światła – ścigacze dużo szybsze od ich vesp – stopniowo je dopędzały.

Nie wiedziała, co ją ostrzegło. To dziwne uczucie w brzuchu, które najwyraźniej poczuła również Lilia.

– Wiesz, kto to może być? – zawołała Rosa.

– Nie. – W jednej chwili zginął ślad po swobodnej Lili.

– A jeśli po prostu ich przepuścimy?

Lilia pokręciła głową. Przyspieszyła i znów była przed Rosą.

– Jedź za mną. I dodaj gazu!

Za następnym zakrętem Lilia skręciła w asfaltową drogę o szerokości jednego samochodu. Droga prowadziła wąskimi zakrętami na wzgórze. Gaje oliwne pozostały w dole, z obu stron otaczała je bezludna makia.

Skutery zawyły, kiedy przejechały przez skrzyżowanie, a potem skręciły i podążyły za nimi w stronę wzgórza.

– Cholera, Lilia, kim oni, do diabła, są?

– Nie domyślasz się? – Droga była coraz bardziej stroma i Lilia musiała wciąż patrzeć przed siebie. – Najchętniej polują w stadzie.

– Carnevarowie?

W tej samej chwili dogonił ją Tano.

AMFITEATR

Zbliżył się do Rosy na swoim ścigaczu, wychylony mocno do przodu, w czarnej skórze i czarnym kasku. Kiedy zwrócił się w jej stronę, Rosa rozpoznała jego oczy.

Nie mogła mu uciec. Nie miała gdzie skręcić. Na prawo od niej wzgórze opadało stromo, po lewej na jej wysokości jechał Tano. Za nią podążali jego trzej towarzysze, wszyscy ubrani w ciemne skórzane kombinezony, a ich twarze schowane były w połyskujących kaskach. Hałas, jaki wydobywały z siebie ich maszyny, był niemal piekielny. Od czasu do czasu któryś z nich zawył dla zabawy silnikiem swojego motoru.

Lilia wciąż jechała przed nią w górę wzgórza. Kilka razy odwróciła się w jej stronę z kamienną twarzą. Na takich motorach czterech Carnevarów z łatwością mogłoby zepchnąć dwie vespy w gęstwinię. A jednak nie przypuszczali ataku, tylko podążali za nimi. W oczach Tana Rosa widziała, że pod kaskiem śmieje się i cieszy, że ma nad nią przewagę.

Dłonie Rosy zacisnęły się mocniej na kierownicy. W swoich koszmarach tysiące razy przeżywała prawdopodobne scenariusze tego, co stało się na imprezie, kiedy bez świadomości leżała w miejscu, o którym do dziś nic nie wiedziała. Wyobrażała sobie wykrzywione męskie twarze, spocone ciała, śmiech, ochryple stęknięcia.

Ale w głębi duszy myślała, że mogło być inaczej. Nastolatki, które nudziły się na imprezie. Być może test na odwagę albo rytuał inicjacyjny. Tylko kilku chłopców z sąsiedztwa. I nagle nie wiedziała już, co jest gorsze: czy to, że ci czterej mogą jej zrobić to samo, co nieznani ludzie w Nowym Jorku, czy Tano rozszarpujący ją swoimi tygrysimi pazurami.

On chce cię tylko postraszyć. Tak samo jak wtedy, w nocy,

w lesie. To wszystko. Chce, żeby twój strach sprawił, że znikniesz z życia Alessandra.

Ale potem znów spojrzała w jego oczy, na pożądliwe iskry w jego oczach i rozpoznała wzrok drapieżnego kota, który widzi w niej łup. Mogli się zatrzymać i mieć to już za sobą. Ale Lilia wciąż jechała przed siebie, a także Rosa nie była gotowa, by tak po prostu się poddać, nawet jeśli ta ucieczka nie miała już sensu. Nie było cienia szansy, a z każdym przejechanym metrem tylko odwlekały to, co musiało nastąpić.

Droga znów się rozgałęziła. Lewa odnoga prowadziła jeszcze wyżej, prawa znikła za zakrętem po drugiej stronie wzgórza. Lilia wybrała prawą, a Rosa podążyła za nią. Z tyłu zawyły motory pozostałych, ale Tano powstrzymał się od takich trików. Wciąż jechał obok niej i za każdym razem, kiedy na nią spoglądał, jego oczy śmiały się zimno i głucho bez jakiegokolwiek litości.

Przed nimi pojawił się wysoki mur z piaskowca, przed którym rosło jedno wygięte i pochylone drzewko oliwne.

Wyminęli mur, formując wąski, wyjący szpaler i otworzyła się przed nimi droga do szerokiego placu, potężnego wyłomu w masywie wzgórza, z którego – jak zarejestrowała szybkim spojrzeniem – roztaczał się widok na oświetlony światłem księżyca krajobraz. Po lewej Rosa zobaczyła półkoliste, piętrzące się na zboczu schody.

Antyczny amfiteatr.

Jedna z greckich ruin, tak licznych na Sycylii, z których większość jest zamknięta dla turystów lub w trakcie renowacji. Część jednak, jak miejsce, w którym się znaleźli, niszczeje skazana na zapomnienie. Pomędzy kamiennymi rzędami rosły chwasty, wysokie krzewy ruszały się na wietrze niczym pełni wyczekiwania widzowie.

Lilia jechała w stronę najniższego rzędu, zahamowała ostro i chciała pieszo uciec w górę schodami. Ale jeden z motorzystów przyspieszył i gwałtownie hamując, odciął jej drogę. Spod opony wytrysnęła fontanna kamyczków i kurzu. Lilia zaklęła.

Rosa zacisnęła zęby, głęboko nabrała powietrza, zignorowała Tano i na pełnym gazie skierowała skuter w stronę maszyny, która zablokowała Lilii drogę. W ostatniej chwili zahamowała, ale vespa miała jeszcze na tyle dużo rozpędu, by odepchnąć motor. Motorzysta zawył pod kaskiem, przygnieciony przez ciężką maszynę. Rosę wyrzuciło z siedzenia, przy upadku podrapała sobie łokieć, ale od razu zerwała się na nogi.

Lilia wykorzystała swoją szansę, przebiegła obok przewróconego motocykla i ruszyła w górę po stopniach między kamiennymi trybunami. Rosa chciała pobiec za nią, ale Tano i jeden z jego towarzyszy byli szybsi. Mężczyzna zatarasował jej drogę, podczas gdy Tano opuścił nóżkę do podparcia swojego motoru i zsiadł z niego. Skrzypiąc skórzanym kombinezonem, podszedł do Rosy i chwycił ją za ramię. Wciąż miał na głowie kask, tak samo, jak pozostali.

– Zostaw ją! – wrzasnęła Lilia z połowy wysokości widowni, ciemna plama pomiędzy rzędami siedzeń.

Czwarty motorzysta także zsiadł z motoru i chciał za nią biec, ale Tano przywołał go do siebie ruchem dłoni.

– Ona jest nieważna. – Uniósł klapkę kasku, szarpnął Rosę za ramię, powąchał jej krwawiący łokieć. – Mamy tu małą szmatę Alcantare, to w zupełności wystarczy.

Rosa kopnęła go między nogi, tak mocno, jak umiała. Stali jednak za blisko siebie i cios trafił głównie w jego udo. Mimo to odstąpił od niej o krok, zaklął bezgłośnie i puścił ją. Rosa

odwróciła się, zaczęła biec – i uderzyła w drugiego motorzystę. Wymierzył jej cios w klatkę piersiową. Z krzykiem zatoczyła się do tyłu i chwycił ją czwarty z jeźdźców. Jego ręce objęły jej tułów i wycisnęły z niego powietrze. Chciała się bronić, tyłem głowy uderzając w jego kask, wierzgała nogami i kopała go w kolana, ale wiedziała już, że przegrała. Był o głowę wyższy od niej, o wiele silniejszy, a jego głowę i oczy chronił kask. Panika chwyciła ją za gardło, ale udało jej się odzyskać kontrolę na tyle, by nie wykonywać zbędnych ruchów i oszczędzać siły na lepszą okazję.

Lilia rzucała pogrozkami pomiędzy rzędów pustego amfiteatru, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Kiedy Tano Carnevare znów znalazł się w polu widzenia Rosy, był już bez kasku i skórzanego kombinezonu. T-shirt, który miał pod nim, był całkowicie przepocony i po chwili także on wylądował na zakurzonej ziemi. Jego palce rozpięły guziki spodni. Zdjął je z niebywałą szybkością i stał przed nią w samych bokserkach.

Był większy i jeszcze bardziej wytrenowany niż Alessandro. Jego bicepsy połyskiwały w świetle wschodzącego księżyca. Kiedy spotkała go pierwszy raz, na pogrzebie barona, miał na nosie okulary. Teraz ich nie włożył, a jego kocie oczy wyglądały na bardziej przenikliwe niż oczy człowieka. Połyskiwały żółto niczym bursztyn. Także jego włosy zmieniły barwę, stały się jaśniejsze i szorstkie. Pasma żółtej, brązowej i białej sierści rozprzestrzeniały się od ud po całym jego ciele.

Rosa odparła jego bezlitosne spojrzenie i patrzyła jakby przez niego na wskroś, na plac i ciemny krajobraz w oddali. Zbocza gór na wschodzie zlały się z mrokiem. Jeszcze więcej gwiazd pojawiło się na niebie. Rosa zaczęła je liczyć.

Rozległ się ogłuszający huk, który poniosło echo.

– Trzymajcie ręce przy sobie! – wrzasnęła Lilia. – Mam broń!

Przemiana Tano zaszła już za daleko. Adrenalina wypompowywała z jego ciała ostatnie ślady człowieczeństwa, kiedy kości i mięśnie zmieniały swój układ, tułów zgiął się i oparł na czterech kończynach. Kiedy łapy tygrysa dotknęły ziemi, stawy przesunęły się, kończyny skróciły, a sierść pokryła ostatnie wolne miejsca. Twarz Tana składała się teraz z pyska, kłów i ciskających płomienie oczu.

Lilia drugi raz wystrzeliła w powietrze i wykrzyczała ostrzeżenie. Jej głos rozbrzmiewał coraz bliżej, musiała zejść po kilku stopniach.

Zmysły Rosy były przytępione, jak gdyby ktoś trzymał jej głowę pod wodą. Jej ciało znacznie się wychłodziło, pot był zimny jak lód. Znow poczuła, że coś ją ciągnie i szarpie, chociaż nie – było to dwóch motorzystów, którzy stali za nią i trzymali ją za ramiona.

Coś jednak jeszcze powstrzymywało jej przemianę w węża. To było poza jej świadomością. Czuła się jak ogłuszona. Ogarnęła ją panika, strach przed tym, że może się wydarzyć to samo, co wtedy. Jakaś jej część przypomniała sobie sytuację, kiedy tamtej nocy straciła świadomość. Znow była sama i bezbronna, otaczali ją mężczyźni, gotowi zrobić z nią to, na co tylko mają ochotę.

Tygrys zrobił w jej stronę krok i przyczał się.

Nagle jej ręce uwolniły się. Dwóch motorzystów puściło ją i cofnęło się. Z pewnością nie ze strachu, na pewno wiele razy byli świadkami takiej przemiany.

Odgłos trzeciego wystrzału rozniósł się po amfiteatrze.

Za Rosą ktoś krzyknął. Jeden z mężczyzn został trafiony i upadł na ziemię. Drugi, złorzecząc z wściekłości, ruszył przed

siebie. Trzeci zaczął iść w przeciwnym kierunku, utykając. To musiał być ten, na którego najechała Rosa. Chcieli wziąć Lilię z dwóch stron.

Tygrys oblizwał się z apetytem. Przerazający pomruk wydobył się z jego gardła. Łapy zdeptały leżące w kurzu podarte resztki bokserek Tano.

Rosa trzęsła się z zimna, siłą woli próbując doprowadzić do przemiany. Wciąż jednak blokowała ją panika, najwyraźniej paralizując również tę część jej ciała, której Rosa nie знаła, która – choć była z nią od zawsze – pozostawała jej całkowicie nieznana.

Kolejny strzał. Znowu krzyk. Ktoś z tupotem i rykiem zbiegał po schodach amfiteatru.

Tygrys syknął ze złością w ciemność, Rosa poczuła zapach jego zwierzęcego oddechu, zupełnie inny niż pantery – gorący jak ognisko. A potem coś zauważyła.

Dojazd do amfiteatru nagle zalało oślepiające białe światło. Cienie skarłowaciałych drzewek oliwnych wędrowały po ziemi, zgięły się i urosły. Zza rogu wyłoniły się reflektory.

Tygrys uniósł głowę.

Złożył się do skoku.

Tym razem odgłos wystrzału rozległ się tak blisko jej ucha, że na sekundę ogłuchła. W błysku światła zobaczyła Lilię z oczami szeroko otwartymi ze strachu, postać, która czaiła się na nią od tyłu i tygrysa, któremu eksplozja zmiażdżyła połowę czaszki, pozostawiając plataninę sierści i krwi.

Lilia krzyknęła. Krzyknął też mężczyzna, który przewrócił ją na ziemię.

Rosa znów mogła się ruszać, zachwiała się do tyłu.

Tygrys – Tano – upadł. Kula trafiła go w czoło.

Jeszcze więcej reflektorów. Światło zalało antyczne

trybuny. Słysząc było trzaskanie drzwi samochodów, przekrzykujące się męskie głosy.

Najgłośniej krzyczał Cesare Carnevare, który klęczał nad zwłokami tygrysa.

Mały rewolwer wypadł Lili z rąk i wylądował pod stopami Rosy. Zgięła się i w lunatycznym geście go podniosła.

Cesare zaryczał, wewnętrznie przeobrażając się w bestię. Nie zważając na martwego syna, w locie pozbył się swojego garnituru i rzucił się na Lilię jako ogromny lew.

PRZYSIĘGA ZEMSTY

Lew cisnął Lilią o ziemię i przez niekończącą się chwilę stał na niej – a potem opuścił swój otwarty pysk i szalał, gryząc, szarpiąc, rozrywając.

Jej wola walki osłabła. Po kilku sekundach ciało poruszało się już tylko wtedy, kiedy lew zanurzał w nim zęby i wstrząsał martwymi członkami.

Rosa straciła oddech, patrząc, co Cesare zrobił Lili. Cofnęła się, wciąż jeszcze trzymając w dłoni broń, wymierzyła ją, trzęsąc się, w wielkiego lwa i wypaliła. Kula chybiła o więcej niż szerokość dłoni i utkwiała za nim w ziemi. Cofając się, Rosa potknęła się o ciało zastrzelonego motorzysty, udało się jej jednak złapać równowagę i jeszcze raz przeładowała broń. Rewolwer zazgrzytał. Raz, drugi. Magazynek był pusty.

W następnej chwili ktoś chwycił ją i przewrócił na ziemię. Rewolwer odleciał na bok wielkim łukiem, kiedy mocne uderzenie trafiło ją w rękę. Ktoś usiadł na niej, podczas gdy zdenerwowane głosy wkoło niej zrobiły się głośniejsze. Wkrótce arena zarojła się od mężczyzn w ciemnych garniturach, przemykających wkoło sylwetek w światłach reflektorów. Kilka samochodów stało w półkolu na skraju placu, ich światła skierowane były w stronę trybun.

Lew wciąż szalał ze złości. Rosa nie widziała już Lili. Głowę miała przyciśniętą do ziemi, martwi motorzyści szczęśliwie przysłonili jej ten widok. Ale słyszała dźwięki, jakie towarzyszyły atakowi Cesare, i po chwili zwymiotowała. Mężczyzna, który trzymał jej głowę, odsunął się ze wstrętem. Zdołała jeszcze odwrócić twarz.

Jak przez mgłę rozpoznała dwóch mężczyzn, którzy schylali się nad martwym tygrysem. Jeden z nich kręcił głową.

Drapieżny kot stopniowo przeobrażał się z powrotem w człowieka.

Mężczyzna obok niej niespodziewanie wydał z siebie krzyk. Gwałtownie odsunął się na bok, kiedy uderzenie pięści trafiło w jego czaszkę, a chwilę potem kopniak sięgnął jego żeber. Jeszcze więcej głosów i krzyków, dziki szal ogarnął całą arenę. W jednej chwili była wolna, ktoś chwycił ją i ciągnąc za przedramię, postawił na nogi.

– Alessandro? – wydusiła z siebie zdyszana.

Objął ją w talii i odciągnął na bok.

– Pozwól mi to zrobić.

Kilku mężczyzn niebezpiecznie się do niej zbliżało. Broń w ich rękach nie była jeszcze wycelowana w Alessandra, ale ich miny zdradzały, że są przygotowani na wszystko i tylko czekają na sygnał. Do nich zbliżali się kolejni mężczyźni z gotowymi do strzału pistoletami.

Lew powstrzymał swój szal, odrzucił potężną czaszkę na kark i wydał z siebie przeraźliwy ryk. Na jego pysku połyskiwała krew, która sklejała sierść i wąsy, sięgała jego oczu, a nawet grzywy.

– To ona złamała konkordat! – zawołał mężczyzna, który wciąż jeszcze klęczał nad zwłokami Tana, z ręką pod kurtką na kolbie pistoletu.

– To prawda – poparł go inny mężczyzna i ku przerażeniu Rosy był to jeden z tych, którzy chronili ją i Alessandra przed pozostałymi. Patrzył na nią, a potem wskazał na leżący na ziemi rewolwer. – To ona strzelała. Alcantara przelała krew Carnevarów.

To nieprawda!, chciała zawołać. Nieprawda! Ale to przecież nie miało żadnego znaczenia. Lilia zabiła Tana, by ją uratować. Rosa mogła równie dobrze sama pociągnąć za spust.

Lew odwrócił się, zostawił poszarpane szczątki ludzkie i skierował się w stronę Rosy i Alessandra. Ludzie Cesare rozstąpili się, kiedy potężny kot kroczył między nimi. Zatrzymał się niecałe trzy metry od nich.

Alessandro omiótł bestię zimnym spojrzeniem.

– Nie odważysz się tego zrobić, Cesare. To nie była ona, widziałeś to tak samo dobrze, jak ja!

Nie rozumiała, dlaczego był tutaj, skąd wszyscy wzięli się tu tak nagle. Bolało ją całe ciało, stłuczenia i rany z Luny znów dały o sobie znać. Dołączyły do nich nowe.

Lew zbliżał się, ale Alessandro stał w miejscu. Jedną ręką obejmował Rosę, a drugą gestykulował w stronę swoich popleczników.

– Rosa Alcantara nie strzelała! – zawołał do nich.

Jeden z ludzi Cesare wycedził:

– Ochroniasz jedną z nich? Twój ojciec zabiłby cię za to.

Alessandro spojrzał na niego z gniewem.

– Mój ojciec był waszym *capo*, ponieważ umiał trzymać nerwy na wodzy i w złości oraz smutku nie popełniał głupich błędów! Za kilka tygodni zajmę jego miejsce i nie zamierzam bezcześcić jego pamięci, przyglądając się bezradnie, jak Cesare zabija niewinną osobę!

– Ma rację – powiedział jeden z jego stronników. – Ja też to widziałem. To ta druga strzelała.

– Znałem ją – odezwał się człowiek stojący niedaleko ciała Tano. – Spędzała masę czasu z Zoe Alcantarą. Jest jedną z nich i dlatego nie ma znaczenia, która nacisnęła na spust. Alcantarowie zamordowali Tana. Tylko to się liczy.

Przerażający pomruk wydarł się z gardzieli lwa. Wmieszał się w niego ludzki ryk złości. Jego ruchy zmieniły się, ciało nabrało innych proporcji i znów się wyprostowało, wśród

szmerów i pomruków. Wciąż pokrywało je futro, także grzywa powoli zwijała się do wewnątrz.

Gdzieś w ciemności zaskrzypiała klapa bagażnika i zaraz potem w stronę Cesare pospieszył jeden z *soldati* ze śnieżnobiałym płaszczem kąpielowym. Był to bardzo dziwny widok, kiedy pokryty czerwonymi plamami Cesare Carnevare pozwalał się okryć białym płaszczem, jak gdyby właśnie wyszedł z wanny wypełnionej krwią.

Cesare odepchnął mężczyznę na bok i zbliżył się do Rosy oraz Alessandra na wyciągnięcie dłoni. Mięśnie jego twarzy drgały. Krew pokrywała jego rysy niczym maska wojenna samuraja.

– Konkordat stracił swoją wagę – powiedział z wysiłkiem, jak gdyby jego struny głosowe nie wróciły jeszcze w pełni do swoich ludzkich kształtów. – Został jednostronnie złamany i wolno nam odpowiedzieć wszelkimi koniecznymi środkami.

Rosie przyszło do głowy nieprawdopodobne podejrzenie. Czy Cesare pozwolił na to, by Tano sprowokował złamanie umowy o zachowaniu pokoju? Czy Cesare mógł go do tego zachęcić? Spotkanie z Tanem i trzema pozostałymi motorzystami nie mogło być przypadkowe.

Alessandro miękko zacisnął palce na jej talii, bo poczuł, że Rosa chce coś powiedzieć. Być może miał rację i lepiej było, by milczała.

– Zaplanowały to od samego początku! – ciągnął Cesare. – Wybrały Tana na swoją ofiarę, żeby mieć powód do wystąpienia przeciwko mojej rodzinie!

Cios spadł błyskawicznie, ale Alessandro był szybszy. Nie puszczając Rosy, chwycił pięść Cesare i odepchnął ją z całą mocą od siebie. Cesare zachwiał się lekko, zrobił krok w tył, by

złapać równowagę, i ze złością rozwarł usta niczym drapieżnik, który jeszcze nie uświadomił sobie, że na powrót stał się człowiekiem.

Rząd mężczyzn, którzy stali po stronie Alessandra, zbił się w ciaśniejszą grupę. Ale na twarzach *soldati* Rosa zobaczyła wątpliwości. Było wśród nich wielu, którzy nie uwierzyli Alessandrowi, chociaż kwestionowali chęć przejęcia władzy przez Cesare. Możliwe, że Alessandro stracił właśnie wszystkie szanse na to, by zostać zaakceptowanym w roli następcy swojego ojca.

Cesare w płaszczu kąpielowym stanowił absurdalny widok pośród uzbrojonych mężczyzn ubranych w garnitury. Wylał ręce w miękką frotę, zostawiając na materiale krwawe ślady. Przez niekończącą się chwilę spoglądał bez słowa na Alessandra i Rosę, a potem powoli się odwrócił i podszedł do zwłok swojego syna. Zobaczyli jego plecy, kiedy kucnął i delikatnie przesuwając palcami po sierści, która stopniowo na powrót stawała się ludzką skórą.

– Chodź – szepnął Alessandro do Rosy – spadamy stąd.

Chciała coś powiedzieć, ale wskazała tylko w stronę Lili i pozwoliła, by delikatnie poprowadził ją do samochodu. Część mężczyzn asekurowała ich, Rosa słyszała za sobą kroki, ale nie obejrzała się w ich stronę.

Pełen cierpienia krzyk wyrwał się z piersi Cesare i podchwyciła go kamienna konstrukcja amfiteatru. Echo niosło go jeszcze daleko w głąb doliny i podążało za Rosą i Alessandrem, którzy właśnie docierali do czarnego mercedesa. Alessandro posadził Rosę na siedzeniu pasażera, okrążył samochód i podszedł do kierowcy, który chciał wskoczyć za kierownicę.

– Ja to zrobię – powiedział zwięźle. – Jedź z kimś innym.

Powiedz im, żeby odczekali dwie minuty.

Wtedy Rosa wyjrzała przez okno i zobaczyła, jak dwie grupy stoją naprzeciwko siebie, coraz bardziej zdezorientowane, podczas gdy Cesare szłocha ze spuszczoną głową nad ciałem Tana.

– Co się teraz stanie? – szepnęła, kiedy Alessandro zamknął drzwi po stronie kierowcy i uruchomił silnik.

– Nie pozwolę, żeby ktoś wyrządził ci krzywdę.

– Co on zrobi?

– Nastawi innych przeciwko mnie. To, co się tutaj wydarzyło, to jego okazja, żeby przejąć stery.

– Ponieważ ty ochroniłeś Alcantarę?

Nie odpowiedział.

– Zastrzeliłabym Tana – powiedziała cicho. – Nawet gdyby oznaczało to złamanie tego cholernego konkordatu, nic by mnie to nie obchodziło.

Alessandro wyjechał z amfiteatru na wąską górską drogę.

– Tano zasłużył na to, co go spotkało. Był świnią i Cesare dobrze o tym wiedział. Nieprzypadkowo się tu pojawiliśmy. Ktoś zdradził Cesare, co Tano zamierza zrobić. Ale nie miałabyś racji, gdybyś zarzuciła mu, że wszystko to zaplanował. W rzeczywistości pojechał za Tanem, żeby go powstrzymać.

– A ty?

– Obawiałem się, że coś takiego może się stać.

– A co jeśli już nie zaakceptują cię jako *capo*...?

– Zobaczymy, czy tak się stanie – odparł. Dostrzegła ciemny meszek na jego leżącej na kierownicy dłoni, ale tym razem udało mu się opanować. Z zaciętym wyrazem twarzy patrzył w ciemność. – Ani jeden włos nie spadnie ci z głowy. Przysięgam.

Podniosła drżącą rękę i dotknęła jego uda.

– Ile mamy czasu?
– Co masz na myśli?
– Cesare wykorzysta swoją szansę. Wyśle ludzi do mojego domu... do Zoe i Florindy. Jeśli kiedykolwiek miał zaistnieć dobry moment na wykończenie mojej rodziny, to chyba właśnie nadszedł, prawda?

Przez chwilę na nią nie patrzył.

– Nie mogę cię zawieźć do domu.

– Co?

– Tam nie będziesz bezpieczna.

– Muszę ostrzec moją siostrę!

Wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Zadzwoń do niej. Powiedz jej, co chcesz. Ale tam cię nie zawiozę.

Nachyliła się tak, by móc spojrzeć w jego twarz.

– Oczywiście, że to zrobisz!

– Nie.

Szukała słów, a potem wybuchnęła całą złością, którą powstrzymywała przez ostatnie minuty. Nie obchodziło jej, że nie było w tym jego winy. Żadnej roli nie odgrywał też fakt, że ją uratował i sporo przy tym zaryzykował. Był Carnevale. Był jednym z nich. I on nie chciał dopuścić do tego, by pospieszyła z pomocą potrzebującej siostrze.

– Ta dziewczyna, którą zabił Cesare – syknęła – miała na imię Lilia... I kochała moją siostrę. Rozumiesz? Zoe właśnie straciła kogoś, kto być może znaczył dla niej najwięcej na świecie. A Lilia poświęciła się dla mnie! Jak możesz myśleć, że...

– Zrobiłbym to samo – przerwał jej spokojnym tonem. – Umarłbym dla ciebie tam, na górze.

Odebrało jej mowę. W jednej chwili straciła nie tylko

panowanie nad sobą, ale po prostu zdolność tworzenia pojedynczych sylab.

Po kilku niekończących się sekundach wyjąkała:

– To jakieś szaleństwo.

– To jest prawda. – Odwrócił głowę i spojrzał na nią. –
Zakochałem się w tobie, Rosa.

Zawahała się. Walczyła, by odzyskać nad sobą panowanie.

– Bzdura – szepnęła.

Zaśmiał się smutno.

Zapadło milczenie, aż w końcu wzięła do ręki swój telefon i wybrała numer Zoe.

IOLE

Nikt nie odbierał.

Rosa nagrała wiadomość na skrzynkę pocztową Zoe i próbowała nie myśleć o Lilii. Nie mogła się zdobyć na przekazanie tą drogą wiadomości o jej śmierci. Zamiast tego ostrzegła Zoe zawile przed Carnevarami, którzy będą próbować zemścić się za Tana. Przemilczała informację o tym, kto go zastrzelił. Następnie kilka razy próbowała dodzwonić się do *palazzo*, ale i tam nikt nie podnosił słuchawki.

Alessandro uparcie wpatrywał się w ciemność i zagryzając dolną wargę, o wiele za szybko pędził mercedesem przez noc.

– Nikt się nie odzywa – powiedziała w końcu. – Musimy tam pojechać. Trzeba ostrzec strażników przy bramie...

– Oni od lat tylko czekają, aż nasi ludzie zrobią pierwszy krok – przerwał jej Alessandro. – Nie potrzebują ostrzeżeń. Ich praca polega na tym, by być na to przygotowanym. – Lekko westchnął. – A poza tym nie wierzę, że Cesare wyruszy natychmiast i...

– Ale przecież widziałeś go! Wyobrażasz sobie, że teraz będzie chciał na spokojnie przemyśleć to wszystko?

– Właśnie tak robi. Zaspokoił już pierwszy głód krwi. Teraz musi się opanować – na dłuższą metę ludzie nie ufają wściekłym wariatom. Jedyna korzyść, jaką może wyciągnąć ze śmierci Tana, polega na przypisaniu mi części odpowiedzialności. I to jest szansa, którą wykorzysta.

Patrzyła na niego, nie rozumiejąc.

– Ale tu nie chodzi o ciebie! On zabił Lilię i zrobi to samo z moją siostrą i ciotką!

Nawet jeśli te słowa go dotknęły, nie okazał tego.

– Dopiero kiedy będzie pewny, że stoi za nim klan

Carnevare. I że inne dynastie podzielają pogląd, że konkordat został złamany. Cesare postara się, by uprawomocnić swoje postępowanie, w przeciwnym razie wkrótce może mieć wszystkich przeciwko sobie. Powoła więc trybunał, który o tym zadecyduje.

– O mojej winie, chciałeś powiedzieć – powiedziała chłodno.

– Powie im, że to ty strzelałaś.

Kiedy patrzyła na jego ręce na kierownicy, na czarne futro, które coraz szybciej się przeredzało, aż w końcu znikło, przypomniawszy sobie, że właśnie te dłonie pierwsze przykuły jej uwagę. Jego napięte palce podczas lądowania samolotu.

Alessandro przeciął opuszczone skrzyżowanie na nocnym pustkowiu. Jak okiem sięgnąć, żadnego samochodu.

– Jeśli uda mu się nastawić ludzi przeciwko mnie...

– Przestań! – zbeształa go. – Jeśli tobie chodzi tylko o to – o przejęcie tej pieprzonej władzy – najlepiej od razu pozwól mi wysiąść.

Tym razem dostrzegła, że jej słowa go zabolaly.

– Nie pozwolę na to, by Cesare został nowym *capo* klanu – powiedział cicho, nie patrząc na nią, ale w jego głosie brzmiała twarda zawziętość.

– Lilia nie żyje! – krzyknęła z wściekłością. Nie mogła pojąć, dlaczego jest na to taki obojętny.

– Moja matka też.

Na krótką chwilę zamknęła oczy, ale pod powiekami wciąż widziała światła reflektorów wymierzone w ciemność. Kiedy znowu spojrzała, zobaczyła śmieci walające się po poboczu. Zwierzęca padlina mignęła przed jej wzrokiem i znikła niczym zjawa.

Przycisnęła obie ręce do twarzy, oparła głowę o zagłówek i

próbowała regularnie oddychać. Podczas terapii uczyła się technik oddechowych w sytuacjach stresowych, ale oczywiście nic jej to nie dało. Wdech przekształcił się w szloch i poczuła, jak przez palce przecieka jej wilgoć. Dopiero po chwili zorientowała się, że płacze.

– Hej – miękko powiedział Alessandro, zdjął nogę z gazu i wyciągnął w jej stronę rękę.

Odsunęła się.

– Oszczędź mi swojego współczucia.

– Czy wcześniej w ogóle mnie nie słuchałaś?

Co mogła mu odpowiedzieć? Poza milczeniem nic nie przychodziło jej do głowy. Ogarnęła ją niecierpliwość i poczuła, że musi coś ukraść.

Oderwała dłonie od twarzy i przycisnęła je do nóg, by opanować ich drżenie. Nienawidziła się za to, że trzęsie się jej dolna warga. Nie zdołała wykrztusić z siebie ani słowa. Rzuciła mu długie spojrzenie zza strumienia łez. W niebieskawym świetle deski rozdzielczej wyglądał jak duch.

– Dokąd jedziemy?

– Gdzieś, gdzie nie będą cię szukać. – Wskazał w głęboką noc. Szczyt góry zasłonił gwiazdy. – Zabieram cię do Iole.

* * *

Wyczuwała go, jeszcze zanim ukazał się na szczycie góry. *Castello Carnevale*.

– Będzie się ciebie spodziewał wszędzie, ale nie tu, dokładnie pod swoim nosem – powiedział Alessandro.

W tym momencie było jej wszystko jedno, co się z nią stanie. Kiedy mercedes wspinał się po serpentynach, Alessandro spojrzał w dół, w kierunku doliny.

– Tam są.

Przetarła oczy, ale mimo to zobaczyła gwiazdy migoczące wkoło kolumny z maleńkich światełek, w dole, na równinie.

Alessandro zmienił światła na pozycyjne. W jednej chwili ciemność ogarnęła samochód, a widoczność spadła do kilku metrów.

– Nie martw się, tą drogą mogę jechać na ślepo.

Szybko nabrała co do tego wątpliwości, kiedy niespodziewanie skręcił kierownicą i odbił z szosy w prawo. Wyboistą, żwirową drogą wjechali do połowy wzgórza, aż znaleźli się na tyłach twierdzy. Zatrzymał się i wskazał na wąskie, wykute w skale stopnie, które prowadziły w górę skały.

– Dasz radę wejść po nich po ciemku?

Oszołomiona, bez zastanowienia skinęła głową.

– To niedaleko. Schody kończą się na małych drewnianych drzwiach. To jedno ze starych tajemnych przejść do zamku. Poczekaj, aż wpuszczę cię od wewnątrz. Dobrze?

Jeszcze raz skinęła głową, ale nie ruszyła się z miejsca.

– Muszę zdążyć dojechać samochodem na dziedziniec zamku, zanim dotrą tam inni. A wszyscy, którzy są teraz w środku, muszą widzieć, że przyjechałem sam.

Pociągnęła za rączkę i otworzyła drzwi. Alessandro chwycił ją za ramię.

– Rosa...

Odwróciła się z wahaniem.

– Mówiłem poważnie. Wiem, że to najgorsze możliwe okoliczności, ale... – Zabrakło mu słów. Cicho zaklął i opuścił oczy.

– Że się we mnie zakochałeś? – zapytała.

– Że umarłbym dla ciebie.

– Chcesz być przywódcą klanu – przypomniała mu ze

smutnym uśmiechem. – Taka jest prawda.

Wyglądał na pokonanego.

– Rosa, ja nie mogę pozwolić mu wygrać. Nie może dostać tego, co załatwił sobie, mordując moją matkę.

– Nikt nie musi dla mnie umierać – powiedziała i wyslizgnęła się z samochodu. Chłodny podmuch zawirował w jej włosach i owiał twarz. Miała nadzieję, że wiatr przywróci odrobinę rozsądku jej odurzonemu mózgowi.

Milczał przez chwilę, a potem zapytał:

– Będziesz czekać na mnie tam na górze, tak?

– A dokąd indziej miałabym pójść? – Spojrzała na wznoszące się nad nią skały. Nie było stąd widać końca schodów, musiała się pospieszyć. Jej prześladowcy wkrótce dotrą do zamku.

– Dobrze – powiedział i wyprostował się na siedzeniu.

Zamknęła drzwi. Spojrzała na pusty, nocny krajobraz. Ziemia Carnevarów.

Usłyszała, jak żwir odpryskuje spod opon jego samochodu, kiedy dwoma manewrami zawrócił na wąską drogę, by z powrotem objechać górę w kierunku szosy. Odwróciła się, dopiero kiedy nie było już widać tylnych świateł mercedesa. Pięciami przetarła oczy. Odgarnęła włosy.

W ciemności odnalazła schody i zaczęła się po nich wspinać.

* * *

By trochę się uspokoić, liczyła stopnie. Na co drugim nabierała powietrza i rytmicznie je wydychała. Czuła tlen w klatce piersiowej, skupiała się na chłodzie w swoich płucach.

Drzwi nad ostatnim odcinkiem schodów były szeroko

otwarte. Samotna świeczka migotała na ziemi i rozjaśniała część kamiennego progu. Ktoś siedział obok na skale, owinięty w koc i patrzył w jej stronę.

– Wiedziałam, że przyjdiesz – powiedziała Iole dziecięcym głosem. – Wiedziałam, tylko kiedy zobaczyłam światła samochodu. Nie były bardzo jasne. Nie tak jasne jak zwykle.

Rosa uniosła twarz, otarła ostatnie łzy i kucnęła obok dziewczynki.

– Dał ci świeczkę?

– Alessandro? – Iole nagle wyszczerzyła się o wiele zbyt radośnie jak na tę noc. – Znalazłam ją. Zapałki też. Myślę, że tak jest ładniej niż przy świetle latarki.

Rosa musiała się uśmiechnąć, czy tego chciała, czy nie.

– Nie boisz się ciemności, prawda?

– Tu nie ma takich zwierząt, jak na wyspie – odparła Iole, wzruszając ramionami.

Jej krótko ścięte, ciemne włosy pachniały jabłkowym szamponem. Miała na sobie dżinsy i sweter z golfem, o wiele na nią za duży. Do tego wytarte tenisówki. W dłoni trzymała puszkę coli.

– Ciebie też chce tu ukryć? – zapytała.

– Alessandro? – Rosa uśmiechnęła się, kiedy uświadomiła sobie, że zaakcentowała jego imię tak samo jak przed chwilą Iole. – Tak, myślę, że tak.

– Naprawdę się stara. Jest bardzo miły.

– Czasami.

– Ty go lubisz.

Rosa nadstawiła uszu.

– Ach tak?

– Wiedziałam o tym od razu. Już na wyspie, kiedy do mnie

przyszliście. Zanim mnie stamtąd zabrali.

– Dokąd cię zabrali? – Zmiana tematu nie była najgorszym pomysłem.

– Do domu na wsi, niedaleko stąd. Alessandro wziął mnie stamtąd i przywiózł tutaj. Mówi, że ci inni mnie teraz szukają. – Konspiratorsko ściszyła głos. – Na pewno by mu się nie spodobało, że siedzę tu sama na zewnątrz.

– Już nie jesteś sama.

– To prawda.

Była tylko o dwa lata młodsza, miała piętnaście lat, ale Rosie wydawało się, że rozmawia z dzieckiem.

– Czy on tu przyjdzie? – zapytała Iole.

– Za chwilę.

– Ci inni mężczyźni nie mogą wiedzieć, że tu jesteśmy.

– Lepiej nie.

– Ale prędzej czy później nas znajdą. – Iole powiedziała to tak spokojnie, że Rosa dostała gęsiej skórki. – Prędzej czy później każdego znajdą. Alessandro mówi, że tym razem nie, ale ja wiem lepiej. Już wiele razy się przed nimi chowałam.

– Niedługo już nie będziesz musiała.

– Czy to znów jest obietnica?

Rosa poczuła, że wszystko w niej się napina.

– Chciałaś powiedzieć, że jeszcze jedna, której nie mogę dotrzymać?

Iole wzruszyła ramionami.

– Alessandro powiedział mi, że wróciliście na wyspę, żeby mnie z niej zabrać.

Rosa kiwnęła głową. W myślach zobaczyła obrazy pustego domu bez drzwi i walczących dzikich kotów. Chciała je odpędzić, ale bezskutecznie.

– Tam były zwierzęta. Ostrzegałam was przed nimi.

– Głupio zrobiliśmy, że nie posłuchaliśmy ciebie.

– Ale wróciliście po mnie. – To już nie było pytanie. Iole uśmiechnęła się i zamyślona spojrzała na nocne niebo za plecami Rosy. – Oboje się lubicie i wróciliście dla mnie na wyspę. To jest piękne. – Skrzyżowała ręce na piersiach i pocierała swoje ramiona. – To bardzo, bardzo piękne.

NA DNIE MORZA

Pół godziny później we troje weszli do kryjówki Iole w piwnicach zamku. Było to małe mieszkanie bez okien, z wieloma lampami, umeblowane jak pokój w hotelu, chociaż trochę wyeksploatowany. Przez uchylone drzwi do łazienki widać było szary marmur i srebrną armaturę.

Pod sufitem wisiały dwie kamery. Prowadzące do nich kable zostały odłączone.

– Co to jest? – zapytała Rosa.

– Czasami ktoś z rodziny musi zniknąć – odpowiedział Alessandro – bo, na przykład, szuka go policja. By dojść tu z zamku, trzeba znać dwa tajne przejścia. Ten pokój nie był używany od dawna. Przypuszczalnie przed latami ukrywał się tu także Głodomór. To musiało być krótko przed jego aresztowaniem.

– Aresztowali go, kiedy był u was?

Pokręcił głową.

– Z tego, co wiem, to w Geli. Ale to miejsce było jedną z jego ostatnich kryjówek.

– Więc byliście kimś w rodzaju jego zaufanych ludzi.

– Tak samo jak teraz Alcantarowie dla Salvatore Pantaleone. – Wyglądał, jakby ta odpowiedź wywołała u niego mdłości.

Nareszcie zrozumiała.

– Nic dziwnego, że Cesare tak nas nienawidzi. Alcantarowie odebrali Carnevarom ich szczególny status najbliższych sojuszników *capo dei capi*.

– To nie jest jedyny powód.

Czekała, ale nie rozwinął wyjaśnień.

– Skoro byliście jego sprzymierzeńcami, dlaczego teraz

boicie się go tak samo, jak wszyscy inni? – zapytała w końcu.

– Ponieważ obarcza nas winą za swoje aresztowanie. Myśli, że Carnevarowie go zdradzili. – Alessandro zmarszczył brwi. – Gdyby rzeczywiście wrócił, a jego sojusznicy w klanach pozostali mu wierni, mielibyśmy problem. Jeszcze jeden problem.

Iole usiadła na łóżku, podciągnęła kolana i objęła nogi ramionami.

– Moje! – oznajmiła, jak gdyby ktoś chciał to zakwestionować. Najwyraźniej nie martwiło jej, że po prostu zamieniła jedno więzienie na drugie.

Alessandro podchwycił spojrzenie Rosy i ściszył głos.

– Chciałem ją dokądś zabrać, ale nie wiedziałem dokąd. Ma jeszcze jednego żyjącego krewnego i kiedy się dowiem, gdzie jest, zabiorę ją tam. Do tej pory musi zostać tutaj.

– A co z policją? Oni nie mogliby pomóc?

– Cesare dowiedziałby się o tym. Daje łapówki policjantom na całej wyspie. Nie pozwoliliby, żeby Iole była na wolności, i przekonywałby o tym sędziów i prokuratorów. W tej chwili myśli, że uciekła mu bez niczyjej pomocy. Jego ludzie wciąż szukają jej w Madonii. Po tym, jak zabrali ją z wyspy, ukryli ją w domu w górach.

– A ty ją stamtąd zabrałeś?

Iole podeszła do nich.

– Zupełnie sam. To było bardzo odważne.

Rosa przekrzywiła głowę i spojrzała badawczo na Alessandra.

– To prawda.

Unikając jej spojrzenia, zamknął drzwi do mieszkania.

– Na wszelki wypadek przeciąłem kable kamer, ale to na pewno nikomu nie rzuci się w oczy. Od bardzo dawna nikogo tu

nie było, więc tylko głupi przypadek mógłby sprawić, że ktoś wpadłby na pomysł, by sprawdzić ten pokój.

Rosa odwróciła się do niego.

– Wiem, że miałeś dobre chęci... Ale ja nie mogę tu zostać. Oszaleję, jeśli nie porozmawiam z Zoe.

– Tu nie ma zasięgu – powiedział z żalem. – Jesteśmy w głębi skały, a nawet na górnych piętrach ściany zamku mają grubość metra.

– Cudownie.

– Zajmę się tym – obiecał. – Spróbuję skontaktować się z Zoe. Poczekaj chociaż, aż dowiem się, co zamierza Cesare. Na pewno będzie chciał pilnie zwołać trybunał. Wcześniej, kiedy przyjechał razem z innymi, przeszedł obok mnie jak burza. Nie zapytał nawet, dokąd cię zawiozłem.

Potarła nos.

– Może po prostu nie chciał już dłużej łązić w tym szlafroku.

– Możliwe. – Kąciki ust Alessandra zadrżały.

Podczas gdy zastanawiała się, co dalej począć, jej wzrok padł na obramowane zdjęcie, które stało na stoliku nocnym przy łóżku Iole. Przez szkło przebiegała rysa. Kiedy się do niego zbliżyła, twarz Ioli spochmurniała. Porwała zdjęcie ze stolika i przycisnęła do piersi.

– Nie chcę ci go zabrać – powiedziała Rosa.

Iole kiwnęła głową w poczuciu winy, ale wciąż przyciskała zdjęcie do siebie.

– Czy to twoi rodzice? – zapytała Rosa. Zdążyła dostrzec tylko dwa kontury na niebieskim tle.

– Mój ojciec i mój wujek Augusto.

– To ten, który współpracował z sędzią, prawda?

Iole kiwnęła głową.

Rosa usiadła obok niej na łóżku, ale spojrzała na Alessandra, który stał po lewej stronie z rękami w kieszeniach.

– To jest ten krewny, którego chcesz odnaleźć? – zapytała głosem pełnym wyrzutu. – Mężczyzna, który żyje dzięki programowi ochrony świadków? Gdzieś na świecie, pod fałszywym nazwiskiem?

– To nie będzie łatwe – odpowiedział.

– I do tego czasu Iole ma zostać tutaj?

– A masz lepszy pomysł? Wiem, że to nie jest przyjemne. Ale nie możemy po prostu pójść z tym na policję.

– Bo Iole będzie zeznawać przeciwko twojej rodzinie? – Oczy Rosy zwęziły się. – Bo to zaszkodzi twojemu dziedzictwu? Alessandro, do cholery, to naprawdę jest dla ciebie ważniejsze niż...

– Jeśli Iole będzie zeznawać – przerwał jej – Cesare znajdzie sposób, żeby ją zabić. Nawet jeśli pójdzie do więzienia, wynajmie kogoś. Tego byś chciała?

Rosa wzięła głęboki oddech. Była rozdarta pomiędzy jej nieufnością a poczuciem, że to, co mówił, brzmiało sensownie. Zwróciła się znów do Iole:

– Mogę zobaczyć?

Dziewczynka z wahaniem wyciągnęła do niej ramkę.

– Dziękuję. – Rosa ujęła ją delikatnie i wskazała na mężczyznę stojącego po lewej stronie. – To jest twój ojciec?

– Ten drugi.

– Ruggero Dallamano – powiedział Alessandro, który podszedł do niej i kucnął przy brzegu łóżka. – *Capo* Syrakuzów. On... umarł kilka lat temu.

– Zabiła go jego rodzina – powiedziała Iole tak rzeczowo, że Rosa poczuła chłód w okolicach kręgosłupa.

Mężczyźni na zdjęciu mieli na sobie kombinezony

płetwonurków i połyskiwali od wilgoci. W tle widniało otwarte morze. Być może stali na relingu statku. Trudno to jednak było rozstrzygnąć, ponieważ fotografia kończyła się na wysokości ich torsów. Ruggero Dallamano ściągnął maskę do nurkowania i śmiał się szczerze. Jego brat Augusto, późniejszy świadek koronny, właśnie wyciągał spomiędzy warg część maski tlenowej, która jeszcze zakrywała połowę jego twarzy. Ale po jego oczach, ukrytych za okularami do nurkowania, można było poznać, że także się śmieje. Czubek pianki przykrywał jego włosy, podobnie jego bratu. Zdjęcie zostało zrobione prawdopodobnie chwilę potem, jak obaj mężczyźni wspięli się z powrotem na pokład. Butle z tlenem były jeszcze przyłączone do ich pleców.

– Jeśli na wszystkich zdjęciach, na których jest twój wujek, tak mało go widać, wcale się nie dziwię, że udało się mu zniknąć – Rosa zauważyła sceptycznie.

– Są też lepsze – powiedziała Iole. – Ale nie wybrałam go ze względu na wujka, ale dlatego, że mój ojciec jest na nim taki szczęśliwy. A to nie zdarzało się często. Nie śmiał się dużo. Tylko na tym tu. – Jej głos był cichy jak tchnienie. – Tylko tutaj.

– Bardzo go kochałaś, prawda?

– Miałam wtedy tylko dziewięć lat. Jak mogłam go nie kochać?

Rosa wpatrywała się w zdjęcie, jak gdyby chciała dowiedzieć się więcej o mężczyźnie w masce do nurkowania.

– Często razem nurkowali?

Zapytała o to tylko dlatego, że chciała oddalić tę chwilę, w której musiałaby ponownie zwrócić się do Alessandra, by omówić swoje dalsze plany. Lub jego dalsze plany, jeśli postawi na swoim.

– Byli z zawodu nurkami – odparła Iole.

– Więc? – Rosa zmarszczyła czoło.

Alessandro pospieszył z wyjaśnieniami.

– Dallamanowie mieli największą we Włoszech firmę zajmującą się budownictwem morskim. Sami zbyt często nie nurkowali, ale dobrze się znali na morzu. Budowali wszystko, od portów przez mosty, aż do szybów wiertniczych na Atlantyku, oczywiście za...

– ...państwowe pieniądze – dokończyła za niego.

Skiął głową.

– Doprowadzili do tego, że w takich projektach niewiele się działo bez ich udziału. To oznaczało oczywiście, że czyniono starania, by ograniczyć ich monopol.

– Mogliście to świetnie naprawić – odparła oschle.

Nie skomentował.

– Firmy zostały zlikwidowane. Żaden z pozostałych *capi* nie postarał się o nie, ponieważ... – Spojrzał szybko na Iole. – Z powodu zdrady. Większą część ich technologii przejęli bodaj Japończycy. Resztę... kto wie.

Rosa już chciała oddać zdjęcie Iole, kiedy coś przykuło jej uwagę.

– Co to jest? – Wskazała na wąski pasek blisko lewej krawędzi zdjęcia. Był o jeden, dwa milimetry przesunięty w stronę ramy. Coś było pod spodem.

– Jeszcze jedno zdjęcie – powiedziała Iole.

– Można na nim lepiej zobaczyć twojego wujka? To pomogłoby Alessandrowi w odnalezieniu Augusta – Rosa rzuciła w jego stronę wymowne spojrzenie.

Jego mina teraz była z tych w rodzaju „ty też się odwal” i całkiem jej się spodobała. Wołała go, kiedy był w bojowym nastroju. Defensywa do niego nie pasowała.

Szybko przeniosła wzrok z powrotem na zdjęcie.

– Na drugim zdjęciu w ogóle go nie ma – powiedziała Iole.

– A kto jest?

– Nikt. Tylko stary kamienny posąg.

Alessandro skrzyżował dłonie na torsie i sceptycznie uniósł jedną brew. Kątem oka widziała, że nie patrzy na zdjęcie, tylko na nią.

– Mogę je zobaczyć? – zapytała Rosa.

Dziewczynka skinęła głową, wzięła ramkę z jej dłoni i ostrożnie otworzyła ją z tyłu. Rzeczywiście, za pierwszym zdjęciem tkwiło drugie. Iole nie mogła go wyciągnąć z powodu swoich obgryzionych paznokci, Rosa też sobie nie radziła. Alessandro schylił się i wyciągnął fotografię, łącząc kciuk z palcem wskazującym. Jego zielone oczy zmętniały, kiedy odwrócił zdjęcie.

– Co to jest? – zapytała.

Cofnął się o krok i przechylił zdjęcie w kierunku górnego światła.

– Alessandro?

Iole zaczęła szybko oddychać i równie szybko mówić:

– Podobało mi się, więc je tam włożyłam. Leżało wśród innych na biurku mojego ojca i kiedy przyszli ludzie Cesare, schowałam jedno zdjęcie taty i jedno z tych innych. Oni niczego nie zauważyli, a ja schowałam je z tyłu... ale to później, kiedy nikt nie widział. Wtedy schowałam je tam... z tyłu.

Prawdopodobnie paplałaby dalej, gdyby Alessandro nie spojrzał na nią z powagą i troską. Rosa zerwała się i stanęła obok niego. Delikatnie chwyciła krawędź zdjęcia i odwróciła je, by na nie spojrzeć.

Na fotografii, zgodnie z tym, co powiedziała Iole, rzeczywiście widniał pomnik. Figura z chropowatego kamienia, oświetlona reflektorem albo latarką, wyłaniająca się z

mrocznego, ubogiego, podwodnego krajobrazu. Ławice ryb przepływały przez snop światła, przy krawędzi po lewej stronie połyskiwała srebrna ryba. W tle majaczyły rozmyte kanciaste zarysy, może skał, może ruin na dnie morza. Wyraźnie widać było tylko oświetloną statwę.

Pomnik przedstawiał drapieżnego kota, który unosi przednie łapy, jakby szykując się do skoku. Oplatała go pokryta łuskami spirala z cielska ogromnego węża, tak grubego, jak muskularne gardło drapieżnika. Pantera – wyraźnie nie był to ani tygrys, ani lew – miała zamknięty pysk i patrzyła jakby zafascynowana na czaszkę węża, która znajdowała się dokładnie pod jej głową. Ssak i gad patrzyli sobie w oczy, ale żadne z nich nie wyglądało na agresywne. Ujęcie, które na pierwszy rzut oka mogło się wydawać sceną walki, przy bliższym oglądzie okazywało się czymś zupełnie innym. Oba zwierzęta przyglądały się sobie, milcząco ze sobą rozmawiały... Nawet węzowy splot wokół ciała pantery nie wyglądał jak atak na gardło.

– Czy to jest uścisk? – szepnął Alessandro.

Tętno Rosy szalało. Serce biło jej jak młotem, uderzenia stawały się coraz silniejsze, ale zarejestrowała to dopiero po chwili, kiedy usłyszeli je również pozostali.

Tyle że tym razem nie dobiegały z jej piersi.

Ktoś walił w drzwi ich kryjówki.

TABULA

Alessandro, otwórz! – Przytłumiony głos Cesare przedarł się przez drzwi, nie tracąc nic ze swojej ostrej barwy. – Wiem, że tam jesteście. – I po chwili: – Wszyscy troje.

Alessandro obrócił się, upuszczając przy tym zdjęcie. Rosa schowała je do kieszeni spodni. Iole wsunęła się do łóżka, opierając się plecami o ścianę i przyciskając do siebie fotografię swojego taty.

Alessandro wymienił z Rosą przerażone spojrzenie.

– Ktoś cię zdradził – powiedziała cicho. – Wszyscy stoją teraz po jego stronie.

Mięśnie jego warg drżały ze złości. Kilkoma szybkimi krokami dotarł do drzwi.

– To wciąż jest mój dom, Cesare!

– Ludzie opowiedzieli się przeciwko tobie. Nie powinieneś chronić tej małej wiedźmy Alcantary.

– Tano byłby wzruszony, gdyby wiedział, jak długo go oplakiwałeś.

Przez chwilę panowała cisza, ale potem rozległo się głośnie uderzenie pięścią o drzwi. – Ukrywasz tu wroga twojego klanu, chłopcze!

– Ona nie jest winna śmierci Tana i wiesz o tym tak samo dobrze, jak ja.

– O tym rozstrzygnie trybunał.

Rosa dotknęła ramienia Alessandra. Zniżyła swój głos do szeptu:

– Ten trybunał... Czy on wysłucha, co mam do powiedzenia?

– Cesare powoła dziesiątki świadków, którzy przysięgną na życie swoich matek, że ponosisz odpowiedzialność za śmierć

Tana. Najgorsze, że sami będą w to wierzyć. To, kto za to zapłacił, nie będzie miało żadnego znaczenia.

Znów rozległo się głośne pukanie, a potem kilka męskich głosów po drugiej stronie drzwi.

– Naprawdę chcesz, żebym kazał wyważyć drzwi? – zapytał Cesare. – Jeśli mimo wszystko chcesz jeszcze zachować twarz, nie chowaj się w tej dziurze jak tchórz!

Rosa podjęła decyzję za Alessandra. Jej dłoń powędrowała do klucza, przekreśliła go i otworzyła drzwi.

Cesare towarzyszyło pięciu jego ludzi. Rosa rozpoznała ich twarze, wszyscy już w amfiteatrze należeli do jego stronników.

Cesare miał na sobie srebrnoszary designerski garnitur z chusteczką w butonierce. Włosy były jeszcze mokre, a z twarzy zniknęła krew. Zdawało się jej, że tylko pod jego lewym okiem dostrzegła ciemną plamę, która wyglądała nienaturalnie. Była niewiele większa niż pieprzyk. Wysuszona, brązowa odrobinka krwi, maleńkie wspomnienie po Lilii. Złapał ją skurcz w żołądku.

– Możemy to załatwić w cywilizowany sposób – powiedział. Te słowa w ustach mężczyzny, który przed dwiema godzinami we wściekłym szale zamordował kobietę, zirytowały ją. – Albo i nie.

Alessandro chciał wsunąć się pomiędzy nich, by ochronić Rosę, ale ona zrobiła krok na bok i stanęła obok niego. Oboje zasłaniali drzwi, za którymi Iole zaczęła cicho płakać.

– Oszczędź sobie gadania – warknął Alessandro – i powiedz mi wreszcie, czego chcesz.

– Mnie – powiedziała Rosa. – Przecież to jasne.

Kąciki ust Cesare drgnęły, ale nie zszedł z nich uśmiech.

– Co miałbym z tobą począć, Roso Alcantaro? Twoją sprawę rozstrzygnie trybunał dynastii. – Wskazał za siebie. –

Możesz iść. A kiedy zostanie ogłoszony wyrok, lepiej nie próbuj się ukrywać, bo i tak cię znajdziemy. Do tej chwili jednak żaden Carnevare cię nie tknie.

Przelotnie spojrzała na Alessandra.

– Obiecałem ludziom polowanie – mówił dalej Cesare. – I powinni je mieć. Polowanie z łupem, którego pragną od wielu lat.

Szlochanie Iole stało się głośnie i rozpaczliwe.

– Nie wolno ci na to pozwolić! – Rosa zwróciła się do Alessandra.

W tym samym momencie pięciu mężczyzn przeszło obok Cesare. Czterech z nich rzuciło się na Rosę i Alessandra, piąty wpadł do pokoju w poszukiwaniu Iole.

Rosa wrzasnęła z wściekłości. Uderzyła jednego z mężczyzn w twarz. Drugi dostał kopniaka w kolano. Ból nie rozluźnił ich uścisku.

Także przeciwnicy Alessandra byli więksi i silniejsi i udało się im go obezwładnić. Odciągnęli Rosę od drzwi i od Alessandra, Cesare nie zaszczycił jej nawet spojrzeniem. Ze ściągniętą, pozbawioną uczuć twarzą patrzył w kierunku łóżka.

Iole siedziała wciśnięta w ścianę, podciągnęła kolana, fotografię przycisnęła otwartymi dłońmi do piersi. Po jej twarzy płynęły łzy.

Przenikliwie zimno, które Rosa czuła już kilka razy wcześniej, pełzło od dołu po jej ciele, dotarło do ud, bioder i wypełniło jej podbrzusze. W jednej chwili poczuła każdy centymetr kwadratowy ubrania na swojej skórze. Materiał drapał i drażnił ją, miała ochotę go z siebie zerwać. Jej spojrzenie skrzyżowało się ze wzrokiem Alessandra, wzrokiem bestii, w którą każdej chwili miał się przeobrazić – gdy tylko czarne płaty sierści skończą rozprzestrzeniać się po jego ciele.

Nagle poczuła ukłucie w kark, niespecjalnie bolesne i zobaczyła, że również Alessandro wbito w kark strzykawkę. Był to jeden z tych krótkich przyrządów, którymi cukrzycy sami wstrzykują sobie insulinę. Co jej podali, tego nie wiedziała, czuła jedynie, że substancja rozprzestrzenia się szybko i wypiera odczuwane przez nią zimno.

– Będzie działać mniej więcej przez trzy kwadranse – powiedział Cesare. – Tak długo pozostaniecie tym, czym jesteście w tej chwili.

Także przemiana Alessandro zatrzymała się. Zachowywał się już jak schwyte zwierzę, kiedy pozostali mężczyźni trzymali go w żelaznym uścisku.

Piąty mężczyzna chwycił Iole, wyrwał z jej ręki oprawione zdjęcie i nie zważając na nic, odrzucił je na bok. Szkło rozprysło się na ziemi. Iole zawyła, ale nie mogła obronić się przed mężczyzną, który ściągnął ją z łóżka, chwycił za ramię i poprowadził między Rosą a Alessandrem w kierunku drzwi. Cesare pozwolił jej przejść. Patrzył za nią przez chwilę w głąb korytarza i ponownie zwrócił się do Alessandra:

– Znasz tradycję. Polowanie na cześć nowego *capo*. Ludzie tego oczekują.

– Nie możecie tak po prostu jej zabić! – warknęła Rosa.

– Możemy nawet więcej. Twoja rodzina także wkrótce się o tym dowie. Wtedy rozejdą się wieści, co znaczy sprzedać się TABULI...

– Nie mieszaj jej w to – syknął Alessandro.

Cios pięścią trafił go w twarz i stracił przytomność. Rosa wzdrygnęła się, jakby to ona odebrała to uderzenie. Ale słowa Cesare wciąż wisiały w powietrzu.

– Co pan ma na myśli? – zapytała.

– Nie udawaj niewiniątka.

– Proszę wypuścić Iole, a ja zrobię wszystko, co będziecie chcieli.

– Ona nic nie wie – jęknął Alessandro.

– Nie powiedziałaś jej?

Alessandro milczał.

Cesare zwrócił się do Rosy:

– Nic ci nie powiedział? – Parsknął z pogardą. – Naprawdę nie masz pojęcia, co zrobiła twoja rodzina? Z kim się związała przeciwko podobnym sobie?

Rosa splunęła w jego stronę. Jej ślina trafiła go w policzek, ale przez to poczuła się jeszcze bardziej bezsilna.

Cesare wytarł plamę w rękaw swojej drogiej marynarki.

– Myślisz, że robię to tylko dlatego, że chcę zdobyć władzę, prawda? Ale mylisz się. Nie za to umarł Tano.

– Tano umarł – zawołała – bo był cholernym dupkiem, który dostał to, na co zasłużył! – Taktycznie nie było to najlepsze zagranie, ale płynęło prosto z jej serca.

Spojrzenie Cesare stało się zimniejsze, ale zdołał się powstrzymać, co jeszcze bardziej ją rozwścieczyło.

– Zakładam – kontynuował – że ktoś opowiedział ci przynajmniej o dynastiach. Coś przecież musisz wiedzieć.

– Zostaw ją w spokoju, Cesare – jęknął Alessandro.

Ledwo łapał powietrze, jeden z jego strażników położył mu od tyłu rękę na szyi, by mieć nad nim lepszą kontrolę.

– TABULA – powtórzył Cesare z rozkoszą. – Nic ci to nie mówi?

Patrzyła na niego, nic nie odpowiadając.

Westchnął.

– Wyjaśnij jej! – rozkazał Cesare.

– Istnieje organizacja – powiedział Alessandro po krótkim wahaniu – która mocno interesuje się dynastiami arkadyjskimi.

Nazywa się TABULA. Nikt nie wie o nich zbyt wiele. Wcielają się w najróżniejsze role, podają się za urzędników, polityków, prokuratorów.

Rosa słuchała, ale koncentracja na jego słowach sprawiała jej wiele wysiłku.

– TABULA od lat próbuje dowiedzieć się więcej o dynastiach arkadyjskich – Alessandro mówił dalej. – Na początku wszyscy myśleli, że chodzi tu o interesy klanów, o zwykłą walkę z mafią. Ale od pewnego czasu pojawiają się plotki, że jedna z dynastii na Sycylii współpracuje z tymi ludźmi i daje im dostęp do informacji.

– Dlaczego ktoś miałby to robić? – Głos Rosy brzmiał ochryple.

– Obietnice, pieniądze, władza... Czy ja wiem??

– To nie plotki. – wtrącił Cesare. – Jeden z klanów współpracuje z nimi. Twój klan, Rosa! Alcantarowie to zdrajcy, którzy sprzedali się TABULI!

– To tylko przypuszczenia – dorzucił Alessandro. – Nie ma na to dowodów.

– Nie będę ich potrzebował, kiedy zapadnie wyrok na Alcantarów – powiedział Cesare. – Wtedy problem rozwiąże się sam.

– Śmierć Tana musiała rzeczywiście być panu bardzo po drodze – powiedziała Rosa.

Cesare zrobił szybki krok w jej stronę. Jego oczy błyszczały niczym oczy kota w świetle lampy na suficie.

– Tano był moim synem! – zawołał, zbliżając swoją twarz do jej oczu na odległość dłoni. – I jedna osoba już straciła życie za to, co mu zrobiono. Za nią pójdą kolejne. Nie pozostanie nikt z was, Alcantarów, i nikt z tych, którzy was wspierają. Zapłacicie za jego śmierć i za swoją zradę. Nie ma ważniejszej

wartości niż kamuflaż, który od stuleci chroni dynastie, i nie dopuszczę do tego, by ktoś nimi handlował. Ja przestrzegam tradycji. Dbam o bezpieczeństwo nas wszystkich. I wymierzę karę każdemu, kto wystąpi przeciwko prawom Arkadii!

Nagle zamilkł. Na skroni pulsowała mu tętnica. Jego twarz drżała, ale zdołał się opanować. W końcu wyciągnął z marynarki palmtopa, wystukał coś na jego lśniącej powierzchni i wyciągnął go w stronę Rosy, zatrzymując dłoń bezpośrednio przed jej twarzą.

– Popatrz – rozkazał jej.

Na małym monitorze, nie większym od pudełka papierosów, pokazał się obrazek. Nagranie wideo. Kamera poruszała się chwiejnie za kratami i na wprost przejściem pomiędzy rzędami ustawionych na sobie klatek. Z głośnika urządzenia dobiegały odgłosy przyspieszonych oddechów, w tle kilka sapiących, warczących i syczących głosów. Ktokolwiek trzymał tę kamerę, musiał mu towarzyszyć paniczny strach, że zostanie zdemaskowany.

W klatkach siedziały zwierzęta. W półmroku Rosa rozpoznała kilka drapieżnych kotów. Niespotykane dużego lisa. Ogromnego ptaka, większego od czapli i bociana. Związane warana. Kilka wilków i hienę. Potem kamera uchwyciła coś trzęsącego się, czego Rosa nie potrafiła rozpoznać. To coś miało wiele nóg i było ssakiem. Kamera prześlizgnęła się dalej i zarejestrowała kolejne tygrysy i lwy, dzika z zakrzywionymi kłami, ludzkiej wielkości szczura z kudłatą sierścią. Wszystkie były uwięzione w niekończących się klatkach. Niedokarmione, na wpół oszalałe ze strachu, kilka okaleczonych w walce.

– TABULA – szepnął Cesare, jak gdyby samo to słowo wzbudzało w nim grozę. – I to tylko część tego, co robią. Dlatego tak bardzo nienawidzę Alcantarów. I dlatego wszyscy

niedługo umrzecie. Ale zanim to nastąpi – głośno wypuścił powietrze – róbcie, co chcecie.

Włożył palmtopa z powrotem do kieszeni. Kręcąc głową, rzucił ostatecznie spojrzenie na Alessandra i wyszedł z pokoju. Szedł powoli, zgarbiony, jak gdyby mimo wszystko poniósł porażkę.

– Przetrzyście ich jeszcze przez kilka godzin w piwnicy – zawołał do mężczyzn. – Aż nie będziecie pewni, że się uspokoili. A potem, jak dla mnie, mogą odejść. Znajdziemy ich, kiedy zapadnie wyrok.

SOJUSZNICY

Rosa rzuciła komórką. Za oknami samochodu przesuwał się krajobraz Sycylii o świcie.

– Z kim rozmawiałaś? – Alessandro obiema rękami chwycił kierownicę czarnego mercedesa. Przy tej prędkości każda nieuwaga mogła ich kosztować skręcenie karku.

Wymazała ostatni numer z listy kontaktów i włożyła komórkę do schowka.

– Możesz mnie zawieźć do Katanii?

– Myślałem, że chcesz jechać do domu.

– Zmiana planów.

– Rosa, z kim rozmawiałaś przez telefon?

Nie odpowiedziała. Miała kilka powodów, by milczeć. Precyzyjniej mówiąc, było ich wiele.

– Wciąż mi nie wierzysz – stwierdził.

Uparcie patrzyła przez przednią szybę na ogniście czerwone niebo nad drogą.

– Nie było wcześniej mowy o żadnym polowaniu! Dlaczego nie powiedziałeś mi, że moja rodzina współpracuje z tą... z tą TABULĄ?

– Cesare jest o tym przekonany – przerwał jej – a ja nie. Cholera jasna, Rosa... Wiem o TABULI tyle, co nic. Kim są ci ludzie, czego chcą... Nikt tego nie wie, nawet Cesare. Łapią Arkadyjczyków i pakują ich do klatek. Najwyraźniej mają jakiś środek, który utrzymuje nas w naszych drugich ciałach. To znaczy, że eksperymentują, ale czy to wszystko...

– Co to było za świństwo, którym naszprycowali nas ludzie Cesare? – Zacisnęła dłonie i dodała kwaśno: – Przepraszam, jestem trochę przewrażliwiona na punkcie zastrzyków, o które nie prosiłam.

– To było coś w rodzaju środka uspokajającego. Receptura jest bardzo stara, prawdopodobnie jeszcze antyczna... Nie wiem, czy to prawda, czy tylko czcza gadanina. Sam już też sobie to wstrzykiwałem. To nic groźnego, tylko nie można z tym przesadzić.

– Kto to powiedział?

Rzucił jej spojrzenie z ukosa.

– To, co wiemy o sobie i o tym, kim jesteśmy, znamy z opowieści, z przekazów. Jeśli zaczniemy to kwestionować, zakwestionujemy absolutnie wszystko.

– Sam to zrobiłeś. Pamiętasz tę historię o królu Lykaonie, któremu Zeus wymierzył karę... Powiedziałeś, że w to nie wierzysz.

– To jest mit. Prawdopodobnie. Ten specyfik przetestowałem na własnym ciele i to niejedynym razem. Blokuję przemianę przez piętnaście, dwadzieścia minut. Zabrałem ze sobą do Ameryki kilka ampułek.

Pokręciła głową z rezygnacją.

– To przecież nie ma już znaczenia... Co się dzieje z Iole? Kiedy Cesare mówił o polowaniu, naprawdę miał na myśli...

– Tak.

– I nie uznałeś za stosowne, by mi o tym powiedzieć?

Wcisnął ze złością pedał gazu.

– A co niby miałem powiedzieć? Ach, a tak w ogóle, kiedy nowa głowa rodziny obejmuje swoją funkcję, wtedy mamy taką tradycję, że przez całą noc polujemy na człowieka?

Spojrzała na niego, nie mogąc wykrztusić z siebie słowa.

– Poza tym ja nie musiałbym tego robić – mówił dalej. – Ponieważ jestem spadkobiercą mojego ojca. Kiedy umrze *capo* i jego syn przejmuje dziedzictwo, ludzie się smucą, a nie świętują. Jeśli kto inny staje się przywódcą w miejsce

bezpośredniego dziedzica, wtedy jest to powód do triumfu, który jemu i jego stronnikom gwarantuje dobrobyt na całe pokolenia – i to jest okazja do świętowania.

– I świętowanie – zaczęła bezgłośnie – oznacza, że Carnevarowie organizują polowanie na ludzi? Że szczują i zabijają piętnastoletnią dziewczynkę, która przeszła więcej, niż potrafimy sobie wyobrazić? To dla twojej rodziny oznacza świętowanie?

– To nie ja ustalałem te reguły.

– Ale ich nie kwestionujesz! – parsknęła z wściekłością. – I ty śmiesz mi zarzucać, że tobie nie wierzę!

Kości jego dłoni na kierownicy były białe, odznaczyły się na nich niebieskie żyły.

– Nigdy cię nie okłamałem.

– W tym wypadku chodzi o to, czego nie powiedziałeś! – odpowiedziała ostro. A po krótkiej pauzie zapytała: – Ile mamy czasu?

– Odbędą się wybory, na których spotkają się najwyżsi rangą członkowie klanu. Potem, na zakończenie ceremonii, Cesare złoży przysięgę *capo*. To wszystko potrwa przynajmniej do momentu, kiedy przekona trybunał do twojej odpowiedzialności za śmierć Tana.

– A kiedy zabiją Iole?

– Polowanie odbywa się bezpośrednio po zaprzysiężeniu. Myślę, że w ciągu dwóch dni.

– Jesteś pewien, że nie wcześniej?

Uderzył ręką w kierownicę tak mocno, że pędzący z dużą szybkością samochód gwałtownie skręcił.

– Skąd, do cholery, mam wiedzieć dokładnie?!

Oboje mieli twarze w odcieniu szarości, kiedy Alessandro odzyskał kontrolę nad samochodem.

– Nie wierzę, że uda mu się wcześniej zdyskredytować mnie przed innymi – dodał ciszej.

– Zdyskredytować, ponieważ mnie chroniłeś?

Skinał głową.

– Tak długo Iole powinna być bezpieczna.

– I nie masz pojęcia, dokąd mogli ją zabrać?

Potrząsnął głową.

– Cesare z pewnością organizował na Lunie polowania na ludzi. Dlatego trzymał tam zwierzęta. Już wcześniej bawił się w łowy w towarzystwie lwów i tygrysów.

Rosa jęknęła ze wstrętem.

– Być może zrobi to znów właśnie tam. Na wyspie.

– Nie wierzę. Na zaprzysiężenie zwyczajowo zaprasza się również *capi* innych klanów. A oni za bardzo sobie nie ufają, żeby za kimś takim jak Cesare wybrać się na odległą wyspę. Nie, myślę, że znalazł jakieś miejsce na Sycylii. Muszę się tylko dowiedzieć gdzie. Kiedy już będę wiedział, gdzie ma się odbyć polowanie, spróbuję wyciągnąć stamtąd Iole.

– Ty sam?

– Wystarczy, że jedno z nas ryzykuje życiem.

– Potrzebujemy pomocy.

– Innych klanów? Zapomnij.

– Nie to miałam na myśli.

– Więc kogo? Poprosimy twoją ciotkę?

Potrząsnęła głową. Nie wiedziała nawet, gdzie w tej chwili była Florinda. A Zoe? Najlepiej o tym nie myśleć. Dobrze dawała sobie radę z ryzykiem, dużo gorzej szło jej ze zmartwieniami.

– No i? – zapytał.

– Zabierz mnie do Katanii – poprosiła go ponownie.

* * *

Kiedy godzinę później zjechali z autostrady i pomknęli przez okropne przemysłowe przedmieścia w stronę centrum miasta, Alessandro zauważył, że są śledzeni. Rosy nie zdziwiło to tak bardzo jak jego. Cesare chciał zostawić jej wolną rękę – przede wszystkim jednak po to, by nie spotkać się później z zarzutem, że wyprzedził wyrok arkadyjskiego trybunału – ale nie był idiotą. Bez wątplenia rozkazał swoim ludziom, by ją śledzili.

Alessandro nie potrzebował nawet dziesięciu minut, żeby zgubić podążający za nimi w gęstym ruchu ulicznym samochód.

– Gdzie się tego nauczyłeś? – zapytała.

– Na Manhattanie. Razem z kilkoma chłopakami ze szkoły często jeździliśmy z Hudson Valley do miasta. Kto dał radę tam, poradzi sobie i tutaj.

Nie musiał tłumaczyć, kogo starał się zgubić w chaosie ulicznym Nowego Jorku. Była pewna, że ma z policją tak samo bogate doświadczenie, jak ona.

– To wyglądało na łatwe – zauważyła, kiedy kolejnym razem spojrzął we wsteczne lusterko, a jego chmurna mina nie rozjaśniła się.

– To jeszcze nie wszystko.

– Jest ich więcej?

Potrząsnął głową.

– Założę się, że nasz samochód jest po sam dach nafaszerowany nadajnikami.

– Hura.

– I podsłuchami.

– Podsłuchują nas?

– Nie. – Jednym palcem wyciągnął z kieszeni spodni pęk

kluczy i pomachał nimi, dzwoniąc. Pomędzy kluczami wisiał mały, srebrny prostokąt. W innych okolicznościach uznałaby go za wisiołek, może za pendrive'a.

– To zagłuszcacz?

Skinał głową.

– Z Jamesa Bonda?

– Z eBaya. – Jego śmiech brzmiał prawie jak naturalny. – Nie słyszą nic, poza szumami i zatartymi głosami.

Wskazała na kieszenie jego spodni.

– Masz tam więcej tajemnej broni, o której powinnam wiedzieć?

Uśmiechnął się.

– Lepiej mi powiedz, dokąd jedziemy.

Wymieniła nazwę ulicy, ale nie podała numeru.

– Po prostu mnie tam wysadź. Resztę załatwię sama.

– Co zamierzasz?

– Im mniej o tym wiesz, tym...

Wywrócił oczami.

– Rosa, daj spokój.

– Wystarczy, że jedno z nas... to zrobi.

Spojrzał na nią z irytacją, a potem zaprogramował nawigację.

– Nie wierzysz mi, ale ode mnie oczekujesz zaufania.

– Bo ja jestem uczciwa.

Nie odwzajemniła jego spojrzenia, kiedy zatrzymał się na czerwonym świetle i spojrzał na nią.

– Jeszcze raz: nie okłamałem cię. Naprawdę myślałem, że Iole jest bezpieczna. Skąd mogłem wiedzieć, że...

– Zielone.

Westchnął i ruszył.

– Dowiem się, dokąd ją zabrali. Cesare nie wybierze

żadnego nowego miejsca. Jeśli naprawdę zaprosi do udziału innych *capi*, nie będzie ryzykował. Będzie chciał być w miejscu, w którym dobrze się orientuje.

Jechali teraz krętymi uliczkami centrum miasta, mijając maleńkie sklepiki, przed którymi stały ustawione w stosy palety z zafoliowanymi butelkami wody. Apteki z zakratowanymi okiennicami. Dzieci na skuterach. Bary, przed wejściem do których siedzieli starsi mężczyźni na plastikowych krzesłach.

Kobięcy głos w nawigacji oznajmił, że są u celu. Rosa wskazała szylt na jednym z budynków, omotany siecią kabli od prądu i telefonu.

– Tutaj wysiadam – powiedziała.

Niechętnie zatrzymał samochód na kamiennym krawężniku. Jego wzrok na darmo wędrował po fasadzie w poszukiwaniu jakiejś wskazówki.

– Jesteś pewna? Najpierw chciałaś jak najszybciej jechać do swojej rodziny, a teraz w jednej chwili zmieniasz plany. Czy to jest takie ważne?

– Potrzebujemy kogoś, kto nam pomoże. Nie tylko w związku z Iole. Także w związku z Zoe i Florindą. Tak samo jak ja dobrze wiesz, że Cesare nigdy nie zostawi nas w spokoju. Nieważne, co zdecyduje trybunał.

Spojrzał na nią. Zrozumiała, że być może przez cały czas przeczuwał, co zamierza zrobić.

– Jeśli to to, czego się obawiam, jesteś bliska popełnienia ogromnego głupstwa.

– Lepiej być głupią niż martwą. – Otworzyła drzwi i wysunęła jedną nogę na zewnątrz. Jej but z metalowym czubkiem zmiażdżył kawałek szkła.

– Idę z tobą – powiedział.

– Nie. Jeśli to zrobisz, stracisz resztę swoich

sprzymierzeńców.

– I myślisz, że to coś zmieni? Być może lepiej będzie, jeśli będę cię pilnował.

– To ważne, żebym poszła tam sama. Po prostu mi zaufaj.

Zamilkł i spojrzał na nią smutnym wzrokiem.

– To zdjęcie... – powiedziała. – Przecież też chcesz wiedzieć, co na nim jest. I gdzie zostało zrobione.

– Ty naprawdę wierzysz, że to jest klucz do zagadki.

Rosa wyciągnęła z kieszeni zdjęcie i spojrzała na nie.

– Być może to jest dowód na to, że nasze rodziny nie zawsze się nienawidziły.

– To tylko pomnik, Rosa. Jakieś antyczne wyobrażenie leżące na dnie morza. – Ale jego spojrzenie mówiło coś innego. Było niespokojne, ale jednocześnie pełne nadziei, jak gdyby zdjęcie pantery i węża także jego obchodziło znacznie bardziej, niż chciał to przyznać. – Nie wiemy nawet, jak jest stare. Albo gdzie bracia Dallamano zrobili to zdjęcie.

– I właśnie tego chcę się dowiedzieć. – Wsunęła fotografię z powrotem do kieszeni i spróbowała się uśmiechnąć, ale jej się nie udało. – Zadzwoń do ciebie, kiedy skończę.

Nie chciał stracić jej z oczu.

– Obiecujesz?

Skinęła głową, chciała wysiąść, ale zmieniła zdanie. Jej oczy płonęły. Serce biło o wiele za szybko. Cofnęła nogę, ujęła jego twarz w obie dłonie i z całej siły pocałowała go. Jego ręka objęła jej talię.

Kiedy cofnęła usta, on uśmiechał się ze słodko-gorzką pewnością, która niemal skłoniła ją do zmiany decyzji.

– W porządku – powiedziała i przelotnie odwzajemniła uśmiech. – Teraz muszę stąd jak najszybciej spadać.

– Nie musisz.

– Ależ muszę. – Z zaciśniętym gardłem wyślizgnęła się z jego objęć i wysiadła. Na chodniku jeszcze raz nachyliła się do środka. – Do zobaczenia.

– Uważaj na siebie.

– Ty też.

Wrzucił bieg, nie spuszczać jej z oczu. Rosa zamknęła drzwi, odstąpiła o krok i potknęła się o przepełniony śmietnik. Kiedy odwróciła się ponownie w stronę ulicy, mercedes już włączył się do ruchu.

Głośno wciągnęła powietrze, spojrzała na numer domu i ruszyła przed siebie.

Mężczyzna, którego szukała, wychylił się ze skrzyżowanymi ramionami z wymalowanego sprayem ganku, zaraz obok podupadłego sklepu z artykułami dla zwierząt. Zrobiło jej się niedobrze, kiedy spojrzała na klatki ze zwierzętami stojące za brudnym oknem.

– *Signorina Alcantara* – powitał ją.

Skinęła głową w jego stronę.

– Proszę wejść – powiedziała druga postać, stojąca za Antonio Festą.

Oczy Rosy zwęziły się. Uśmiechała się do niej Stefania Moranelli.

– Sędzia na panią czeka.

PAKT

Potrzebujesz pomocy – stwierdziła sędzia Quattrini. – Inaczej nie przyszedłabyś do mnie. Podczas naszego ostatniego spotkania zupełnie nie wykazywałaś chęci do współpracy.

Rosa założyła nogę na nogę. Siedziała na krześle przed biurkiem sędzi i czuła na plecach spojrzenia obu ochroniarzy. Festa i Moranelli oparli się o ścianę za nią. Była pewna, że wybrali tę pozycję, by ją zdenerwować. Całość przypominała sytuację przesłuchania, którą знаła od lat. Miała nadzieję, że dzisiaj lepiej to zniesie.

– Żeby była w tej sprawie jasność – oświadczyła – nie powiem pani niczego o Alessandrze Carnevale.

Sędzia przeciągnęła ręką po krótkich włosach z siwymi odrostami. Miała na sobie te same rzeczy, co w hotelu w Rzymie – beżowe spodnie i brązowy sweter. Rosa wyobraziła sobie, że Quattrini ma szafę – albo raczej kufer – wypełniony tymi ubraniami. Dziesięć takich samych zestawów.

– Czego chcesz? – zapytała sędzia, siadając naprzeciwko Rosy na krawędzi biurka. Była niska i palcami ledwo dotykała ziemi. – Dlaczego do mnie zadzwoniłaś?

Rosa łamała sobie głowę, co odpowiedzieć na to pytanie. Czy mówić o Iole, o Cesare? Czy o własnej rodzinie? Irytowało ją, że nie czuje się jak zdrajczynie, chociaż właśnie popełniała śmiertelny grzech wszystkich mafiosów, spotykając się potajemnie z przedstawicielką wymiaru sprawiedliwości. W historii Cosa Nostry tysiące ludzi zostały za to stracone strzałem w tył głowy albo zasztyletowaniem, ich ciała zatopiono w morzu albo rozpuszczono w kwasach.

To była gra o wysoką stawkę i Rosa dobrze o tym wiedziała. Jeśli oczekiwała czegoś od sędzi, musiała jej również

coś zaproponować

– Tam, w mieście – powiedziała Quattrini – biega z pół tuzina chłopców, niewiele starszych od ciebie, którzy dostali od swoich *capi* zlecenie, by mnie zastrzelić albo wysadzić w powietrze. Mamy kilka takich ukrytych mieszkań jak to, w których przygotowujemy akcje i ukrywamy się przed zemstą klanów. Po pierwsze, są to kryjówki – a kto lubi zaszywać się za zaciągniętymi zasłonami i fałszywymi nazwiskami? Po drugie, nie mamy ich na tyle dużo, by bez powodu pozwolić sobie na ich zdekonspirowanie. A właśnie to będziemy musieli zrobić, kiedy stąd wyjdiesz. Więc nawet jeśli wierzę tobie na tyle, żeby cię tutaj ściągnąć, nie mam pewności, że później nie wypalasz komuś tego adresu. – Sędzia cicho westchnęła. – Chcę przez to powiedzieć, że kosztujesz mnie jedną z moich kryjówek, i niezależnie od tego, co masz do powiedzenia, to powinno zrekompensować nam tę stratę. Nie marnuj więc naszego czasu na to, czego nie chcesz nam powiedzieć. Dlaczego tu przyszłaś, Rosa?

– Mówi pani, że mi wierzy. Dlaczego?

– Znam twoje akta z USA. Wielokrotnie przeczytałam wszystkie protokoły przesłuchań, także tych z twoją matką, siostrą i ojcem. Znam twoją historię. – Pozwoliła słowom wybrzmieć, jak gdyby chciała, żeby Rosa miała czas na zastanowienie. – Nie byłaś łatwym dzieckiem i do dzisiaj jesteś naprawdę skomplikowana. Podoba mi się to. Nie dlatego, że mam hopla na punkcie buntowniczych siedemnastolatek, ale dlatego, że większość dzieciaków z Cosa Nostry, z którymi mam do czynienia, to głupki. Ale ty, Rosa, jesteś wyjątkowa, tak samo jak ten młody mężczyzna, o którym nie chcesz mówić. Tyle że on coś knuje. Zaufać mu, to byłaby największa głupota, tak długo jak ze wszystkich sił zamierza zostać następnym *capo*

Carnevarów.

Rosa uśmiechnęła się bez entuzjazmu.

– Może pani próbować mną manipulować. To się nie uda.

Za jej plecami Stefania Moranelli zrobiła krok do przodu.

– Dlaczego tu przyszłaś? – znów zapytała Quattrini.

Rosa przemogła się.

– Chciałabym porozmawiać z jednym z waszych świadków koronnych. Z mężczyzną, który od sześciu lat żyje pod waszą ochroną. W zamian za to dostarczę wam informacji na temat interesów mojej ciotki Florindy Alcantary.

Quattrini roześmiała się.

– Nic nie wiesz o tych interesach. Na pewno nie więcej niż my.

– Ale w przeciwieństwie do was mogę bez zezwolenia z Rzymu wejść do jej gabinetu, wziąć aktówkę albo skopiować dokumenty i wynieść je po kryjomu z domu.

– Zrobiłabyś to?

Rosa skinęła głową.

– Albo po prostu odpowiedzieć na pani pytania, jeśli będę potrafiła. Jeśli tylko nie będą dotyczyć Alessandra.

– A skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz jak z nut? Albo że sama Florinda nie przysłała cię tu, żeby podsunąć nam fałszywe dokumenty?

Rosa uśmiechnęła się zimno.

– Gdyby uważała pani, że to niemożliwe, nigdy nie podałyby mi pani tego adresu.

Za jej plecami rozległ się cichy śmiech Antonia Festy, na który sędzia zareagowała posłaniem mu chmurnego spojrzenia.

– Wiem, że oczekuję od was czegoś w zasadzie niemożliwego – kontynuowała Rosa. – Wiem, czym jest program ochrony świadków. Fałszywe nazwiska, nowe twarze. I

że musielibyście być zdrowo popaprani, żeby załatwić dostęp do takiego kogoś siostrzenicy szefowej mafii.

Teraz roześmiała się sama sędzia. Rosa uznała, że to bardziej niepokojące niż jej wcześniejsza niecierpliwość.

– O kim mówimy? – zapytała Quattrini.

– O Augusto Dallamano.

– Dlaczego właśnie z nim?

– To moja sprawa.

– Z tego, co wiem, Alcantarowie nigdy nie mieli z Dallamanami... – przerwała, a jej spojrzenie rozjaśniło się. – Robisz to dla tego chłopaka? Chyba nie on cię tu przysłał, co?

Rosa zachowała kamienną twarz.

– W rzeczywistości nic o mnie nie wiecie.

Sędzia ześlizgnęła się z krawędzi biurka, podeszła do jednego z zasłoniętych okien i odciągnęła zasłonę na szerokość dłoni. Jeden z jej ochroniarzy natychmiast zbliżył się do niej z ręką na ukrytej w kaburze na piersi broni. Quattrini ponurym mruknięciem odesłała go na miejsce.

– Lubisz koty?

– Tak sobie.

– Ja je lubię. Nawet bardzo. Gdybym kiedyś mogła mieć dom z rodziną, byłby to dom pełen kotów. Podczas wszystkich akcji, na które jeździłam w minionych latach – pościgi, kilka ucieczek – przejechałam ich siedemnaście. Siedemnaście kotów, Rosa. To tylko te, które liczyłam. Krótki wstrząs, kiedy wpada pod opony, albo odgłos, kiedy rozbija się o chłodnicę. I wiesz co? Żadnego z nich nie było mi żal. Bo zginęły za coś, w co wierzę. Za walkę z mafią. Za zwycięstwo nad twoją rodziną i nad wszystkimi innymi. Za Włochy, w których ludzie nie musieliby żyć w strachu.

– Gównu mnie obchodzą Włochy – powiedziała Rosa.

– Więc dlaczego wciąż tu jesteś? – Sędzia nie robiła wrażenia dotkniętej lub zdziwionej. – Też to czujesz, Rosa. Nie w mówisz mi, że to tylko żałoba po dziecku. Albo Alessandro Carnevale. Jest jeszcze coś, co trzyma cię na Sycylii. Nie ma drugiego takiego miejsca, jak to.

Pozwoliła zasłonie opaść i usadowiła się na krześle za biurkiem, nachyliła się, oparła na łokciach i lustrowała Rosę przez skrzyżowane palce.

– Inne kraje się z nas śmieją. Interesuje ich tylko, gdzie są najczystsze plaże, najlepsze restauracje, najbardziej eleganckie butiki. Śmieją się z nas, bo nasz kraj jest rządzony przez cyników, z których większość jest oskarżona o oszustwa, przestępstwa podatkowe albo o współpracę z mafią. Bo nasi sędziowie są przekupni, a co kilka lat zarządza się wielką amnestią, podczas której wypuszczani są z więzień najwięksi zbrodniarze i wypłaca się im odszkodowania. Ludzie, których ściagałam i udowodniłam im winę. Śmieją się z Włochów, ponieważ nasi politycy śmieją się z nas. Ponieważ uchwalają przepisy, które zabraniają mi podsłuchiwanie takich rodzin jak twoja i przedstawiania przed sądem większości dowodów, jakie mam przeciwko wam. Które nie pozwalają mi przeszukiwać waszych domów i ziemi, dopóki ktoś z was nie zastrzeli przynajmniej premiera. I to jeszcze nie wszystko. Wyśmiewają się z nas, bo modelka erotyczna została u nas ministrem do spraw równego traktowania, a nieszkodliwe sex-shopy są zamykane przez policję. Ponieważ nasi politycy wprawdzie stoją w kolejce do Watykanu, by cmoknąć Ojca Świętego w pierścień, ale jednocześnie w naszym parlamencie zasiada siedemdziesięciu karanych przestępców. – Sędzia zaczerpnęła powietrza, jej czoło błyszczało. – Takie są Włochy. I chociaż inni będą się ze mnie śmiać, mimo wszystko wierzę, że ten kraj

jest wart tej walki. Że jest wart tych ofiar i tych cholernych kotów na mojej chłodnicy. I jeśli ty jesteś innego zdania, Rosa, wstań, wynoś się stąd i nigdy więcej do mnie nie dzwoń. – Nachyliła się jeszcze niżej nad biurkiem. – Ale jeśli potrafisz mi przyznać choćby trochę racji, jeśli zaręczysz, że po kilku dniach całą sobą uległaś jego czarowi, zostań tu i porozmawiaj ze mną.

Rosa głośno zaczerpnęła powietrza.

– Augusto Dallamano – szepnęła. – Tylko z nim chcę rozmawiać. Raz. Nic więcej.

– A co ja z tego będę miała? I nie wyjeżdżaj więcej z kilkoma papierami i kopiami z sejfu swojej ciotki. To od początku nie była twoja prawdziwa propozycja!

Rosa zmrużyła oczy. Światło słoneczne wpadało do środka przez szparę między zasłonami. Postarała się włożyć w swój głos tyle pewności, na ile tylko potrafiła się zdobyć.

– Salvatore Pantaleone – powiedziała.

Stefania Moranelli wydała z siebie okrzyk zdziwienia. Antonio Festa zagwizdał przez zęby.

Jednak sędzia nawet nie drgnęła. Jej twarz pozostała niezmienną, włącznie ze spojrzeniem zatopionym w oczach Rosy.

– Boss bossów – powiedziała, jakby odczytywała werdykt sądowy. – Od dziesięcioleci żyje w ukryciu. Rządzi Cosa Nostrą za pomocą napisanych ręcznie kartek i listów, które wypływają raz po raz, zostają skonfiskowane, ale nie doprowadzają nas do jego kryjówki. W ciągu ostatnich trzydziestu lat przynajmniej sto razy zmieniał miejsce pobytu. Takie są, w każdym razie, nasze przypuszczenia. Z pewnością ma za sobą jedną rodzinę, która cieszy się jego zaufaniem – być może więcej niż jedną.

– Mogę pani pomóc go odnaleźć.

– Gdzie się zatrzymał?

- Najpierw chcę porozmawiać z Dallamano.
- Jest jednym z naszych najważniejszych świadków koronnych.
- Postępowania sądowe, w których musiał zeznawać, zakończyły się dawno temu. Dla was jest już bezwartościowy. Ale nie dla mnie.

Quattrini pokręciła głową.

- To nie wystarczy.
- Dam wam Pantaleone. I jeszcze coś – szykujecie się na Carnevarów. Nie dostaniecie Alessandra, ale o Cesare Carnevare mogę wam przypuszczalnie opowiedzieć coś, czego jeszcze nie wiecie.

– To tylko ich księgowy.

– A wkrótce stanie się nowym *capo* Carnevarów.

Sędzia nadstawiła uszu.

– Twój przystojny chłopak popadł w niełaskę?

Ręka Rosy przesunęła się po tkwiącym w kieszeni zdjęciu pomnika pantery i Lamii.

– No to jak? Zorganizujecie mi spotkanie z Dallamano?

* * *

Chwilę później Rosa weszła do kiosku z gazetami w sąsiedztwie i kupiła jedną z używanych komórek, które sprzedawca trzymał pod ladą. Na zewnątrz, w cieniu wejścia do domu, wybrała numer Alessandra.

Nie dała po sobie poznać, z jaką ulgą usłyszała jego głos. W tle brzmiały niewyraźne dźwięki, które mogły być pomrukami i piskami zwierząt.

– Możesz po mnie przyjechać? – zapytała. – Musimy się dostać na lotnisko. Za półtorej godziny odlatuje nasz samolot do

Portugali.

DOM KAMIENNYCH OCZU

Podczas Lotu spała jak zabita. Już po międzylądowaniu w Rzymie ledwo utrzymywała powieki, ale kiedy razem z Alessandrem opadli w końcu na swoje siedzenia, Rosa przestała walczyć ze zmęczeniem.

Kiedy obudziła się podczas turbulencji, podchodzili już do lądowania w Lizbonie. W pierwszej chwili nie sądziła, że zdoła odzyskać jasność myśli. Po dwóch, trzech godzinach snu czuła się jeszcze bardziej zmęczona niż wcześniej. Dopiero kilka minut później ocknęła się na tyle, by zauważyć, że Alessandro przygląda się jej z uśmiechem.

– Śmiałaś się przez sen – powiedział miękko.

Jej język miał smak starej ścierki.

– Niemożliwe.

– Ależ tak.

Zachowała kamienną twarz.

– Prawdopodobnie śmiałam się z tego, że moja siostra zniknęła, jej przyjaciółka została zamordowana, a ja sama już wkrótce znajdę się na mafijnej liście do odstrzału.

Samolot nie był pełny, rząd za nimi i kilka innych świeciły pustkami.

– Ominął cię obiad – powiedział. – Masz, schowałem to dla ciebie.

Zawiesił jej przed nosem gąbczastą bułkę, która miała konsystencję podobną do stanu jej języka.

– Naprawdę się śmiałam?

Skinął głową.

– Jestem totalnie popieprzona.

Rozśmieszyło go to.

– W przeciwnym razie nie byłoby nas tu, co?

Na jej kolanach leżała podwodna fotografia. Lekka wibracja nadawała wężowi i drapieżnemu kotu irytujące wrażenie ożywienia. Rosa chwyciła zdjęcie i spojrzała na nie.

– Dallamanowie wiedzieli coś o nas – powiedziała. – O więzi pomiędzy Alcantarami i Carnevarami, o której inni najwyraźniej nie mieli pojęcia.

– Albo o której po prostu nie mówili.

Ściszyła głos, żeby nikt nie mógł ich podsłuchać.

– Sędzia powiedziała, że pierwsze morderstwa Dallamanów miały miejsce, zanim Augusto Dallamano się do nich zwrócił. Jeśli to prawda, musiał istnieć inny powód masakry w rodzinie Iole.

– Mogły być setki powodów – odparł. – Oszustwo, naruszenie terytorium, inna zniewaga. Może nawet jakaś historia miłosna, kto wie? Cosa Nostra nigdy nie była specjalnie wrażliwa na takie sprawy.

Przycisnęła palec wskazujący do zdjęcia.

– Ale to nie jest przypadek! Pantera i wąż, przecież to jasne! – Odgarnęła z twarzy splątane włosy. – To zdjęcie – i więcej podobnych do niego, jak powiedziała Iole – leżały na biurku jej ojca, kiedy porywali go ludzie Cesare. Te zdjęcia były ostatnimi, jakie zobaczył przed śmiercią. Skoro leżały rozrzucone na jego biurku, to znaczy, że miały dla niego znaczenie.

– Jeśli leżały na biurku – powtórzył za nią – i były tak ważne, jak myślisz, Cesare na pewno by je zabrał. I z pewnością nie pozwoliłby, żeby Iole schowała jedno z nich.

– Możliwe, że ich nie zauważył. Albo – uniosła ręce w geście niezdecydowania – nie przyjrzał się im dokładnie... Bzdura!

Domek z kart jej przypuszczeń zachwiał się w posadach.

Fakt, że Cesare zignorował zdjęcia i nie interweniował, kiedy Iole zabrała jedno z nich, nie pasował do całości. A przecież musiało być jakieś rozwiązanie.

Alessandro nachylił się i pocałował ją.

– Zabiją cię, kiedy się dowiedzą, że poszłaś do tej sędzi. Nie ma większej zbrodni niż zdrada na policji. Jeśli Cesare szukał wcześniej powodu, by życzyć wam śmierci, teraz mu go dałaś. A fakt, że właśnie siedzimy w samolocie lecącym za granicę, także nikomu się nie spodoba. A już na pewno nie trybunałowi.

– Jutro będziemy z powrotem na Sycylii. Nie uciekam im.

– Być może to byłoby rozsądniejsze.

– Żeby to Florinda i Zoe musiały odpowiadać za śmierć Tano? – Potrząsając głową, wgryzła się w paznokieć i w zdenerwowaniu pozwoliła dłoni opaść na kolana. – Jeśli Augusto Dallamano opowie nam coś o miejscu powstania pomnika i jeśli się nie mylę, że nienawiść Cesare do nas ma z tym bezpośredni związek, wtedy prawdopodobnie będziemy mieli w rękawie asa, którym możemy spróbować z nim zagrać.

* * *

Na lotnisku w Lizbonie oczekiwał ich mężczyzna w ciemnych okularach, który trzymał w dłoni kartkę od Rosy bez żadnych napisów. Miał na sobie dzinsy i skórzaną kurtkę, nie mówił po włosku, posługiwał się łamanym angielskim i zaprowadził ich do zaparkowanego przed wejściem peugeot. W drodze do niego Rosa zauważyła, że pod ramieniem ma kaburę pistoletu.

– Dokąd pan nas zabiera? – zapytała Rosa.

– Do Sintry.

– Co to jest? – Nie była pewna, czy dobrze go zrozumiała.
– Miasto. Trzydzieści kilometrów. Duży ruch, być może godzina.

Alessandro uniósł brew. Siedział obok Rosy, trzymał ją za rękę i spoglądał na zmianę na nią i na ich małomównego kierowcę.

– Sintra jest bardzo piękna – ocenił kierowca.

Rosa wychyliła się do przodu i wyjrzała między siedzeniami.

– Pan jest policjantem, prawda?

– Mniej więcej.

Skinęła głową, jakby coś jej to wyjaśniało.

– Znam Antonio – powiedział. Kiedy nie zareagowali, dodał po chwili: – Antonio Festa? Dobry człowiek. Byliśmy razem na akcji w Gibraltarze. Trzy lata temu.

Odchyliła się do tyłu.

– W porządku.

– Kim jest Antonio Festa? – szepnął Alessandro.

Zaśmiała się cicho, ale wystraszyła się, że jej śmiech mógł zabrzmieć trochę histerycznie.

– Poluje na mafię.

Alessandro zacisnął usta, powoli skinął głową i w zamyśleniu wyjrzał przez okno.

* * *

Skreśli w wąską uliczkę, po bokach której ciągnął się wysoki mur i rosły gigantyczne drzewa. Ich gałęzie rozpościerały się nad drogą, tworząc baldachim nad wyboistym brukiem.

Podróż zajęła im półtorej godziny. Ostatnie pół spędzili,

stojąc w korku na autostradzie. Zmierzchało, kiedy kierowca samochodu zatrzymał auto pod czarną bramą z kraty. Mur, którego była częścią, mógł mieć sześć metrów wysokości.

Autobus komunikacji publicznej wyprzedził ich. Zatrąbił. Mieli całą ulicę dla siebie.

– Poczekam tutaj – powiedział mężczyzna. – Z powrotem pojedziemy szybciej. Ostatni samolot wylatuje tuż przed dziesiątą. – Wskazał dwa wydruki z komputera, leżące na siedzeniu pasażera. – To są wasze bilety.

– Dziękuję – powiedziała Rosa. Oboje z Alessandro wysiedli z samochodu.

Okno kierowcy opuściło się z cichym szumem. W zasadzie było już za ciemno na jego okulary przeciwsłoneczne. Krótkim ruchem wskazał bramę i wille, która wznosiła się za nią na stromym wzgórzu.

– Quinta da Regaleira – powiedział. – To dziwny dom. O tej porze zamknięty. – Spojrzał na zegarek na ręce. – Turystów nie ma tu od dwóch godzin. Tutaj chciał się z wami spotkać Dallamano.

– Brama jest otwarta – stwierdził Alessandro.

– Naturalnie – odpowiedział kierowca.

Alessandro chwycił Rosę za rękę. Skinęli głowami w kierunku kierowcy i wymienili krótkie spojrzenia, kiedy wbrew temu, co usłyszeli, ten włączył silnik i odjechał. On jednak skrzył kierownicą i zaparkował po drugiej stronie ulicy.

Rosa ruszyła przodem, przecisnęła się przez wąską szparę między skrzydłami bramy i weszła na teren Quinta da Regaleira. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jaki fantastyczny budynek się przed nią wznosił.

Był to pałac z szaro-białego piaskowca, trzypiętrowy, ozdobiony sztukaterią i szpiczastymi wieżyczkami. Wyrastał

ponad konarami drzew, bezwstydnie romantyczny, otoczony obmurowaną werandą, balkonami z cyzelowanymi balustradami i masywnymi kamiennymi drzwiami.

– Gdyby domy można było robić na szydełku – szepnęła Rosa – wtedy tak właśnie by wyglądały.

Alessandro czujnie obserwował krętą drogę, która prowadziła na szczyt wzgórza. Po obu jej stronach rosły gęste paprocie, mięsiste rododendrony i wierzby, których gałęzie zwieszały się nisko. Minęli zamknięty budynek kasy, nasłuchiwali jakichś odgłosów, ale nie słyszeli nic poza szumem liści i świergotem ptaków.

Droga rozwidlała się kilkakrotnie pod rzucającymi cień koronami drzew. Przeszli obok pięknie wykonanej studni, minęli posągi flecistów z nogami kozłów i szczerzące się gargulce. We wnękach siedziały drobne kamienne nimfy. Nad murem pochylał się diabeł ze skrzyconymi rogami. Ze stawu wyciągniętymi rękami witały ich posągi rusałek.

– Co to jest? – szepnęła Rosa.

Za jej plecami odezwał się głęboki głos.

– Kamienny alfabet alchemii. Ziszczony sen wolnomularzy, hermetyków i magów.

Odwrócili się.

Kilka metrów za nimi stał mężczyzna. Swoją ogromną posturą zrobił wrażenie nawet na Alessandro. Jego ciemne włosy były długie i kudłate, a broda – zapuszczona. Uszyty na miarę garnitur stanowił dziwny kontrast dla porastającej go grzywy.

– Wiecie, kim jestem, a ja wiem, kim wy jesteście – powiedział. Jego spojrzenie spod grubych brwi skierowało się w stronę Alessandra. – Ty jesteś Carnevale.

– Alessandro Carnevale. – W jego oczach zapaliła się

wyzywająca iskra.

– Rosa Alcantara – przedstawiła się. – Dziękuję, że pan przyszedł.

– Nie miałem wyboru.

– Pana bratanica jest w niebezpieczeństwie – powiedziała Rosa. – Potrzebuje pana pomocy.

– To wy potrzebujecie mojej pomocy. Iole nie żyje.

– Sześć lat spędziła w niewoli – zaprzeczyła. – Została porwana i przez cały ten czas trzymano ją w ukryciu. I myślę, że doskonale pan o tym wie. Nie powiedział pan sędzi całej prawdy, aby Iole nie stała się krzywdą.

Dallamano zrobił krok do przodu.

– Powiedziałem im, co wiem. Z powodu moich zeznań ponad dwudziestu mężczyzn zostało skazanych na dożywocie.

Rosa wysunęła do przodu podbródek.

– Ale żaden Carnevale. Chociaż to właśnie oni zamordowali pana brata i jego rodzinę.

Spojrzenie Dallamano znów skierowało się na Alessandro.

– I dlatego zasłużyłeś na to, by umrzeć.

– Alessandro próbował uratować Iole.

– Tak – zadrwił Dallamano. – Oczywiście. – Przerwał na chwilę, a potem zwrócił się do Alessandra ostrym głosem: – Wynoś się stąd!

– Nie – zaprotestowała Rosa. – On zostaje.

Dallamano pokręcił głową.

– Quattrini nie mówiła mi o nim. Mam rozmawiać z tobą. Nie z tym łajdakiem Carnevarą. Naprawdę myślisz, że jest twoim przyjacielem? – Zaśmiał się drwiąco. – Niedługo stanie się jednym z głównych bossów mafii na Sycylii. Nie jest niczym przyjacielem.

Alessandro otarł się o nią. Nagle zapadła straszna cisza.

Po tej trwającej w nieskończoność chwili Alessandro powiedział:

– Nie zostawię Rosy samej.

– Jak chcecie. – Dallamano odwrócił się i ruszył w stronę wzgórza.

– Proszę poczekać! – Rosa spojrzała ostro na Alessandra.

Mężczyzna zatrzymał się w cieniu jednego z faunów, po którego zwinnym ciele piał się bluszcz.

– Nic mi nie zrobi – szepnęła.

Spojrzał na nią, jakby chciał doprowadzić do kłótni.

– Nie możesz iść z nim sama!

– Chcę z nim tylko porozmawiać!

– A czego on chce?

– Cesare i twój ojciec mają na sumieniu całą jego rodzinę.

Czego się spodziewałeś?

– Twój przyjaciel się boi, że opowiem tobie coś o nim i jego klanie! – zawołał Dallamano – Że ostrzegę cię przed tym, czym on wkrótce się stanie, kiedy ogłoszą go *capo* Carnevarów. Wtedy żadna z jego obietnic nie będzie warta złamanego grosza.

Alessandro nie zaszczycił go swoim spojrzeniem, ale odwrócił się w stronę Rosy.

– On kłamie.

– Wiem – powiedziała miękko.

– Chce nas nastawić przeciwko sobie.

– Chce się zemścić. A w tym momencie słowa są jego jedyną bronią. – Wspięła się na palce i pocałowała go. – Jestem na to odporna, uwierz mi.

Po tych słowach odwróciła się i pospieszyła w górę ścieżki.

– Rosa.

Jeszcze raz spojrzała za siebie.

– Nie możesz mu we wszystko uwierzyć. Bądź ostrożna.

– Zobaczymy. Nie martw się.

Dallamano uśmiechnął się, kiedy się z nim zrównała.

– Je ci z ręki, co?

– Robi to, co pan powinien zrobić. Chce uratować pana bratanicę.

Jego spojrzenie zmętniało, oderwało się od niej i powędrowało w stronę Alessandra.

– Chodź – powiedział i ruszył przed siebie.

– Dokąd?

Jego głos brzmiał, jakby się uśmiechał.

– Do studni tajnych inicjacji.

ZAGADKA Z MESYNY

Rosa szła za Dallamano w kierunku wzgórza, mijając sztuczną grootę, z której wodospad wpadał do jeziora. Wkrótce dotarli do wysokich jak domy głazów, leżących pod drzewem o potężnej koronie. Niebo nad nimi było ciemnoniebieskie, tylko światło lampy stojącej na drodze sprawiało, że gałęzie słabo odcinały się od zmierzchu.

– Tutaj. – Doprowadził ją do szczeliny pomiędzy porośniętymi mchem skałami. Kamienne, spiralne schody wiodły w dół. Rosa odczekała, aż Dallamano znalazł się za zakrętem schodów, i dopiero wtedy wychyliła się przez balustradę.

Patrzyła w okrągły wyłom, po którego ścianach zbiegały spiralne schody ukryte za kolumnową arkadą, jakby dawno temu ktoś wykuł w skale szyb przypominający wieżę. Na dole w słabym świetle połyskiwała wykonana z płytek ośmioramienna gwiazda.

– Mam tam zejść?

– Tak. – Jego postać ukazała się za kolumnami po przeciwnej stronie i zniknęła z jej pola widzenia, kiedy znalazł się pod nią. – Patrz pod nogi! Stopnie są mokre i śliskie.

– Dlaczego nie możemy porozmawiać na górze?

– Ten szyb prowadzi trzydzieści metrów w głąb skały – odpowiedział. – Nie ma tam zasięgu sieci komórkowej ani radiowej. Takiej prywatności nie znajdziesz nigdzie indziej.

Ostrożnie zrobiła kilka pierwszych kroków w dół.

– Sądzi pan, że mam przy sobie jakieś mikrofony?

– Po prostu chcę mieć pewność. – Jego słowa rozbrzmiewały coraz głośniejsze. – Niegdyś było to miejsce inicjacji, na długo przed otwarciem parku i willi dla

zwiedzających. Kto chciał wstąpić do tajnego stowarzyszenia wolnomularzy, musiał zejść po tych schodach, od światła w kierunku ciemności. Tam, na dole, odbywał się rytuał przyjęcia do wspólnoty.

Słowo „rytuał” tutaj podobało jej się jeszcze mniej niż gdziekolwiek indziej.

– Budowniczy był szalonym milionerem, który zarobił fortunę na interesach z Brazylią. Na początku dwudziestego wieku kupił od baronów z Regaleiry cztery hektary ziemi, zatrudnił włoskiego architekta i kazał mu wybudować dom, kaplicę i pozostałe budynki. Zajęło im to sześć lat, włącznie ze sztucznymi ruinami, grotami i podziemnymi przejściami. Jest tu nawet amfiteatr. Mnie jednak zawsze najbardziej fascynowała część podziemia.

Podczas gdy Dallamano mówił, Rosa potykała się i ślizgała na prowadzących w dół stopniach, a fakt, że z każdym krokiem robiło się coraz ciemniej, nie poprawiał jej sytuacji. Poza tym wciąż jeszcze była zmęczona.

Kiedy dotarła do dna szybu, Dallamano stał na środku gwiazdy. Światło zmierzchu z odległego nieba odbijało się słabo o mokre kamienne płyty. W jednej z bocznych ścian widniało półkoliste wejście do tunelu.

Dallamano patrzył na nią.

– Podejź do mnie – powiedział. – Muszę cię przeszukać.

– Musi pan co? – Była o krok od wzięcia nóg za pas.

– Przykro mi – powiedział. – Ale nie mogę polegać na twoich słowach. Możesz być okablowana od stóp do głów.

– Proszę mnie nie dotykać! – Cofnęła się, aż znów stanęła na schodach pomiędzy kolumnami.

Dallamano nie ruszył się z miejsca.

– Nie będę cię, oczywiście, zmuszać. Nie musimy ze sobą

rozmawiać.

Nabrała powietrza, zacisnęła zęby i powoli podeszła do niego. Powróciły wspomnienia, które być może wcale nimi nie były – obce dłonie na jej skórze, palce, które dotykały jej od góry do dołu. Poczowała silne mdłości. Na języku rozpoznała gorzki smak żółci. Gwałtownie odwróciła głowę i splunęła.

– Bardzo mi przykro – powiedział ponownie.

Odwróciła się w jego stronę, starając się sprawiać wrażenie możliwie niewzruszonej, i podeszła do niego. Z wahaniem uniosła ramiona. Wstrzymała oddech. Czekwała, aż jej dotknie.

Był szybki i profesjonalny, jak kontrolerzy na lotnisku. W ciągu kilku sekund upewnił się, że nie ma ze sobą nic, na czym mogłaby uwiecznić ich rozmowę.

– Dziękuję – powiedział i cofnął się kilka kroków w stronę ciemnego tunelu. – Możesz tam zostać, jeśli chcesz, ale jeśli podejdziesz, nie będziesz podejmować ryzyka, że ktoś obserwuje cię z góry.

Nie ruszyła się z miejsca.

– Jak się miewa Iole? – Jego głos pierwszy raz zabrzmiał miękko.

– Jak na kogoś, kto przez sześć lat żył w zamknięciu, myślę, że miewa się bardzo dobrze.

– Sukinsyny.

– Ostatnio trzymali ją na pewnej wyspie w opuszczonym domu. Alessandro sam ją stamtąd zabrał. Powiedziała nam, że ma jeszcze jednego żyjącego krewnego – pana, *signore* Dallamano. I Alessandro zamierza ją do pana przywieźć.

– To nie jest dobry pomysł – szepnął.

– Nie chce jej pan zobaczyć?

W ciemności nie mogła dojrzeć jego twarzy, tylko zarys splątanych włosów.

– Dałbym sobie za to odciąć rękę. Ale to się nie uda. Kilka osób zna moją prawdziwą tożsamość... niewiele, ale nikomu już nie wierzę. Tylko sędzi. – Na chwilę przerwał. – W zasadzie od dawna jestem martwy. Augusto Dallamano nie istnieje. Nawet nie wyglądam już jak on.

Pomyślała o zdjęciu, na którym był ze swoim bratem, dwóch śmiejących się mężczyzn w kombinezonach płetwonurków. Najpierw stracił swoją rodzinę, potem honor, nazwisko, twarz i przeszłość.

Gdyby klany dowiedziały się, że Rosa spotkała się z sędzią, mógł ją czekać podobny los. Nawet gdyby trybunał ją uniewinnił, a Cesare odstąpił od swojego planu wytępienia Alcantarów – nawet wtedy jej układ z Quattrini wisiałby nad nią niczym miecz Damoklesa przez resztę jej życia. Zdrada Cosa Nostry była najcięższym przestępstwem, które nigdy się nie przedawniało.

– Obawiasz się, że z tobą może stać się tak samo. – Zdawał się czytać w jej myślach. – Bo jesteś tutaj i rozmawiasz ze mną.

Nie było odpowiedzi.

Dallamano wciąż stał bez ruchu w wejściu do tunelu.

– Oboje bardzo dużo ryzykujemy. Nie robisz tego tylko po to, żeby opowiedzieć mi o mojej bratanicy, prawda?

– Iole została wczoraj drugi raz porwana – powiedziała. – Cesare Carnevale dowiedział się, gdzie Alessandro ją ukrył, i tym razem zabije ją, jeśli go nie powstrzymamy.

Tym razem to on zamilkł. Słyszała jego oddech, szybszy niż dotąd.

– Cesare zabije nie tylko Iole, ale także mnie i całą moją rodzinę. Florindę Alcantarę, moją ciotkę... Pan ją zna. A potem moją siostrę. Przypuszczalnie wszystkich, którzy dla nas pracują. – Odchrząknęła. – Jeśli nie znajdziemy sposobu, żeby

go zatrzymać, z Alcantarami stanie się to samo, co sześć lat temu z klanem Dallamanów.

– A dlaczego miałyby mnie to obchodzić?

– Wie pan coś, czego boi się Cesare – powiedziała. – Porywając Iole, zmusił pana do milczenia, nawet kiedy zeznawał pan przed sędzią jako świadek koronny... Z pewnością wiele im pan powiedział, ale tego nie. I nic, co obciążałoby Carnevarów.

Dał sobie czas na odpowiedź. Być może się zastanawiał. Możliwe, że próbował pokonać swoją złość. Kiedy w końcu się odezwał, jego głos był bardziej stłumiony i głębszy niż do tej pory.

– Dlaczego on chce zabić Iole? Miał na to czas sześć lat temu i nie zrobił tego.

Co miała mu odpowiedzieć? Czy wiedział o dynastiach arkadyjskich? Czy ze swojego znaleziska na dnie morza mógł wyciągnąć wnioski o tajemnicach, których strzegło większość klanów sycylijskiej mafii?

– Chce ją złożyć w ofierze – powiedziała, a potem uciekła się do kłamstwa, które przygotowała sobie podczas podróży samochodem. – Przypuszcza, że pan nie żyje, ponieważ przez wszystkie te lata nie udało mu się pana odnaleźć. Teraz chce udowodnić innym bossom, że na dobre skończył z klanem Dallamanów. Dlatego chce zabić Iole na oczach tych kobiet i mężczyzn. Żeby pokazać, że jest konsekwentny, i żeby zdobyć ich szacunek. Cesare przekonał Carnevarów, że będzie lepszym *capo* niż Alessandro, a teraz potrzebuje poparcia innych rodzin. Ma mu je dać ostateczne pozbycie się wszystkich z rodziny Dallamanów. – Czy brzmi to wiarygodnie dla kogoś, kto przez dziesiątki lat sam był wysoko postawionym członkiem Cosa Nostry?

Na dnie szybu było zimno. Z tunelu za plecami Dallamano ciągnęło lodowate powietrze. Ze zdziwieniem wyczuła zapach wody po goleniu, której używał mimo swojego bujnego zarostu.

– Co dokładnie zamierzacie? – zapytał w końcu.

Całe jej ciało było napięte, wszystkie mięśnie, wszystkie zmysły. Bolały ją gałki oczne.

– Gdybym wiedziała, co Cesare chce tak bezwzględnie utrzymać w tajemnicy przed innymi, mogłabym zaproponować mu układ.

– Zabije cię.

– Być może będzie próbować. Ale być może mu się nie uda.

– Jesteś taka odważna czy tylko strasznie naiwna?

Zrobiła krok w stronę ciemności, napięła się i jeszcze intensywniej poczuła jego obecność. Pod zapachem wody kolońskiej ukrywała się woń zwierzęcia.

– Co wtedy znaleźliście? – zapytała. – Co odkrył pan wspólnie ze swoim bratem? – Jej ręka wyczuła w kieszeni zdjęcie, ale w ciemności i tak nie zdołałby go zobaczyć. – To ma związek z badaniami dna morza, prawda? Z rysunkami na biurku pana brata.

Stapała po coraz cieńszym lodzie, teraz nie było już powrotu.

– Wiesz o tym. – Teraz brzmiał nawet trochę tak, jakby był zmęczony, jakby w jednej chwili zrzucił ciężar, który dźwigał od bardzo dawna. Była u celu. Miała go.

– Widziałam posąg – powiedziała. – Zdjęcie pantery i węża. Iole zabrała je z biurka swojego ojca, zanim porwali ją ludzie Cesare. Mówi, że było ich więcej.

Ledwo zauważalnie skinął głową.

– Co jeszcze wiesz?

– Nic więcej – odpowiedziała szczerze. – Jedynie to, że pan i pana brat zrobiliście te zdjęcia.

– To nie był tylko jeden pomnik.

W jej napięcie wkradło się rozczarowanie. Jeśli na dnie morza stoją posągi wszystkich dynastii arkadyjskich, wtedy to, co łączyło ją i Alessandra, nie było niczym wyjątkowym.

– Ruiny – powiedział. – Resztki innych posągów. Kadry. Węże i pantery w różnych pozach.

– Tylko węże i pantery?

Dallamano skinął głową.

– Po zejściu na dno mój brat był bardzo podekscytowany. Najwyraźniej wiedział o tym więcej, niż mi powiedział. Spakował część zdjęć – dwadzieścia, trzydzieści ujęć – i pojechał z nimi do Carnevarów. Z jakiegoś powodu uznał, że nasze znalezisko może ich zainteresować. – Gorzko jęknął. – Następnego dnia przyjechali. Zabili wszystkich i porwali Iole.

– Wszystkich z wyjątkiem pana.

– Byłem na morzu, na jednym z naszych statków. Dostałem wiadomość od Ruggera. Mógł jedynie podać mi nazwisko sędzi i zasugerować, żebym się z nią skontaktował – nie zrobiłbym tego, gdyby sprawa nie była tak poważna. Nigdy więcej nie wróciłem na Sycylię. Próbowałem zniknąć. Dość szybko dowiedziałem się, co się wydarzyło. Zwróciłem się do Quattrini i zostałem świadkiem koronnym. Dopiero w areszcie otrzymałem wiadomość, że Iole żyje. Przesłali jej zdjęcia zakutej w łańcuchy i powiedzieli, że umrze, jeśli powiem coś o Carnevarach albo choć słowem wspomnę o naszym znalezisku. Poza tym chcieli poznać dokładne zamiary tego miejsca pod wodą. Wycofałem więc moje zarzuty wobec Carnevarów, podtrzymując jednak wszystkie pozostałe oskarżenia.

– A współrzędne?

– Nie zdradziłem ich. By zapewnić bezpieczeństwo sobie i Iole.

– Co stało się z załogą statku, którym płynęliście do tego miejsca? Czy Carnevarowie nie dobrali się do nich?

– Na to było za późno.

– Za późno?

– Mój brat zatroszczył się o to od razu po tym, jak znaleźliśmy się na ładzie.

– On ich... swoich ludzi?

Dallamano wzruszył ramionami.

– Jeszcze tego samego wieczora wysłał na statek kilku swoich ochroniarzy. Załoga wciąż tam była i tam pozostała.

– Więc poza panem nie ma nikogo, kto znałby dokładną lokalizację tego znaleziska? – powiedziała po chwili Rosa. – Tym mogłabym uratować Iole życie.

– Nawet jeśli tak by było – wyobrażasz sobie, że tobie ją zdradzam? Tobie i temu Carnevarowi tam w górze?

– Ale przecież powiedział pan: pan wie, gdzie...

– Nie. Ja wyłącznie zadbałem o to, żeby Carnevarowie w to uwierzyli. Prawda jest taka, że dokładne współrzędne znał tylko mój brat.

– Więc to wszystko był blef? – wyrwało się jej.

– Prawie.

Przekrzywiła głowę w pytającym geście.

– Mieliśmy wtedy zlecenie budowlane – powiedział. – Największe, jakie kiedykolwiek dostaliśmy. Od niepamiętnych czasów istniały plany, by mostem połączyć Sycylię z lądem. Most miał mieć wiele kilometrów, wspierać się na ogromnych słupach, przynajmniej sześćdziesiąt metrów nad ziemią. Dostaliśmy zlecenie i rozpoczęliśmy badanie dna morza. Na jednej z takich wypraw narzędzia naszego geologa

zarejestrowały coś niezwykłego. Ruggero, ja i kilku naszych nurków zeszliśmy na dno, żeby się rozejrzeć.

– Czy morze w tym miejscu jest takie płytkie, że można dopłynąć do dna z butlą tlenu?

Dallamano cicho się roześmiał.

– Tam, gdzie inni chcieli budować mosty, pomiędzy Mesyną po stronie sycylijskiej a Villa San Giovanni na lądzie, morze ma ponad trzysta metrów głębokości. Tam można zejść na dno tylko w łodzi podwodnej. Ale Ruggero miał inny plan – zbudować most w płytkiej części morza. Musiałby być wtedy przynajmniej dwa razy dłuższy, ale z powodu mniejszej głębokości byłby też przypuszczalnie łatwiejszy w skonstruowaniu. Szukaliśmy więc płytszego miejsca, o wiele dalej na południe. Jest tam podwodna płaszczyzna skalna, nad którą morze ma czterdzieści metrów głębokości. Taką odległość pokona zawodowy nurek, jeśli jakoś się do tego przygotowuje.

– Naprawdę nie zna pan współrzędnych?

Pokręcił głową.

– Niedokładnie. A bez nich można setki lat przeszukiwać dno morza w poszukiwaniu kilku niezwykłych kamiennych figur. Cieśninę Mesyńską pokrywa ostry skalny żwir. Ziemia jest potwornie popękana, są ekstremalne różnice wysokości. Bez dokładnych współrzędnych nikt tam nic nie znajdzie. Chyba że przez przypadek, jak wtedy.

– To dlatego nigdy nie próbował pan dobić targu z Carnevarami. Bez tych danych nie ma pan w ręku nic, co miałyby dla nich wartość. – Opuściła wzrok i zaklęła. – To wszystko na darmo. Zabiją Iole i moją rodzinę...

– Ty rzeczywiście chcesz spróbować, co?

Spojrzała na niego, tym razem jeszcze bardziej nieufnie niż zwykle.

– Naprawdę zaproponowałabyś układ człowiekowi pokroju Cesare? Żeby zadbać o to, by Iole nic się nie stało?

Skinęła głową w nadziei, że zauważy to, mimo gęstych ciemności.

– W pewnych okolicznościach można dotrzeć do tych współrzędnych – powiedział cicho. – Być może – naprawdę być może – wciąż są gdzieś jeszcze dokumenty mojego brata.

– Cesare by je znalazł – odpowiedziała. Ale przypomniała sobie swoją rozmowę z Alessandro podczas lotu i pytanie, które sobie zadali: „Jak to możliwe, że Iole mogła zabrać zdjęcie, a Cesare nie odkrył pozostałych, leżących na biurku Ruggero Dallamano?”

I nagle odkryła, jak brzmiało pytanie, które powinni byli sobie postawić. „Gdzie, u diabła, właściwie znajdowało się to biurko?” W jakimś miejscu w domu Dallamanów, o którym Cesare do dzisiaj nic nie wie? Iole musiała tam być na chwilę przed porwaniem.

Tylko jeden człowiek mógł w tym momencie udzielić jej odpowiedzi na to pytanie.

– Czy myśli pan, że te dokumenty wciąż tam są? – szepnęła. – W willi pana brata?

– Tak. Ale ja nie mogę tam wrócić, bo w najkrótszym możliwym czasie znajdą mnie i zabiją. Myślisz, że w przeciwnym razie tak długo bym zwlekał?

– Ja mogłabym tam pójść – powiedziała. – Mogłabym poszukać papierów pana brata. I współrzędnych.

– Tak – powiedział po długim milczeniu. – Możliwe, że mogłabyś to zrobić.

OBIETNICA

W drodze powrotnej także musieli przesiadać się w Rzymie. Na lotnisku dowiedzieli się jednak, że ich samolot do Katanii został odwołany. Kontrolerzy lotów wciąż strajkowali i nie było możliwości, by tej nocy dostać się na Sycylię.

Bładym świtem Rosa obudziła się na plastikowych siedzeniach w hali odlotów. Dźwięk głośników wyrwał ją z dziwacznych snów. Leżała z podkurczonymi nogami w poprzek dwóch krzeseł, z głową na udzie Alessandra. Spał na siedząco, ale też już się obudził. Zobaczyła teraz nad sobą jego oczy w ciemnej oprawie. Potem pocałował ją delikatnie w rozczochrane włosy i wymamrotał coś nieromantycznego o jednorazowych szczoteczkach do zębów w toaletach.

Trzy godziny później wylądowali w Katanii. Nie szukali na parkingu samochodu Carnevarów – wzięli auto z wypożyczalni.

Podróż na wybrzeże do Syrakuz trwała pełną godzinę i dopiero teraz, po setkach prób, zdołała się dodzwonić do Zoe.

Głos jej siostry brzmiał okropnie, był właściwie tylko szeptem i przez chwilę Rosa obawiała się, że Zoe została porwana przez ludzi Cesare.

– Wszystko u ciebie w porządku? – zapytała Zoe. – Co się stało?

– Nic mi nie jest.

– Alessandro Carnevare jest z tobą?

Nie widziała sensu, by kłamać.

– Tak.

– Lilia nie żyje.

Rosa zacisnęła pięści. Przez jej wargi nie przeszedł żaden dźwięk.

Inny czas, inne miejsce. Także wtedy rozmawiały ze sobą

przez telefon. Zoe dzwoniła do niej po tym, jak wyszła z kliniki. Powiedziała, jak bardzo jej przykro. Że Rosa wkrótce zapomni o bólu i żalu i że wszystko będzie dobrze.

Ale nie nie było dobrze. Rosa znienawidziła siostrę za powierzchowną otuchę, tak jak nienawidziła każdego, kto dobrze jej radził. Współczucie. Kondolencje. To wszystko miało dla niej jałowy posmak, którego od tej pory chciała oszczędzić innym.

– Podejrzewają, że to ty zastrześliłaś Tano Carnevare – powiedziała Zoe.

– Nie. Lilia to zrobiła. Ratowała mnie. Dlatego Cesare ją zabił.

Po drugiej stronie zapadło długie milczenie.

– Zoe?

Jej siostra zaczęła płakać.

– Lilia o wszystkim mi opowiedziała – powiedziała cicho Rosa. – Ja wiem.

Słuchała szlochania swojej siostry i przeklinała się w duchu, że nie umie wydusić z siebie żadnego słowa pocieszenia. Potem poczuła palec Alessandro na grzbiecie swojej dłoni i chwyciła go na ślepo.

W tle rozbrzmiewał głos Florindy. Cichy i przerażająco twardy. Zoe z wysiłkiem zdołała się opanować.

– Florinda chce z tobą rozmawiać – powiedziała, a po krótkim wahaniu dodała: – Nie wolno ci wracać do domu. Trybunał dynastii... – przerwała, w głośniku coś zaszumiało, a potem głos Florindy zapytał: – Rosa, wszystko w porządku?

– Tak. Fajna pogoda.

– Zoe mówi, że o wszystkim ci powiedziała. Ale, uwierz mi, nie mogła ci powiedzieć o wszystkim. Jest jeszcze coś, o czym musisz wiedzieć.

– TABULA – powiedziała Rosa ochryplym głosem. –
Prawda?

– Wiem, co myśli Cesare – odparła Florinda po chwili milczenia. – Od lat pojawiają się te same zarzuty. W swojej niechęci jest tak cholernie pozbawiony wyobraźni.

– Czy to prawda?

– Cesare kłamie za każdym razem, kiedy otwiera usta. Mówi bardzo dużo – na przykład, że zastrzeliłaś jego syna.

– Zrobiłabym to, gdybym to ja miała broń, a nie Lilia.

– Gdzie teraz jesteś?

– Dlaczego chcesz to wiedzieć?

– Rosa, gdzie?

– W samochodzie. Muszę jeszcze coś załatwić, a potem przyjadę do domu.

– Wierzysz Alessandrowi Carnevare bardziej niż mi?

Rosa westchnęła.

– Ile razy się widziałyśmy, Florindo? Trzy? Cztery? Lepiej znam sprzątaczkę w pałacu niż ciebie. – Przypuszczała, że ciotka wejdzie jej w słowo, ale Florinda milczała. – A co do Alessandra: wyjaśnił mi kilka spraw, o których powinnam była się dowiedzieć od ciebie. To przemawia na jego korzyść, nie sądzisz?

– Nie uwierzyłabyś mi, gdybym opowiedziała ci wszystko za jednym zamachem. Poza tym, twój stan był...

– Kazałam zabić moje dziecko. Jeśli dałam sobie z tym radę, uporam się także z informacją, że w każdej chwili mogę się zmienić w cholernego węża. – Nawet w połowie nie wypadło to tak ironicznie, jak planowała.

– Nie dałaś sobie jeszcze z tym rady. To dlatego do nas przyjechałaś, już nie pamiętasz?

Zamknęła oczy, żeby się uspokoić. Zimno, z naciskiem,

wycodziła:

– Jest jeszcze coś, co muszę zrobić. Ale jeśli ten trybunał decyduje o rzeczach, które przypuszczalnie zrobiłam, lepiej będzie, jeśli się tam zjawię.

– Nie – powiedziała Florinda zdecydowanym głosem. – Załatwimy to. Posłuchaj mnie teraz uważnie, Rosa. Wpływy Cesare mają swoje granice. Będzie tak: trybunał nas uniewinni, ponieważ konkordat został złamany nie przez Alcantarę, a przez osobę z zewnątrz. Lilia nie działała na nasze zlecenie. – I dodała zimno, odwracając się od słuchawki: – I, prawdę mówiąc, nie znam jej zlecniodawców.

Rosa zacisnęła dłonie w pięści.

– Nie powiedziałaś tego serio, prawda?

– Uważaj, co...

– Małpa.

Florinda głośno nabrała powietrza, w jej głos wkradł się niebezpieczny syk.

– Zatem nie możemy być pociągnięci do odpowiedzialności. Cesare jeszcze o tym nie wie, ale większość ludzi, którzy przy tym byli, będzie zeznawać na twoją korzyść.

Rosa zrozumiała, co to oznacza.

– Macza w tym palce Pantaleone.

– On wciąż jest *capo dei capi*. I przyjacielem Alcantarów.

Alessandro położył jej rękę na udzie i wskazał na szybę. Samochód skręcił w wypiełgnowaną aleję dębów. Za drzewami widać było barokowe wille, fasady z misternymi rzeźbami. Jesteśmy na miejscu – wyczytała z ruchu jego warg. Skinęła głową.

– Mimo to powinnam przy tym być – powiedziała do Florindy. – Na wypadek gdyby trybunał nie uwierzył twoim przekupionym świadkom...

– Wtedy na pewno nie uwierzy tobie. Ale jedno i drugie będzie bardzo przekonujące. Poza tym mamy dowody, że broń należała do Lilii.

– Jakie dowody?

– Wyjaśnij jej to, Zoe. – Florinda przekazała telefon. – Lilia kupiła go legalnie, na umowę i wszystko inne. Nie chciała mieć nic wspólnego z naszymi interesami. – Głos Zoe znów zaczynał się trząść.

– Nie powinnaś teraz tutaj przyjeżdżać. – W telefonie znów zabrzmiał głos Florindy. – Nie dopóki ta sprawa nie zostanie załatwiona. Trybunał dynastii zbierze się jutro o świcie. Zoe i ja pojedziemy tam i będziemy bronić naszej rodziny. Cesare poniesie klęskę, ale trybunał osłodzi mu ją, doradzając Carnevarom jego wybór na nowego *capo* – którym, ściśle mówiąc, jest w istocie od kilku lat. Ani baron, ani twój przyjaciel nie chcieli tego przyjąć do wiadomości.

– Jutro ogłoszą Cesare nowym *capo*? Czy to pewne?

– Może się tak zdarzyć.

Jeśli na cześć nowej głowy rodziny rzeczywiście miało się odbyć polowanie na Iole, nie pozostało im już wiele czasu.

– Muszę kończyć – powiedziała.

– Rosa, proszę, nie przyjeżdżaj tutaj. Obiecuj mi to.

– Co byłaby warta taka obietnica – odparła gorzko – skoro wszyscy jesteśmy wobec siebie tacy szczerzy?

– Obiecałam Pantaleone, że będę cię chronić przed każdym niebezpieczeństwem. I zamierzam się tego trzymać.

Jaki miał w tym interes ten stary człowiek z leśnej chaty? I co dokładnie jej powiedział? Nie pamiętała już ich spotkania, za dużo wydarzyło się od tamtego czasu.

– W porządku – powiedziała cicho. – Jeśli naprawdę tego chcecie, na razie nie wrócę do domu.

Florinda odetchnęła.

- Nie chcę, żeby coś ci się stało.
- Ty tego nie chcesz czy Pantaleone? – rzuciła do telefonu, rozłączyła się i z ulgą pozwoliła komórce opaść na kolana.
- To musi być tam – powiedział Alessandro.

* * *

Willa Dallamano stała na końcu alei, na niskim wzgórzu, z którego widać było wybrzeże i połyskujące morze. Dojazd prowadził przez ogród w stronę potężnego portalu. Wysokie palmy i sosny rzucały cień na odnowiony, pełen przepychu budynek.

Brama na dole przy ulicy była otwarta. Obok niej wisiała mosiężna tablica.

- Biblioteka naukowa? – zapytała Rosa ze zdziwieniem.
- Taki los spotyka nieruchomości mafii, kiedy zajmie je państwo – wyjaśnił Alessandro. – Zwykle przeznaczają się do użytku publicznego. Nie było spadkobierców, więc willa Dallamano najwyraźniej przypadła władzom prowincji. To niezły kęs. Sama działka musi mieć wartość rezydencji.

Przed wejściem rozmawiało dwóch starszych mężczyzn. Jeden miał w dłoni kilka kartek papieru, drugi – parę książek.

Westchnęła cicho.

– Nigdy nam nie uwierzą, że chcemy tu prowadzić badania naukowe.

– Wrócimy więc, kiedy się ściemni. Lepsza biblioteka niż bank. Ten dom nie ma najlepszych zabezpieczeń.

Rzuciła mu pełne sceptycyzmu spojrzenie.

Uśmiechnął się.

– Jesteśmy gangsterami, prawda? Do czegoś to musi się

przydać.

Skręcił kierownicę przed podjazdem i na następnym skrzyżowaniu wybrał drogę w stronę centrum miasta.

Po drodze Rosa powtórzyła mu, co Florinda powiedziała o trybunale i o mianowaniu Cesare na *capo* Carnevarów.

– To oznacza – zakończyła swoją relację – że czas ucieka.

– Jutro w nocy – wymamrotał z zaciśniętymi wargami. – Cesare chętnie poluje w ciemności.

– Jak zamierzasz się dowiedzieć, gdzie odbędzie się polowanie?

Po krótkim wahaniu powiedział:

– Mężczyzna z wyspy, dozorca zwierząt... wciąż leży w szpitalu. A ja wiem, w którym.

Brew Rosy powędrowała w górę.

– Nie był przecież aż tak ciężko ranny.

– Nie kiedy kapitan i jego ludzie zabrali go na pokład.

– Dałeś im rozkaz, by...

– On chciał cię zabić – powiedział to z taką pogardą, że na chwilę odebrało jej mowę. – Gdyby tam na wyspie coś ci się stało, nie kazałbym go pobić. Zabiłbym go własnymi rękami.

Już dawno pojęła, co na Sycylii oznacza bycie członkiem Cosa Nostry, ale wciąż jeszcze się do tego nie przyzwyczaiła.

– Dowiem się, gdzie jest – powiedział. – Ty zdobyłaś informację, gdzie powinniśmy szukać dokumentów Dallamano, a ja znajdę Iole.

W centrum Syrakuz zatrzymał się przed jedną z ostatnich czynnych budek telefonicznych, niedaleko Piazza Duomo. Kazał Rosie poczekać w samochodzie.

– Do kogo dzwonicz?

– Do kapitana statku. Powinien zająć się mężczyzną w szpitalu.

– Jest jeszcze po twojej stronie?

Alessandro wzruszył ramionami.

– Szczerze? Nie mam pojęcia. Stopniowo ubywa nam sojuszników.

Rozmowa trwała blisko dziesięć minut. Rosa przyglądała mu się przez szybę w zamyśleniu – jego piękna twarz, która teraz przybrała tak zacięty wyraz, rozczochrane brązowe włosy, ostro zarysowany profil. Wyglądał na spiętego, a mimo to promieniował pewnością siebie, która ją zaskakiwała, a jednocześnie napawała lękiem. Nie przed nim, o niego. Przez całe życie miał potężnych wrogów, którzy tylko czekali, aż popełni błąd.

W końcu ruszył z powrotem do samochodu.

– Jeśli dozorca zwierzą wie, gdzie odbędzie się następne polowanie, dowiemy się tego najpóźniej jutro rano.

Dreszcz przeszedł jej po plecach. Zamaskowała swoje uczucia kiwnięciem głowy, odchyliła się w fotelu i z bijącym sercem czekała, aż zapadnie zmrok.

UKRYTY POKÓJ

Po zapadnięciu zmierzchu wspięli się po płocie willi i zbliżyli do budynku, kryjąc się w krzewach i wierzbach. Za oknami nie paliło się żadne światło, ostatni pracownik opuścił bibliotekę krótko po ósmej. Przez ostatnie dwie i pół godziny żaden inny samochód nie zbliżył się do końca dębowej alei.

W milczeniu przecięli wąski pas trawnika i dotarli do palm, które rosły dookoła domu. Okrążyli budynek, aż znaleźli się na jego tyłach. Znajdował się tu szeroki taras z widokiem na skaliste wybrzeże. Daleko w morzu, na niewidzialnej granicy między oceanem a gwiazdzistym niebem, bujały się światła frachtowca.

Z basenu Dallamanów już przed laty spuszczonego wodę. W wielkich koszach z terakoty stały zmarniałe rośliny. Stos półek do regałów piętrzył się pod ścianą domu. Wcześniej, kiedy mieszkała tu rodzina, budynek z pewnością był pod stałą obserwacją, dzisiaj brakowało nawet alarmu. Przypuszczalnie nikt nie liczył się na poważnie z kradzieżą encyklopedii i dzieł zebranych.

Gdzieś w oddali zaszczekał pies, dalej w górę drogi, na jednej z graniczących z budynkiem działek willowych.

Po południu Alessandro kupił w mieście długi śrubokręt, gumowy młotek i kieszonkową latarkę. Teraz bez wysiłku wspiał się do jednego z wysokich okien na parterze.

- To nie był twój pierwszy raz, prawda? – szepnęła Rosa.
 - Kiedy dorasta się w zamku pełnym mafiosów, można się nauczyć różnych dziwnych rzeczy.
 - Jakie to praktyczne.
 - Powiedziałaś mi, że umiesz włamywać się do aut.
- Wzruszyła ramionami.

– Brooklyn.

Ostrożnie wspięli się do środka. Rosa popchnęła za sobą okno, aż bezgłośnie dotknęło ramy.

Jedynymi jasnymi punktami wewnątrz domu były tablice nad drzwiami awaryjnymi. Alessandro włączył latarkę. Jej światło przesunęło się po regałach z książkami, po freskach na ścianach i kilku kamiennych popiersiach figur stojących na postumentach.

Cicho przemknęli przez dolne pokoje. Wszędzie przyjemnie pachniało starym papierem.

Poruszali się zgodnie ze wskazówkami, które dał Rosie Augusto Dallamano. Znaleźli drzwi prowadzące do piwnicy, a u podnóża schodów przejście do przepelnionego pomieszczenia gospodarczego. Wszystko tu było zawałone książkami, zakurzonymi foliałami i kartonami. W świetle kieszonkowej latarki weszli do trzeciego pomieszczenia i szybko znaleźli w podłodze wielką kratę odpływową. Alessandro wykręcił śruby, odciągnął ją na bok i bez wahania wsadził rękę w ciemny prostokąt. Rosa przyglądała się, jak bada ręką ściany wąskiego szybu, w końcu znajduje otwór i – zgodnie z instrukcją – naciska na dźwignię. Wcześniej mechanizm działał na pilota, ale ten zaginął razem z resztą rzeczy należących do rodziny. Ta prowizorka w zupełności im jednak wystarczyła.

Alessandro cicho zaklął, kiedy naciskał na dźwignię. Próbował kilka razy, zanim wpadł na pomysł, by zrobić to stopą. W istocie, dźwignia okazała się pedałem, który mógł nacisnąć czubkiem stopy i pociągnąć w dół.

Rozległ się zgrzyt, a potem z warkotem obudził się do życia ukryty w ścianie silniczek. Chwilę później w wyłożonej kafelkami tylnej ścianie pomieszczenia ukazał się prostokąt wielkości drzwi.

Panowała w nim ciemność, co zrozumiała, zważywszy na to, że znajdowali się pod ziemią. Dopiero po przyjrzeniu się stalowemu sercu mechanicznych drzwi przesuwnych Rosa zrozumiała, że nie chodzi tu tylko o ukryty pokój.

To był bunkier. Prywatny bunkier przeciwoatomowy, jeden z wielu, jakich budowę możni tego świata zlecali w swoich posiadłościach w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych minionego stulecia. Później, kiedy strach przed wojną nuklearną zniknął, Ruggero Dallamano zmienił jego przeznaczenie i przekształcił go w swoje drugie biuro. Z pewnością nie kierował stąd swoimi legalnymi projektami budowlanymi, ale tymi, które uczyniły z niego jednego z najbardziej wpływowych *capi* na Sycylii.

Dziewięcioletnia Iole musiała wiedzieć o tej kryjówce. Prawdopodobnie schowała się tu podczas masakry na Dallamanach. Rosa mogła tylko przypuszczać, jak udało jej się opuścić tę kryjówkę z dwoma zdjęciami. Być może myślała, że mordercy rodziców już uciekli i wpadła prosto w ich ręce. Pewne było, że Carnevarowie nie odkryli bunkra, w przeciwnym razie na pewno by go splądrowali.

Alessandro skierował strumień światła w głęboką ciemność.

– Wchodzimy?

Pierwsze z dwóch pomieszczeń było pełne biurowych szaf z segregatorami, z których wysypywały się dokumenty, wycinki z gazet i zaświadczenia. Rosa rzuciła przelotne spojrzenie na kilka z nich, ale nie rozpoznała żadnego nazwiska, więc weszła za Alessandrem do drugiego pomieszczenia.

Ręką wyczuła na ścianie włącznik światła. Rozbłysły jarzeniówki, rozświetlając skąpą instalację pod sufitem.

Jeszcze więcej szaf, część pootwieranych, skórzany fotel,

kilka oprawionych w drewniane ramy rodzinnych zdjęć, w tym dziecka z dużymi oczami i radosnym uśmiechem. Na środku pomieszczenia stało duże biurko.

– Naprawdę wygląda tu tak, jakby od lat nikt nie wchodził za te drzwi – szepnęła Rosa.

Przewrócone obrotowe krzesło leżało na ziemi. Na stole stało kilka oprawionych w drewno fotografii Ruggero Dallamano i jego rodziny. W takiej samej ramie znajdowało się zdjęcie dwóch płetwonurków, za którym Iole ukryła fotografię pomnika. Na środku leżał gruby notatnik z solidnego kartonu. Był zamknięty, a spomiędzy kartek wystawała końcówka długopisu. Wszędzie wkoło leżały zdjęcia, kilka z nich przedstawiało tylko rozmyte plamy ciemnego jak noc tła.

Neonowe lampy wydały z siebie trzaski. Ich brzęczenie nagle umilkło. Światło zgasło.

Rosa zaklęła. Alessandro oświetlił drzwi. W żółtym strumieniu światła tańczyły drobinki kurzu. Także w przedsionku i dalej, w pomieszczeniu gospodarczym, panowały egipskie ciemności.

– Bezpieczniki? – szepnęła.

– Tu, w dole, musi być generator. Prawdopodobnie od lat nie był poddawany konserwacji. W przeciwnym razie światło włączyłoby się po chwili.

Głęboko nabrała powietrza i dopiero teraz zorientowała się, jak było stęchłe. Po krótkim zastanowieniu chwyciła notatnik i większość zdjęć, nie przeglądając ich. Snop światła, który Alessandro skierował na drzwi, nie wystarczył, by dostrzec coś na odbitkach.

– Wynośmy się stąd – powiedziała, przycisnęła do siebie zeszyt oraz zdjęcia i przesunęła dłonią po biurku.

Alessandro pierwszy podbiegł do drzwi, po krótkim

nasłuchiwaniu ruszył do przedsionka, a potem przez drzwi bunkra do piwnicy. Rosa trzymała się blisko niego. Chciała biec dalej, kiedy Alessandro zatrzymał się, wsunął nogę w kanał odpływowy i nacisnął na pedał. Przesuwne drzwi niemal bezgłośnie zamknęły się za nimi.

– Ktoś jest na górze – szepnął.

Ona też słyszała te odgłosy.

Alessandro ukucnął. Wolną ręką ułożył kratę z powrotem na studziencie. Nie było już czasu na jej przykręcanie. Zamiast tego wrzucił śruby do szybu i ustawił na wierzchu jeden z kartonów z książkami.

– To musi wystarczyć.

Rosa zastanowiła się, czy nie zdeponować notatek Dallamano gdzieś w piwnicy, ale zdecydowała, że zabierze je ze sobą. Umierała z niecierpliwości, by się dowiedzieć, co odnalazł na dnie morza, a poza tym te informacje miała wymienić za Iole. Niezależnie od tego, kto skradał się na górze w willi, nie mógł ich teraz zatrzymać.

Alessandro wyłączył kieszonkową latarkę i chwycił Rosę za ramię. Po omacku poruszali się w piwnicznym korytarzu. Schody na jego końcu odznaczały się prostokątami z pasków o różnej jasności. Błede nocne światło odbijało się od marmurowych stopni.

Nikt nie schodził nimi do piwnicy. Ktoś na górze przeszedł obok schodów.

Ostrożnie przemykali dalej. Alessandra wsunął wyłączoną latarkę za pasek spodni i wyciągnął śrubokręt, którym wcześniej otworzył okno. Trzymał go przed sobą niczym nóż. Rosa wrzuciła zdjęcia między kartki notatnika, by móc nieść wszystko w jednej dłoni. Wzięła od Alessandra gumowy młotek i zważyła go w dłoni. Nie był tak dobry, jak jej zszywacz, ale

lepsze to niż nic.

Rzucił jej przelotne spojrzenie, ale w ciemności ledwo mogła go dostrzec. Jeszcze przez chwilę nasłuchiwali przy schodach, a potem ostrożnie stawiając kroki, rozpoczęli wspinaczkę.

By dojść do okna, którym dostali się do środka, musieli przejść przez kilka pomieszczeń. Światło księżyca wcinało się w głęboką ciemność pomiędzy regałami.

Rozległo się pstryknięcie, jakby tajemniczy gość szybko dwukrotnie nacisnął na włącznik. Ktoś majstrował przy bezpiecznikach, jeden, dwa pokoje od nich. Prawdopodobnie dlatego wyłączyło się światło w piwnicy.

Niezauważeni dotarli wreszcie do pokoju z otwartym oknem. W dalszym ciągu było uchylone. Ktokolwiek znajdował się w domu, prawdopodobnie wszedł do niego inną drogą.

Rosa pociągnęła do siebie rączkę. Chłodny powiew powietrza od morza wpadł do środka. Zeszyt i młotek położyła na zewnątrz na parapecie i wspięła się na niego. Alessandro podążył za nią.

Czyjś głos, gdzieś w domu. Potem krótki, stłumiony odgłos. Drugi głos zaklął.

Rosa jęknęła.

– Czy to był strzał?

W świetle księżyca Alessandro wydawał się jeszcze bledszy niż zwykle.

– Idź – wyszeptał, zgiął się i chwycił przegub jej dłoni.

Jego dotyk przyniósł jej ulgę, powiew ciepła w kostniejącym zimnie, które znów zaczęło opanowywać jej ciało. Ale tak nie mogła biec, więc odsunęła jego ramię i krótko potrząsnęła głową. Razem ruszyli do przodu, obok palm, które nie dawały im wiele schronienia, a potem po wysuszonym

trawniku.

Za ich plecami zabrzmiały głosy, tym razem na zewnątrz.

Krzewy na granicy działki zaszumiały. Za nimi znajdował się płot.

Nagle pojawiło się tam coś jeszcze. Długi, czarny cień, pełznący po wyschniętej trawie niczym strumyk gęstego oleju.

– Lamie! – szepnął Alessandro.

Odgłos z domu powtórzył się dwukrotnie.

Bezpośrednio przed nimi wyrosły z ziemi dwa krateru wielkości pięści.

– Stać – powiedział męski głos.

Rosa odwróciła się i cisnęła młotkiem.

ZDRADA

Ochroniarz miał na sobie czarną narciarską maskę z okularami. Musiał zobaczyć ruch Rosy, ale było za ciemno, a młotek leciał zbyt szybko, by mężczyzna zdążył się uchylić. Twarda gumowa główka z okropnym odgłosem trafiła go w twarz i odrzuciła do tyłu na ziemię. Rewolwer wypadł mu z dłoni, a on wydał z siebie zduszony jęk.

Drugi mężczyzna, podobnie zamaskowany, zaklął, wypalił drugi raz w trawę przed Alessandrem i zbliżył się do nich szybkimi krokami.

– Odejdź od dziewczyny! – krzyknął do Alessandra. – Ale już!

Rosa prawdopodobnie zmiażdżyła pierwszemu oprawcy czaszkę, a na pewno złamała mu nos. Mimo to jakby nic nie czuła. To wszystko nie pasowało do siebie – przemykające po trawie cienie, wycelowana w nią broń.

Alessandro stanął przed Rosą i ochronił ją swoim ciałem. Nie zdradzał żadnej woli, by wykonać polecenie mężczyzny.

– Stań za mną – szepnął przez ramię.

Na jego kark wtargnęła czerń, gruba, ciemna sierść pantery.

– Co tam masz? – zapytał mężczyzna.

– Śrubokręt – warknął Alessandro.

– Nie ty, ona!

– Nic – odpowiedziała Rosa z nadzieją, że zamaskowany człowiek blefuje i że nic nie widział.

– Daj te papiery.

– Nie. – Jeśli odda papiery Dallamano, Iole będzie zgubiona. To o to tu chodziło. Nie o jej życie, nie o życie Alessandra, a o to, żeby nie przeciąć tej cienkiej nici, na której zawieszony był los Iole.

Ranny mężczyzna leżący na ziemi dotknął dłonią swojej twarzy i ponownie krzyknął. Chciał zderzyć z siebie maskę narciarską, ale to tylko pogłębiło jego ból.

Drugi mężczyzna stał mniej więcej dwa metry od Alessandra i Rosy.

– Daj mi te rzeczy – zażądał ponownie – albo przestrzele twojemu przyjacielowi kolano.

Rosa wystąpiła o krok spod osłony Alessandra i pokręciła mocno głową, kiedy chciał się przesunąć w jej stronę.

– Nie – powiedziała.

Za nimi, pomiędzy krzewami, rozległo się syczenie i szelest.

Rosa nie obejrzała się, nie spuszczała wzroku z człowieka z bronią. Odgłos pełzania rozległ się na nowo.

– Florinda.

Była taka głupia. Jej ciotka przetrzymała ją na telefonie, żeby namierzyć lokalizację komórki. Uprzejma usługa sieci komórkowej, nic wielkiego.

– Florinda! – zawołała ponownie i skłamała: – Wiem, że to ty. I że on nie chce mnie zastrzelić.

– Nie ciebie – powiedział mężczyzna, szczerząc się w przesadnym uśmiechu. – Ale tego Carnevale, jeśli tylko ruszy powieką.

Rosa stanęła przed Alessandrem. Wciąż miał ludzką postać, ale czuła, że pod ubraniem rośnie sierść, napierając na dzinsy i koszulkę.

Podeszła do mężczyzny, dokładnie pilnując, by pozostawać na linii strzału między nim a Alessandrem. Spokojnie wysunęła w jego stronę zeszyt.

– Nic mu pan nie robi.

Mężczyzna wyciągnął rękę, by zabrać od niej dokumenty.

Za nim jego kolega z wysiłkiem próbował się pozbierać, z obiema dłońmi przyciśniętymi do twarzy.

– Dziwka – wymamrotał stłumionym głosem i spomiędzy palców wypatrywał swojego zgubionego rewolweru.

– Należycie do mojego klanu – powiedziała zimno. – A Florinda nie będzie nim wiecznie rządzić.

Mężczyzna spojrzał na nią z niecierpliwością. Jeszcze jeden krok.

Za nią Alessandro wydał z siebie zwierzęce warczenie.

Facet wzdrygnął się, opuścił na chwilę rewolwer – a Rosa rzuciła się na niego.

Strzał. Zeszyt i zdjęcia frunące na wietrze. Rosa rozorała paznokciami jego twarz, siłą rozpędu odrzuciła go do tyłu i jednocześnie wbiła mu kolano między nogi.

Żaden z tych manewrów nie udałby się jej, gdyby naprawdę chciał ją zastrzelić. Musiał otrzymać jednoznaczne rozkazy. Rycząc ze złości i z bólu, zwinął się. Rosa puściła go i drugi raz uderzyła go kolanem, tym razem w podbródek. Niespecjalnie konkretnie, ale na tyle silnie, by krzyknął, kiedy trafiła go w szczękę.

Alessandro przemknął obok niej, wciąż jeszcze w ludzkim ciele, ale pokryty czarnym futrem, także na twarzy, i rzucił się na pierwszego z mężczyzn. Kątem oka Rosa zobaczyła, jak ten upadając, pociągnął za sobą Alessandra. W tym samym momencie pozbierał się jednak jej przeciwnik i wymierzył Rosie tak silny cios w skronie, że zrobiło jej się ciemno przed oczami.

Kiedy odzyskała świadomość, zaledwie kilka uderzeń serca później, leżała na ziemi, podczas gdy mężczyzna zbierał zeszyt i rozrzucone wkoło zdjęcia. Nie widziała Alessandra, chciała usiąść, ale potwornie bolała ją głowa. Słyszała odgłosy walki, a potem znów syczenie i szelest, który stawał się coraz

głośniejszy, zbliżał się.

Alessandro zawołał alarmująco i Rosa zmusiła się, by ukucnąć. Mężczyzna z bronią miał już wszystkie zdjęcia, wsunął je z powrotem do zeszytu, odwrócił się i zaczął biec.

– Nie! – krzyknęła.

Gadzie zimno oblało ją od stóp do głów. To jeszcze nie wystarczało. Znowu, do cholery!

Wtedy jej wzrok padł na rewolwer pierwszego mężczyzny, który leżał teraz bezradnie na plecach. Klęczał na nim Alessandro, półczłowiek, półpantera, z głową odrzuconą na kark, szeroko otwartymi ustami – za szeroko, z o wiele zbyt szpiczastymi zębami – i był bliski wbicia kłów w gardło swojej ofiary.

Rosa zawołała jego imię, próbując na czworakach dosięgnąć rewolweru. Krew jego ofiary zdawała się tylko bardziej rozwścieczać Alessandra. Zobaczyła, jak jego T-shirt rozdziera się na plecach.

– Alessandro! Nie!

Nie była pewna, dlaczego chciała go powstrzymać. Mężczyźni grozili jej i strzelali do Alessandra. Zabicie ich obu wydawało się jej sprawiedliwe i to poczucie rosło, w miarę jak węzowe zimno we wnętrzu obejmowało także jej myśli i wnikało w zdolność odróżniania dobra od zła. Klęczała na ziemi z ciężkim rewolwerem w dłoni i celowała w mężczyznę z dokumentami. Zobaczyła go w świetle księżyca, jak podbiega do krzewów i płotu, idealnie na linii strzału. Na masywnej lufie tkwił tłumik.

Palec wskazujący Rosy zadrżał na spuście. Zimno wypierało jej skrupuły, ale resztką rozsądku podpowiadała, że nie należy strzelać człowiekowi w plecy.

A przecież chciała go zabić. By uratować Iole i za to, co

zrobił. Za ten cios, za jej ból. Za to, co chciał zrobić Alessandrowi. Przede wszystkim jednak dlatego, że jego mogła zabić, podczas gdy inni, którzy zasłużyli na jej prawdziwy gniew, wyślizgiwali się jej niczym wąż z cienia.

A potem znów zarejestrowała trzask suchej trawy, po której coś do niej pełzło, i uświadomiła sobie, że minęły tylko dwie, trzy sekundy, a wąż coraz bardziej się zbliżał.

Szybko się odwróciła, wyciągnęła przed siebie broń i wycelowała ją pomiędzy bursztynowe oczy ogromnego gada.

Czas się zatrzymał. Jej ciało było niczym z kamienia, krew niczym lodowata woda. Broń nie poruszała się ani o milimetr. Nawet jej palec wskazujący przestał się trząść.

Wąż wpatrywał się w nią połyskującymi, ciskającymi iskry oczami. Jego rozwidlony język dotknął lufy rewolweru, przesunął się raz dookoła niej.

Mogę to zrobić. Mogę to teraz zrobić i wtedy wszystko się zmieni, pomyślała.

Ale kątem oka dostrzegła coś jeszcze.

Alessandro zębami wyrwał rannemu mężczyźnie krtań i triumfalnie trzymał ją między swoimi kocimi zębami. W końcu odrzucił trofeum i wydał z siebie ogłuszający ryk zwycięstwa.

W jednej chwili nienawiść Rosy i żądza mordy opadły. Opuściła broń. Wąż błyskawicznie prześlizgnął się przez trawnik za drugim z mężczyzn i zlał się z cieniem.

Rosa kucała na ziemi z rewolwerem na kolanach, opuszczoną głową i nie mogła pozbierać myśli. Być może minęły minuty, podczas gdy ona przeciągała po broni swoimi białymi palcami i czekała, aż ciepło przywróci jej to, co dawno temu wyparła – proste, podatne na zranienie człowieczeństwo.

Podszedł do niej od tyłu i delikatnie dotknął jej ramienia. Kiedy spojrzała na niego, spodziewała się zobaczyć umazany

krwią pysk pantery. Zamiast tego zajrzała w jego piękne zielone oczy, przerażająco smutne i pełne wyrzutów sumienia. Ponownie zadrżała, nie z zimna, a ze strachu, złych przeczuć i bezsilności. Był znów sobą, w podartym T-shircie i z zakrwawionymi wargami.

– Uciekli – powiedział i ukląkł obok niej, bardzo mocno otaczając ją rękami i przyciągając jej twarz do swojego ramienia. – Wszystko zabrali.

Płakała w podarty materiał jego T-shirtu, czuła gorące łzy pomiędzy swoimi policzkami a szyją Alessandra. Słuchała pulsowania tętnicy i czuła szybkie, wzburzone bicie jego serca.

SPADKOBIERCZYNI

Alessandro skręcił w podjazd do *palazzo* Alcantara. Obaj strażnicy zlustrowali go podejrzliwie wzrokiem, kiedy zauważyli Rosę. Siedziała zwinięta na siedzeniu pasażera, z rozczochranymi włosami, brudną twarzą i pulsującą skronią, która nabrała ciemnej barwy po uderzeniu mężczyzny. Rosa dała im do zrozumienia, że wszystko jest w porządku.

Na jej kolanach wciąż leżał rewolwer. Jego ciężar chwiał poczuciem bezpieczeństwa, ponieważ przypominał, że wkrótce będzie musiała zacząć działać. Była prawie zdecydowana, żeby odebrać ukradzione zdjęcia. Ale jak daleko w to zabrnąć? Czy naciśnie na spust? Mogła zastrzelić wielkiego węża, ale nie zrobiła tego. Jednak jeśli wydarzenia z minionego roku czegoś ją nauczyły, to tego, że dobrze jest nie popełniać dwukrotnie tego samego błędu.

Przez dwa ostatnie kilometry przed *palazzo* nie zamienili ani słowa. Reflektory oświetlały przedni rząd drzew, wszystko, co znajdowało się za nimi, skrywała ciemność.

Rosa nie wiedziała, co przyniosą następne godziny. Następny dzień. Nie wiedziała nawet, co powiedzieć Alessandrowi na placu przed domem, jak go poprosić, by pozwolił jej wejść samej.

Wciąż niewiele rozumiała z tego, co się wydarzyło. Florinda musiała po południu pojechać ze swoimi ludźmi do Syrakuz. Pozostawało pytanie, co jej ciotka wie o Dallamano i o znalezisku na dnie morza. Czy między Lamiami i Panterami, między Alcantarami i Carnevarami istniało powiązanie, które oba klany za wszelką cenę chciały przemilczeć?

Coraz bardziej dochodziła do wniosku, że może działać tylko etapami. Pierwszym krokiem była sama Florinda. Lub

także – ciężko było jej to przyznać – jej siostra. W Syrakuzach widziała po prostu Lamię, kogoś, kto należał do jej dynastii. To nie musiała być Florinda. A przecież...

– Coś się pali – powiedział Alessandro.

W górze, na zboczu buchał ogień, wciąż jeszcze przykryty koronami drzew.

Kiedy podjechali na dziedziniec, niecka kamiennej fontanny stała w ogniu. Niczym stos pogrzebowy zalała fasadę *palazzo* blaskiem ognia i ożywiła stojące w niszach kamienne figury.

Alessandro w zółwym tempie przejechał obok szalejącego ognia.

– Co to jest?

– Ptasie gniazda – odpowiedziała bezgłośnie.

Rzucił jej z ukosa zdeorientowane spojrzenie.

– Kto pali takie coś w środku nocy?

– I dlaczego ten ktoś tak bardzo nienawidzi ptaków, że każe ściągać z drzew ich gniazda? – Florinda była dla niej zagadką. Od początku istniał między nimi niewidzialny mur.

Płomienie buchały na wysokość domu, trzeszczący sygnał dymny na ciemnym zboczu wzgórza. Musiały być widoczne z wielu kilometrów.

Oboje mieli te same myśli, patrzyli ponad drzewami oliwnymi na zachód, na krajobraz oświetlony światłem księżyca. Dopiero w dużej odległości świeciły się maleńkie światła gospodarstw i wsi.

Przed wjazdem na dziedziniec Rosa powiedziała:

– Wsiądę tutaj. Poczekasz na mnie?

– Co chcesz z nim zrobić? – Wskazał na rewolwer.

Niezdecydowana zważyła broń w dłoni, sama sobie wydała się niezgrabna i była gotowa zostawić go w samochodzie. Potem

jednak wsunęła rewolwer jednym ruchem za pasek swoich spodni. Zimny metal nieprzyjemnie uciskał jej kość biodrową.

– Zaraz wracam – powiedziała i wysiadła. Iskry trzaskały nad podjazdem, pachniało spalonymi gałęziami i liśćmi.

– Rosa – rozpoczął, a ona czuła, co zaraz nastąpi. – Nie mogę tu zostać. Widziałaś, co się stało. Widziałaś mnie. A na tym polowaniu będzie wielu gorszych ode mnie. Cesare jest tylko jednym z nich. – Potrząsnął głową. – Muszę tam iść sam.

Głęboko nabrała powietrza. Zastanowiła się, jak go zatrzymać, ale od razu wiedziała, że jej na to nie pozwoli. Na jego miejscu zrobiłaby to samo.

Silnik zawył, kiedy nagle dodał gazu. Drzwi wyslizgnęły się Rosie z dłoni, odprysnęły kamyki i kurz. Samochód, skręcając, podjechał do przodu, zakończył objazd wkoło płonącej fontanny i podążył w stronę wyjazdu.

Spojrzała za nim w bezruchu. O wiele za szybko wyprowadził samochód na drogę.

Jeszcze raz rozbłysły światła hamowania, pięćdziesiąt metrów od niej. Samochód zatrzymał się. Przez chwilę pomyślała, by za nim pobiec. Ale Alessandro tylko zamknął drzwi od strony pasażera i ruszył.

„Jeśli dozorca zwierząt wie, gdzie odbędzie się kolejne polowanie, dowiemy się tego najpóźniej jutro rano”, powiedział w Syrakuzach. Ale teraz zadawała sobie pytanie, czy kapitan jachtu nie zdradził mu wszystkiego już przez telefon. Alessandro musiał to wiedzieć przez cały czas i nie wspomniał o tym ani słowem. By ją chronić, cholera!

Za plecami Rosy iskry wzbijały się żarzącymi się korowodami po nocnym niebie.

– Ty cholerny idioto – szepnęła.

Tylne światła ostatecznie zniknęły za drzewami oliwnymi.

Rosa odwróciła się, przebiegła szybko przez rozżarzone powietrze w kierunku bramy i weszła na ciemny dziedziniec.

* * *

– Zoe?... Florinda?

Melancholijna cisza wraz z przesyconym węglem zapachem ognia zadomowiła się w salach i korytarzach *palazzo*. Kroki Rosy odbijały się od ścian. Wchodząc do pokoi, nie potrzebowała włączać żadnego z żyrandoli. W tej budowli nigdy nie było zupełnie ciemno, w wielu narożnikach wciąż paliły się lampy: stojące albo ściennie.

Nikogo nie było. Opuszczone salony i pokoje. Korytarz pusty. Także gabinet Florindy wypełniony był ciszą i cieniem.

Nie wróciły z Syrakuz. Ani Zoe, ani Florinda. Być może były już w drodze na trybunał. Albo to także było kłamstwo, które miało ją zwieść.

Sprawdziła łazienki, bibliotekę, a nawet kuchnię z otwartym paleniskiem. Powiew powietrza poruszał wiszącymi garnkami i patelniami. Rosa przestraszyła się raczej samej siebie niż ich podzwaniania – jej ręka szybko powędrowała na rękojeść rewolweru, jak gdyby rzeczywiście umiała się nim posługiwać.

W końcu odważyła się rzucić okiem do zamkniętej piwnicy. Ale jeszcze kiedy stała niezdecydowana na korytarzu na pierwszym piętrze i próbowała zwalczyć narastającą panikę, usłyszała wibrujący odgłos. Za jej plecami.

Przypomnienie w komórce.

– Pan?

Tylko kontur, ale mimo to go rozpoznała. Dopiero kiedy wszedł w zasięg światła nad stołem, zobaczyła również klapkę na oku i biały koński ogon, który niczym pajęcza nić zwisał nad

jego lewym ramieniem.

Salvatore Pantaleone, boss bossów, przywódca sycylijskiej mafii, ruchem ręki poprosił ją o cierpliwość. Zamiast do niej, odezwał się do komórki:

– Rozpoznaliście go?... Nie, działajcie dalej... Ale zanotujcie sobie numer... Oczywiście, właśnie ten!

Przerwał rozmowę, schował komórkę i uśmiechnął się do niej.

– Myślałam, że nie używa pan takich rzeczy.

– Okoliczności nie pozostawiają mi wyboru. W tej chwili wszystko dzieje się bardzo szybko.

Ruch, jakim odbezpieczyła rewolwer, musiał mu zdradzić, jak niewprawiona była w posługiwaniu się nim.

– Rosa, Rosa, Rosa – powiedział cicho. – Wchodzisz do tego domu z bronią, ale nieprzygotowaną do strzału. Przeszukujesz wszystkie pokoje i korytarze, ale nie zaglądasz w ciemne miejsca. I przychodzisz tutaj zupełnie sama, chociaż wiesz, co zrobiła Florinda i że rezygnując z ciebie, chce zrobić z Zoe swoją następczynię.

Podszedł do jednego z foteli, stylizowanego mebla ze złotymi nóżkami i czerwonymi jedwabnymi poduszkami i opadł na niego. Lustrował ją ostrym spojrzeniem swojego jedyne go oka.

– Florindy i Zoe tu nie ma – powiedział. – Już od wczoraj są w Syrakuzach. Stamtąd chciały jechać na miejsce, w którym zbierze się trybunał.

Obie?, pomyślała.

– Ułatwiłaś im to – mówił dalej. – Florinda jest cwana, powinnaś to już zauważyć. A Zoe, biedna Zoe... to wosk w rękach twojej ciotki. Florinda skusiła ją do przyjazdu tutaj obietnicami bogactwa i luksusu. Nawet po wszystkim, czego się

w tym czasie dowiedziała, wciąż nie straciła nadziei, że pieniądze mogą uczynić ją szczęśliwą. To chyba najbardziej tragiczne, nie uważasz? Florinda jest opętana, zupełnie jak jej matka, wasza babcia. Ale Zoe, łatwowna, uległa, wiecznie wykorzystywana Zoe wciąż goni swoje sny o szczęściu. – Zarozumiałstwo dodało jego słowom straszliwego brzmienia. – Florinda obiecała twojej siostrze, że uczyni ją swoją następczynią. Ale Zoe nigdy nie zrozumiała, co oznacza bycie przywódczynią klanu mafii i jednej z dynastii arkadyjskich. To ładna dziewczyna, niegłupia, ale tak przerażająco naiwna.

– Czego pan chce ode mnie? – zapytała Rosa.

– Na początek twojego zaufania.

– I sądzi pan, że najlepszą drogą do jego zdobycia jest atakowanie mnie w ciemności i opowiadanie wstrętnych rzeczy o mojej siostrze?

– Te wstrętne rzeczy, jak je nazwałaś... sama dobrze wiesz, że to prawda. Już dawno temu przejrzałaś Zoe, jej słabości, jej niefrasobliwość. Jeśli ktokolwiek rozumie, że ona nigdy nie byłaby kimś więcej niż tylko poprawną szefową, to jesteś to ty. Zoe pomiędzy *capi* wszystkich rodzin? Daj spokój, Rosa, równie dobrze moglibyśmy ją wrzucić do basenu pełnego rekinów i zobaczyć, co z niej zostanie.

– Czy Florinda wie, że sprzeciwia się pan jej planom?

– Oczywiście! Wciąż jest mi wierna, choć pełna pychy. Nie przyzna się, że popełniła błąd. Myśli, że ma jeszcze dużo czasu i może zrobić z Zoe kogoś, kim twoja siostra nigdy nie będzie...

Zaśmiała się gorzko.

– Ty się nie boisz. Poznałaś ciemne strony życia, nie załamałaś się, a urosłaś w siłę. Jesteś perfekcyjna, Rosa! Musisz się jeszcze wiele nauczyć, ale masz idealne warunki. Jesteś podobna do twojego ojca, o wiele bardziej niż Zoe, i możliwe,

że również to wzbudza we Florindzie wstręt. Nigdy mu nie wybaczyła, że dla twojej matki odwrócił się od klanu. Być może obawia się, że mogłabyś zrobić coś podobnego.

W ustach jej zaschło, dziąsła miała szorstkie niczym papier ścierny. Poczowała się chora, całkiem wyczerpana. A on bredził o perfekcji i dorastaniu.

– Pan oszalał.

W jednej chwili zerwał się z fotela i zrobiwszy kilka kroków, stanął przed nią. Wciąż trzymała w dłoni broń, ale on wiedział, podobnie jak ona sama, że nie naciśnie na spust. Podczas ich pierwszego spotkania w lesie uderzył ją, ale tym razem tego nie próbował. Po prostu spojrzał na nią swoim jedynym, arcycudzijnym okiem.

– Możesz mnie obrażać. Zoe nigdy tego nie zrobiła. Masz silną wolę, jesteś wojownicza. Nauczysz się jeszcze respektu i wielu innych rzeczy. Będę dla ciebie dobrym nauczycielem.

Był krępy, ale niewiele wyższy od niej i przy całej swojej masie – stary i wysuszony. Nie bała się go – dopóki pozostawał człowiekiem. Salvatore Pantaleone był jednak również Arkadyjczykiem i znów zadawała sobie pytanie, jaka bestia mogła w nim drzemać.

– Minęło już dużo czasu – powiedział – odkąd robiłem więcej niż tylko pociąganie za sznurki z ukrycia. Własnymi rękami zabijałem ludzi, ale to było dziesiątki lat temu. Później moje rozkazy wystarczały, by przynosić innym nieszczęście. Ale to również one wielu ludzi uczyniły potężnymi i wpływowymi. Zapytaj któregoś z *capi* i każdy będzie musiał przyznać, że wprowadziłem Cosa Nostrę w nowy, świetlany czas.

Spróbowała trafić go tam, gdzie mogło go zabość.

– Dlaczego w takim razie niektórzy potajemnie wspierają

Głodomora? Dlaczego czeka pan, aż ze swojej celi powróci na Sycylię i odzyska władzę? Dlaczego ludzie nienawidzą pana tak bardzo, że chcą dać pierwszeństwo człowiekowi, którego wszyscy uznają za bestię?

Odwrócił się, odszedł o parę kroków od niej i stanął pod obrazem przedstawiającym sycylijski krajobraz, pełen owiec i pracowitych rolników.

– To jest tak, jak na tym obrazie – powiedział – który nigdy nie wydarzył się naprawdę. Nic nie jest takie, jakim się wydaje. Gdybyś spojrzała pod uśmiech tego człowieka, zobaczyłabyś strach, lęk przed nadchodzącą nocą. Gdybyś zajrzała pomiędzy drzewa, domy rolników i wieże kościołów, wszędzie odnalazłabyś nas i nasze ślady. Dynastie arkadyjskie od niepamiętnych czasów rządziły Morzem Śródziemnym. To z jego wybrzeży wyruszyły w świat i podbijały coraz to nowe państwa. Ci głupi, śmieszni rolnicy na polach, z ich kobietami o czerwonych policzkach i brudnymi dziećmi – oni zawsze byli naszymi ofiarami.

Odwrócił się ponownie w stronę Rosy, ale jego spojrzenie wciąż było wbite w obraz, jak gdyby otworzyło się w nim okno do przeszłości.

– Czasy jednak się zmieniły – kontynuował. – Dawniej polowaliśmy na nich w stadach, pożeraliśmy ich bydło, rozrywaliśmy synów i córki na strzępy. Dzisiaj nie rządzą już nimi tylko za pomocą strachu, ale naszym bogactwem, wyrafinowaniem, wiedzą o ich słabościach. Stąd czerpiemy naszą siłę i kto myśli inaczej, jest błaznem... Ale zdarzają się oczywiście tacy, którzy chcą to widzieć inaczej. Ci, którzy tęsknią za przeszłością. Głodomór jest żywą obietnicą powrotu do dawnych czasów, prastarych obyczajów i rytuałów, nieograniczonego zabijania i obżarstwa. Już wcześniej próbował

i nie udało mu się – przez dziesięciolecia więzienia jego nienawiść do ludzi jeszcze wzrosła. Chce dać tym, którzy tęsknią za krwią niewolników, którzy marzą, by znów wbić pazury i zęby w bezbronne mięso – chce im dać to, czego pragną. Dlatego potajemnie przygotowują jego powrót, nie dlatego, że ja źle nimi rządziłem!

Rewolwer drżał w ręku Rosy. Trzymała go mocno, jak gdyby broń mogła jej dać siłę konieczną, by nie paść ofiarą jego siły przekonywania. Chciała mu pokazać, że te słowa zupełnie do niej nie trafiają, że nic z rzeczy, o których mówił, nie ma dla niej znaczenia.

Ale oczywiście ona zawsze wiedziała lepiej. Tak samo jak on.

Pantaleone ucieleśniał dynastie arkadyjskie w ich nowoczesnej postaci, bogate i potężne, pod płaszczykiem Cosa Nostry i innych organizacji, które podzieliły między siebie świat. Głodomór symbolizował barbarzyństwo przeszłości, kiedy ludzie stanowili łatwą zdobycz, a Arkadyjczycy rządzili w całej przestrzeni publicznej. To była era bestii.

– Chcesz być taka jak oni? – zapytał Pantaleone z kuszącą miękkością w głosie. – Chcesz być tym potworem, tą bestią, tym nocnym koszmarem? Czy wolisz żyć jak dotąd, tylko lepiej, zamożniej, szczęśliwiej? Twoja pierwsza przemiana zbliża się wielkimi krokami – jeśli nie masz jej już za sobą.

Jego świdrujący ton zadecydował.

– Nie muszę tego słuchać – powiedziała. – Nie mam nic wspólnego z Głodomorem i dynastiami. Jeśli Zoe chce tu zostać, może to zrobić. Mnie nic tu nie trzyma.

– Nawet ten młody Carnevare?

Czyżby Zoe opowiedziała mu o Alessandro? Ze wstrętem zorientowała się, że trucizna jego słów zaczyna działać. Straciła

zaufanie do własnej siostry. Pozostały jej już tylko przypuszczenia.

– Alessandro ma z tym dostatecznie dużo wspólnego, by zostać *capo* Carnevarów. – Chciała, by jej głos zabrzmiał obojętnie, spokojnie i zimno. Nie była pewna, czy jej się to udało.

Pantaleone uśmiechnął się, ale jego spojrzenie było twarde.

– Carnevarowie nigdy nie robili nic innego, jak tylko powiększali swoją władzę i swoje bogactwo. Powiesz pewnie, że taka jest natura mafii, ale jednak tu tkwi różnica: Cosa Nostra trzyma się sztywno dawnych wartości i praw, rodzina jest naszym największym dobrem. Carnevarowie są inni. Poświęcają swoich sojuszników, nawet własną krew, kiedy przynosi im to korzyść. – Roześmiał się ochryple. – Nie wierzysz mi? Myślisz, że mówię to tylko po to, żeby wbić klin między ciebie i tego chłopaka? Baron Carnevare pozwolił, by jego żona została zamordowana – przez jego własnego doradcę! W każdej innej rodzinie byłaby to jedna z większych zbrodni i nie pozostałaby niepomszczona. A u Carnevarów? Baron przyjął śmierć żony ze spokojem, morderca Gai pozostał jego najbliższym powiernikiem. Aż Cesare nie zdecydował, że czas pozbyć się również barona, najlepiej od razu z jego synem. Nie ma świętości dla Carnevarów, nie jest nią rodzina, nie jest Cosa Nostra.

Rosa chciała coś odpowiedzieć, żeby wreszcie zamilkł, ale Pantaleone szybko zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę i mówił dalej:

– Co ci powiedział Alessandro? Że cię lubi? Że cię kocha? Jestem pewien, że jego ojciec też kiedyś powiedział to jego matce – aż pewnego dnia pozwolił, by została zamordowana, tylko dlatego, że tak doradził mu Cesare. I powiedz mi, Rosa, co

sprawia, że dziecinnie myślisz, że z tobą będzie inaczej?

Szukała słów, by zaprotestować, by oskarżyć go o kłamstwo i zmyć z siebie to wszystko. Tyle że to nie było proste. Śmierć baronowej była faktem. A ambicje Alessandro, by zostać *capo*...

– Wiesz, że mam rację! – powiedział Pantaleone ostro. – Zadawaj się z nim, a cały klan będzie ci siedział na karku. Ściągniesz na siebie nieszczęście. Cesare będzie chciał się pozbyć Alessandro i jeśli staniesz mu na drodze, ciebie także zabije. Myślisz, że to przypadek, że właśnie teraz podaje w wątpliwość konkordat?

To działo się już od dawna, a ona nie była pewna, czy Pantaleone o tym wie. Już była na celowniku Carnevarów i Alessandro rzeczywiście nie przyniósł jej nic poza nieszczęściem... Nie! Nie powinna tak myśleć! Pantaleone żonglował faktami tak, jak mu pasowało. W rzeczywistości nie zaczęło się od Alessandro, ale wcześniej – przed rokiem w Nowym Jorku. Od śmierci jej dziecka.

Starzec wykonał wspaniałomyślny gest.

– Naturalnie, ostateczna decyzja należy do ciebie.

Jej dłonie zacisnęły się jeszcze mocniej na rękojeści broni. Całe ciało napięło się. W czaszce eksplodował ból, który uniemożliwiał jasność myślenia.

Twoja decyzja.

Odwróciła się i ruszyła przed siebie.

– Dokąd teraz idziesz? – zapytał.

Nie odpowiedziała.

– Jutro skoro świt trybunał ogłosi swój wyrok – zawołał za nią. – Jest już za późno, Rosa! Tym razem możesz zdecydować tylko o sobie – na nic więcej nie masz wpływu.

Pewnym krokiem podążyła w dół schodów, opuściła

palazzo i ruszyła drogą do garaży. Chwilę później jechała już maserati swojego ojca.

Na dole przy bramie zatrzymał ją jeden ze strażników i ruchem dłoni wskazał, by opuściła szybę.

– Ktoś tu dla pani coś zostawił – powiedział i podał jej wypchaną kopertę.

– Kto?

– Taki młody chłopak. Próbowaliśmy go zatrzymać, ale odjechał.

Rosa skręciła na szosę, przejechała kilka kilometrów aż do zjazdu na Piazza Armerina i zatrzymała samochód na poboczu. Reflektory jej samochodu były jedynym światłem jak okiem sięgnąć. Drżącymi palcami włączyła lampkę i otworzyła kopertę. Ze zmarszczonym czołem wytrząsnęła zawartość na dłoń.

Komórka. Była włączona.

Na wyświetlaczu widać było zielonkawe zdjęcie wykonane w podczerwieni. Przedstawiało ją i Alessandra, jak w ciemności przechodzą przez ulicę przed willą Dallamana.

Przez minutę patrzyła na zdjęcie.

Poczuła wibracje komórki. Rosa odetchnęła głęboko i odebrała.

ZDRAJCA

Natychmiast rozpoznała głos sędzi.

Quattrini przypomniała Rosie o ich umowie i poinformowała ją, że od czasu powrotu z Portugalii jest śledzona. Naturalnie wiedziała o tym, że Rosa i Alessandro włamali się do willi Dallamana. Nie interesowało jej, co tam robili. Jedyne, o co chodziło sędzi, to zeznania Rosy przeciwko Salvatore Pantaleone, które dałyby Quattrini podstawę do przeszukania rezydencji i terenów należących do Alcantarów. Chciała dopaść *capo dei capi* i z pewnością nie pozwoli, by Rosa grała jej na nosie. Oczekiwała zeznań natychmiast. Rosa nie ma się ruszać z miejsca, ktoś zaraz ją do niej zabierze.

Chwilę po tym, jak przerwała połączenie, w lusterku Rosy zajaśniały reflektory. Samochód musiał jechać za nią aż od bramy.

Z piskiem opon wycofała czarne maserati z powrotem na szosę i w krótkim czasie przyspieszyła do ponad stu kilometrów na godzinę. Szosa numer 117 była dobrej jakości – z szerokimi pasami i poboczami – rzadkie zjawisko na Sycylii. Miała nadzieję, że zdoła utrzymać kontrolę nad samochodem swojego ojca także przy dużej prędkości. Mimo to już po kilku sekundach zaczęła się pocić.

Musiała znaleźć Alessandra. Pomóc mu uratować Iole. Sędzia mogła poczekać, Pantaleone jej nie ucieknie. Mimo wszystko Rosa miała złe przeczucia co do wdawania się z nim w konflikt. W zasadzie była winna podwójnej zdrady – jednej względem Cosa Nostry, drugiej – względem sędzi. Ale nie dało się inaczej. Nie mogła zrezygnować z Alessandra. Wszystko, co powiedział jej ten stary człowiek, mogło odnosić się do barona, ale nie do niego.

Nocą szosa była pusta, nie widziała przed sobą żadnych świateł. W pewnej chwili przez asfalt przemknęło coś, co ledwo udało jej się wyminąć. Potem znów przyspieszyła. Dozwolona prędkość wynosiła dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę, ponieważ ten odcinek drogi był dość kręty. Rosa jechała sto czterdzieści, potem sto pięćdziesiąt.

Para świateł w lusterku wstecznym oddaliła się. Musiała zjechać z tej drogi tak szybko, jak to było możliwe. Jeśli ludzie Quattrini wezwali posiłki, prędzej czy później odetną jej drogę. Co prawda, nie była pewna, iloma policjantami dysponowała Quattrini. Sędzia prowadziła grupę do zadań specjalnych przeciwko mafii. Prawdopodobnie było to kilkoro starannie wyselekcjonowanych funkcjonariuszy i funkcjonariuszek. Wtajemniczenie kolejnych urzędników niosło ze sobą niebezpieczeństwo, że któryś z nich zostanie przekupiony przez Cosa Nostrę. Quattrini nie mogła ryzykować, że ktoś ostrzeże Pantaleone.

Prawdopodobnie nie będzie więc wielkiego pościgu za Rosą. Jeśli uda jej się zgubić tych, którzy ją gonią, dostanie szansę. Potrzebowała tylko tego jednego dnia. Potem dobrowolnie stawi się przed sędzią.

Przeklinała Alessandra za to, że nie zdradził jej miejsca polowania. W jaki sposób ma na czas dowiedzieć się, dokąd jechać? I co zaproponować Cesare w zamian za życie Iole? Zdjęcia i dokumenty Dallamana zostały skradzione przez Florindę i jej pomocnika. Czy była jeszcze jakaś możliwość ubicia targu z Cesare? Co zamierzał zrobić Alessandro?

Kierownica wibrowała pod jej dłońmi. Auto kilkakrotnie niemal wymknęło się jej spod kontroli na zakrętach. W pewnym momencie wpadło w poślizg, ustawiło się niemal w poprzek drogi i znów ruszyło we właściwym kierunku.

Minęła wiele wylotów dróg, ale wciąż pozostawała na głównej szosie. Na wjeździe do którejś wsi z wysiłkiem wpasowała się na opuszczone rondo, które niemal przeoczyła. Owady rozbijały się o przednią szybę, jedna z plam była wielkości jej pięści. Włączyła wycieraczki, ale one tylko pogorszyły sprawę – żółty śluz rozmazał się na szybie szerokim łukiem, dokładnie na wysokości oczu Rosy.

Sto sześćdziesiąt.

O wiele za szybko.

Pot zalewał jej oczy. Uparcie trzymała kierownicę i musiała się trochę pochylić, by patrzeć przez szybę poniżej brudnej smugi. Coś w końcu musiało pójść źle. Ale jednak – swoich tropicieli widziała już coraz rzadziej.

Przed nią pojawiły się tylne światła samochodu. Szybko zahamowała. Niewiele się zastanawiając, wyprzedziła porsche. Dwóch młodych mężczyzn gapiło się na nią z niedowierzaniem i kiedy zjechała na prawo, zrozumiała, że właśnie ściągnęła na siebie drugiego prześladowcę. Mężczyźni najwyraźniej chcieli zorganizować z nią nocne wyścigi.

Niepostrzeżenie zwolniła. Porsche zbliżyło się, ustawiło się obok niej i przez następne kilkaset metrów jechało na jej wysokości. Zdobyła się na wymuszony uśmiech i znów przyspieszyła. Silnik porsche także zawył. Kierowca pozostał na lewym pasie i spróbował ją wyprzedzić.

Jeszcze raz Rosa zdjęła nogę z gazu. Porsche jechało obok niej. Młodzi mężczyźni wrzeszczeli, jeden z nich wykonywał obsceniczne gesty. Potem przyspieszyli i popędzili w noc.

Rosa spojrzała w lusterko. Ludzie Quattrini zniknęli za zakrętem. Teraz albo nigdy. Na następnym rozwidleniu gwałtownie zahamowała, skreśliła, wyłączyła światła i czekała. Chmura kurzu wirowała na zewnątrz szyb. Rosa w napięciu

patrzyła w lusterka. Znajdowała się na wąskiej, leśnej drodze. Kiedy kurz opadł, zobaczyła pomiędzy drzewami kawałek szosy.

Przy odrobinie szczęścia policjanci nic nie zauważą. Kiedy uświadomią sobie, że tylne światła z przodu na drodze nie należą do maserati Rosy, ona będzie już – w tym cała nadzieja – daleko stąd.

Opuściła nieco boczną szybę i nasłuchiwała. Nadjeżdżali.

Drzewa na poboczu szosy utonęły w białym świetle. Rosa nachyliła się instynktownie. Samochód, który ją ścigał, skręcił na północ, jego tylne światła kilka razy mignęły między drzewami.

Odetchnęła dopiero, kiedy umilkł ryk silnika. Nie odważyła się jednak włączyć świateł, zamiast tego skręciła ostrożnie w leśną drogę i w zółwym tempie skierowała samochód ponownie na szosę.

Nagle rozbłysły światła.

Drugi samochód zbliżał się drogą. Zwolnił, spokojnie przejechał przez rozwidlenie, zahamował i cofnął się. Potem tyłem skręcił w leśną drogę i zastawił jej wyjazd.

Rosa pospiesznie się rozejrzała. Dwadzieścia metrów za nią znajdowała się metalowa barierka. Droga do lasu była zablokowana. Była w pułapce.

Światła drugiego samochodu zgasły, ale silnik wciąż chodził. Drzwi otworzyły się i zamknęły. Ktoś się zbliżał.

Zarys twarzy ukazał się w ciemności przed jej boczną szybą.

Rosa z całą siłą otworzyła drzwi. Ktoś krzyknął, kiedy dosięgło go uderzenie, i upadł do tyłu w wysokie gęste krzewy. Wyciągnęła kluczyki, zanurkowała w ciemność, rozejrzała się w prawo i w lewo, zaczęła biec tak szybko, jak umiała, w stronę

obcego samochodu i otworzyła drzwi kierowcy. To był czarny mercedes. Z szybkością błyskawicy wślizgnęła się na siedzenie.

Gorący, zwierzęcy oddech napłynął z tylnego siedzenia i owionął jej kark.

Zamknęła oczy. Czekala, aż kły drapieżnika wbiją się w jej gardło.

Rozległo się niespokojne skomlenie. A potem ostry psi język prześlizgnął się po jej policzku.

Rosa odwróciła głowę.

– Sarcasmo!

Ogon psa przyjaźnie omiatał tylne siedzenie.

Na zewnątrz tajemnicza postać wygrzebała się z poszycia lasu i podeszła do mercedesa. Rosie pozostały dwie, trzy sekundy na podjęcie decyzji. Wcisnęła guzik blokujący drzwi i upewniła się, że także drzwi pasażera są zamknięte.

Fundling oparł się o okno. Jego splątane, czarne włosy były jeszcze bardziej rozczochrane niż zwykle. Z nosa leciała mu krew.

– Wpuść mnie! – zawołał przez zamkniętą szybę.

Rosa uchyliła okno.

– Czego tu szukasz? – zapytała.

– A jak myślisz? Ciebie.

– Alessandro cię przysłał? – Sama w to nie wierzyła, a on potrząsnął głową. – Więc kto? Cesare?

– Nie. Cholera jasna, prawie złamałaś mi nos.

Sarcasmo znów zaskomlał i polizał ją po uchu.

– Rosa, otwórz drzwi. No dalej.

– A skąd mam wiedzieć, czy mogę ci zaufać?

– Czy coś ci kiedyś zrobiłem?

– Carnevarowie nie mają o mnie najlepszego zdania.

– Cesare nie wie, że tu jestem. Nikt z nich nie wie.

– Więc czego chcesz?

– Zabrać cię stąd.

Zamknęła szybę i dodała gazu. Tylko lekko nadusiła na pedał. Mercedes ruszył do przodu i zatrzymał się. Była już tylko dwa metry od drogi.

Fundling kilkoma susami znalazł się obok niej. Wyglądał teraz na zdenerwowanego, jak przy ich pierwszym spotkaniu na lotnisku, kiedy przyjechał po Alessandra. Ruchem ręki pokazał jej, by znów opuściła szybę.

Otworzyła ją na dwie grubości palca.

– Przysłała mnie Quattrini – powiedział cicho, z wargami przyciśniętymi do krawędzi szyby. – Chciała, żebym cię zabrał, bo uważa, że wierzysz mi bardziej niż jej ludziom. – Wykrzywił usta. – Słaby plan.

W pierwszym odruchu chciała wszystkiemu zaprzeczyć. Zachowywać się tak, jakby nigdy wcześniej nie słyszała nazwiska sędzi. Ale potem zapytała:

– Znasz ją?

– Czasami z nią rozmawiam. Kiedy pyta. Tak samo jak ty. – Spojrzał na nią świdrującym wzrokiem. – Jeśli komukolwiek o tym powiesz, jestem martwy.

Jak wyżej, pomyślała. Jeśli Fundling mówi prawdę, znaczy to, że szpieguje Carnevarów na zlecenie sędzi. Do tej pory myślała, że był wierny baronowi, bo ten wziął go do siebie, kiedy był małym dzieckiem. Cesare jednak nie był baronem.

– Widziałeś – wyrwało się jej – że Cesare zabił barona, prawda?

Przez chwilę wyglądał na zdziwionego, ale potem skinął głową.

– Nie mogę tam wrócić. Cesare pomyślałby, że go zdradziłem, i zabiłby mnie.

– Zamiast tego to ty go zdradziłeś, jesteś przy nim i dalej udajesz ich kierowcę. Niegłupie.

Mimo to nie ufała mu. Był zdrajcą – precyzyjnie mówiąc, takim samym, jak ona sama – a zdrajcom nie należy wierzyć.

– Otworzysz te drzwi? – zapytał niecierpliwie.

Sarcasmo dyszał na tylnym siedzeniu.

– Zawiozłeś ich tam? – zapytała. – Cesare i innych?

Skinał głową.

– Właśnie wracałem do zamku, kiedy zatrzymali mnie ludzie sędzi. Wysłali mnie do ciebie z komórką w kopercie.

– Ten drugi samochód...

– Byłem sam – przerwał jej, kręcąc głową. – Nie mam pojęcia, przed kim uciekałaś, ale na pewno przed nikim z jej ludzi. Tak myślę. Prawdopodobnie był to ktoś, kto po prostu wtedy przejeżdżał.

– Dokąd zawiozłeś Carnevarów?

Zawahał się.

– Nie jedź tam, Rosa. To nie jest miejsce dla ciebie.

Spojrzała na niego.

– I ty o tym wiesz, tak? Co się tam stanie? Z Iole?

– Robili to już wiele razy. Baron był zawsze przeciwny, ale Cesare...

Przełknęła ślinę.

– Zawiozłeś tam Iole?

– Nie. Zrobił to ktoś z bliższego kręgu. Zawiozłem tam tylko dwoje z jego gości. Kuzyna barona z Katanii i jego żonę.

A zatem na polowaniu zbierało się całe stado panter. Jeszcze raz poczuła, że ma ściśnięte gardło.

– Gdzie oni są? – spytała jeszcze raz.

– Najpierw mnie wpuść.

Gwałtownie pokręciła głową.

– Gdzie, Fundling?

Spuścił wzrok.

– Gibellina. Pomnik.

– Co takiego?

– Nie rób tego. Zabiją cię.

– Alessandro tam jest.

– On jest jednym z nich.

– Nie. On jest inny. – Otworzyła schowek. Leżało w nim kilka map.

Sarcasmo zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu. Nie miała odwagi otworzyć drzwi, by go wypuścić. Najwyraźniej nie czuł się źle z nią za kierownicą.

Fundling szarpnął za drzwi.

– Proszę!

– Uwaga – powiedziała, dała mu chwilę i wcisnęła gaz. Silnik zawył. Mercedes ruszył przed siebie i wyjechał na ciemną drogę. Kluczyki do maserati leżały na siedzeniu pasażera, obok komórki.

Fundling odskoczył i ryknął razem z silnikiem.

Sarcasmo sapnął z zadowoleniem i zasnął.

Rosa włączyła światła i z pełną prędkością pomknęła w kierunku autostrady.

POMNIK

Okolo piątej nad ranem Rosa wciąż siedziała za kierownicą. Zjazd powinien się pojawić w każdej chwili, ale myślała tak już pół godziny wcześniej. Od kiedy zjechała z szosy ciągnącej się wzdłuż południowego wybrzeża w stronę centrum wyspy, droga zaczęła się jej niebywale dłużyć.

Jeszcze tylko kilka kilometrów do celu. Przetarła oczy. Jej zdecydowanie utonęło we mgle wyczerpania i zdenerwowania. W pewnej chwili zjechała na parking, załapała się łzami i zajęło jej dobre czterdzieści pięć minut, nim znów była zdolna prowadzić.

Przestraszyła się brzęczącego odgłosu. Komórka wibrowała i ocierała się o kluczyki do maserati. To już kolejny raz. Jak dotąd nie odbierała. To mogła być wyłącznie Quattrini z kolejnymi zarzutami i pogrózkami.

Telefon nie przestawał dzwonić. Brzęczenie doprowadzało ją do szału i kiedy po krótkiej przerwie zabrzmiało na nowo, z wściekłością chwyciła komórkę i nacisnęła na klawisz.

– Tak?

– To ja. – Męski głos, który mogła rozpoznać natychmiast. W jej obecnym stanie potrzebowała jednak jednej, dwóch sekund.

– Pantaleone – powiedziała sucho. – Skąd pan ma ten numer?

Odpowiedź zaświtała jej w momencie, kiedy stawiała pytanie. Jego rozmowa w *palazzo*. Mężczyźni przy bramie poinformowali go o kopercie i zanotowali numer telefonu. Czy starzec wiedział, od kogo ona pochodzi?

– Strażnicy nie rozpoznali wprawdzie tego chłopaka, ale nie zajęło im dużo czasu, by zdobyć PIN – powiedział Pantaleone. – Kiedy młody Carnevale następnym razem będzie

chciał ci coś przywieźć, równie dobrze może wypisać dane nadawcy na kopercie.

– Czego pan chce? – zapytała pospiesznie, by nie usłyszał, jak oddycha z ulgą.

– Potrzebujesz pomocy.

– Na pewno nie pańskiej.

– A jest ktoś jeszcze, kto mógłby ci jej udzielić?

Na tylnym siedzeniu Sarcasmo wydał z siebie zaspiane psie sapnięcie, zmienił pozycję i ponownie zasnął.

– Mówię poważnie – powiedział Pantaleone. – Tam, dokąd jedziesz, będziesz potrzebowała kogoś do pomocy.

– I tym kimś ma być właśnie pan? – zapytała drwiąco.

– Jesteś już w Gibellinie?

Musiało ją zdziwić, że zna cel jej podróży. Ale nawet na to była zbyt zmęczona.

– Idziesz na noże i dobrze o tym wiesz. Bo wciąż masz nadzieję. A właśnie nadzieja to coś, co wielu z nas utraciło. Także dlatego tak bardzo mi na tobie zależy, Rosa. Ty i ja razem możemy doprowadzić Alcantarów i całą Cosa Nostrę do nowego otwarcia.

Parsknęła szyderczo.

– Trochę się pan boi tego Głodomora, co?

– Oczywiście. Jak wielu spośród nas.

– Powiedziałam już panu, że mnie to nie interesuje.

– To się jeszcze zmieni. Uwierz mi, że tak będzie.

Chciała ponownie przetrzeć oczy, ale nie mogła tego zrobić, jako że jedną ręką trzymała kierownicę, a drugą telefon.

– Czy to wszystko?

– Nie rozłączaj się. Będziesz potrzebowała mojej pomocy. Beze mnie nie dasz rady uwolnić tej dziewczynki. A młody Carnevale umrze.

– Alessandro dobrze wie, co...

– ...co robi? Nie, moja droga Roso. Prawda jest taka – już dawno złapali go i uwięzili w Gibellinie. Tak samo, jak tę małą Dallamano, na której tak bardzo ci zależy.

– Skąd... pan to wie?

Oczywiście wyobraźni ujrzała jego pełen samozadowolenia uśmiech.

– Nie musisz mnie lubić, Rosa. Nie musisz nawet zwracać na mnie uwagi. Ale nie popełniaj tego błędu, by mnie nie doceniać... Koniec gadania. Będę cię pilotował do Gibelliny. Pojedziesz lepszą drogą niż te, które znajdziesz na mapach z czasów twojego ojca.

Nadstawiła uszu. On wciąż nie wiedział, że jechała mercedesem Fundlinga.

– Czego chce pan w zamian?

– Twojej wierności. Twojego słowa, że stoisz po mojej stronie. I że będziesz mi bezwarunkowo posłuszna.

– Mogłabym powiedzieć „tak”, ale tego nie dotrzymać.

– Jeśli powiesz „tak”, zawiążemy pakt. Taki sam, jaki zawiązałem z twoją ciotką i wieloma innymi przed tobą. Złamanie go niesie ze sobą daleko idące konsekwencje. – Zrobił krótką pauzę. – Więc?

Cholera, była naprawdę pod ścianą.

– Zrozumiałam – powiedziała.

– Gdzie jesteś teraz?

– Na A29. W drodze na północ.

– Następny zjazd?

– Salemi. I Gibellina Nuova.

– Nie zjeżdżaj nim – powiedział pewnym głosem i pokierował ją na kolejny zjazd z autostrady, a potem szosą w stronę samotnego pasma wzgórz.

Na początku mijają jeszcze drogowskazy na rzadkich rozwidleniach dróg. Prowadziły do oddalonych od świata osad. Potem droga zaczęła się wic długimi serpentynami. W końcu zmieniła się w wyboisty trakt wysypany żwirem. Czasami światła jej samochodu prześlizgiwały się po zaniedbanych winnicach i gajach oliwnych. Większa część tego obszaru sprawiała wrażenie opuszczonej i wyjałowionej.

– Wystarczy – powiedział Pantaleone. – Zaparkuj gdzieś samochód, najlepiej za krzakami albo drzewami, jeśli jakieś znajdziesz. Resztę drogi musisz przejść pieszo.

Sarcasmo obudził się, kiedy zatrzymała samochód. Pies siedział teraz wyprostowany na tylnym siedzeniu. Jego gęsta, czarna sierść była najeżona na karku, a oczy – pełne wyczekiwania. Opuściła wszystkie szyby i wyjaśniła mu, że musi poczekać w samochodzie na nią lub na kogoś innego, bo może się zdarzyć, że do niego nie wróci. Była pewna, że w takim wypadku Carnevarowie odkryją samochód i uwolnią psa.

– Masz jeszcze ten rewolwer, którym chciałaś mnie zastrzelić? – zapytał starzec. – Ciekawy model, swoją drogą. Z wyciszonym magazynkiem. Używają ich rosyjskie służby specjalne.

Cicho zamknęła drzwi.

– Tak, mam go tu.

– Ile amunicji?

– Nie mam pojęcia. Jak się tego dowiedzieć?

Wyjaśnił jej. W świetle księżycy wyczuła zaokrąglenia naboarów w magazynku.

– Sześć – powiedziała.

– Umiesz się nim posługiwać?

– Nie.

– Przecież jesteś Amerykanką.

– Ha, ha.

– Jeśli zrobisz to, co ci powiem, i dobrze sobie poradzisz, jest nadzieja, że nie będziesz go potrzebować. Ale może się zdarzyć, że Cesare Carnevale przetnie ci drogę. Wtedy bądź tak miła i zastrzel go, proszę.

– A co z konkordatem?

Zaśmiał się.

– Zastrzel go tylko pod warunkiem, że nikt nie będzie tego widział. Poza tym wcale się tam nie zjawi. Aż do przedpołudnia będzie zajęty trybunałem.

– Gdzie się odbywa to zgromadzenie?

– W Corleone. To żabi skok, jeśli się ma helikopter...
Idziesz już?

– Kiedy tylko się dowiem, dokąd.

– Musisz iść tą drogą, ale bądź ostrożna. W zasadzie nikt nie powinien nią jechać, bo nawierzchnia jest kiepska i to spory objazd. Ale mimo wszystko obserwuj otoczenie i uważaj na światła samochodów.

Sarcasmo nie wydał z siebie żadnego dźwięku, kiedy oddalała się od samochodu. Dzielny pies.

Pantaleone nakazał Rosie podążać drogą półtora albo dwa kilometry przed siebie. Pokonała wiele zakrętów, aż otworzyła się przed nią szeroka równina. Na prawo od niej teren wznosił się jeszcze kawałek dalej w kierunku szczytu góry, na lewo rozsypano żwir, a dalej znajdowało się porośnięte krzewami zbocze.

Przed nią jednak rozciągała się mała łąka, niewiele większa od rynku. Była porośnięta chwastami. Przez jej środek prowadziła asfaltowa droga. Po drugiej stronie wznosił się czarny zarys dziwnej grupy skał.

Chociaż jej oczy już dawno przyzwyczyły się do słabego

światła księżycy, dopiero teraz rozpoznała, o co właściwie chodziło Pantaleone, kiedy powiedział:

– Powinnaś lada chwila zobaczyć ruiny Gibelliny.

Starzec ściszył głos. Rosa weszła pomiędzy kilka krzewów i z bijącym sercem spoglądała na zwaliste pozostałości murów.

– Po prawej stronie jest pomnik – powiedział.

Z miejsca, w którym się znajdowała, nie mogła dostrzec, co było za krzewami. Chciała wstać i prześlizgnąć się bliżej, kiedy szepnął:

– Musisz teraz naprawdę uważać. Na pewno ustawili tam strażę. Weź komórkę w lewą rękę, prawą trzymaj rewolwer.

– W porządku.

– Naciśnij spust tylko wtedy, kiedy to będzie absolutnie konieczne i będziesz pewna, że trafisz. Sześć kul to niewiele, kiedy chcesz się zmierzyć z Carnevarami i ich sojusznikami.

– Zabawne – wyszeptała. – Nie zamierzam się z nikim mierzyć.

– Więc po co tam pojechałaś?

Przygryzła dolną wargę i zamilkła.

– No tak – powiedział po chwili. – Kiedy coś zaczynasz, powinnaś to doprowadzić do końca. Ale mimo wszystko spróbuj nikogo nie zabić. Raz mogę zadbać o to, by trybunał opowiedział się po stronie Alcantarów, ale za drugim razem będzie już trudniej.

– Czego właściwie pan ode mnie chce? – szepnęła. – Najpierw mówi pan, że mogę zastrzelić każdego, teraz nie chce pan, bym kogoś zabiła. To nie są szczególnie przydatne wskazówki.

– Nie mogę podejmować decyzji za ciebie. Rób, co uważasz za stosowne. To zawsze było dla ciebie ważne, prawda? – Nie mogła się pozbyć wrażenia, że wystawia ją na

próbę. – Dwoje twoich przyjaciół jest uwięzionych w tych ruinach. To, co widzisz przed sobą, to tylko część tego, co pozostało ze starej Gibelliny. Po drugiej stronie wzgórza, w górę zbocza, stoi więcej zniszczonych domów. Tam znajdziesz to, czego szukasz.

W oddali rozległ się ryk.

Takie dźwięki słyszała już na Lunie. Lwy i tygrysy. Czy także tutaj wałęsały się na wolności? Miała wrażenie, że broń rozgrzewa się jej w dłoni. Skóra pociła się w kontakcie z metalem.

– Co to jest? – zapytała. – Te ruiny... Wygląda tu jak na polu bitwy.

– Są dwie Gibelliny – wyjaśnił niecierpliwie. – Nowa, blisko autostrady, i stara wieś na wzgórzach, tam, gdzie teraz jesteś. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym ósmym roku została zniszczona przez trzęsienie ziemi. Zamiast odbudowywać miasteczko, dwadzieścia kilometrów stąd na zachód założono nowe miasto – Gibellina Nuova, do którego przesiedlono tych, którzy przeżyli. W dawnym miejscu pozostały gruzy i ruiny. I pomnik.

Wstała, próbując dojrzeć coś ponad krzewami. Była za daleko.

– Nic stąd nie widzę – wyszeptała.

– Nie marnuj czasu. Niedługo wzejdzie słońce i będzie ci o wiele trudniej przemieszczać się niezauważenie.

– Przedstanę się teraz do ruin.

– Dzielna dziewczyna.

Obejrzała się, nasłuchując przez chwilę dalekich pomruków drapieżników, i zaczęła biec. Nisko pochylona przemykała przez wysoką do pasa trawę, szukając schronienia w zaroślach i krzewach. Nikogo nie widziała. Po prawej stronie

miała teraz wzgórze, które wznosiło się jeszcze na wysokość kilkudziesięciu metrów. W górze widziała gospodarstwo, ale nie była pewna, czy jest zrujnowane. Z oddali wyglądało na podupadłe, ale zamieszkane. Z tyłu, na kolejnym łańcuchu wzgórz, dojrzała stojące w bezruchu wiatraki. W świetle księżyca ich biała powierzchnia połyskiwała niczym gigantyczne kości.

Przyczajona Rosa nie zmierzała jednak ani do domu na wzgórzu, ani do odległych wiatraków. Wstrzymując oddech, ukłękła między skrzypiącymi źdźbłami trawy i wlepiła wzrok we wzgórze po drugiej stronie równiny.

Pomnik stał niecałe sto metrów od niej, chociaż na pierwszy rzut oka nie była pewna, co widzi przed sobą.

Ale natychmiast zrozumiała, dlaczego Cesare wybrał na polowanie właśnie to miejsce.

RUINY

Labirynt.

Ogromny, niewyobrażalnej wielkości, betonowy labirynt.

Na powierzchni przynajmniej dwóch boisk futbolowych wzgórze pokryte było grubą warstwą betonu grubości ludzkiego – jak gdyby ktoś rozlał na ziemi wielką szarą plamę. Beton przecinała siatka wąskich duktów, które dzieliły go na kwatery wielkości domów.

Oddech Pantaleone w telefonie połaskotał Rosę w ucho.

– Widzisz to, prawda?

– Co to ma być?

– To zarys dawnej wioski. Przejścia wyznaczają bieg dawnych ulic i uliczek, a betonowe bloki między nimi – budynki. Zbudował to pewien artysta w latach osiemdziesiątych, na pamiątkę miejsca, które zostało zniszczone. – Starzec wybuchnął świszczącym śmiechem. – Za pieniądze, które pochłonał ten idiotyzm, tym, którzy przeżyli, można było zbudować gdzie indziej kilka przyzwoitych domów.

– Na których budowie Cosa Nostra oczywiście nie zarobiłaby ani centa – zauważyła ostro. – Oni są przecież tacy dobrzy dla ludzi.

– Szybko łapiesz, o co tu chodzi, moja droga.

Nienawidziła, kiedy ją tak nazywano. Przełknęła jednak ciętą ripostę, oderwała wzrok od cementowego labiryntu i pochyłona ruszyła przed siebie, brnąc przez trawę i krzewy.

Bez przeszkód dotarła na drugą stronę małej równiny i ostrożnie okrążyła grupę skał, którą widziała już z oddali. Po kilku krokach była przy ruinach, które z lewej strony przylegały do skał. Trudno było orzec, jaką funkcję pełnił wcześniej ten budynek. Resztki murów pokrywało graffiti, nie było drzwi ani

nawet ram okiennych. Tylko czarne prostokąty, z których wydobywał się obrzydliwy smród moczu i padliny.

W dole wzgórza znów zawył drapieżny kot. Rosa poczuła zimno na plecach. Chłodny wiatr omiół wzgórze i przyniósł ze sobą zapach palonego drewna.

– Co teraz?

– Jesteś przy pierwszym budynku? – zapytał.

– Przy tym, co z niego zostało.

– Z jego drugiej strony można zejść do doliny. Na wzgórzu, w dużej odległości od siebie, stoi szereg podobnych zrujnowanych domów, poniżej są pozostałości krótkiej drogi. Tam musisz dojść. To jest część wsi, której nie przykryło to... dzieło sztuki. Tam po trzęsieniu ziemi wszystko zostało tak, jak było.

– Dobrze się pan tu orientuje.

– Cesare Carnevale nie jest pierwszym, kto połapał się w zaletach tego miejsca.

Na parę chwil zamknęła oczy, głęboko nabrała powietrza i ruszyła przed siebie.

Po drugiej stronie skał krzewy były wyższe i bardziej gęste, łatwiej w nich było znaleźć kryjówkę. Ostrożnie poruszała się w ich cieniu, aż teren stał się spadzisty. Rewolwer niemal wrósł w jej rękę, palce zacisnęły się na rękojeści.

Usłyszała zbliżające się głosy i stanęła. Ponad wysokimi trawami dostrzegła dwóch mężczyzn. Wchodzili po stromej drodze, która niegdyś najwyraźniej łączyła dolną i górną część wsi. Asfalt znaczyły rozgałęzione pęknięcia, z których wyrastały chwasty. Tą drogą nie można było przejechać zwykłym samochodem – nawet jeep miałby tutaj problemy.

Mężczyźni mieli na sobie czarne skórzane kurtki i słuchawki w uszach. Jeden trzymał pistolet maszynowy, drugi

ciężką latarkę kieszonkową, jego broń tkwiła w kaburze pod ramieniem.

– Co się dzieje? – Głos Pantaleone zazgrzytał w komórce.

Rosa upadła na ziemię i zakryła ręką mikrofon.

Jeden z mężczyzn rozejrzał się, ale ruszył przed siebie. Obaj znajdowali się dziesięć metrów od Rosy i zbliżali się do zakrętu drogi. Przeszli go i teraz widziała już ich plecy.

Chwilę później wyslizgnęła się z kryjówki w skałach. Wiatr rozwiewał jej włosy i spychał jasne pasma na twarz. Żałowała, że wcześniej nie związała ich na plecach.

Poniżej, rzut kamieniem od niej, wznosiły się pozostałości trójkondygnacyjnego domu. Jego tylna część musiała zostać całkowicie zburzona podczas trzęsienia ziemi. W wąskiej ścianie bocznej ziały puste, odsłonięte pomieszczenia, niczym w gigantycznym domu dla lalek. Front budynku pozostał jednak całkowicie nienaruszony. Na pierwszym i drugim piętrze ocalały nawet balkony.

Tam w górze, w ciemności, ktoś siedział za jedną z balustrad. Także on musiał ją teraz dostrzec. Czy patrzył właśnie w jej kierunku? Ledwo widziała zarys jego sylwetki, nic poza tym.

Zatrwożona przypadła do fasady, by siedząca w górze postać nie mogła jej widzieć. Gdyby zamierzała przebiec przez dom na wprost, musiałaby minąć wiele otwartych drzwi i dziurę w suficie.

Dopadła do pierwszych drzwi, potem do drugich. Ktoś wysmarował na nich farbą słowa *Donne* i *Uomini*, jak w publicznej toalecie.

Zza trzecich drzwi wysunęła się postać i zagroziła jej drogę.

Rosa uniosła rewolwer.

Mężczyzna ubrany jak pozostali – w skórzaną kurtkę i dzinsy – uspokajająco uniósł lewą rękę. W prawej trzymał pistolet maszynowy z lufą skierowaną do ziemi. Miał długie, czarne włosy, które opadały mu na ramiona.

Zastanawiała się, co robić, kiedy on potrząsnął głową i kiwnięciem dłoni dał jej do zrozumienia, by za nim poszła.

– Co...

Położył sobie palec na ustach.

– Rosa – ponownie odezwał się Pantaleone. Prawie zdążyła już o nim zapomnieć.

Trzymała komórkę przed twarzą, niczym krótkofalówkę.

– Nie teraz.

– Przypuszczam, że trafiłaś na Remeo – powiedział starzec. Jego głos był zniekształcony, trzeszczący.

– Remeo? – powtórzyła.

Mężczyzna z karabinem maszynowym skinął głową.

– Cicho. Chodź ze mną.

Przycisnęła komórkę ponownie do ucha.

– Kto to jest?

– A jak myślisz, skąd wiem, co wyprawia Cesare? – zapytał Pantaleone. – Remeo to mój człowiek w jego obozie. Szpieg, jeśli wolisz. Od niego się dowiedziałem, że porwali Alessandra i gdzie go trzymają, razem z tą dziewczynką. Zabierze cię tam.

Wciąż jeszcze nie ufała Pantaleone, nie wspominając o jego pomocniku, który najwyraźniej pracował dla obu stron. Nie miała jednak wyboru.

Nie zważając na nią ani na broń w jej ręku, Remeo odwrócił się i wszedł do domu. Z wahaniem podążyła za nim. Jej buty zazgrzytały na odłamkach szkła. Wąski korytarz miał tylną ścianę, ale przez kolejne drzwi można było zobaczyć, że nic za nim nie ma – metr dalej ziemia ostro urywała się, stare,

podarte linoleum zwisało z krawędzi.

Remeo nie wybrał drogi na tyły domu, ale zszedł po schodach do piwnicy. Wbrew swojej woli podążała za nim przez całkowicie ciemne pomieszczenia. W końcu znów wyszli na zewnątrz, w zarośla pod zniszczonym budynkiem, gdzie kanciaste ruiny porośnięte były gęstymi krzewami. Przepiskali się przez szczelinę między nimi, kiedy Remeo nagle się zatrzymał. Wskazał w dół wzgórza na trzy domy, które w świetle księżyca i z tej odległości wyglądały na niemal nietknięte. Dawne ogrody przekształciły się w puszcze z gęstym poszyciem.

– To środkowy dom – szepnął jej towarzysz. – Tylne drzwi są otwarte. Drogę przed nim patroluje kilku mężczyzn. Przynajmniej jeden jest w środku. Prawdopodobnie siedzi w kuchni albo w tym, co z niej zostało. Twój przyjaciel jest na pierwszym piętrze, w pokoju na końcu korytarza. Nie ma tam zamka, drzwi są zaryglowane od zewnątrz. Jeśli cię zobaczą i tam zamkną, już nikt nie będzie mógł ci pomóc.

Nie było wiele do zapamiętania, ale w duchu powtórzyła sobie wszystkie informacje.

– A co z Iole?

– Była razem z nim, ale zabrali ją stamtąd.

– Dokąd?

Wzruszył ramionami.

Rozległ się trzeszczący głos Pantaleone.

– Być może będziesz musiała zdecydować się na jedno z nich.

Jeśli jeszcze raz użyje słowa zdecydować, zacznie krzyczeć. Nawet tutaj.

Wzgórze przed nią było całkowicie puste.

* * *

Trzeszcząca dżungla, w którą maleńki ogródek zmienił się podczas ostatnich dziesięcioleci, gwarantowała jej dobre schronienie. Remeo powiedział prawdę – tylne drzwi były tylko uchylone. Blisko, po drugiej stronie zarośli, brzęczał generator prądu. Pachniało spaloną benzyną i olejem.

Wślizgnęła się do domu na czubkach palców i zaczęła się skradać wąskim korytarzem. Równoległe do nich prowadziły schody na górę, ich balustrada zniknęła.

Przez otwarte drzwi w pobliżu wejścia wpadało światło. W pokoju dźwięczały szklanki albo butelki. Męski głos śpiewał donośnie włoski szlagier, który właśnie rozbrzmiewał w radiu.

Rosa wspinała się po schodach z rewolwerem w dłoni. Zdawało się jej, że stopnie pod nogami są oblane klejącą żywicą, do której przyczepiały się podeszwy jej butów. Dotarcie na górę zajęło jej całą wieczność.

Śpiew urwał się.

Rosa schowała się za rogiem u szczytu schodów. W kuchni rozbrzmiały kroki, które po chwili przeniosły się na korytarz.

Stała w miejscu, wstrzymując oddech. Nasłuchiwała i czekała.

W dole nic się nie ruszało. Cisza trwała tak długo, że uwierzyła, że nikogo już tam nie ma. Potem jednak rozległ się kaszel i kroki wycofały się do pomieszczenia. Ktoś ściszył radio i nie podjął więcej okropnej melodii.

Naga żarówka oświetlała korytarz na pierwszym piętrze. Pięcioro drzwi stało otworem. Tylko ostatnie, zupełnie na końcu, były zamknięte. Ktoś z pomocą belki skonstruował staroświecki rygiel. Utrzymywał się na uchwytych, które zostały przykręcone do drzwi i do muru obok futryny. Strzępy

brązowawej tapety zwisały z sufitu niczym zakurzona sieć pajęczna. Poruszyły się upiornie przy podmuchu powietrza, kiedy Rosa przemknęła pod nimi.

Kiedy przycisnęła komórkę do ucha, usłyszała oddech Pantaleone.

– Jestem w domu – szepnęła. – Niedaleko drzwi Alessandra.

Nie dowierzała własnym uczuciom. Była rozdarta między dziwną bliskością, którą czuła, kiedy Alessandro w skórze pantery siedział obok niej na końcu opuszczonej autostrady, a złością na niego za to, że zostawił ją w *palazzo* jak jakąś poderwaną w barze idiotkę.

Bezgłośnie dotarła do końca korytarza. Belka była ciężka i musiała odłożyć rewolwer na ziemię, by obiema dłońmi podnieść ją z umocowania. Odgłosy tarcia drewna o drewno były o wiele za głośne w panującej ciszy.

Bardzo, bardzo ostrożnie oparła rygiel o ścianę. Chwyciła ponownie rewolwer, ale zostawiła na ziemi komórkę. Położyła rękę na staromodnej gałce u drzwi.

– Alessandro? – szepnęła, przekręcając ją. – To ja, Rosa.

Za nią na schodach rozległy się kroki.

A potem cichy śpiew.

PŁYNIE KREW

Puściła gałkę i odwróciła się. Mocno trzymała rewolwer w obu dłoniach, wyprostowała ręce. Mierzyła w dół schodów, jakby wiedziała, co robi. W rzeczywistości bardziej się trzęsła, niż celowała.

Mężczyzna wchodził po schodach. Dotarł do najwyższego stopnia. W jego dłoniach parowała szklanka wypełniona gorącym mlekiem. Jeszcze jej nie zauważył, bo bardzo się starał nic nie rozlać. Przełożył szklankę z jednej ręki do drugiej, by nie poparzyć sobie palców.

Był pięć metrów od Rosy, kiedy podniósł wzrok.

Szklanka rozbiła się na podłodze. Mleko rozprysło się na brudnym linoleum.

– Jeden dźwięk, a będę strzelać!

Miała nadzieję, że nie zauważył, jak rewolwer trzęsie się w jej rękach.

Mężczyzna podszedł bliżej.

– Proszę stanąć w miejscu!

Tym razem jej posłuchał.

– Ma pan przy sobie broń?

Powoli rozsunał poły kurtki i pokazał jej kaburę pod ramieniem.

– Proszę zapiąć zamek kurtki. – Nie odważyła się rozkazać mu, by wyciągnął pistolet i położył go na ziemi. Nie wiedziała, jak był zwinny. – Bardzo powoli.

Był o półtorej głowy wyższy od niej. I dwa razy szerszy.

– Ty jesteś tą dziewczyną od Alcantarów.

– Zapnij kurtkę!

– Dobrze. – Posłuchał jej rozkazu, nie próbując żadnych sztuczek. Jego twarz nie była niesympatyczna, ale prawie

wesoła.

Zaczął się do niej zbliżać z rękami w górze.

– Proszę stać w miejscu.

– A potem?

Dobre pytanie. Korytarz był zbyt wąski, by kazać mu przecisnąć się do pokoju. W innych pomieszczeniach także nie mogła go zamknąć, bo przez okno wezwałby strażników.

– Wiesz co – powiedział cicho i zrobił jeszcze jeden krok w jej stronę. – Jest tylko jedno rozwiązanie. Musisz mnie zastrzelić.

Celowała w jego twarz.

– Dasz radę? – zapytał.

– Strzele w brzuch. Jeśli się nie wykrwawisz, umrzesz z bólu. – Usłyszała to kiedyś w jakimś westernie.

– Więc powinnaś celować w mój brzuch. – Opuścił lewą dłoń i klepnął swoją kurtkę.

Jej oczy instynktownie śledziły jego ruchy. W tej samej sekundzie zorientowała się, że popełniła błąd.

Jego prawa dłoń szybko sięgnęła za plecy i wyciągnęła długi nóż myśliwski. Musiał go nosić za paskiem.

Bez słowa doskoczył do niej.

Szybko nacisnęła na spust. Tłumik ściszył odgłos strzału do gwizdu.

Mężczyzna zachwiał się niczym po mocnym ciosie pięścią, zatoczył do tyłu i uderzył plecami o ścianę korytarza. Kiedy odwrócił się do niej z wykrzywioną bólem twarzą, na jego lewym ramieniu połyskiwała ciecz.

Jej ręce wciąż się trzęsły. Nic nie mogła z tym zrobić.

Znow do niej podszedł. Nóż miał długość jej przedramienia, klinga połyskiwała w świetle nieosłoniętej żarówki.

Nagle ktoś stanął obok niej. Chłodna dłoń dotknęła jej dłoni, delikatnie wyciągnęła z niej broń. Pozwoliła się temu dzieć. Mężczyzna spojrział na Rosę z niedowierzaniem.

– Alessandro? – szepnęła.

Ale to nie był on. Obok niej stała Iole, która najspokojniej w świecie wycelowała w mężczyznę i pociągnęła za spust.

Tym razem osunął się na kolana. Kiedy opadał plecami i tyłem głowy na ziemię, Rosa zobaczyła w jego czole dziurę o średnicy monety.

– No – powiedziała Iole, zadowolona jak po wykonaniu ciężkiej pracy fizycznej.

Zdenerwowany głos Pantaleone skrzeczał w komórcę, która leżała na ziemi.

– Co tam się dzieje? Rosa? Wszystko w porządku?

Nie zwróciła na to uwagi. Iole stanęła przed nią, opuściła rękę z rewolwerem i patrzyła na martwego człowieka. Miała na sobie białą sukienkę, pachniała mydłem i szamponem. Umyta i ubrana, by być ładną przynętą na polowaniu.

Rosa przytuliła ją i kiedy Iole ją objęła, poczuła rękojeść broni na swoich plecach. Obie miały w oczach łzy, ale żadna z nich nie płakała.

– Zrobili ci coś? – zapytała Rosa.

Iole pokręciła głową.

Rosa delikatnie wyciągnęła rewolwer z jej ręki.

– Twój ojciec cię tego nauczył?

– Mój wujek – powiedziała. – Augusto.

– Alessandro jest z tobą?

– Nie.

Rosa ze zwątpieniem zajrzała za otwarte drzwi. Ani śladu Alessandra. Czy to nie ten pokój? Może nie ten dom?

– Zabiorę cię stąd – powiedziała do Iole, choć nie była do

końca pewna, kto tu kogo uratował. Unikała widoku nieżywego mężczyzny, natomiast Iole zrobiła w jego stronę dwa wolne kroki, przekrzywiła głowę i przyglądała się mu.

Rosa lewą ręką chwyciła komórkę, w prawej trzymała rewolwer.

– Pantaleone?

– Co, do diabła, się stało?!

– Okłamaliście mnie!

– Znalazłaś dziewczynkę?

– Tak. Ale pan i pana kolega Remeo mówiliście coś innego. – Nie chciała w obecności Iole skarżyć się, że spodziewała się Alessandra. Starzec doskonale zrozumiał, co miała na myśli. – Mam dosyć pana i pańskich sztuczek!

– Uwolniłaś dziewczynkę. To musi wystarczyć.

– To jeden z pana cholernych testów, prawda? Żeby się dowiedzieć, czy się nadaje na głowę Alcantarów.

– Właśnie go zdałaś.

– Powiedział pan, że go tu znajdę.

– Trzymaj się od niego z daleka – rzucił z naciskiem. – Carnevarowie nie są tacy, jak ty i ja. Nie przyniesie ci to nic oprócz bólu i cierpienia.

– Proszę zostawić to mnie. – Spojrzała na Iole, która kucała nad zwłokami i czubkami palców dotykała pozbawionej życia twarzy.

– Zrobisz teraz to, co ci każę. – Ton głosu starca zaostrzył się. – Jestem twoim *capo* i będziesz mnie słuchać.

– Nigdy w życiu. Może pan grać w swoje gierki z Florindą i Zoe, jeśli one to lubią.

– Zapomnij o nim, Rosa. Biegnij z dziewczynką do samochodu i znikajcie stamtąd. Jeszcze macie szansę. To nie potrwa długo, aż w końcu ktoś się zorientuje, że mała zniknęła.

– Zawahał się chwilę i dodał: – Wcześniej, kiedy byłaś zajęta, dostałem wiadomość. Decyzja trybunału już zapadła.

– Tak wcześnie?

Przez otwarte okno wpadała niebieskawa poświata. Wkrótce miało wstać słońce.

– Zaraz na początku Cesare zaskoczył wszystkich, wycofując swoje zarzuty – powiedział Pantaleone. – Twoja siostra dzwoniła do mnie przed chwilą i wszystko mi opowiedziała. Cesare wyjaśnił, że wprawdzie ponosisz odpowiedzialność za śmierć jego syna, ale to nie ty pociągnęłaś za spust. W ten sposób wyszedł naprzeciw moim świadkom i uniknął wyroku, który mógłby zaszkodzić jego reputacji. To byłby słaby początek jego kariery jako *capo* Carnevarów. Udowodnił wszystkim, że przestrzega praw dynastii i tytuł *capo* będzie nosił z honorem. Trybunał powinien w tej sytuacji pójść na rękę Carnevarom i wybrać go na nową głowę klanu.

– Jest jeszcze jedna możliwość – szepnęła Rosa i ścisnęła w dłoni rewolwer.

– To prawda.

– On wie, że będę próbowała uwolnić Iole. I że popłynię przy tym krew Carnevarów.

– Co najwyraźniej już się stało – zauważył Pantaleone.

– I tym razem nikt mi nie uwierzy, że to nie ja strzelałam. – Głęboko nabrała powietrza i zwróciła się do dziewczynki. – Iole, wiesz, kim jest ten zastrzelony mężczyzna?

– Dario Carnevare – odparła Iole. – Daleki kuzyn Alessandra.

Pantaleone lekko westchnął.

– To drugie złamanie konkordatu, jakie tobie zarzuci. I kto wie, czy ostatecznie, jeśli wreszcie nie zrozumiesz, że natychmiast musisz stamtąd zniknąć!

– Wykiwał mnie!
– Możliwe.
– Wie, że tu jestem. Teraz, w tym momencie!
– Bardzo prawdopodobne.
– Pan też wiedział, że Cesare będzie chciał mnie tu zwabić!
– Można to rozważyć. Nie wysłałbym ciebie do jego pułapki, gdyby nie było z niej wyjścia. Jeśli się pospieszysz, uda ci się. Cesare mimo wszystko popełnił jeden błąd – nie uwzględnił w swoich planach zdrady. Niech to będzie dla ciebie lekcja, Rosa – zdrada jest naszym nieodłącznym towarzyszem. Cesare nie przeczuwa, że dwóch z jego ludzi w Gibellinie stoi po twojej stronie. Ten błazen czuje się zbyt pewnie.
– Dwóch ludzi? Kto poza Remeo?
– Spotkasz go, jeśli zaraz ruszysz do samochodu! – Miał już wyraźnie dość tej rozmowy.
Rosa czuła to samo.
– Najpierw wyciągnę stąd Alessandro.
– Nie ma na to...
Przerwała połączenie. Po krótkim wahaniu wyłączyła telefon i wsunęła go do kieszeni.
– Rosa? – Iole wstała i wygładziła porządnie sukienkę.
– Musimy stąd iść. – Rosa chwyciła ją za rękę i pociągnęła obok zwłok na schody.
– Rosa, ja wiem, gdzie on jest. – Iole uśmiechnęła się, ale sprawiała wrażenie dziwnie nieobecnej. – Wiem, dokąd zabrali Alessandra.

* * *

Dziesięć minut później Rosa patrzyła z obawą ze skraju pomnika, jak biała plama sukienki Iole oddala się w świetle

świtu. Idąc w tę stronę, nie mogła nie trafić do mercedesa. Rosa opisała jej, gdzie stoi samochód, i przyjęła obietnicę, że Iole schowa się gdzieś w pobliżu i będzie na nią czekać. Gdyby Rosa nie przyszła, aż zrobi się zupełnie jasno, Iole miała wyruszyć piechotą. Po dwóch godzinach marszu drogą powinna dotrzeć do najbliższej wsi.

Nic więcej Rosa nie mogła zrobić. Północny szlak sprawiał wrażenie najpewniejszego. Carnevarowie i inni, którzy mieli wziąć udział w zbliżającym się polowaniu, zostawili samochody na południe od zniszczonej wsi. Rosa widziała je w świetle poranka spory kawałek niżej na wzgórzu. Na trudnym do sforsowania, krętym szlaku na północy Iole miała szansę, by przemknąć niezauważenie.

W betonowych ścieżkach pomnika kilku mężczyzn przygotowywało polowanie. Wkoło montowali reflektory i generatory. Rosa kucnęła w wysokich zaroślach i zastanawiała się, jak najlepiej okrążyć pomocników Cesare.

Czas naglił. Na wschodzie słońce wysuwało się zza wzgórza i zabarwiało niebo na ognisty kolor. Poranna mgła uniosła się z okolicznych dolin i rozeszła nad zdziczałymi winnicami. Rosa obiegła labirynt szerokim łukiem od zachodniej strony i sunęła pochylona w górę wzgórza, nieźle chroniona przez krzewy i ruiny. Nikt nie zauważył jeszcze, że Iole uciekła. Bardzo możliwe, że tam, w dole, wspomaga ją Remeo.

Nad Rosą znajdował się teraz samotny budynek z brązowego piaskowca, który widziała zaraz po przyjeździe. Wznosił się na wzgórzu ponad pomnikiem i sprawiał wrażenie opuszczonego.

Jak dotąd napotkała tylko jeden patrol, który ominęła bez większych kłopotów. Wszyscy pozostali mężczyźni byli zajęci

montowaniem reflektorów, układaniem kabli i przygotowaniem wielkiego stołu biesiadnego, chronionego przed wiatrem przez potężne skały na krawędzi pomnika. Dźwigano podzwaniające skrzynki wina, stawiano drewniane ławy i rozkładane krzesła. Czterech mężczyzn niosło drogą ogromny grill, wystarczająco duży, by zmieścić się na nim cielak. Rosę ogarnęło ponure przeczucie, dla kogo przeznaczony był długi rożen.

Czy w taki sposób dynastie arkadyjskie do dziś pielęgnowały swoje antyczne wybryki? Do jakich barbarzyństw dojdzie, kiedy Głodomór odzyska władzę nad dynastiami i przywróci kult ludzkiego mięsa, znany od czasów króla Lykaona?

Pokonując ostatni odcinek drogi w stronę domu, rozmyślała jeszcze nad motywami, jakimi kierował się Cesare. To dziwne, że nie kazał jej szukać. Możliwe, że – przyszło jej nagle do głowy – wydał rozkaz, ale ten nie dotarł pod pomnik. Szpieg Pantaleone musiał mieć wysoką pozycję w klanie Carnevarów, na tyle wysoką, by zatrzymać wiadomość od Cesare.

Ponad pomnikiem Rosa przecięła wąską drogę z kruchego asfaltu, a potem stanęła przed zewnętrznym murem starego gospodarstwa. Zgięła się i zanurkowała w cień, kiedy w oddali rozległ się hałas. Rytmiczny warkot stawał się coraz głośniejszy.

Ostrożnie wyjrzała zza rogu. Pod nią rozciągała się pępna bryła pomnika.

Na południowej części nieba, zabarwionej na złoto przez pierwsze promienie wschodzącego słońca, pojawił się helikopter.

SZPIEG

Helikopter wylądował na pustej przestrzeni przy krawędzi betonowego labiryntu. Mężczyźni, którzy w tym miejscu przygotowywali ucztę, przerwali zajęcia, kiedy prąd powietrza i kurz zaczęły uderzać o podłoże.

Rosa znajdowała się mniej więcej dwieście metrów dalej, na wzgórzu. Nikt z dołu nie mógł jej zobaczyć. Czuła w gardle własny puls, tak mocno waliło jej serce.

Boczne drzwi helikoptera otworzyły się. Cesare Carnevare wysiadł w otoczeniu ochroniarzy. Wszyscy mieli na sobie czarne garnitury. Jeden z mężczyzn, którzy pracowali w pomniku, pospieszył w jego stronę.

Rosa cofnęła głowę i przez chwilę opierała się o mur. Nawet jeśli rozkaz Cesare, by zacząć jej szukać, nie dotarł do jego ludzi w Gibellinie, niedługo ktoś zainteresuje się Iole i Alessandrem.

Przebiegła obok opuszczonej stajni w stronę szczytu wzgórza, aż mogła ostrożnie wyglądać zza rogu tylnej ściany podupadłego gospodarstwa. W jego fasadę wmontowano nowe okna.

Przed wejściem stały dwa samochody terenowe. Nie było widać strażników, ale nie mogła być pewna, że ich tam nie ma. Mimo to zaczęła biec, najpierw w cieniu jednego samochodu, potem drugiego. Od drzwi gospodarstwa dzieliło ją dziesięć metrów.

Postawiła wszystko na jedną kartę i pochyłona przebiegła przez otwartą przestrzeń. Za brudnym oknem paliło się światło. Kucnęła pod nim i usłyszała stłumione męskie głosy, które wewnątrz prowadziły rozmowę. Przynajmniej dwa.

W magazynku jej rewolweru znajdowały się jeszcze cztery

kule. Nie była pewna, co powinna zrobić. Wiedziała tylko, że w tym budynku uwięziony jest Alessandro. Coś musiała postanowić.

W domu zadzwoniła komórka. Rozmowa mężczyzn przerwała się. Krótkie milczenie, a potem jeden z nich powiedział zaraz za szybą:

– Nie, tutaj wszystko w porządku. Żadnych problemów. Ale Gino jeszcze rozejrzy się na zewnątrz.

– Dlaczego ja? – warknął ten drugi, ale zaraz potem zaszurały nogi krzesel.

Rosa rzuciła się z powrotem za jeden z samochodów terenowych. W panice rozglądała się za lepszą kryjówką i w ostatniej chwili wturlała się pod samochód. Leżała w kurzu na brzuchu, trzymała rewolwer w obu dłoniach i patrzyła w stronę domu.

Drzwi otworzyły się, słaby strumień światła opadł na podjazd. Mężczyzna wyszedł na zewnątrz, w jednej dłoni trzymał karabin maszynowy, w drugiej – latarkę.

Rosa nie ruszała się. Przestała oddychać.

Powoli przechodził przez dziedziniec. Jego buty zniknęły za jedną z wysokich opon. Nie widziała go teraz, chociaż stał półtora metra od niej.

– Coś niezwykłego? – rozległo się pytanie od drzwi.

Drugi z mężczyzn pojawił się w wejściu.

– Nikogo.

– Rozejrzyj się jeszcze wkoło domu.

– Czego oni tak nagle zaczęli się bać? Glin?

Mężczyzna stojący na progu domu wzruszył ramionami.

– Powinniśmy mieć oczy szeroko otwarte, powiedzieli.

Signore Carnevale wkrótce się tu pojawi. Chce porozmawiać z chłopakiem.

Gino, mężczyzna stojący między samochodami, stęknął.

– Dobra, zrobię rundę dookoła domu. Zostaw mi trochę *cannoli*.

Kiedy tylko zniknął za rogiem budynku, od strony wjazdu rozległ się trzeci głos:

– Wszystko u was w porządku?

Rosa nie wierzyła własnym uszom.

Mężczyzna stojący w wejściu oświetlił nowo przybyłego.

– A ktoś spodziewał się czegoś innego? Dlaczego wszyscy myślą, że nie panujemy nad sytuacją? – Mruczając coś pod nosem, wyszedł przed drzwi. – Czego chcesz?

– Przysłała mnie *signore* Carnevare. Mam sprowadzić Alessandra do helikoptera.

– Jeszcze przed chwilą mówili, że przyjdzie do nas.

– To znaczy, że zmienił zdanie.

Kroki zazgrzytały na kurzu i żwirze. Rosa odwróciła głowę i zobaczyła tenisówki i dżinsy, które zbliżają się w jej stronę przez dziedziniec.

Znała ten głos.

– Jesteś sam? – zapytał Fundling.

– Gino właśnie sprawdza tył domu. Poczekaj na zewnątrz, zadzwonię do tych na dole, żeby...

– To niepotrzebne.

Dwa strzały z broni z tłumikiem. Mężczyzna przy wejściu upadł na ziemię z głuchym odgłosem.

Rosa wciąż leżała w bezruchu.

Fundling był szybszy. Widziała, jak schyla się nad martwym mężczyzną i wciąga go do domu. Ostatni raz sięgnął na zewnątrz i zamknął drzwi.

Być może włamał się do maserati. Albo ktoś go tu przywiózł. Ludzie sędzi? Ale czy w tej sytuacji ich interwencja

nie nastąpiłaby wcześniej?

Rosa omiotła wzrokiem róg domu. Wciąż nie było widać Gina. Wyturlała się szybko spod samochodu, zakradła na palcach do okna i zajrzała do środka. Nikogo nie było widać.

Przełożyła broń, żeby wytrzeć mokrą od potu prawą dłoń o spodnie. Potem przerzuciła ją z powrotem, zakradła się do drzwi, zrobiła głęboki wdech i – otworzyła je.

Obiema dłońmi chwyciła rewolwer i wycelowała go przed siebie.

Przed nią stał Fundling. Lufa broni była skierowana w jej stronę.

Trzymała rewolwer w gotowości i zrobiła krok do przodu. Stopą zamknęła za sobą drzwi.

– Gdzie jest Alessandro?

Fundling stał w rozkroku nad stopami zastrzelonego mężczyzny.

– Nie musisz mi grozić bronią.

– Co tu robisz?

Uniósł ramiona.

– Zostawiłaś mi maserati.

– Quattrini cię tu przysłała?

– Ona cię szuka.

Rosa wskazała na zwłoki.

– Co to ma być?

– Musimy się pospieszyć. Zanim Gino znów się tu pojawi.

– Schował pistolet za pasek i zaczął odciągać ciało od drzwi. Po lewej stronie znajdował się oświetlony pokój, w którym zatrzymali się strażnicy. Drzwi po prawej stronie były zamknięte. Fundling wepchnął zwłoki przez trzecie drzwi, z przodu małego korytarza.

Rosa nie spuszczała go z oka. Broń w jej dłoniach nie

drżała już tak bardzo jak wcześniej. Wciąż była roztrzęsiona, ale zdołała się opanować i czekała.

Fundling wyszedł z powrotem na korytarz i zamknął drzwi za zwłokami. Znów trzymał w dłoni pistolet. Rosa wciąż obserwowała jego klatkę piersiową.

– Szukamy Alessandra... – powiedział.

– Po prostu zastrześliłeś tego faceta.

– A co ty zamierzałaś tym zrobić? – Skinieniem wskazał jej broń.

Z zewnątrz dobiegł ich dźwięk zbliżających się kroków.

Rosa zakłęła. Nadal stała odwrócona plecami do drzwi wejściowych. Szybko wsunęła się do pokoju po lewej stronie i zobaczyła jeszcze, jak Fundling podnosi pistolet i celuje nim w stronę wejścia.

Gino otworzył drzwi.

– Tam nic nie ma. Nie wiem, co oni...

Fundling wypalił dwukrotnie. Przez wąską szparę Rosa nie widziała żadnego z nich, ale usłyszała odgłos przewracającego się ciężko ciała. Fundling pospieszył do drzwi naprzeciwko. Chwilę później wciągał drugie zwłoki do pokoju na końcu korytarza.

W pokoju, w którym znajdowała się Rosa, pachniało ciastem i kawą. Na stole stały dwa kartonowe kubki, termos i plastikowy talerz z nadziewanymi rurkami *cannoli*.

Na zewnątrz w korytarzu Fundling zamknął najpierw drzwi do tylnego pokoju, a potem wejściowe na klucz. Dostrzegł smugę krwi i zaklął cicho.

– Jeszcze raz – powiedziała Rosa. – Co tutaj robisz?

– Pilnuję cię.

– Mnie... – zakrztusiła się. – Quattrini wie, że tu jestem, i przysłała ciebie? Kim ty jesteś, jej cholernym praktykantem?

– Ona nie ma pojęcia, co tu się dzieje.

Rosa wlepiła w niego wzrok. Nagle przyszło jej do głowy to, czego nie mogła wcześniej wymyślić.

– To ty? Drugi człowiek Pantaleone w obozie Cesare?

Jego skinienie było zadziwiająco szczere, chociaż jednocześnie odwrócił od niej wzrok jakby ze wstydem.

– To jest trochę skomplikowane.

Myliła się. Drugi szpieg nie miał wysokiej pozycji, ale możliwie najniższą – był posłańcem. Dlatego wiadomość Cesare nie mogła dotrzeć do pozostałych.

Opuściła broń na długość dłoni.

– Szpiegujesz Carnevarów dla policji i dla Pantaleone?

– Pomagam wszystkim, którzy są wrogami Cesare. Wszystko mi jedno, kim są i czego chcą.

– Bo on...

– Z tego samego powodu, co Alessandro – wpadł jej w słowo. – Tylko innymi środkami. On chce zabić Cesare, ale ochronić klan. Mnie nie zależy na klanie. Cesare zabił Gaię i barona. Im obojgu zawdzięczałem więcej niż życie. Nie pozwolę, by Cesare drogą morderstw stał się jednym z najpotężniejszych *capi*.

– Pantaleone kazał tobie mi pomóc?

Fundling skinął głową.

– Ale ja wtedy byłem już od dawna w drodze. To nie ma związku ani z Pantaleone, ani z sędzią. Wyjaśnię ci to później, jeśli będziesz chciała, ale teraz nie mamy już czasu...

– Cesare zaraz tu będzie – wyrzuciła z siebie.

– Tak. Mamy najwyżej dwie, trzy minuty.

Z wahaniem opuściła rewolwer, kiedy Fundling wskazał za jej plecy.

– Drzwi do piwnicy.

Obejrzała się przez ramię, ale wciąż nie miała odwagi, by odwrócić się do niego plecami. To musiała wcześniej być kuchnia, żeliwny piec stał przy tylnej ścianie. Obok znajdowały się wąskie drzwi.

– Czy on tam jest? – zapytała ochryłym głosem.

Fundling ponownie skinął głową.

– Dlaczego nic nie mówi? Przecież musiał nas słyszeć.

– Zakuli go w kajdanki i zakneblowali. Prawdopodobnie również przywiązali łańcuchem. Z powodu przemiany.

Pospieszyła do drzwi. Tkwił w nich klucz.

– Rosa – powiedział Fundling miękko – poczekaj.

– Sam powiedziałaś, że nie mamy czasu.

– Wiesz, co chcesz uwolnić?

– Jestem jedną z nich, Fundling. Nie boję się go.

Chciał coś odpowiedzieć, ale w tym momencie na podjeździe zazgrzytał żwir pod oponami i pod dom podjechał samochód. Światło reflektorów prześlizgnęło się po zaparkowanych na zewnątrz samochodach i oświetliło okno. Ostra biel zalała pokój.

Fundling skoczył do przodu, chwycił Rosę i otworzył drzwi do piwnicy. Wpadła w ciemność. Wąskie, zniszczone schody bez poręczy prowadziły w otchłań. Oparła się otwartą dłonią o nagą, kamienną ścianę.

Fundling puścił ją. Nagle znalazła się sama na schodach. Pod nią była tylko ciemność.

Obejrzała się przez ramię.

Zwinnie prześlizgnął się z powrotem do kuchni. Ich spojrzenia na chwilę się skrzyżowały. Potem zamknął drzwi od zewnątrz. W zamku zazgrzytał klucz.

Była uwięziona w ciemności.

W CIEMNOŚCI

Klnąc i potykając się, weszła cztery stopnie wyżej, po omacku chwytając się ściany. Kiedy dotarła do drzwi, rękojeścią rewolweru uderzyła o drewno.

– Fundling! Otwieraj! Cholera, Fundling!

Przed domem trzasnęły drzwi samochodu. Silnik ucichł. Słyszała przytłumione, oddalone głosy.

Roztrzęsiona łąpczywie nabrała powietrza i natychmiast poczuła stęchliznę wilgotnej piwnicy. Jeśli dalej będzie krzyczeć i walić w drzwi, może zwrócić na siebie uwagę Cesare i jego ludzi.

Powoli odwróciła się. Poniżej była kompletna ciemność, nawet śladu światła. Jakby zanurkowała w beczkę czarnego atramentu.

– Alessandro? – wyszeptała.

Poniżej coś się poruszyło. Pospieszny szelest i brzęk. Dźwięczące ogniwa łańcucha.

– Alessandro? To ty?

Na zewnątrz głosy przekrzykiwały się, aż jeden z nich zabrzmiał najmocniej. Cesare. Nie mogła dosłyszeć, co mówił.

Ostrożnie wymacała czubkiem stopy krawędź najwyższego stopnia i zaczęła schodzić. Jej dłonie znów dotknęły zimnego kamienia na ścianie. Nie miała żadnych wskazówek, jak długa mogła być piwnica.

Po dziesięciu stopniach dotarła na sam dół. Po prawej stronie ściana ciągnęła się dalej. Rosa kurczowo trzymała się przy niej.

– Gdzie jesteś?

Brzęk łańcucha nasilił się. Ciemność zdawała się pochłaniać także odgłosy. W prastarej piwnicy było jej zimno,

ale część tego zimna brała się także z niej samej. Dreszcz przeszedł przez jej nogi, zapanował nad tułowiem. Musiała na chwilę stanąć, by się uspokoić.

– Gdzie jesteś?

Rozległo się warczenie, a potem głośny brzęk łańcucha. Dalej z przodu czy z lewej? Miała problem ze zlokalizowaniem dźwięków.

– Nic nie widzę – szepnęła. – Znajdę cię tylko, jeśli będę cię słyszeć.

Wciąż trzymała się ściany. Odgłosy łańcucha dobiegały teraz z przodu. Czowała jego obecność w bezpośredniej bliskości.

Powoli wyciągnęła przed siebie rękę. Oderwanie się od ściany i utrata orientacji wywołała uczucie niepewności.

Jej palce nie napotkały nic poza pustką.

Po krótkim wahaniu ukucnęła.

Poczwała sierść. Przestraszona cofnęła rękę. Zaraz potem spróbowała jeszcze raz. Wciąż tam była. Ciepła, gładka sierść na gibkim, oddychającym ciele.

Warczenie zmieniło się w miękki pomruk, dziwnie głuchy, co ostatecznie potwierdziło przeczucie, że został zakneblowany. Możliwe, że miał kaganiec. Znów się poruszył i znów ogniwa łańcucha zadźwięczały na kamieniu.

– Nie możesz się przemienić? – zapytała cicho.

Złość na Cesare, możliwe, że również na siebie, musiała go trzymać w zwierzęcej postaci. Nie miał kontroli nad swoimi uczuciami, podobnie jak kilka dni wcześniej, kiedy bezsilnie siedział obok niej w ciele pantery, niezdolny, by z powrotem przeobrazić się w człowieka. Musiała go uspokoić. Zdjąć mu knebel. Jakoś uwolnić z łańcuchów.

Z parteru dobiegł brzęk. Coś spadło i się potłukło. Wzdrygnęła się, słysząc strzał. Nie wygłuszony. A zatem nie

strzelał Fundling.

Chociaż się trzęsła, wciąż przeciągała delikatnie dłonią po sierści Alessandro. Była miękka i jedwabista.

Wyczuła łuki żeber i kręgosłup. Leżał na boku, plecami do niej. Łańcuch musiał być na tyle krótki, że nie pozwalał mu wstać. Im bardziej ponosiły go nerwy, tym trudniej było mu z powrotem zmienić się w człowieka. Starsi Arkadyjczycy umieli sterować swoimi przemianami, Alessandro padał ofiarą własnych emocji.

Jej palce powędrowały po jego plecach w kierunku szyi. Sierść była przyjemna w dotyku. Gdyby leżał tam w swojej ludzkiej postaci, jej wstyd przed takim dotykiem byłby dużo silniejszy.

Trzymał ciężką głowę pantery w bezruchu, kiedy jej palce wślizgnęły się pomiędzy jego uszy, nieśmiało przesunęły się po czole, dalej w dół w stronę kociego pyska. Kiedy przesunęła po nim dłonią, zamknął oczy. Potem natknęła się na coś w rodzaju paska. Naprawdę miał na sobie jakby kaganiec. Pospiesznie rozpięła sprzączkę i ściągnęła skórzaną uprząż z jego pyska.

Wydał z siebie ostre prychnięcie. Kiedy nachyliła się ponownie w jego stronę, był spokojniejszy. Nigdy nie mówił jej, ile razy w przeszłości przeobrażał się w panterę, a teraz zrozumiała, że nie mogło się to zdarzać często. Na górze rozbrzmiały dwa kolejne strzały. Kto strzelał? W kogo? Czy Fundling ukrył się w domu? To wszystko wydawało się teraz bardzo odległe, jakby w ogóle jej nie dotyczyło. Zawładnął nią nienaturalny spokój. Jednocześnie zimno wkradło się w czubki jej palców.

– Po prostu leż – wyszeptała.

Zamruczał jak domowy kot.

Jej dłonie prześlizgnęły się po muskularnych przednich

łapach, aż napotkały ogromne żelazne pierścienie. Łańcuchy, którymi był skuty, nie były szersze od jej małego palca. Wyczuła dłonią ich bieg. Musiała przy tym przechylić się przez niego. Tułowiem dotknęła jego sierści. Dziwne łaskotanie przebiegło przez jej skórę. Starła się to zignorować, przesunęła palcami po jego tylnych łapach i także tam znalazła dwa żelazne pierścienie.

– Ogłuszyli cię, żebyś mógł ci to założyć?

Potała głową o jej kolano. Odczytała to jako „tak”.

Na górze w domu zabręczczało tłuczone szkło. Ktoś zaczął krzyczeć, daleko, być może na zewnątrz.

– Mam jeszcze cztery kule – powiedziała. – Mogę spróbować przestrzelić te łańcuchy.

Jego głowa jeszcze raz potarła jej nogę.

– Muszę przyłożyć lufę do jednego z ogniwi łańcucha. Możesz je mocniej napiąć?

Zdecydowane parsknięcie.

Wzięła do ręki broń, podczas gdy nad nimi, w domu, znów rozległo się kilka strzałów.

Całkowicie na ślepo, ufając tylko swojemu zmysłowi dotyku, odwróciła się.

– Najpierw lewa przednia łapa. – Zgiął ją, aż łańcuch pomiędzy żelaznym pierścieniem a uchwytem mocującym go na ścianie, mocno się naprężył. Poczowała jego ogromną łapę i końce wysuniętych pazurów. Odliczyła cztery ogniwa łańcucha – oby tyle wystarczyło, żeby go nie zranić. Tam skierowała lufę rewolweru i w napięciu nabrała powietrza.

– Gotowy?

Warknął.

– Więc już.

Nacisnęła spust. Siła odrzutu była ogromna. Odgłos

pękania i gwizd wskazywał, że nabój uszkodził coś i rykoszetem popędził w ciemność.

– Wszystko w porządku? – zapytała pospiesznie.

Zaszurał łapą, żeby zrozumiała, że był wolny. To działało! Jeśli nie trafi jej rykoszet, może uda jej się go uwolnić.

Na parterze ktoś ryknął, a inny głos mu odpowiedział. Zaterkotał pistolet maszynowy. Znow zadźwięczało szkło.

– Szybciej – ponagliła go.

Wkrótce jego druga przednia łapa została uwolniona, a potem pierwsza tylna. Spróbował wstać, ale ona szybko położyła swoją zimną dłoń na jego boku, dając mu do zrozumienia, żeby był cierpliwy. Jeszcze tylko jedna obręcz. I ostatnia kula.

Strzał rozsadził ogniwa łańcucha. Tym razem poczuła ostry pęd powietrza od odbitego naboju bardzo blisko swojej skroni.

Alessandro podskoczył, zachwiał się, znow upadł, niemal przygważdżając ją do ziemi. W ostatniej chwili rzucił się przed siebie, zaszurał łapami o podłogę piwnicy, złapał równowagę i najwyraźniej udało mu się stanąć na wyprostowanych łapach. Jego miękki pysk przycisnął się do jej szyi, gorący oddech przyprawił ją o dreszcze. Dostała gęsiej skórki.

Lekko zamruczał, a potem się odsunął.

Na parterze, poza piwnicą nagle zapanowała cisza. Żadnych wystrzałów z pistoletu, żadnych salw.

Obok niej rozległo się westchnięcie. Rozpoczęła się jego przemiana. Wkrótce potem drżące palce wysunęły się, poszukując jej.

– Dziękuję – powiedział ochrypły głos, jeszcze nie do końca jego własny. Palce miał o wiele cieplejsze niż ona.

I nagle poczuła jego usta na swoich, a jego dłoń spoczęła delikatnie na tyle jej głowy. Był nagi, wiedziała o tym, chociaż

go nie widziała, i coś zaczęło się z nią dziać. To, co wzięła za gęsią skórę, było w rzeczywistości czymś innym: przy każdym ruchu wkoło niej rozsypywały się teraz płaty skóry. Czubek jej języka dotknął jego i rozdzielił się.

Od drzwi do piwnicy rozległo się zgrzytanie. Ktoś przekreślał klucz w zamku.

Rosa wzdrygnęła się, nie wiedząc, jaki był tego powód – ten dźwięk czy to, co zaczęło się z nią dziać.

– Pójdę zobaczyć – powiedział Alessandro.

Teraz to bez żadnych wątpliwości był jego głos, chociaż brzmiał nie do końca zwyczajnie. Przemiana jeszcze się nie zakończyła. A czym była ona? Człowiekiem z pierwszymi cechami węża? Zimno w jej wnętrzu przejmowało nad nią kontrolę, wciskało się w każdy zakątek jej ciała.

Kiedy się od niej odsunął, jej język się zasklepił. Oczy rozciągnęły się boleśnie i znów przybrały ludzką formę. Ostre łuski na jej plecach wygładziły się, zrosły i zwały z powrotem w skórę.

– Alessandro...

– Jestem na schodach.

Chwiejąc się, ruszyła przed siebie, jak gdyby jakaś jej część musiała na nowo przyzwyczaić się do nóg. Jej dłonie wyczuła ścianę piwnicy, stopy odnalazły stopnie. Podążyła za nim na górę i z ulgą stwierdziła, że na nią czeka.

Razem podeszli do zamkniętych drzwi. Po drugiej stronie panowała cisza.

– Gotowa? – szepnął.

– Tak jakby.

Usłyszała cichy śmiech i wyobraziła sobie jego dołeczki i iskry w zielonych oczach.

– Muszę ci jeszcze coś powiedzieć – szepnął.

W tym samym momencie drzwi od piwnicy otworzyły się z impetem.

PANTERA

Rosa spojrzała w jasność. Światło poranka wpadało przez okno do dawnej kuchni. W ścianach widniały dziury po strzałach, a na ziemi w bezruchu leżało kilka ciał.

– Wychodźcie – powiedział długowłosa mężczyzna, który otworzył drzwi. W jednej ręce trzymał pistolet.

– Remeo?

Niecierpliwym gestem wywołał ich z piwnicy.

– Pospieszcie się. Większość nie żyje, ale nie wiem, co się dzieje z ludźmi w dole, w dolinie. Być może kilku tam jeszcze zostało.

Rosa stanęła na progu i rozejrzała się. Wyciągnęła dłoń w stronę Alessandra. Nie miał na sobie ubrania, ale nie był też nagi – czarne futro pokrywało część jego ciała, choć przeredzało się w oczach. Żelazne obręcze z pozostałościami ogniw łańcucha wisiały na przegubach i kostkach u nóg.

Spojrzenie jego szmaragdowych oczu oderwało się od niej, z mruganiem przeniosło się na Remea i broń w jego rękę.

– Co się stało?

– On pracuje dla Salvatore Pantaleone. – Rosa cofnęła się o krok i niecierpliwie chwyciła Alessandra za rękę. – Jest po naszej stronie. Spadajmy stąd.

Alessandro się nie ruszył. Miał teraz całkowicie ludzki głos, ale jego ton zirytował ją.

– To ciebie uratował, Rosa. Wobec mnie ma inne plany. Czy nie jest tak, Remeo?

Odwróciła się i spojrzała na mężczyznę z bronią.

Remeo wzruszył ramionami.

Mięśnie jej policzków poruszyły się.

– Co to miało znaczyć?

– Zejdź z drogi – powiedział do niej Remeo. – Nic ci się nie stanie.

Instynktownie zasłoniła Alessandra.

– Pantaleone rozkazał ci go zabić?

– Oczywiście, że rozkazał – powiedział Alessandro zza jej pleców. – Zdarza się właśnie najlepsza sposobność, żeby ostatecznie skończyć z Carnevarami. Będzie to wyglądało tak, jakby wydarzyło się podczas strzelaniny. Nikt się nie domyśli, że własnym ludziom wbił nóż w plecy, i nikt nie będzie podejrzewał Pantaleone.

Chciał delikatnie odsunąć Rose, ale ona nie ruszyła się z miejsca. Stała na środku progu, plecami do niego i schodów do piwnicy.

Mina Remeo nie zmieniła się. Spoglądał na nią jak na towar, za którego przekazanie otrzyma zapłatę.

Zmierzyła go pełnym zdecydowania spojrzeniem.

– Pantaleone chce, żebym dla niego stanęła na czele Alcantarów. Nie odważy się zabić nikogo, kto jest pod moją ochroną.

Blef, który pozwalał zyskać na czasie.

– On jest szefem szefów – zaprzeczył Remeo. – A ty tylko dzieckiem. Przebaczysz mu. A teraz zejdź mi z drogi.

Skoczyła do przodu i uderzyła go w twarz. Nie był to atak, który potraktowałby poważnie, a jednak zaskoczył go. Przeklinając, odsunął ją jednym ruchem na bok i uniósł pistolet.

Rosa upadła na przewrócony stół. Wystawały zza niego nogi, dolna część martwego ciała. Tenisówki. Obok nich leżał pistolet z tłumikiem.

Broń Fundlinga.

Remeo wypalił w drzwi od piwnicy. Alessandro był szybszy. Skok, dzięki któremu uniknął kuli, przeniósł go na

środek pokoju. W locie zmienił się w czarny cień i wylądował na czterech łapach.

Remeo odwrócił broń i strzelił drugi raz. Kula drasnęła Alessandra, który się potknął. Nie udał mu się kolejny skok, o włos minął przeciwnika.

– Remeo!

Rosa trzymała pistolet Fundlinga.

Remeo przez chwilę spoglądał na nią ze zmarszczonym czołem. Potem jednak znowu wycelował swoją broń w Alessandra.

Rosa wypaliła.

Pistolet zazgrzytał. Cholerny magazynek był pusty.

Wrzasnęła z wściekłością, podniosła się i cisnęła bezużyteczną bronią w stronę Remeo. Odchylił się, nie spuszczać oka z pantery. Alessandro krwawił z rany na szyi. Pierwszy strzał go drasnął, drugi musiał trafić.

Pantera podniosła się z ziemi. Rosa jak gdyby w zwolnionym tempie widziała, jak ogromny kot wskakuje na ścianę i przebiega po niej dwa metry, zanim oderwała wzrok i pospieszyła w kierunku Remea. Ten obracał się z bronią. Alessandro pędził w jego stronę z szeroko otwartym pyskiem.

Zanim Remeo zdołał strzelić, siła ataku odrzuciła go do tyłu. Alessandro wylądował na nim i warcząc, wbił mu kły w twarz. Oblicze mężczyzny zniknęło między szczękami atakującego.

Rosa przeczołgała się w stronę leżącego bez ruchu Fundlinga. Jego ubranie było przesiąknięte krwią. W skroni widniała rana.

Za nią umilkły krzyki Remea. Alessandro wydał z siebie dziki pomruk, triumfujący i rozpaczliwy zarazem.

Nie chciała widzieć, co zrobił Remeo. Zamiast tego

pospiesznie złapała przegub Fundlinga, szukała pulsu i nie mogła go znaleźć.

Nie – był! Bardzo słabe pulsowanie.

Fundling prawdopodobnie schował się w domu, by trzymać Cesare na odległość. Możliwe, że dostał od Pantaleone ten sam rozkaz, co Remeo. Albo zrobił to wszystko dla niej. Ludzie Cesare w końcu zaatakowali dom. Nie liczyli się z tym, że za ich plecami czai się jeszcze jeden zdrajca. Prawdopodobnie Remeo spokojnie wystrzelał ich, jednego za drugim. Jeden leżał w wejściu do pokoju, drugi na zewnątrz na korytarzu.

– Fundling jeszcze żyje! – zawołała do Alessandro. – Musimy mu pomóc!

Ale pantera zdawała się niczego nie słyszeć. Wydała z siebie kolejny pomruk, zeskoczyła ze zwłok Remea – i skoczyła w kierunku Rosy!

Zgięła się. Alessandro rzucił się nad nią na coś innego, tak samo dużego i silnego, jak on sam. Siła zderzenia odrzuciła ich obu na ziemię, o mały włos nie trafili w Rosę i w Fundlinga. Rosa przeturlała się na bok i w tym samym momencie rozpoznała, kogo zaatakował Alessandro.

Lew z nastroszoną sierścią wbijał pazury w futro pantery. Drapieżne koty wgryzły się w siebie, przekoziółkowały, warcząc i prychając w kierunku ściany. Swoją wagą zmiażdżyły krzesło, ale mimo to się nie rozłączyły.

Rosa chwyciła Fundlinga od tyłu za ramiona i pociągnęła za drzwi. Jeden z dwóch trupów leżał na jej drodze, musiała go najpierw odsunąć. W pokoju szalały pantera i lew, wbijając w siebie pazury i próbując rozszarpać sobie nawzajem gardła.

Coraz bardziej zrozpaczona Rosa chwyciła zwłoki leżące przy drzwiach. Mężczyzna był za ciężki. Na podłodze leżał jeszcze drugi trup.

Jej wzrok padł na pistolet maszynowy. Jednak używając go, trafiłaby zapewne nie tylko lwa, ale także Alessandra.

W końcu udało jej się przeciągnąć Fundlinga z pokoju na korytarz. Tam znalazła kolejny pistolet i zatoczyła się z powrotem w kierunku drzwi.

Dwa drapieżne koty z niezmienną złością walczyły na gruzach pokoju. Lewe oko lwa było zamknięte, prowadziła przez nie krwawa bruzda. Rosa spróbowała wycelować pistolet w jego stronę, ale zwierzęta poruszały się zbyt szybko. Nawet z tak małej odległości istniało niebezpieczeństwo, że trafi Alessandra.

Z wściekłością schowała broń i odwróciła się ponownie w kierunku trupa leżącego przy drzwiach do domu. Z wysiłkiem przesunęła go na bok tak daleko, żeby móc wywlec Fundlinga na zewnątrz.

Poranne słońce wisiało jeszcze nisko na niebie, długie cienie opadały na podjazd. Kilka ciał leżało w kurzu w bezruchu. Jedno z nich przewieszane było przez maskę terenowego samochodu. Czarny jeep stał z otwartymi drzwiami obok dwóch innych aut. Radio cicho grało piosenkę, która wydała się jej znajoma. *My Death*. A może jednak coś włoskiego.

Kiedy tylko przeciągnęła przez próg nogi Fundlinga, kuchenne okno eksplodowało. Lew i pantera wypadły na dziedziniec w fontannie szkła. Cesare wylądował na czterech łapach, Alessandro – odwrócony, na boku. Dzielili ich prawie dwa metry. Lew uniósł łeb i zmierzył Rosę wzrokiem.

Wyciągnęła pistolet i wypaliła.

Kula trafiła w bok Cesare i odrzuciła go. Zachwiał się, warcząc, potrzęsął potężną głową i spojrzał na Rosę z nienawiścią.

Mimo zranienia wielkimi susami ruszył w jej stronę.

Alessandro dopadł go w połowie skoku, napał na niego i cisnął nim o ziemię. Znowu zmienili się w kotłujący kłęb kurzu. Cios łapą padł na drugie oko Cesare. Niesamowity ryk rozległ się nad dziedzińcem. Jego tylne nogi się ugięły. Siedział, uderzając bezsilnie łapą wkoło siebie, podczas gdy przyczajona pantera szykowała się do ataku.

Na końcu poszło szybko.

Alessandro rzucił się na niego, wbił się w jego szyję i rozszarpał mu gardło. Czaszka Cesare, z grzywą sklejoną krwią, opadła ciężko w kurz.

Nad podjazdem zapanowała cisza, kiedy padlina zaczęła się przeistaczać. Ogromny lew zmienił się w zwłoki mężczyzny. Rosa odwróciła wzrok, gdy sierść zeszła z ran i odsłoniła mięso.

Ciężko oddychając, Alessandro przysiadł obok swojego przeciwnika i czekał, aż proces przemiany się zakończy. Potem odrzucił głowę na plecy i wydał z siebie triumfujący ryk. Rosa wzdrygnęła się.

Chciała do niego podejść, ale coś ją powstrzymało. Klatka piersiowa Fundlinga podnosiła się tak powoli, że ruch był ledwo wyczuwalny. Pilnie potrzebował pomocy lekarza, a ona nie chciała się poddać, nie po tym wszystkim, co dla niej zrobił, wszystko jedno, z jakich powodów.

Z otwartych drzwi jeepa wciąż sączyła się słodka, nostalgiczna piosenka, jak gdyby nad tym usłanym zwłokami krajobrazem za chwilę miały ukazać się napisy końcowe.

Pantera opuściła łeb. Rozglądała się po trupach, a Rosa zadawała sobie pytanie, czy Alessandro czuje teraz satysfakcję, że pomścił śmierć swojej matki.

Zaciągnęła Fundlinga do jeepa. Resztką sił wciągnęła go na tylne siedzenie.

Pantera odwróciła głowę i spojrzała na nią ze smutkiem. Odczekała chwilę, dając Alessandrowi czas, by do niej podszedł.

Nie zrobił tego.

Gorszy od zadrapań i otarć był ból w jej piersiach, który narastał z każdym uderzeniem serca.

– Idź do swoich ludzi – powiedziała bezgłośnie. – Udało ci się. Jesteś teraz ich nowym *capo*.

Kluczyki tkwiły w stacyjce. Kiedy je przekręciła, muzyka umilkła na chwilę, by zaraz rozbrzmieć na nowo.

Silnik zaciął się i zaterkotał. Po chwili opanowała zapłon. W lusterku wstecznym widziała Alessandra – początek jego przemiany w człowieka i być może koniec tego, co było między nimi. Stan Fundlinga nie dawał jej czasu, by to ustalić.

W dole, na zwirowej drodze na wzgórzu, znalazła Iole i Sarcasmo. Dziewczynka uwolniła psa z samochodu. Spał zwinięty w kłębek niedaleko krzewów, jego łeb leżał spokojnie na jej kolanach.

W milczeniu ruszyli na północ.

WIADOMOŚĆ OD ZOE

Rosa i Iole siedziały obok siebie na plastikowych krzesłach przed wejściem do sali operacyjnej. Młody człowiek w rejestracji kliniki obiecał zająć się Sarcasmem.

Ochroniarz w mundurze stał kilka metrów od nich i nie spuszczał ich z oka. Przez głośnik wezwano lekarza, który miał się pilnie pojawić na chirurgii.

Iole na białą sukienkę nałożyła czerwony szlafrok, który dała jej jedna z pielęgniarek. Ktoś zostawił go w szpitalu. Był na nią o kilka rozmiarów za duży. Podwinęła sobie rękawy i trzy razy przewiązała się paskiem, żeby nie przeszkadzał jej w chodzeniu.

– Nie znam nikogo, kto prowadzi samochód gorzej od ciebie – powiedziała, nie patrząc na Rosę.

– To była moja pierwsza jazda autem ze skrzynią biegów.

Chirurg wbiegł obok nich przez drzwi do łącznika do sal operacyjnych. Przejście tylko dla personelu kliniki – głośił napis. Przez szparę w drzwiach Rosa przez chwilę widziała mężczyzn i kobiety w zielonych kiltach, którzy biegali pomiędzy salami operacyjnymi.

– Myślisz, że da radę? – zapytała Iole.

– Nie wiem.

– Jak to się stało, że przeżył z kulą w głowie?

– Nie jestem lekarzem.

Iole odwróciła się do niej.

– A jaki ty masz zawód?

– Przed kilkoma miesiącami byłam jeszcze w szkole.

– A potem?

– Coś się stało i więcej już tam nie poszłam.

– Ja chętnie poszłabym do szkoły – powiedziała Iole w

zamyśleniu. – Ale teraz jestem głupsza od innych, bo brakuje mi sześciu lat.

Rosa spojrzała na nią.

– Nie jesteś głupia.

– Nic nie wiem. Tylko rzeczy z telewizji. Jak nazywa się prezenterka w niebieskiej sukience, a jak ta w czerwonej, i dlaczego ten mężczyzna w programie śniadaniowym nie lubi jeździć tramwajem. Takie rzeczy.

– Jesteś teraz wolna. Możesz wszystko nadgonić.

Iole zamyśliła się.

– Może po prostu zostanę w domu i będę oglądać telewizję.

Na tym się dobrze znam.

– Znajdziemy ci inne zajęcie.

– Nie mogę iść do szkoły. Mam piętnaście lat. Przecież nie wrócę teraz do czwartej klasy. – Uśmiechnęła się, ale w jej oczach była głęboka powaga. – Wszyscy pomyślą, że sześć razy nie przeszłam do kolejnej klasy.

Rosa położyła rękę na jej ramieniu i przyciągnęła ją do siebie.

– Wszyscy będą chcieli słuchać ciekawych historii, jak to jest, kiedy porywa cię mafia.

– To wcale nie jest ciekawe.

– Nie jest – westchnęła Rosa.

– Co się stało? To znaczy, dlaczego nie poszłaś więcej do szkoły?

– Byłam w ciąży.

– Byłaś zakochana?

– Tylko w ciąży.

– Oj.

Iole przez chwilę zastanawiała się, czy należy pytać dalej.

– Ale gdzie jest teraz twoje dziecko? U ciebie w domu?

Rosa potrząsnęła głową.

– Czy ono nie żyje?

– Tak naprawdę myślę, że chyba nigdy nie żyło.

– Przynajmniej niewiele przegapiło w telewizji.

Rosa uśmiechnęła się do niej, a Iole nieśmiało odwzajemniła uśmiech.

Rozległ się cichy sygnał.

– Przepraszam – powiedziała Rosa i wyciągnęła z kieszeni spodni komórkę.

Po przyjeździe do kliniki zadzwoniła do sędzi. Quattrini i jej ludzie lecieli teraz przez całą wyspę z Katanii do Palermo. Helikopterem miało im to zająć półtorej godziny, najwyżej dwie.

Możliwe skutki tego telefonu chwilowo nie interesowały Rosy. Jedno wiedziała na pewno – zadenuncjuje Pantaleone za rozkaz zamordowania Alessandra. Tak powiedziała przez telefon:

– Podtrzymuję naszą umowę. Porozmawiamy, kiedy pani przyjedzie. Ale proszę do tego momentu trzymać policję z daleka od nas. Może to pani załatwić?

Tak, Quattrini mogła to zapewnić. Pod warunkiem, że Rosa i Iole nie ruszą się z miejsca.

– Dobrze – powiedziała Rosa.

– Czy tym razem mogę na ciebie liczyć?

– Tak. Może pani.

– Chciałabym, żebyś przysięgła.

– Mogę skrzyżować palce, a pani tego i tak nie zobaczy.

– Przysięgnij na życie swojej ciotki.

– Co?

– Zrozumiałaś, co powiedziałam. Przysięgnij na życie Florindy Alcantary.

Po krótkim wahaniu odpowiedziała:

– Przysięgam. Jeśli kłamię, Florinda Alcantara będzie smażyć się w piekle... ale nie mogę pani obiecać, że będą ją tam chcieli.

Teraz, godzinę później, patrzyła na telefon.

Iole zauważyła, że coś jest nie tak.

– Co się dzieje?

Rosa nie odpowiedziała. Koniuszki jej palców wisiały nad przyciskiem, ale jeszcze się wahała.

– Rosa?

– To SMS – powiedziała. – Od mojej siostry. Od Zoe.

– Co napisała?

– Na pewno będzie się na mnie wściekać.

– Przecież jeszcze go nie przeczytałaś.

Rosa podniosła się.

– Poczekaj tutaj, dobrze?

Iole wskazała na ochroniarza.

– On nie pozwoli nam stąd uciec. Kiedy przywozi się do szpitala kogoś z postrzałem czaszki, nie można tak po prostu pójść do domu.

– Minuta, dobrze? – Rosa wstała z plastikowego krzesła i poszła w dół białego korytarza. Ochroniarz w ciemnoniebieskim mundurze chciał zagrozić jej drogę, ale Rosa wskazała na pobliskie drzwi od toalety. Kiwnął głową.

Zamknęła się w jednej z kabin. To na pewno był numer Zoe, nie miała co do tego żadnych wątpliwości. Z oporami otworzyła wiadomość.

potrzebujemy pomocy zaczynała się wiadomość, ale musiała to zdanie przeczytać trzy razy, aż w końcu je zrozumiała. jesteśmy uwięzione nie wiem gdzie koniec autostrady głęboki wąwóz. I na końcu: niedobrze z nami

jesteśmy same żadnego strażnika zapytaj alessandra może coś wie i przyjeźdź nam pomóc

Jak ogłuszona gapiła się w litery. Wiadomość wyglądała jak każda inna. Czarna czcionka na białym tle.

Czy Cesare w drodze powrotnej z trybunału kazał uwięzić Zoe i Florindę? Musiał je wyeliminować, by ukryć złamanie konkordatu. Wszyscy, którzy znali miejsce ich pobytu, prawdopodobnie byli martwi.

Nie potrzebowała pomocy Alessandra, by domyślić się, o jakie miejsce chodzi. Koniec zamkniętej autostrady. Głęboki skalny wąwóz. Cesare prawdopodobnie zaplanował, że ukryje je w jednym z grobowców Sykulów, do których wejścia wykute były w skałach kanionu. Odnalezienie uwięzionych w nich ludzi graniczyło z niemożliwością. Ale jeśli wciąż znajdowały się na zewnątrz, nie było jeszcze za późno.

Nie mogła czekać na Quattrini. Nie umiała po prostu siedzieć i nic nie robić.

Starając się, by nie dać po sobie nic poznać, przeszła obok ochroniarza na swoje miejsce. Zaczęła cicho rozmawiać z Iole.

Chwilę później dziewczynka dostała ataku hysterii. Krzycząc, Iole szarpnęła za drzwi do sal operacyjnych i wołając Fundlinga, ruszyła w głąb korytarza.

– Hej! – warknął ochroniarz i przeklinając, podążył za nią.

Rosa odczekała dwie, trzy sekundy, a potem zerwała się na nogi i pospieszyła w przeciwnym kierunku, coraz szybciej, prawie biegnąc.

Dwie minuty później wyjechała czarnym jeepem z parkingu, skręciła na A20 w kierunku zachodnim i pognęła na koniec świata.

TAJEMNICA

Była już blisko celu, kiedy przyszedł kolejny SMS.

florinda umiera pospiesz się

Rosa próbowała oddzwonić, ale włączyła się skrzynka głosowa.

Kiedy minęła barykady i skręciła na zablokowany asfaltowy tor, dostała następną wiadomość.

zakneblowane tylko palce wolne zapomnieli idioci zabrać mi komórkę

Rosa wystukała odpowiedź: *Możesz to przeczytać?*

tak

Naprawdę nikogo poza wami tam nie ma?

Po przerażająco długim czasie: *nie*

Przez chwilę rozważała, czy jednak nie poprosić o pomoc Quattrini. Ale sędzia nie okazałaby zrozumienia dla faktu, że Rosa kolejny raz się ulotniła.

A gdyby próbowała poszukać pomocy u Alessandra? Kiedy tylko o nim pomyślała, w jej głowie zapanował chaos. A w tej chwili w żadnym wypadku nie powinna się wahać.

Co z Florindą? – napisała.

jest ranna – odpowiedź nadeszła po niekończącej się chwili oczekiwania – nie ma z nią kontaktu, wykrwawia się

Ramiona Rosy były tak ciężkie, że z ledwością trzymała kierownicę. Sama jazda na wprost kosztowała ją dużo wysiłku.

Dochodziło południe. Szara pokrywa chmur, gruba i kłębiasta, przesunęła się na północ i nieustannie zmieniała swój kształt, niczym dym z gigantycznego ogniska. Jak gdyby Afryka płonęła po drugiej stronie Morza Śródziemnego. W wyższych warstwach powietrza musiały szaleć burze, ale także tu, w dole, o samochód wciąż uderzały silne podmuchy wiatru.

Zaraz będę – wystukała na klawiaturze, by uspokoić i Zoe, i siebie. Jeszcze kilka kilometrów. Podczas wycieczek z Alessandrem autostrada nie wydawała się jej tak nieskończenie długa. Dziś sięgała aż do horyzontu.

Zoe?

pospiesz się

Quattrini mogła próbować ją zatrzymać, dlatego Rosa wybrała numer alarmowy, podała miejsce pobytu i poprosiła o przysłanie karetki. Na pytanie, ilu jest rannych, musiała odpowiedzieć wymijająco:

– Prawdopodobnie dwoje. Jedna osoba jest w ciężkim stanie.

Zapytano ją o nazwisko, ale nie chciała go podać. Czy jest pewna, że to nie jest głupi dowcip?

– Nie, do cholery, nie jest!

– Więc proszę podać swoje imię i nazwisko.

– Lilia Dionisi – powiedziała.

Kiedy się rozłączyła, ogarnęło ją przeczucie, że będzie na darmo czekać na pomoc. Uparcie patrzyła do przodu ponad kierownicą, ale nie potrafiła się przemóc, by zadzwonić do sędzi. Jeszcze nie teraz.

słyszę cię – przyszedł kolejny SMS od Zoe.

I zaraz potem:

i widzę

Rosa przyhamowała, kiedy horyzont zaczął coraz bardziej opadać, a góry po drugiej stronie wąwozu stały się widoczne. Tuż przed nią znajdowała się krawędź autostrady.

Ciemna kreska, zaraz nad przepaścią.

Ktoś leżał na asfalcie, kilka metrów od nicości.

Jeszcze raz dodała gazu. Wszystko było przytłumione, jej zmysły, jej uczucia.

Im bardziej się zbliżała, tym więcej detali widziała. Szczupłe, kobiece ciało w dopasowanym czarnym kostiumie. Czarne, podarte rajstopy. Bez butów.

Leżała na boku, twarzą do ziemi, plecami do Rosy. Jej długie blond włosy były rozrzucone. Ostre powiewy wiatru z głębi przepaści unosiły pojedyncze kosmyki, które tańczyły nad jej głową niczym złociste węże.

Florinda, przemknęło przez głowę Rosy. Ale gdzie była Zoe?

Hamując, zaczęła rozglądać się dookoła. Po obu stronach drogi piętrzył się żwir. Pozostałości dawnych umocnień mostu i gruz budowlany. Nierówny wał ochronny – w niektórych miejscach był wysoki na kilka metrów, w innych przerwany. Za nim wyrastały ściany skalne, krawędzie duktu, jaki wykuto w masywie górskim na potrzeby autostrady.

Zatrzymała samochód kilka metrów od krawędzi. Florinda leżała trzy kroki od drzwi kierowcy, w całkowitym bezruchu. Rosa nie widziała, czy oddycha.

Zanim wysiadła, poszła za głosem intuicji i zajrzała do schowka samochodowego. To w końcu był samochód mafijny, musiała w nim być...

Guma do zucia. Chusteczki higieniczne. Ani śladu broni.

Wystukała na komórce numer do Quattrini, położyła kciuk na „wyślij”, ale nie nacisnęła. Kiedy wysiadła i podbiegała do ciotki, trzymała telefon mocno w dłoni.

– Florinda?

Już kiedy wypowiadała to imię, wiedziała, że się pomyliła. To był jeden z kostiumów Florindy, ale to nie ona miała go na sobie.

– Zoe!

Z krzykiem opadła na kolana. Chłodne podmuchy z

otchłani rozwiały jej włosy, wślizgnęły się pod jej ubranie. Zaczęła okropnie marznąć.

Upuściła telefon i odwróciła Zoe na plecy. Jasne pasma opadały na twarz jej siostry. Oczy były zamknięte. Strużka krwi spływająca z ust zastygła, czerwone łuski spadały z białego gardła na włosy.

Trzęsącymi się dłońmi Rosa szukała pulsu Zoe. Nie znalazła go.

Odrzuciła głowę i wydała z siebie pełen cierpienia krzyk. Echo poniosło go przez wąwóz niczym widmowy chór ze starożytnych grobowców w skalnych jaskiniach.

Palce trzęsły się jej tak bardzo, że nie była w stanie wyczuć pulsu. To jej wina, nie Zoe. Pospiesznie spróbowała ponownie. Na szyi. Na lewym przegubie. Potem na prawym. Skóra Zoe była zimna i biała.

Gdzieś w środku obudziły się wątpliwości, niemal całkowicie zduszone bólem i rozpaczą. Nie było tu nigdzie telefonu. Zoe nie wysłała jej żadnego SMS-a!

– Dzień dobry, Rosa.

Była zdziwiona i jednocześnie wcale nie była zdziwiona.

Spomiędzy kamiennego gruzu na skraju autostrady wyszedł Salvatore Pantaleone. Białe koński ogon starca wirował nad jego ramieniem. Klapka na oku przypominała czarną dziurę w głowie i przykuwała wzrok bardziej niż jego zdrowe oko. Rosa pierwszy raz widziała go w świetle dnia i wydał się jej teraz bardziej ponury, strapiony, wyczerpany.

W prawej dłoni trzymał komórkę Zoe.

– Czegoś nowego się nauczyłem – powiedział, spojrzał na małe urządzenie, jak gdyby dziwił się samemu sobie, i po chwili wzruszył ramionami. Zrobił zamach i ze znaczną siłą cisnął nim w przepaść.

– To pan.

– Koniecznie musieliśmy się spotkać gdzieś, gdzie nie nasłababyś na mnie swojej nowej przyjaciółki, tej sędzi.

Trzymała rękę pod głową Zoe na asfalcie. Teraz delikatnie ją cofnęła, lewą dłonią przesunęła po policzku Zoe i próbowała opanować swój żal.

Ciało jednak nie chciało jej słuchać, to wymykało się kontroli jej rozumu. Miała wrażenie, że sama siebie obserwuje, i zmusiła się, by skierować swoją uwagę z powrotem na niego.

– To pan zabił Zoe?

– Zrobiłem to dla ciebie. To było konieczne, bardzo mi przykro.

Rosa poczuła, że zbiera się jej na wymioty, z trudem przełknęła ślinę.

– Co z Florindą?

– Nie tutaj.

– Ona też nie żyje?

– Jesteś teraz nową głową Alcantarów. Tak jak ci przepowiedziałem. Będziemy ze sobą dobrze współpracować, ty i ja. Być może to potrwa chwilę, aż oboje się do siebie przyzwyczaimy, ale potem...

Każde słowo, każde zaczerpnięcie powietrza było walką.

– Pan wie, że zdradziłam pana przed sędzią. I mimo to chce pan, bym panu pomogła?

Skinął głową.

– Najpierw to ja pomogę tobie. Będiesz potrzebowała pomocy. Masz dopiero siedemnaście lat, Rosa. Doradcy i kontrahenci Florindy wkrótce rzucą się na ciebie jak hieny i będą chcieli cię wykorzystać do swoich celów. Jednemu albo dwóm można zaufać, ale reszta to pozbawiona sumień wataha.

– Świetnie pan to wszystko zaaranżował.

Starzec zbliżył się do niej i potrząsnął głową.

– Wiele z tego, co zrobił Cesare Carnevare, ostatecznie okazało się pożyteczne. Ale to mnie nie dotyczyło. Ja po prostu wykorzystałem swoją szansę. Że Remeo był tam, gdzie był, i że mógł zrobić to, co zrobił... Czasem w interesach przydaje się odrobina szczęścia.

– Zoe i Florinda... czy one w ogóle pojawiły się przed tym trybunałem? Czy były już... gdzie indziej, kiedy spotkaliśmy się w *palazzo*?

– Martwe od kilku godzin ciało jest inne w dotyku, moje dziecko. – Skinieniem głowy wskazał na martwą Zoe. – Lubilem twoją siostrę. Przez długi czas myślałem, że może być tą, która... Ale ona nie ma twojego wigoru, twojej odporności, twojego zdecydowania. Poza tym – te historie z dziewczynami. Żałosne.

Zmusiła się, by zadawać kolejne pytania, szukając jednocześnie sposobu, w jaki mogłaby go zabić. Tu i teraz, także bez broni. Powoli wyprostowała się, aż oboje stanęli naprzeciwko siebie po lewej i prawej stronie ciała Zoe.

– A Florinda? Co w niej panu nie pasowało?

– Jej zgorzkniałość. Jej niekontrolowana złość. Sposób, w jaki emocjonalnie podchodziła do niektórych interesów, rujnując je. Twój ojciec powinien być zostać głową Alcantarów, ale uciekł z twoją matką. Florinda nigdy nie pasowała do tej roli.

– Ja też nie pasuję. I wcale nie chcę. – Ledwo otwierała usta. Jej język był twardy i zimny, jakby zamrożony.

Pogroził jej palcem.

– Ty jeszcze nie wiesz, czego chcesz. Albo nie chcesz sobie tego uświadomić. – Zrobił krok do przodu i stanął bezpośrednio nad ciałem Zoe, niecałe dwa metry od Rosy. – Ty i ja mamy szansę stawić czoło Głodomorowi.

– Ja! – parsknęła szyderczo. – No jasne.

– Ty i ja – powtórzył. – Ty jako moja prawa ręka. Masz kręgosłup moralny, którego brakowało Florindzie. Odrodzonemu Lykaonowi nie będzie łatwo poradzić sobie z okrucieństwem i brutalnością, której on i jego zwolennicy mają więcej, niż trzeba. Ale przekonania i coś w rodzaju poczucia sprawiedliwości, które nie ma nic wspólnego z prostackimi ideałami twojej zaprzyjaźnionej sędzi... to skuteczna broń w walce z nim.

– Bzdury – wyszeptała i pozwoliła, by wiatr poniosł to słowo w jego stronę.

Spojrzała ponownie na Zoe i z ulgą powitała chłód rozprzestrzeniający się po jej ciele. Wkrótce nie czuła już ramion i nóg. To było przyjemne uczucie.

– TABULA – powiedziała cicho. – Może oni chcą tego, co właściwe.

Uśmiechnął się.

– O nich także ci opowiem. O TABULI i o dziurach w tłumie. Wiesz, że istnieją odpowiedzi? Głęboko w morzu leżą odpowiedzi na wszystkie pytania.

„Zadałaś sobie kiedyś pytanie, kto stoi w dziurach w tłumie?” Takie pytanie postawił jej Fundling, kiedy jechała z nim samochodem na wycieczkę jachtem.

– Rosa? – wyszeptał jakiś głos.

Błada dłoń Zoe przesunęła się po łydce Rosy. Jej szept był tak cichy, że niemal zagłuszały go podmuchy wiatru. Ale to był jej głos, za słaby, by mieć nadzieję, a mimo to...

– Biedne, uparte stworzenie – powiedział Pantaleone i wyciągnął pistolet.

– Nie! – Rosa odskoczyła od Zoe w jego stronę. W locie zimno spotężniało. Nareszcie ostatecznie się z nią złąło.

Kryształki lodu uderzyły we wnętrzu jej naczyń krwionośnych. Szron pokrył gałki oczne i po chwili stopniał. Była kimś innym.

Pantaleone uśmiechnął się.

Bardzo krótko. Prawie z dumą.

Jego oczy rozszerzyły się i ściemniały. Pistolet spadł na ziemię. Przeobrażał się.

A potem go dopadła.

DWOJE ZWIERZĄT

Gdyby ktoś poza nimi znalazł się wtedy w tym miejscu na końcu świata, na krawędzi głębokiej przepaści z grobowcami w jaskiniach, jego oczom ukazałby się dziwny widok.

Dwoje zwierząt leżało w bezruchu na zakurzonym asfalcie. Znieruchomiały niedaleko poszarpanej krawędzi przepaści, gdzie droga, niegdyś prowadząca na most, kończyła się w pustce nad kanionem z pokruszonych skał.

Jedno ze zwierząt to wąż, długi na prawie trzy metry i gruby jak ludzkie przedramię. Jego pokryta łuskami skóra ma kolor bursztynu, z brązowo-żółto-ciemnoczerwonym wzorem. Głowa węża leży na boku, oczy są szeroko otwarte – rozszerzone źrenice wpadają w lodowaty błękit, niespotykany u gadów. Ma dwa kły jadowe, długie, zakrzywione niczym sztylety i rozwidlony język.

Ciało węża owija się spiralą wkoło drugiego zwierzęcia, potężnego dzika z poszarzałym futrem i tylko jednym okiem, drugie stracił dawno temu. Oczodół świeci pustką niczym dziura po sęku. Także on leży w bezruchu na asfalcie, ze zwiotczalymi kończynami, otwartym pyskiem z ogromnymi szablami. Język wywieszony na zewnątrz nie jest tak filigranowy, jak u węża, ale gruby i szary. Jego ciało pokrywają stare blizny. Jedyne oko jest szeroko otwarte i jakby trochę za bardzo wysunięte z oczodołu. Właśnie dopadła go śmierć, muchy nie mają jeszcze odwagi zbliżyć się do padliny. Większość z żeber jest pęknięta, jak gdyby wąż owijał się wkoło niego coraz ciaśniej, by wycisnąć życie z jego płuc. Długo to trwało, zanim padł martwy, ale nareszcie jest już po wszystkim.

I kiedy troje oczu patrzy w niespokojne, burzowe niebo, w pewnej chwili zaczyna się przemiana. W uścisku węża postać

dzika zniekształca się. Jego sierść cofa się pod skórę. Pysk wygina się do wewnątrz i wygładza się, z przednich łap wykształcają się nogi. Jedno ze złamanych żeber przebija pomarszczoną klatkę piersiową, ludzka skóra nie jest dostatecznie giętka dla pogruchotanych kości. Język chowa się pomiędzy rozchylone wargi, żółtawe szable znikają i po chwili już ich nie widać.

Teraz zaczyna się przemiana węża. Jego ciało skraca się, pogrubia w niektórych miejscach, w innych zwąza. Oczy zmieniają swój kształt, lodowaty niebieski ściąga się. Koniec języka się zrasta, zęby jadowe znikają. Na końcu skóra na głowie węża rozdziela się na włókna, które z zawrotną prędkością dzielą się dalej, najpierw na pasma, potem na pojedyncze włosy. Wkrótce burza blond włosów wyrasta wkoło głowy dziewczyny, która jeszcze przed chwilą była wężem. Nic więcej nie przypomina gada, tylko wyschnięte łuski na asfalcie.

Rosa budzi się i mruży oczy w świetle dnia. Naga i bezsilna wyslizguje się spod zwłok Pantaleone, drżącymi palcami naciska na klawisz.

– Quattrini – szepcze, nie odrywając urządzenia od ust.
– Teraz może go pani mieć.

* * *

Życie opuściło Zoe w jednym długim oddechu. Rosa klęczała na ziemi, oparła głowę i ramiona siostry o swoje kolana i delikatnie głaskała jej długie włosy. Spojrzenie Zoe szukało jej, ale w oczach było widać, że nie bardzo wie, co się dzieje wkoło.

– Czy to my? – z wysiłkiem wyrzęziła Zoe.

– Nic nie mów. Zaraz przyjedzie pomoc.

– Czy to my... byliśmy?

Rosa zobaczyła w zwolnionym tempie, jak jedna z jej łez rozpryskuje się na policzku Zoe.

– Nie wiem, co chcesz powiedzieć.

– Czy my... zdradziliśmy?

– Poszłam do sędzi. Złamałam regułę milczenia.

– Nie to. – Wargi Zoe drżały. – TABULA – wyszeptała.

Pamięć Rosy leżała za murem z bólu i smutku. A jednak coś tam się ruszyło. Jedna z rodzin zdradziła dynastie arkadyjskie dla TABULI, tak twierdził Cesare.

– To mógł być każdy, nawet Carnevarowie.

Słyszała swój głos i to chroniło ją przed zwariowaniem.

Zoe wykrztusiła krew.

– Musisz się tego... dowiedzieć.

– Dlaczego?

– Z powodu... – przerwała i cicho wycharczała, a mięśnie jej twarzy napięły się. – Z powodu taty – dodała szeptem.

Rosa potrząsnęła głową.

– Musisz teraz...

– Z powodu taty, Rosa! Jego i TABULI.

Zoe uśmiechnęła się i umarła.

WIADOMOŚĆ

Dookoła szpitalnego łóżka Fundlinga szumiały maszyny podtrzymujące życie. Jego głowa była zabandażowana i podparta białymi poduszkami, by nie odchyliła się na bok. Ktoś zgolił mu czarne włosy. Powieki miał zamknięte, ale pod nimi gorączkowo poruszały się źrenice.

Iole postawiła mu na stoliku zdjęcie Sarcasmo. Pies wyglądał, jakby się uśmiechał, jego oczy lśniły. Iole i czarny mieszaniec zupełnie zwariowali na swoim punkcie. Po ich przeprowadzce do *palazzo* Alcantara w niedługim czasie Iole zakwaterowała go w swoim pokoju i nie wychodziła bez niego z domu.

Tego popołudnia, pięć dni po śmierci Zoe, Rosa była jedyną odwiedzającą w pokoju Fundlinga. Siedziała obok niego w czarnym płaszczu z szafy swojej siostry. Na zewnątrz, w parku kliniki, nad wysokimi dębami, szalała burza. Stan Fundlinga ustabilizował się w śpiączce, ale nikt nie mógł przewidzieć, czy się z niej wybudzi.

– Wiesz to, prawda? – Nie patrzyła na niego, ale na drzewa za oknem. – Od początku wiedziałeś więcej niż pozostali. O TABULI i tych... dziurach w tłumie. O Głodomorze. O prawie arkadyjskim.

Wstała i pochyliła się nad nim, bardzo blisko jego twarzy.

– Skąd ty się właściwie wzięłeś? I czego szukałeś jako dziecko w hotelu, który spalili Carnevarowie? – Czubkami palców dotknęła jego warg, a potem czoła. – Znajdziemy sposób, byś powiedział prawdę. Jakoś musisz mi to opowiedzieć.

* * *

Na zewnątrz na korytarzu spotkała sędzię.

Quattrini zadbała o to, żeby przeciwko Rosie nie wszczęto żadnego postępowania. Śmierć Pantaleone była nie po jej myśli, bo wiele spodziewała się po jego aresztowaniu – zeznań o szeroko rozgałęzionych interesach Cosa Nostry, możliwe, że również o rzezi w pomniku pod Gibelliną. Teraz większość z tych spraw miała pozostać niewyjaśniona.

Wielką tajemnicą była też sama śmierć Pantaleone. Rosa twierdziła, że w obronie własnej zepchnęła go do przepaści po tym, jak zamordował jej siostrę. Nikt nie mógł jednak wyjaśnić, dlaczego wkoło jego ciała pojawiły się spiralne krwiaki.

– W jakim on jest stanie?

– Bez zmian – powiedziała Rosa.

Sędzia wydała jej się niższa niż podczas wcześniejszych spotkań. Musiała spoglądać na Rosę z dołu, ale nie sprawiało jej to różnicy.

– Powiedziano mi, że tu cię znajdę. Obawiam się, że mam złe wiadomości.

Rosa spojrzała przelotnie na ziemię, a potem znów zmierzyła się z żelaznym wzrokiem kobiety.

– Przypuszczam, że znaleźliście Florindę.

– Nie wyglądasz na specjalnie zaskoczoną.

Pantaleone nazwał ją nową głową Alcantarów. Z pewnością nie bez powodu.

– Złamałam przysięgę – powiedziała. – To się musiało stać.

Przez chwilę sędzia wyglądała na autentycznie poruszoną.

– Przykro mi. Jej śmierć i ta głupia przysięga.

– Proszę nie przeproszać, jeśli robi to pani nieszczerze. Przeczuwała pani przecież, co się stanie.

Quattrini spojrzała przez ramię. Stefania Moranelli i

Antonio Festa, dwoje jej ochroniarzy stało przy rejestracji na końcu korytarza i spoglądało w ich stronę.

– Istniały oznaki konfliktu pomiędzy rodzinami – powiedziała, zwracając się ponownie w kierunku Rosy. – Nie trzeba było być prorokiem, żeby przewidzieć, że popłynie krew. Ale to, czego nie rozumiem, to twoja rola w tym wszystkim. I rola tego chłopaka.

– Fundlinga?

Sędzia pokręciła głową.

– Dobrze wiesz, o kim mówię. Alessandro Carnevare.

– Proszę go zapytać. Nie widziałam go od wielu dni – dodała chłodniejszym tonem. – Przypuszczam, że ma co robić.

Quattrini skinęła głową, jakby to potwierdzało coś, o czym od dawna wiedziała.

– Zapytam go, nie martw się.

– Gdzie znaleźliście Florindę? I co się stało?

– Została zastrzelona. Nie z tej samej broni, co twoja siostra, i prawdopodobnie kilka godzin wcześniej. Jej ciało zostało porzucone na plaży w Panarei.

– Panarea? – zapytała Rosa, byle coś powiedzieć. Jej głos brzmiał ochryple.

– Panarea jest jedną z Wysp Liparyjskich na północ od Sycylii. Czy twoja ciotka przed paroma dniami wybierała się w rejs?

– O niczym takim nie wiem.

Pantaleone musiał wydać rozkaz, by przywieźć Florindę i Zoe do niego z Corleone. Być może Florinda broniła się i dlatego została zastrzelona – zwłoki mogli wyrzucić z helikoptera gdzieś nad morzem.

– Chciałabym tak szybko, jak to możliwe, pochować je obie w naszym rodzinnym grobowcu – powiedziała.

– Naturalnie.

– Czy Iole może na razie ze mną zostać?

– Jeśli tego chce. Nie znaleźliśmy żadnych jej żyjących krewnych. Ktokolwiek wtedy wymordował Dallamanów, zrobił to bardzo skrupulatnie.

– Zapomniała pani o Augusto.

– On nie żyje. Przynajmniej oficjalnie.
Rosa skinęła głową.

– Do widzenia, *signora* Quattrini.

Przeszła obok sędzi w dół korytarza. Quattrini nie ruszyła za nią, ale czuła jej spojrzenie na plecach.

– Rosa?

Jeszcze raz się odwróciła.

– Wszystkiego najlepszego.

– Z okazji śmierci mojej ciotki?

– Z okazji spadku – powiedziała Quattrini. – Jesteś teraz głową klanu Alcantarów. Mam nadzieję, że pozostaniesz przy życiu na tyle długo, by się nim nacieszyć.

Rosa odwróciła się i ruszyła przed siebie.
Dopiero w samochodzie zalała się łzami.

POŻEGNANIE

Kolumna czarnych limuzyn wspinała się drogą w kierunku posiadłości klanu Alcantara.

Rosa i Iole stały w wejściu do kaplicy i obserwowały, jak przybywają *capi* klanów. Rosa w duchu zadawała sobie pytanie, ilu z nich pod maską ludzi interesów skrywa arkadyjską tożsamość.

Poza bossami i ich rodzinami pojawili się szefowie firm Alcantarów z Palermo, Mediolanu i Rzymu, a oprócz nich kilku doradców, przed którymi ostrzegał ją Pantaleone. Wiedziała, że oczekuje się od niej przyjęcia kondolencji od wszystkich zgromadzonych. Nie była tu jednak po to, żeby spełniać ich zachcianki.

Goście żałobni ustawili się przed wejściem do kaplicy w dwóch długich rzędach. Rosa była w niej tylko raz, kiedy Zoe zaprowadziła ją do grobu ich ojca. Rano znów na niego spojrzała. *Davide Alcantara* głosił napis wyryty na kamiennej płycie. Bez daty urodzin i śmierci.

W powietrzu unosił się słodki zapach lawendy i janowca, wymieszany z wonią licznych bukietów kwiatów. Większość z nich dostarczono już rano, pracownicy zakładu pogrzebowego udekorowali nimi portal.

Z jednej z ostatnich limuzyn, które zatrzymały się pod *palazzo*, wysiadł Alessandro.

Miał na sobie dopasowany czarny garnitur i okulary przeciwsłoneczne. Jego włosy były krótsze. Wydał się jej doroślejszy.

W przeciwieństwie do pozostałych *capi*, Alessandro przybył sam. Nie wziął ze sobą ochroniarzy, którzy towarzyszyliby mu w drodze z podjazdu do kaplicy. Z nikim się

nie przywitał, stanął na końcu rzędu ludzi, zdjął okulary i spojrzał w kierunku Rosy. Z oddali nie mogła dojrzeć wyrazu jego twarzy.

Myślała, że jest bezpieczna, kiedy skrzyżowały się ich spojrzenia. Sądziła, że tak bardzo pograży się w żalu po Zoe, że jego obecność nie będzie miała dla niej znaczenia. Ale kiedy znów go zobaczyła, po raz pierwszy od czasu wydarzeń przy pomniku, jego widok uderzył w nią jak piorun.

Iole chwyciła ją za rękę i uśmiechnęła się do niej szeroko. W ciągu ostatnich kilka dni przeszła zadziwiającą przemianę. Wyglądała doroślej, już nie była tak dziecięco zmierzwiona, jak podczas ich pierwszego spotkania na Lunie, i przyciągała ciekawskie spojrzenia gości żałobnych.

Rosa związała blond włosy w koński ogon i z pomocą kobiet ze wsi dopasowała sobie kilka ubrań Zoe. Czarny kostium, który wybrała na dziś, dodawał jej służbowego wyglądu – sama niemal nie poznała się w lustrze. Już tęskniła za butami z metalowymi czubkami.

Trzy dni wcześniej zadzwoniła do matki w Nowym Jorku i przekazała jej wiadomość o śmierci Zoe. Gemma nie zaskoczyła jej – po początkowym szoku i głośnym lamencie odrzuciła propozycję Rosy, że ta przyśle jej bilety lotnicze. Nawet pogrzeb córki nie mógł jej skłonić do tego, by jeszcze raz postawiła stopę na wyspie. Rosa nie próbowała jej przekonywać. Obiecała, że da znać, kiedy już będzie po wszystkim, ale w duchu zdecydowała, że ten raz wystarczy. Jeśli jej matka nie będzie szukała kontaktu, ona także tego nie robi.

Ceremonię żałobną odebrała jako dziwaczny teatr. Ktoś wepchnął ją na scenę, by grała w nim główną rolę. Odetchnęła z ulgą, kiedy się skończył. Jeszcze nie wiedziała, jak poradzi sobie ze śmiercią Zoe. Łzy z poprzednich dni, teraz ten rytuał, w

którym nie umiała doszukać się sensu – to nie mogło być wszystko. Ale niezależnie od tego, na co czekała, to nie następowało. Jak gdyby zapas jej żalu wyczerpał się ostatecznie w minionych latach.

Z przodu, przy wejściu, mężczyźni i kobiety czekali, by złożyć Rosie kondolencje. Wyszła z kaplicy, nie patrząc na nikogo. Ci ludzie nienawidzili Florindy i Zoe. Nieprzyjęcie ich wyrazów współczucia było dla *capi* jak policzek. Wiedziała o tym. Nie interesowało jej to.

Wyprostowana przeszła między rzędami gości i zatrzymała się przy jednym, który wciąż stał na końcu. Spojrzała na niego.

– Chodź – powiedziała. – Przejdziemy się.

Słońce prześwitywało między sękatymi gałęziami, kiedy weszli w cień gaju oliwnego. Plamki światła prześlizgiwały się po ich ciałach, obejmując je niczym świetliste wąsy i puszczając przy kolejnym kroku.

– Byłem kilka razy u Fundlinga w szpitalu – powiedział. – Miałem nadzieję, że ciebie tam spotkam.

– Mogłeś po prostu zadzwonić.

– No tak, mogłem.

– Jesteś teraz tym, kim chciałeś być – powiedziała, nie patrząc na niego. – *Capo Carnevarów*. Jest tak, jak to sobie wyobrażałeś?

Lekko westchnął.

– Notatki mojej matki przekonały ich, że Cesare oszukiwał rodzinę. Ale to nie znaczy, że są do mnie przekonani. – Rzucił jej spojrzenie z ukosa. – A jak jest u ciebie?

– Odziedziczyłam to wszystko jak stare auto, którego nikt nie chce kupić. Teraz siedzę w zardzewiałym gruchocie i już się z niego nie wydostanę.

– Powinno być na niego dostatecznie dużo chętnych.

– Ty? – Kiedy pojęła, co miał na myśli, nie zostawiła mu czasu na odpowiedź. – Spróbuję coś zmienić. Pozbyć się kilku interesów. – Uśmiech przemknął przez jej wargi. – Wybudować więcej wiatraków.

Byli na tyle daleko od posiadłości, że głosy gości żalobnych dobiegały ich tylko jako monotony, jednolity pomruk. Alessandro zatrzymał się, chwycił ją za rękę i delikatnie odwrócił, aż spojrzeli na siebie. Promienie słoneczne, które przebijały przez gałęzie drzew oliwnych, szmaragdowymi płomieniami rozpały zielen w jego oczach.

– Czy jesteśmy teraz wrogami? – zapytała. – Tak jak nasze rodziny?

– Moja rodzina nie żyje. Mam tylko – wzruszył ramionami – pracowników. Ty wciąż masz Iole. Wygląda, jakby była twoją młodszą siostrą.

Jej palce same z siebie wślizgnęły się w jego dłoń.

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie. Czy musimy być teraz wrogami?

– Konkordat ma służyć temu, byśmy się nawzajem nie pozabijali.

Spojrzała na niego ze zmarszczonym czołem i zauważyła, że jego dołeczki ledwo zauważalnie się pogłębiły.

– Idiota.

– Sam tak siebie nazwałem po tej historii pod Gibelliną. – W jego wzrok wkradł się cień. – Powinienem był pojechać z tobą do szpitala. Zamiast tego...

– ...zadbałeś o to, żeby twój klan się nie rozpadł – przypomniała mu i mówiła poważnie. – Resztą równie dobrze mogłam się zająć sama.

– Powinnaś była uciec z wyspy – powiedział cicho. – Miałem nadzieję, że będziesz rozsądna i po prostu to wszystko

zostawisz. Nie chciałem cię zatrzymywać i ponosić odpowiedzialności za twoje krzywdy.

– A dlaczego ty wszystkiego nie zostawiłeś? Nie mów mi, że tobie jest łatwiej przejmować interesy ojca.

– Ja urodziłem się w tym świecie. To coś, co znam. Ty jesteś inna. Wszyscy ci doradcy i szefowie firm waszej rodziny, którzy niedługo się na ciebie rzucą – każdy będzie próbował zgarnąć dla siebie jak największy kawałek ciasta.

– Zobaczymy.

Jego spojrzenie spoczęło na niej.

– Powinienem myśleć nad interesami Carnevarów z powodu wszystkich tych ludzi, którzy najchętniej jeszcze dziś strzeliliby mi w plecy – a zamiast tego dniami i nocami myślę o tobie.

Trochę zdziwiła ją jego szczerość, właśnie dlatego przecież nieustannie budził jej nieufność. W milczeniu spojrzeli na siebie. Potem on nachylił się i pocałował ją.

Na początku z wahaniem przyjęła dotyk jego warg, a potem odwzajemniła pocałunek z intensywnością, która ją samą zaskoczyła. To było inne uczucie niż przy pierwszych nieśmiałych próbach. Teraz dobrze wiedziała, w co się angażuje.

– Nikt nie może się o tym dowiedzieć – szepnęła po chwili.
– Nasi ludzie zabiliby nas.

Jego uśmiech zdradził zdecydowanie. Jak gdyby było to intrygujące wyzwanie.

– Kiedy to wszystko się uspokoi i...

– Nic się nie uspokoi. Głodomór wróci na Sycylię. To jeszcze nie wszystko.

– Masz na myśli ten pomnik?

– Też chciałbyś się tego dowiedzieć, prawda? Co on oznacza?

Skinał głową.

– Musi ich tam być więcej. Pantaleone powiedział, że odpowiedzi leżą na dnie morza. Nie chodzi tylko o Lamię i Panterę – tam jest coś jeszcze. Dynastie i TABULA... dziury w tłumie, o których mówili Fundling i Panta...

Długim pocałunkiem przerwał jej w połowie słowa.

– Tu chodzi o nas – powiedział po chwili. – Tylko o nas.

Promienie słoneczne wędrowały po ziemi złotymi ornamentami i oddziaływały od siebie cień rzucały przez gałęzie. Przytuliła się do niego, pocałowała go w szyję, w policzki i znowu w usta.

– Wiem – powiedziała, ani z czułością, ani z chłodem, bez śmiałości i odwagi. Po prostu, bo taka była prawda. – Ale przez chwilę nie powinniśmy się widywać. Dać innym czas, żeby zajęli się swoimi sprawami.

– Jak długo?

– Miesiąc. Licząc od Gibelliny – uśmiechnęła się. – Lepiej się o tym myśli, jeśli przyjąć, że za nami już tydzień.

– Trzy tygodnie miną szybko. – W jego głosie nie było przekonania.

– Nie – powiedziała poważnie. – Trzy tygodnie to bardzo długo.

Pocałowała go ostatni raz.

Potem ruszyli z powrotem, w górę wzgórza pod zgiętymi gałęziami drzew oliwnych.

EPILOG

Dziób łodzi rozciął niebieskie bałwany w Cieśninie Mesyńskiej. Niebo było nieskazitelnie czyste i jasne. Mewy latały nad wybrzeżem Sycylii od zachodu, aż po piaszczyste zatoki Kalabrii na wschodzie. Przed nimi leżało otwarte morze.

Rosa siedziała na stojącym przy relingu leżaku w czarnym kombinezonie z pianki i patrzyła na wodę. Morze było gładkie i spokojne, wiał lekki wiatr. Jak na późne lato było dość ciepło. Na powierzchni wody nic nie wskazywało na to, że dno morza było w tym miejscu przeorane niczym pole bitwy, z głębokimi szczelinami podwodnego kanionu.

Obejrzała mapy i diagramy w skradzionych dokumentach Dallamanów, które znalazła w domu Pantaleone w lesie; Florinda musiała mu je dostarczyć po napadzie w Syrakuzach. Było na nich dobrze widać, w jakim stopniu silne trzęsienie ziemi spustoszyło tę część dna morza.

– Zaraz będziemy na miejscu – zawołał do niej kapitan, stojący na mostku. Głęboko nabrała powietrza, uniosła dłoń, by podziękować mu za tę informację i wstała. Płynęła małą łodzią z sześciuosobową załogą. Nie chciała wzbudzać zainteresowania, wybierając się na oczach wszystkich w podróż w poszukiwaniu skarbów.

Przy pierwszym zejściu na dno chciała być sama. Tygodniami trenowała z osobistym instruktorem, najpierw w Lago di Ogliastro, niedaleko *palazzo* Alcantara, potem w morzu na południowym wybrzeżu. To musiało wystarczyć na potrzeby jej planów. Żadnych ekspedycji, żadnej asekuracji. Tylko rzut okiem na to, co tam, w dole, znaleźli Dallamanowie.

Nauka nurkowania nie była tylko przygotowaniem, ale również tak potrzebnym relaksem – od odwiedzin szefów firm i

przewodniczących rad nadzorczych, którzy chcieli rzucić nieufnym okiem na *piccola ragazza*, od której w przyszłości będą zależeć ich losy. Tak wcześnie, jak to tylko było możliwe, każdego ranka umawiała się z nauczycielem nurkowania.

Jej ekwipunek leżał na pokładzie, niedaleko luki w relingu. Jeszcze raz sprawdziła wskazania butli z tlenem. Jeden z członków załogi podszedł do niej i pomógł jej założyć ją na plecy, kiedy kapitan nagle zawołał:

– Mamy gości. Drugi jacht za lewą burtą. Płyną prosto na nas.

Nie marnowała czasu na ściąganie ciężkiego plecaka i płetw. Niecierpliwie poczłapała w stronę przeciwnej burty. Słońce w jednej chwili zdawało się prażyć jeszcze mocniej.

– Znam ten jacht – powiedziała.

Marynarz stojący obok niej krzyknął do kapitana w górze:

– Mówi, że zna ten jacht.

– To „Gaia”.

– To „Gaia”! – zaskrzeczał mężczyzna.

Rosa rzuciła mu spojrzenie, które spowodowało, że zamilkł.

Śnieżnobiały jacht Carnevarów zbliżał się do nich na siodle ze spienionej wody. Dziesięć metrów przed ich łodzią maszyny stanęły. Obie łodzie znalazły się w miejscu, którego współrzędne Ruggero Dallamano wyznaczył na swoich morskich mapach. Czterdzieści metrów pod nimi, na dnie morza, musiał stać posąg Pantery i Lamii.

Na pokładzie „Gai” nikt się nie pojawił. Lustrzane okna nie przepuszczały do środka żadnych spojrzeń.

Niespodziewanie z głośników jachtu zabrzmiały fanfary. Rosa natychmiast rozpoznała początek. Chwilę potem nad wodą popłynęły nieskazitelnie czyste dźwięki piosenki. Tej, która była

jej tak bliska. *My Death*.

Po chwili melodia przycichła. Na dolnym pokładzie ukazał się Alessandro w ciemnoniebieskim kombinezonie płetwonurka i z butlą tlenu na plecach. Okulary do nurkowania odsunął na czoło. W jednej dłoni trzymał coś, co pobłyskiwało metalicznie.

– On ma broń! – warknął mężczyzna, stojący obok Rosy.

– Nie – zaprzeczyła spokojnie. – To nie jest broń.

Alessandro wyszczerzył się w uśmiechu i palcem wskazującym narysował w powietrzu trójkę. Inni ludzie na pokładzie mogli pomyśleć, że postradał rozum, ale Rosa się uśmiechnęła.

Zrobiła kilka niezgrabnych kroków w kierunku leżaka. Leżał pod nim jej iPod. Wyciągnęła kabel od słuchawek i z urządzeniem w dłoni podążyła z powrotem w stronę relingu. Światło słoneczne odbijało się od srebrzystego korpusu łodzi. Tak samo, jak od przedmiotu w dłoni Alessandro.

– *My Death* była ulubioną piosenką mojej matki – zawołał.
– Wciąż ją puszczała. Kiedy umarła, w kółko jej słuchałem. A potem, na lotnisku, pomyślałem, że muszę z tym skończyć, a przynajmniej spróbować. – Uniósł ramiona. – Nie bardzo się udało.

– Zamieniłeś je. Kiedy spałam.

– Wiedziałaś o tym?

– Już od jakiegoś czasu. Kiedy pierwszy raz byłam w willi twojej mamy... Ta piosenka idealnie do niej pasuje. Czułam to – jak ducha Gai.

Uniósł urządzenie w ręce i pozwolił promieniom słonecznym odbić się od niego.

– Ten jest twój. Pomyślałem sobie, że ci go oddam. Może będzie ci jeszcze potrzebny.

– Pod wodą?

– Kto wie... – Wziął zamach.

Zważyła płaski przedmiot w dłoni i wykonała ten sam gest.

Dwa srebrne łuki przecięły powietrze nad wodą. Mężczyźni z załogi wymieniali zdezorientowane spojrzenia.

W najwyższym punkcie lotu urządzenia zderzyły się i siła uderzenia wytrąciła je z torów. Wpadły do morza.

Alessandro westchnął. Rosa wybuchnęła śmiechem. Spojrzeli na siebie i się uśmiechnęli.

– Wyciągnijmy je! – zawołała do niego.

I oboje jednocześnie zanurkowali w niebieskim morzu.